



Kwartalnik polski

Nr 107–108

Rok (2020) 27

KRYNICA

Pismo mniejszości polskiej na Ukrainie

ISSN 1233-5452



Wszyscy mieliśmy jakieś plany. Te całkiem małe, dotyczące, ot, choćby tego, co dzisiaj kupimy i ugotujemy na obiad. Te większe: co będziemy robić w najbliższą sobotę i niedzielę. Dokąd pójdziemy, z kim się spotkamy, w której kawiarni wypijemy smaczną kawę. Te WIELKIE PLANY: do którego egzotycznego kraju pojedziemy na wakacje, co będziemy zwiedzać, jak wspaniale odpoczniemy i jaką opalenizną pochwalimy się znajomym po powrocie...

Właściwie wszystko, co do tej pory robiliśmy, było efektem naszych planów. Bez względu na wielkość owych PLANÓW. I wszyscy byliśmy przekonani, głęboko przekonani, że realizacja owych planów zależy WYŁĄCZNIE OD NAS. I nagle, prawie z dnia na dzień okazało się, że już NIC od nas nie zależy. To, co wydawało

się być tak bardzo daleko od nas, gdzieś TAM: w Chinach, we Włoszech, w Hiszpanii – przyszło także i do naszego kraju. Wszystko to, co uważaliśmy za „statystykę” – stało się naszym bólem, naszą tragedią... Epidemia koronawirusa dotarła do Ukrainy!

Maski, gumowe rękawiczki, buteleczki ze środkami odkażającymi. Prysnać na klamkę, na guziczek, na zakupy przyniesione ze sklepu...

Isolacja... Skazanie na pobyt w czterech ścianach... Nieumiejętność bycia przez 24 godziny na dobę razem z kimś, z kim, jak się okazało, BYWALIŚMY tylko czasem, ale nigdy nie BYLIŚMY tak naprawdę...

Kłopoty finansowe. Byt, który okazał się ważniejszy niż miłość. Konflikty. I ta niezgoda na zrezygnowanie z tego, do czego – jak się okazało – TAK MOCNO byliśmy przywiązani. Bo przecież zawsze robiliśmy to, na co mieliśmy ochotę...

Niezgoda na nowe realia. Wręcz bunt! Dlaczego JA MUSZĘ nosić maskę i rękawiczki?! Dlaczego nie powinienem wychodzić z mieszkania?! Dlaczego nie mogę jeździć miejskim autobusem, jeśli nie posiadam specjalnej przepustki?! JA chcę pójść do pracy! Zarabiać! A to, że mój brak dyscypliny może być niebezpieczny dla bliźnich – to mnie ZUPEŁNIE NIE INTERESUJE! Ludzie-e-e, mnie OGRANICZAJĄ!!!

W aptekach zabrakło masek, gumowych rękawiczek, środków dezynfekujących. W mieszkaniach zabrakło miłości. Na klatkach schodowych, na ulicach i w sklepach zabrakło solidarności. Czas próby... Czy przetrwamy? Czy pozostaniemy LUDŹMI?..

Dorota JAWORSKA

KRYNICA

kwartalnik mniejszości
polskiej na Ukrainie

Zespół redakcyjny:

Dorota Jaworska (red. naczelny)
Mariusz Woźniak OP
Stanisław Panteluk
Andżelika Płaksina

Stali korespondenci:

Teresa Dutkiewicz (Lwów)
Jan Ciechanowicz (Wilno)
Wiktoria Wachowska (Żytomierz)
Michał Micel (Nowy Jork)

Skład i łamanie:

Wydawniczy Oddział Instytutu Nauk
Religijnych Św. Tomasza z Akwinu
Red. tech. Mychajło Rojik
Zdjęcie na 1–4 str. okładki:
Andrzej Kandecki



Projekt realizowany przez Fundację
Wolność i Demokracja, finansowany
ze środków Kancelarii Prezesa Rady
Ministrów w ramach zadania pub-
licznego dotyczącego pomocy Polonii
i Polakom za granicą.

Publikacja wyraża jedynie poglądy
autorów i nie może być utożsa-
miana z oficjalnym stanowiskiem
Kancelarii Prezesa Rady Ministrów.



Kontakt z redakcją:
tel/fax: +380 (44) 570 19 45
e-mail: dorota57@ukr.net
www.kresy24.pl

SPIS TREŚCI:

WYDARZENIA

W hołdzie Bohaterom (<i>Antoni Kosowski</i>)	3
W intencji tych z tundr Syberii i stepów Kazachstanu (<i>Inf. Duszpasterstwo Polaków przy parafii pw. św. Aleksandra w Kijowie</i>)	4
To był prawdziwy sukces! (<i>Andżelika Płaksina</i>)	5
Jak filozofowie pączki jedli (<i>Julia Morguńska</i>)	6
Książka bez granic (<i>Łesia Jermak</i>)	7
Diagnozy i znaki zapytania (<i>mgr Mateusz Kamionka</i>)	8
„Jednoczy nas duch wolności” (<i>Anatol Zborowski</i>)	9
„Chyba Pan Bóg w niebie usłyszał...” (<i>Stanisław Panteluk</i>)	10
„Gdy polonez Chopinowski tajne struny serca ruszy” (<i>Olga Ozolina, Ludmiła Sliesariewa</i>)	12
Polski dar dla kijowskiej biblioteki (<i>Inf. NBNM</i>)	13
W kręgu miłośników historii (<i>Helena Chomenko</i>)	14
Wciąż jeszcze krwawi tamta rana (<i>KOS</i>)	15
Świąteczny koszyk dla seniora (<i>Inf. własna</i>)	16
Dzień pamięci w Bykowni (<i>Olga Ozolina</i>)	17
Olimpiada Historii Polski dla Polonii i Polaków za granicą (<i>Anna Śmigiełska</i>)	18
Rajdocross samochodowy Polonii Kijowa (<i>Andżelika Płaksina</i>)	19
Dzwony pamięci (<i>KOS</i>)	20
Obchody 100. rocznicy urodzin św. Jana Pawła II w Żytomierzu (<i>Inf. własna</i>)	21
100. rocznica urodzin św. Jana Pawła II (<i>Stanisław Panteluk</i>)	22
Niezwykły wykład (<i>Inf. własna</i>)	23
Nauka w warunkach Covid-19 (<i>Ewa Goctowska, Anna Maria Oskierko, Natalia Pruchniak</i>)	24
„Przybywam jako brat w wierze!” (<i>Stanisław Panteluk</i>)	26

W KRAJU

Polska gospodarka w walce ze skutkami epidemii (<i>Onet, Twitter, PAP, Ministerstwo Rozwoju</i>)	30
---	----

HISTORIA

Polskie dzieje Kijowa (cz. VII) (<i>Marian Kałuski</i>)	36
---	----

DOBROCZYŃCY LUDZKOŚCI

Jan Dwigubski. Miód i pośpiech (<i>dr Jan Ciechanowicz</i>)	64
Jan Mikulicz. Król królewskiej chirurgii (<i>dr Jan Ciechanowicz</i>)	68

BADACZE SYBERII I DALEKIEGO WSCHODU

Wiktor Godlewski (<i>Janusz Fuksa</i>)	74
Leon Hryniewicz (<i>Janusz Fuksa</i>)	78

HISTORIA POLITECHNIKI KIJOWSKIEJ

Politechnika Kijowska: początek historii (cz. I i II) (<i>Wołodymyr Jankowyj, Dmytro Stefanowycz</i>)	82
--	----

WSPOMNIENIA Z KIJOWA

Zaskoczenie (<i>Grzegorz Rybakow</i>)	92
---	----

REFLEKSJE

Czynienie dobra (<i>dr Jan Ciechanowicz</i>)	106
--	-----

PROZA

„Niusia” (<i>Małgorzata Żurecka</i>)	132
„Życie (u)daje szkołę” (<i>Ryszard Mścisz</i>)	138

ROK 2020

Uchwała Sejmu Rzeczypospolitej Polskiej z dnia 13 czerwca 2019 r. w sprawie ustanowienia roku 2020 Rokiem Świętego Jana Pawła II	144
---	-----

W HOŁDZIE BOHATEROM

Koncertem pieśni powstańczych w Sali Kominkowej Cytadeli Kijowskiej, w wykonaniu Młodzieżowego Chóru „Switycz” Nieżyńskiego Państwowego Uniwersytetu Pedagogicznego im. M. Gogola, odczytaniem tekstu Przysięgi Powstańców, wspólną modlitwą w intencji poległych Bohaterów oraz złożeniem wieńców, kwiatów i zniczy w Skośnej Kaponierze – miejscu zagłady przywódców insurekcji stolica Ukrainy 22 stycznia br. uczęła 157. rocznicę wybuchu Powstania Styczniowego.

W uroczystościach wzięli udział i okolicznościowe przemówienia wygłosili Ambasadorowie: Polski – Bartosz Cichocki, Litwy – Marius Janukonis, Łotwy – Juris Poikans, Białorusi – Ihar Sokał. W obchodach uczestniczył także ukraiński Wicepremier ds. integracji z UE i NATO Dmytro Kułeba.

Powstanie Styczniowe było największym polskim powstaniem skierowanym przeciwko rosyjskiemu zaborcy. Wybuchło w nocy z 22/23 stycznia 1863 roku. Na Ukrainie oddziały powstańcze miały skoncentrować się we wszystkich powiatach i rozpocząć walkę w nocy z 8 na 9 maja 1863 r. Wobec odmowy przystąpienia do walk Komitetu Powstańczego na Podolu, powstanie wybuchło jedynie w województwie kijowskim i wołyńskim.

Powstańcom niezwykle trudno było walczyć z regularnym, dobrze wyszkolonym, lepiej uzbrojonym i znacznie liczniejszym wojskiem rosyjskim. Stąd też już w pierwszej fazie walk Cytadelę Kijowską przekształ-

cono w największe miejsce aresztu i zapelniono więziami do niewoli powstańcami.

Z 1336 więzionych powstańców, w tym 400 studentów Uniwersytetu Kijowskiego, w podziemiach Baszty Północnej, w tzw. Skośnej Kaponierze, przetrzymywano 1200 powstańców. Wielu z nich rozstrzelano pod ścianą cytadeli, w tym dowódców: Adama Zielińskiego, Władysława Rakowskiego, Platona Krzyżanowskiego, Romualda Olszańskiego i Adama Drużbackiego. Większość zesłano na katorgę, na Sybir.

Powstanie Styczniowe było najdłuższym i najkrwawszym zrywem patriotycznym, skierowanym przeciwko największemu ciemżycielowi, jakim była Rosja. Powstanie niestety zakończyło się klęską. Marzenia o wolności pozostały niezrealizowane. Garstka szaleńców wystąpiła przeciwko największemu żandarmowi Europy – Rosji. Ich patriotyczna postawa, ich umiłowanie wolności stało się wzorem dla kolejnych pokoleń.

„Przywódcy powstania – zaznaczył w czasie uroczystości Ambasador RP na Ukrainie Bartosz Cichocki – marzyli o odnowieniu państwa w granicach byłej Rzeczypospolitej, ale wyraźnie uznawali tożsamość narodów, które ją zamieszkiwały. Dlatego powstańcy walczyli pod znakiem Pogoni, Orła Białego i Michała Archanioła, a ich hasło brzmiało: «Za wolność waszą i naszą!»”.

Antoni KOSOWSKI

Zdj. A. Płaksina



Ambasador RP na Ukrainie Bartosz Cichocki w asyście przedstawicieli Attachatu Wojskowego składa wieniec u podnóża tablicy upamiętniającej Bohaterów Powstania Styczniowego

W INTENCJI TYCH Z TUNDR SYBERII I STEPÓW KAZACHSTANU

W niedzielę 16 lutego br. w konkatedrze pw. św. Aleksandra w Kijowie została odprawiona Msza św., podczas której modlono się za wszystkich Polaków wywiezionych przez reżim sowiecki na Sybir.

Sposobnością do tej modlitwy była 80 rocznica pierwszej, największej deportacji Polaków, która miała miejsce w nocy z 9 na 10 lutego 1940 r. Wywieziono wówczas blisko 140 tysięcy osób, wśród których najlichnieszą grupę (70%) stanowili Polacy. Pozostali to Ukraińcy i Białorusini.

Mszy św. przewodniczył ks. Michał Brankiewicz, a okolicznościowe kazanie wygłosił diakon Jacek Jan Pałowicz – Duszpasterz Polaków.

Po skończonej Mszy św. wierni udali się przed konkatedrę, do krzyża „Pamięci Ofiar za Wiarę i Ojczyznę”. W pełnej modlitewnego skupienia atmosferze zapalono znicze, a następnie została odmówiona „Modlitwa Sybiraka”, w której przepraszano Miłosiernego Boga za



Mszy św. w intencji Polaków wywiezionych przez reżim sowiecki na Sybir
przewodniczył ks. Michał Brankiewicz

zbrodnie sowieckiego reżimu, modlono się za zmarłych i dziękowano za tych, którzy ocalili i powrócili do swoich domów z tundr Syberii i stepów Kazachstanu.

*Inf. Duszpasterstwo Polaków
przy parafii pw. św. Aleksandra w Kijowie
Zdj. A. Plaksina*



Modlitwa przed krzyżem „Pamięci Ofiar za Wiarę i Ojczyznę”

TO BYŁ PRAWDZIWY SUKCES!

10 lutego 2020 r. Pani Ambasadorowa Monika Cichocka zaprosiła do Ambasady RP w Kijowie na spotkanie podsumowujące polski udział w 27. Bazarze Charytatywnym tych, którzy wsparli i wzięli udział w tej szczytnej inicjatywie.

Przypomnijmy, że w ostatnim dniu listopada ubiegłego roku na Stadionie Olimpijskim ekipy z 47 krajów prezentowały na swoich stoiskach Bazaru Charytatywnego pamiątki, kuchnię narodową, rękodzieło, muzykę i folklor. Całkowity dochód ze sprzedaży przekazany został potrzebującym dzieciom, osobom niepełnosprawnościami oraz seniorom.

Otwierając spotkanie Ambasador RP na Ukrainie Bartosz Cichocki, podziękował wszystkim, którzy przyczynili się do sukcesu imprezy. *„Cieszę się, że polskie firmy, które tworzą miejsca pracy, które wprowadzają na Ukrainę najnowsze systemy zarządzania czy przednie standardy produkcji – wnoszą też najwyższe standardy ludzkie. Cieszę się, że mimo wielu codziennych problemów znajdujecie Państwo czas na to, żeby poszerzać obszar dobra, dostrzegać i pomagać tym, którzy radzą sobie gorzej”* – powiedział Pan Ambasador.

Pani Monika Cichocka – szefowa polskiej reprezentacji na Bazarze zapoznała zebranych z ostatecznymi wynikami charytatywnej zbiórki środków dla potrzebujących, która już po raz 27. była organizowana przez International Women Club of Kyiv (IWCK).

Otóż dochód ze sprzedaży w dniu Bazaru, z wpłat bezpośrednio na konto IWCK oraz z wartości upominków przekazanych przez ambasady na loterie organizowane w dniu Bazaru wyniósł łącznie 3 968 566 UAH. W imprezie uczestniczyło około 1700 wolontariuszy, a odwiedziło ją około 8000 gości.

Stoisko zorganizowane pod patronatem Małżonki Ambasadora Pani Moniki Cichockiej w zebrało kwotę 147 000 UAH. Uwzględniając sprzedaż w dniu imprezy oraz wpłaty sponsorów na konto IWCK, jak też wkład rzeczowy sponsorów – Polska (po Turcji, Francji i Niemczech) zajęła 4 miejsce wśród 47 placówek dyplomatycznych uczestniczących w tym

wydarzeniu, zgromadzając łączną kwotę 264 403 UAH.

Goście Bazaru docenili także wygląd polskiego stoiska, jak również miłą obsługą, przyznając 3 miejsce w obu kategoriach.

Wśród polskich firm największe wpłaty pieniężne dokonały: Bella Center Sp. z o.o., Idea Bank, Kredobank, Stomil Sanok, PZU, zaś największy wkład rzeczowy wniosły: Watsons Ukraina, Ferrero Ukraina, Dr Irena Eris, Lirene Ukraina.

Podczas spotkania wszystkim organizatorom, sponsorom i wolontariuszom, którzy z ogromnym zaangażowaniem włączyli się w przygotowanie i przeprowadzenie Bazaru '2019, wręczono PODZIĘKOWANIA ZA WSPARCIE Ambasady RP w Kijowie. Wśród wyróżnionych znaleźli się także uczestnicy zespołu Pieśni i Tańca „POLANIE ZNAD DNIEPRU” pod kierownictwem Łesi Jermak, którzy uświetnili część artystyczną polskiego stoiska, zaś za wkład w jego dekorację – członkowie Polskiej Młodzieżowej Asocjacji „Młodzi i Kreatywni”.

Wiadomo też, że kolejny 28. Bazar Charytatywny, na który Ambasada RP w Kijowie już teraz serdecznie wszystkich zaprasza, odbędzie się w dniu 15 grudnia 2020 roku.

Andżelika PŁAKSINA

Zdj. autora



Ambasador RP na Ukrainie Bartosz Cichocki i Jego Małżonka Pani Monika Cichocka – gospodarze spotkania

JAK FILOZOFOWIE PĄCZKI JEDLI

24.02.2020 r. w Bibliotece im. Adama Mickiewicza w Kijowie było wyjątkowo ludnie. Przedstawiciele polskiej społeczności stolicy Ukrainy zebrali się, aby porozmawiać o dziedzictwie kulturowym Romana Witolda Ingardena, wybitnego polskiego filozofa światowej sławy, jednego z patronów roku 2020. Wydarzenie zostało zainicjowane i zorganizowane przez organizację społeczną „Spółka Białego Orła”, Polonijną Wspólnotę „Razem” i Bibliotekę im. Adama Mickiewicza w Kijowie.

Prezenterzy znaleźli maksymalnie dostępną informację o tej wspaniałej osobistości. Na przykład z wystąpienia otwierającego polemikę Ołeksija Wychora publiczność dowiedziała się o tym, jaki ślad w życiu Romana Ingardena pozostawili taki wielcy ludzie, jak gwiazda polskiej filozofii i katolicka święta Edyta Stein, a także Papież św. Jan Paweł II.

Lilia Bakalińska opowiedziała o aspektach jego życia prywatnego i hobby, które nie było bezpośrednio związane z nauką, ale bardzo ważne dla zrozumienia wieloaspektowej osobowości naukowca. Julia Morguńska zreferowała kwestię kariery Pana Ingardena, jego rolę w organizowaniu tajnego nauczania w okresie okupacji w czasie II wojny światowej, a także represje, którym reżim komunistyczny poddał znanego na całym świecie fenomenologa. Dobrze, że wszystko zakończyło się

całkowitą rehabilitacją i wręczeniem wysokiej nagrody – Krzyża Komandorskiego Orderu Odrodzenia Polski. I wreszcie Tetiana Czuża przeprowadziła genialny mini-wykład na temat filozofii, badając najbardziej znaną pracę Romana Ingardena – „O dziele literackim: badania z pogranicza ontologii, teorii języka i filozofii literatury”.

Wszystkim częściom prezentacji towarzyszył pokaz filmu dokumentalnego, przeźroczy i ilustracji naukowych, które spotkały się z dużym zainteresowaniem słuchaczy.

Członkowie Wspólnoty „Razem” i zespołu kreatywnego „Czerwone Maki” również nie przyszli z pustymi rękami. Po przerwie, w drugiej części spotkania dzięki ich inicjatywie obecni dowiedzieli się wiele interesujących faktów związanych z tak bardzo popularną tradycją, jak „Tłusty Czwartek”, wysłuchali doskonałego wykonania polskich pieśni ludowych i skosztowali pysznych pączków, przygotowanych według tradycyjnych polskich przepisów.

Czas spotkania upłynął bardzo szybko i dlatego zebrani niechętnie opuszczali gościnną Bibliotekę im. Adama Mickiewicza. A zatem – do nowych spotkań!

Julia MORGUŃSKA



Spotkanie o życiu i działalności Patrona 2020 Roku Romana Ingardena zainaugurował Ołeksij Wychor

KSIĄŻKA BEZ GRANIC

Pomysłodawczyni zbiórki książek wśród znajomych oraz mieszkańców warszawskiej dzielnicy Wola, Pani Elżbieta Szymańska, od dwóch lat przekazuje książki Polakom mieszkającym za granicą.

W pierwszej zbiorce, którą zorganizowała, uczestnicy akcji przekazali 762 książki, które otrzymali Polacy na Białorusi (Instytut Polski w Mińsku oraz biblioteka w Mołodeczno). Akcja tak bardzo się spodobała mieszkańcom Woli, że postanowili ją kontynuować. Tym razem adresatem zebranych książek stała się Ukraina, a konkretnie wybrano Szkołę Sobotnią przy ZPU i Bibliotekę im. A. Mickiewicza. Ponad 700 kolejnych książek (nowe, używane w bardzo dobrym i dobrym stanie) dzięki przyjaciółom – wolontariuszom dotarły do biura Związku Polaków na Ukrainie.

21 lutego br. część książek została przekazana uczniom Polskiej Szkoły Sobotniej przy ZPU w Kijowie, którzy aktywnie i z wielkim zaangażowaniem uczestniczyli w obchodach Dnia Języka Ojczystego. Natomiast dzień później większość książek przekazano



Książkowe dary z Warszawy w Bibliotece im. Adama Mickiewicza w Kijowie

na ręce Dyrektora Biblioteki im. Adama Mickiewicza w Kijowie Tatiany Jowchomyś.

Wierzmy, że książki podarowane przez mieszkańców Woli pomogą dzieciom i młodzieży w nauce języka i sprzyjać będą wzrostowi poziomu polskiego czytelnictwa. Zaś odnowionej Bibliotece im. A. Mickiewicza życzymy zwiększenia ilości czytelników i owocnej współpracy ze Związkiem Polaków na Ukrainie.

Łesia JERMAK



Uczniowie Polskiej Szkoły Sobotniej przy ZPU w Kijowie z nowymi książkami

DIAGNOZY I ZNAKI ZAPYTANIA

Polscy i Ukraińscy naukowcy w murach Uniwersytetu Pedagogicznego w Krakowie, szukali odpowiedzi na pytania dotyczące konsekwencji zmian w obu krajach.

W dniach 26-27 lutego 2020 roku odbyła się I Międzynarodowa Polsko-Ukraińska Konferencja pt. „Polska i Ukraina w obliczu radykalnych zmian społecznych. Diagnozy i znaki zapytania”. Organizatorami był Instytut Filozofii i Socjologii oraz Instytut Politologii. W konferencji wzięło udział 58 naukowców. Reprezentowali oni 15 polskich ośrodków oraz 9 ukraińskich ośrodków akademickich.

Konferencja została objęta honorowym patronatem Rektora Uniwersytetu Pedagogicznego prof. dr. hab. Kazimierza Karolczaka. Swojego patronatu udzieliły też cztery uniwersytety z Ukrainy: Nieżyński Państwowy Uniwersytet im. M. Gogola, Przykarpacki Uniwersytet Narodowy im. W. Stefanyka, Czerniowiecki Uniwersytet Narodowy im. J. Fedkowycza oraz Lwowski Państwowy Uniwersytet Bezpieczeństwa Życia. Patronat nad konferencją objęli również: Polsko-Ukraińska Izba Gospodarcza, Polskie Towarzystwo Nauk Politycznych oddział w Krakowie oraz Samorząd Doktorantów Uniwersytetu Pedagogicznego, a patronat medialny „Radio Kraków” i „Dziennik Kijowski”.

Uczestników konferencji przywitali: Rektor prof. dr. hab. Kazimierz Karolczak oraz dyrektorzy: Instytutu Politologii prof. dr. hab. Andrzej Jaeschke oraz Instytutu Filozofii i Socjologii prof. dr. hab. Janusz A. Majcherek. Sesję plenarną otworzył swoim wystąpieniem prof. dr. hab. Janusz A. Macherek nt. „30-lecie polskiej transformacji społeczno-gospodarczej”. Kolejnym prelegentem był dr Marcin Frybes z Wyższej Szkoły Nauk Społecznych w Paryżu (CADIS-EHESS-Paris), który w referacie pt. „Promocja własnego kraju za granicą: doświadczenia polskie i ukraińskie (czy Polska i Ukraina mogą/powinny mieć wspólną dyplomację kulturalną?)”,

rozważał ciekawą koncepcję wspólnej promocji kultury Polski i Ukrainy. W dalszej części obrad plenarnych głos zabrał prof. dr. hab. Ołeksander Bojko z Nieżyńskiego Państwowego Uniwersytetu im. Mikołaja Gogola. Profesor, autor najpopularniejszego podręcznika do nauki historii Ukrainy, w swoim wystąpieniu pt. „Rozwój społeczno-polityczny Ukrainy w latach 2014–2019: główne trendy, problemy i zagrożenia dla bezpieczeństwa państwa”, przybliżył uczestnikom współczesne wyzwania instytucjonalne Ukrainy. Sesję plenarną zamknął referat dr hab. prof. UP Krzysztofa Czekaja, który mówił o potrzebie wykorzystywania diagnoz społecznych do prowadzenia inżynierii społecznej w obu krajach.

Następnie w siedmiu sesjach plenarnych, w pierwszym dniu konferencji, wzięło udział 40 naukowców z Polski i Ukrainy.

Pierwszy dzień obrad zakończyła sesja plenarna pt. „Stare zagrożenia, nowe problemy środkowoeuropejskich demokracji”, w której moderatorem, jak i uczestnikiem był dr hab. prof. UP Radosław Marzęcki, oraz dr hab. Tomasz Słomka z Uniwersytetu Warszawskiego, dr hab. prof. UŚ Sebastian Kubas, dr hab. prof. UP Grzegorz Forys i dr Bogusław Kotarba z Uniwersytetu Rzeszowskiego.

W drugim dniu konferencji odbyły się dwa panele: „Nauczanie języka polskiego, jako obcego” oraz „Migracje i ich socjokulturowe aspekty”.

Zakończenia konferencji dokonał Dziekan Wydziału Nauk Społecznych Uniwersytetu Pedagogicznego w Krakowie, dr hab. prof. UP Grzegorz Forys, który podziękował wszystkim uczestnikom i wyraził nadzieję na organizację kolejnych wspólnych polsko-ukraińskich wydarzeń naukowych w ramach wydziału.

Mgr Mateusz KAMIONKA

Przewodniczący Komitetu Organizacyjnego



Wspólne zdjęcie uczestników konferencji

„JEDNOCZY NAS DUCH WOLNOŚCI”

27 lutego br. w Informacyjno-Ekspozycyjnym Centrum Muzeum Majdanu w Kijowie odbyła się prezentacja książki pt. „Polska solidarność z Majdanem” (kierownik projektu Leonid Finberg).

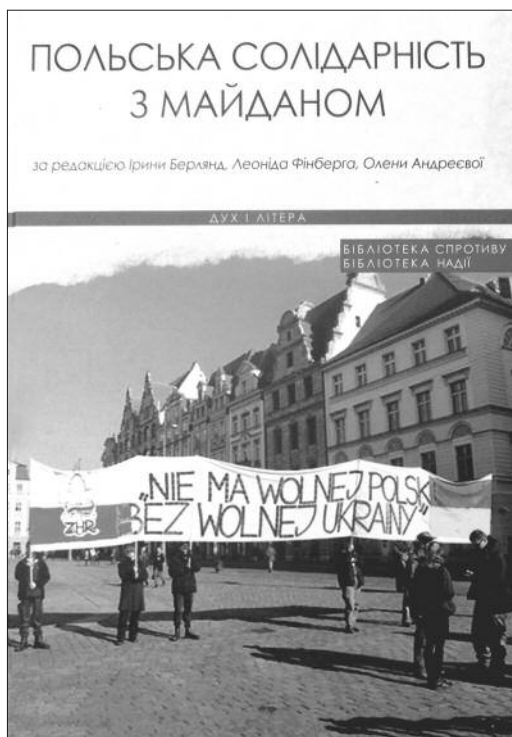
Książka ukazuje stosunek Polski i Polaków do ukraińskiej Rewolucji Godności z lat 2013–2014.

Książka składa się z czterech części. Zamiast wstępu poprzedza je dziewiętnaście reportaży Mirosława Czecha, przypominających czytelnikom o przebiegu wydarzeń rewolucji, powracających do atmosfery tamtych czasów, pomagających przedstawić sobie, jak postrzegali je polscy czytelnicy.

Pierwsza część to teksty autorstwa dyplomatów i polityków. Mówią o pracy dyplomatów przed i podczas Majdanu, próbach mediacji między władzami a opozycją, próbach wyjaśnienia zachodnim kolegom kwestii bardziej dla nich zrozumiałych, oraz o ich zaangażowaniu w organizację bezprecedensowej skali akcji pomocy zainicjowanej przez polski rząd.

Druga część zawiera relacje Polaków obecnych wówczas na Ukrainie, głównie w Kijowie, dziennikarzy, działaczy społecznych, biznesmenów, wolontariuszy, księży, ratowników, ludzi mieszkających w Kijowie na stałe lub czasowo, którzy celowo przybyli tu jako dziennikarze dla przekazu relacji z wydarzeń lub jako wolontariusze, jak też osób, które przypadkowo stały się aktywnymi świadkami i uczestnikami wydarzeń.

Teksty trzeciej części opisują, jak polskie społeczeństwo postrzegało Rewolucję Godności od zewnątrz, jak reagowało na epizody inspirujące i tragiczne. Opowiadają o różnych akcjach wsparcia Majdanu w Warszawie, Lublinie, Gdańsku, Krakowie, o spotkaniach, pikietach przed ambasadami Ukrainy i Rosji, rezolucjach i apelach, koncertach i wystawach, okrągłych stołach i akcjach artystycznych. Organizowały i uczestniczyły w nich zarówno ukraińskie organizacje mniejszościowe, jak i polskie organizacje po-



za rządowe, etniczni Ukraińcy mieszkający w Polsce i Polacy. Mówią o tym, jak na tych wiecach rozpoczęto zbierać rzeczy, leki i wszelkie inne środki, aby pomóc walczącym na Majdanie, jak nieoczekiwanie dużą i szczerą była chęć okazania pomocy. Mówi się tu też o przeciwdziałaniu kłamstwom i fałszywej propagandzie rozpowszechnianej przez rosyjskie i prorosyjskie media.

Czwarta część poświęcona jest bezpośrednio organizacji leczenia i rehabilitacji bohaterów Majdanu w Polsce, a później rannych w walkach toczonych na Wschodzie Ukrainy, a także pomocy rodzinom rannych i zmarłych.

Polacy i Ukraińcy – redaktorzy wydania, w tym autorzy książki: Mirosław Czech, Paweł Bobołowicz, Marcin Świącicki, Dariusz Górczyński, znani intelektualiści i uczestnicy Rewolucji Godności – Ołeksandr Suszko, Kostiantyn Sigow, Swiatosław Pawluk wystąpili na prezentacji książki.

Redaktor naczelna książki „Polska solidarność z Majdanem” Irina Berland artykułowała: *„Nie chodzi tu tylko o współczucie i pomoc Ukraińcom walczącym o wolność. Politycy i dyplomaci, ale nie tylko, zdają sobie sprawę, że europejska Ukraina jest gwarancją bezpieczeństwa własnego kraju. Wolna Ukraina to gwarancja wolnej Polski. Rosja, która odziedziczyła imperialne ambicje od ZSRR i rwie się ku władzy nad światem, zagraża nie tylko Ukrainie, ale także globalnemu bezpieczeństwu europejskiemu, a nasi polscy autorzy rozumieją to lepiej niż zdecydowana większość Europejczyków”*.

Wybitna ukrainistka, tłumaczka i popularyzatorka literatury ukraińskiej w Polsce dr hab. nauk humanistycznych Ola Hnatiuk, mówiąc o naszych narodach, konstatowała: *„Jednoczy nas duch wolności”*.

Na zakończenie prezentacji wszyscy uczestnicy spotkania otrzymali w prezencie omawianą książkę.

Anatol ZBOROWSKI

„CHYBA PAN BÓG W NIEBIE USŁYSZAŁ...”

28.02.2020 r. w ścianach stołecznej Biblioteki im. Gogola odbyła się konferencja pt. „Losy Polaków deportowanych do obwodu archangielskiego. Luty 1940”. Z przejrzystości usystematyzowaną informacją na ten temat wystąpił członek zarządu Kijowskiego Polskiego Stowarzyszenia Kulturalno-Oświatowego im. A. Mickiewicza Andrzej Amons – weteran organów prokuratury, pułkownik w stanie spoczynku, były kierownik Departamentu Rehabilitacji Prokuratury Wojskowej centralnego regionu Ukrainy.

Pan Andrzej Amons zapoznał zebranych z genezą i przebiegiem deportacji, przytoczył akty prawne związane z wysiedleniem obywateli polskich oraz przedstawił unikatowe dokumenty i dane pochodzące z różnych archiwów rosyjskich i ukraińskich. Przedstawił fakty i zdjęcia ilustrujące warunki pobytu na zesłaniu. Opowiedział o losach swojej rodziny, którą również razem z wieloma polskimi rodzinami deportowano do Okręgu Ustjanowskiego w obwodzie archangielskim, na obszary wiecznej zmarzliny, do najbardziej na północ wysuniętego terenu Eurazji.

W opisywanym przez niego przypadku miejscem zamieszkania przesiedleńców stały się baraki, zbudowane w lesie nieopodal osiedla, będące jeszcze niedawno więzieniem dla prześladowanych obywateli

ZSRR. O ucieczce nie było mowy – dookoła był gęsty las, a w nim leżał 2-metrowy śnieg.

– W tych lasach działy się takie rzeczy, że tylko Bóg jeden wie... Tu nawet nie było gdzie uciec. Bez szans. Wtedy dróg w ogóle nie było, wzdłuż kolei od razu złapią, a w tajdze bez szans. Jeśli nie masz broni, to po tobie – opowiadał znający losy polskich zesłańców Władimir Strumieński, Rosjanin polskiego pochodzenia.

Warunki pobytu na miejscu zesłania były nadzwyczaj ciężkie. Głód, chłód, ciężka praca przy wyrębie lasu pod nadzorem enkawudzystów – stwarzały koszmarną okoliczność. Wielu nie wytrzymało tego napięcia. Zmarłych chowano w lesie na starym cmentarzu, w tym samym miejscu, gdzie wcześniej zakopywano zmarłych więźniów.

Dopiero po sierpniowej amnestii 1941 roku warunki pobytu w obozie zmieniły się nieco. Wtedy też zaczęto sporządzać listy Polaków na powrót z zesłania.

Niezwykłe wyraziste i wzruszające opisy z wywózki na zesłanie do obwodu archangielskiego i warunków egzystencji na tamtejszej katordze pozostawili nam polscy tułacz:

MARIA GILECKA (luty 1940):

„Wagon wewnątrz po ciemku wydał się biały jakby pobielony, a to był mróz na ścianach i suficie. W wagonie były już 4 rodziny razem, było nas 33 osoby. Wagon by-



Na sali panowała pełna skupienia atmosfera

dlęcy bez oświetlenia. Po obu stronach rozsuwanych drzwi były narysowane małe zakratowane okienka, na środku blaszany piecyk («ciepłuszka») i dziura wycięta w podłodze dla zatlutowania potrzeb fizjologicznych. W czasie jazdy i na niektórych postojach drzwi wagonu były zamknięte i zablokowane od zewnątrz. Otwierano je na stacjach etapowych dla dostarczenia wody i ewentualnie zupy».

FELICJA KONARSKA (luty 1940):

„Postoje były również i po to, by wynosić z wagonów trupy, bo niestety ludzie umierali. Czasami wynoszono kobiety, które miały lada moment rodzić. Wtedy po raz pierwszy słyszałam krzyki rodzących kobiet. Na noszach zobaczyłam naszą dalszą sąsiadkę p. Nadię, też niesiono ją do szpitala na poród, ale na «posiołek» przyjechała bez dziecka. Umarła. Przeważnie kobiety dosyłano do mężów na «posiołki», ale bez noworodków, podobno wszystkie umarły. Zresztą jak mogły żyć?

[...] Weszliśmy smutni do baraku i staliśmy bezradni, to nie był dom dla nas, to był wspólny, z ohydnyimi naradami, pusty barak. [...] Byłam przygnębiona i apatyczna. Niczego mi się nie chciało. Nie byłam jeszcze całkiem zdrowa. Położyłam się i błyskawicznie zasnęłam.

W środku nocy zbudziło mnie głośnie szlochanie. Od razu otrzeźwiałam, serce waliło mi jak młot, bo... to płakała mama. [...] Nie wiedziałam co się stało. Na wszystkich pryczach zapalano lampki, okazało się, że nikt z dorosłych nie spał. Ciągle nie wiedziałam o co chodzi, aż tu nagle przy zapalanej latarni zobaczyłam niezliczony rój czerwonych, ohydnych robaków pełzających po pościeli, poduszkach, kołdrach, suficie i gdzie spojrzałam, wszędzie łaziły te robaki.

– Co to?! – krzyknęłam przerażona [...]

– To pluskwy – odpowiedział Fajfer, nasz sąsiad z dołu. [...]

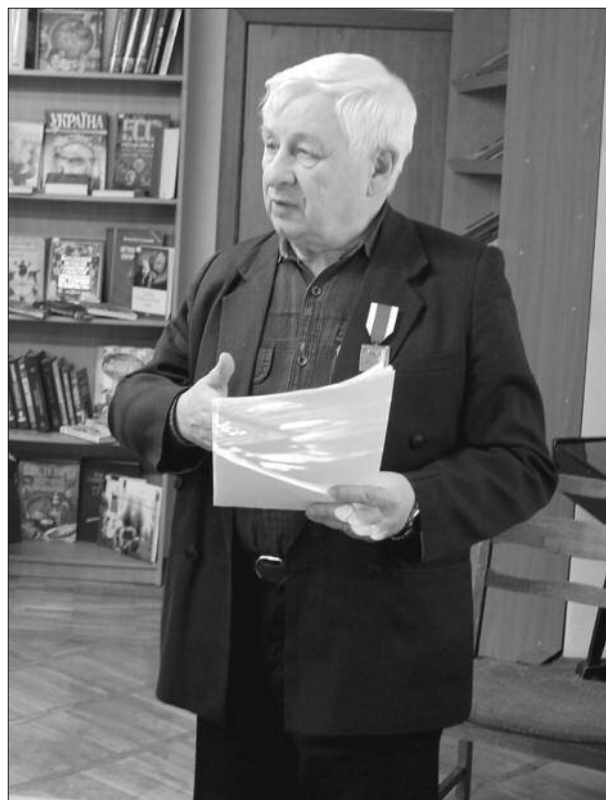
Patrzyłam na to ruszające się i pędzące gdzieś pasaduktwo z obrzydzeniem i wstrętem. Było po prostu czerwono od nich. Mama najpierw je tłukła, potem rozcierala jakąś szmatką, a kiedy stwierdziła, że nie da im rady, zalamala się i rozpłakała.”

MARIA ŁAWIŃSKA (1940–1941):

„Pewnego razu do Solugi przyszły wagony do «nagruzki». Jeden z wagonów miał napis «Lwów» i orla białego wymalowanego na deskach, widocznego jeszcze, choć zamazanego. Wszyscy, ile nas tam było, zbiegliśmy się, dotykaliśmy napisu i rysunku, tuliliśmy się do nich i szlochali tak, że chyba Pan Bóg w niebie słyszał.”

ZDZISŁAW RATAJ (1940–1941):

„Pamiętam do dziś, że moim marzeniem było najeść się do syta prawdziwego chleba. Czulem jego zapach na jawie



Konferencję prowadził były prokurator wojskowy, pułkownik w stanie spoczynku Andrzej Amons

i widywałem go w snach. Przy słowach modlitwy «chleba naszego powszedniego daj nam dzisiaj» męczyłem się okropnie i nie byłem w stanie wymawiać dalszych słów”.

Liczba obywateli polskich wywiezionych w głąb ZSRR od lutego 1940 roku do czerwca 1941 do dziś budzi kontrowersje. Źródła NKWD podają, że deportowano około 330-340 tys. osób. Związek Sybiraków przedstawia dużo wyższe dane. Według ich szacunków z ziem wschodnich RP wywiezionych zostało ok. 1,3 mln osób. Celem sowieckich deportacji była eksterminacja elit oraz ogółu świadomej narodowo polskiej ludności. Miały one rozbić społeczną strukturę, dostarczając jednocześnie totalitarnemu sowieckiemu imperium siłę roboczą.

Organizatorem konferencji było Kijowskie Polskie Kulturalno-Oświatowe Stowarzyszenie im. A. Mickiewicza, przy wsparciu Centrum Nauki Języka Polskiego POLONISTA CENTER. Wśród przybyłych gości znaleźli się przedstawiciele Kijowskiego Polskiego Zgromadzenia ZGODA im M. Malowskiego. Wydarzenie zaszczylicili także swoją obecnością aktywiści Stowarzyszenia Niemieckiego, którzy podzielili się interesującymi informacjami na poruszany temat.

Stanisław PANTELUK

Zdj. A. Płaksina

„GDY POLONEZ CHOPINOWSKI TAJNE STRUNY SERCA RUSZY”

3 marca br. ten wers z wiersza Marii Konopnickiej zabrzmiał, tworząc piękną ozdobę całego koncertu poświęconego 210. rocznicy urodzin Fryderyka Chopina w kijowskim Domu Aktora.

Koncert zaszczylicili swoją obecnością: Kierownik Wydziału Konsularnego i Polonii Ambasady Rzeczypospolitej Polskiej w Kijowie Dorota Dmuchowska oraz Konsul RP w Kijowie ds. Współpracy z Polakami – Radca Jacek Gocłowski.

Z okazji Jubileuszu Prezes ZPU Antoni Stefanowicz złożył Pani Helenie Arendarewskiej najserdeczniejsze życzenia.

Był to wspaniały wieczór! I chociaż słowa nie są w stanie konkurować z genialną muzyką Fryderyka Chopina, to jednak poezja i piękne kadry filmowe potęgowały wrażenia, wywołane grą utalentowanych artystów. A wśród nich nie zabrakło takich znanych mistrzów, jak: organizatorka koncertu, Zasłużona dla Kultury Polskiej – Helena Arendarewska (fortepian), zwyciężczyni ponad 25 międzynarodowych konkursów – Tatiana Szafran (fortepian), solista Filharmonii Nardo-

wej Ukrainy – Leonid Gerzhan (wiolonczela), zwycięzcy międzynarodowych konkursów – Midea i Adriana Naruckie (sopran) wraz z ich nauczycielką – Tetianą Stefanyszyn (sopran), Zasłużony Artysta Ukrainy – Borys Łoboda (recytacje).

Na jednej scenie z mistrzami-profesjonalistami stanęli również amatorzy: uczennica Kijowskiej Dziecięcej Szkoły Muzycznej nr 38 Juliana Szocha i aktorzy nowo powstałego teatru amatorskiego przy Kijowskim Narodowościowo Kulturalnym Stowarzyszeniu Polaków ZGODA. Wszyscy razem stworzyli niepowtarzalną i niesamowitą atmosferę prawdziwej wysokiej sztuki i tego, co w swoim wierszu Maria Konopnicka nazwała „wrażenie narodowej polskiej duszy”.

Trwałe i głośnie brawa, morze kwiatów i pełne natchnienia twarze widzów – takim był finał koncertu. To była najpiękniejsza nagroda za genialną muzykę Chopina i wzniosłą poezję w przepięknym wykonaniu.

Olga OZOLINA, Ludmiła SLESARIEWA

Zdj. K. Skoczelaś



Organizatorce koncertu, Zasłużonej dla Kultury Polskiej Helenie Arendarewskiej kwiaty i gratulacje złożył Radca WK Ambasady RP Jacek Gocłowski

POLSKI DAR DLA KIJOWSKIEJ BIBLIOTEKI

Stolicznym symbolem polsko-ukraińskiego konsultingu od dawna jest Polska Biblioteka Medyczna, która od 2017 roku nosi imię wybitnego polskiego kardiochirurga i polityka profesora Zbigniewa Relegi.

W swojej działalności pracownicy Biblioteki koncentrują się na zaangażowaniu polskich i ukraińskich lekarzy we współpracę i wymianę osiągnięć zawodowych, kolejnym dowodem czego stała się prelekcja poświęcona działalności polskich lekarzy otolaryngologów.

5 marca br. w Złotej Sali Narodowej Biblioteki Naukowo-Medycznej szereg wykładów, wygłosili pracownicy naukowcy Narodowego Uniwersytetu Medycznego im. O. Bohomolca, w których szczególną uwagę przydzielono pracy prof. Henryka Skarzyńskiego.

W imprezie uczestniczyli uczniowie Kijowskiej Miejskiej Akademii Muzycznej im. R.M. Gliera, urozmaicając naukowy całokształt wydarzenia utworami Henryka Wieniawskiego.



Polski dar dla Biblioteki Medycznej w Kijowie

W trakcie konferencji Ewa Matuszek-Zagata – kierownik referatu naukowo-oświatowego Ambasady RP w Kijowie przekazała na potrzeby Polskiej Biblioteki Medycznej zbiór najbardziej aktualnej literatury fachowej z dziedziny otolaryngologii, wśród którego znalazły się prace uczonych Dariusza Maciejewskiego, Andrzeja Obrębowskiego i Antoniego Pruszewicza.

Inf. NBNM



Radca Ewa Matuszek-Zagata przekazała w imieniu polskich partnerów na potrzeby Polskiej Biblioteki Medycznej w Kijowie zbiór najbardziej aktualnej literatury fachowej

W KRĘGU MIŁOŚNIKÓW HISTORII

Po raz pierwszy na Ukrainie i, co cieszy, w Białej Cerkwi w 2019 r. zrealizowano projekt „Międzynarodowe Sympozjum Rzeźby ‘2019 INTERACTION’”.

Na Bulwarze Aleksandryjskim zainstalowano rzeźby znanych, światowej sławy mistrzów, w tym m.in. rzeźbę-książkę autorstwa Florence Hoffmann z Luksemburga. Na wizerunku książki widnieje napis „Broń masowej edukacji”, a rzeźba umieszczona jest między jednostką wojskową a Biblioteką Czytających Rodzin, co samo w sobie jest bardzo symboliczne.

Właśnie w tej bibliotece odbyło się pierwsze spotkanie sekcji historycznej Klubu „Polska Rodzina”, który rozpoczął swoją działalność przy Stowarzyszeniu Kultury Polskiej im. Z. Krasińskiego. Pierwsze spotkanie, poświęcone tematycznie współczesnej ocenie wojny polsko-bolszewickiej, przygotował dr historii Dmytro Karpuś a wzięli w nim udział uczestnicy Międzynarodowego Konkursu Historycznego pt. „Wojna polsko-bolszewicka 1919–1920 w obronie granic i niepodległości”, zorganizowanego przez Komitet Pamięci Rotmistrza Witolda Pileckiego.

Rok 2020 został ustanowiony przez Sejm RP m.in. Rokiem Bitwy Warszawskiej 1920 r. W związku z tym w Polskiej Szkole Sobotniej w przy Stowarzyszeniu Kultury Polskiej im. Z. Krasińskiego w Białej Cerkwi odbyło się drugie posiedzenie sekcji historycznej.

Uczniowie oraz miłośnicy historii obejrzeli prezentację przygotowaną przez nauczycielkę delegowaną

przez ORPEG do pracy na Ukrainie Urszulę Zakrawacz i wysłuchali jej komentarza do prezentowanych wydarzeń. Z zainteresowaniem obejrzeli zdjęcia dokumentujące przebieg tamtej wojny. Zbliżająca się 100. rocznica Bitwy Warszawskiej była okazją do przypomnienia, że bohaterskie Wojsko Polskie, na czele z Marszałkiem Józefem Piłsudskim, ruszyło w zacięty bój, obroniło niepodległość Polski i uniemożliwiło realizację planów rozszerzenia rewolucji bolszewickiej na Europę Zachodnią. Było to możliwe dzięki mobilizacji i ofiarności całego społeczeństwa.

Nie zapomniano także o zasługach Jana Kowalewskiego – matematyka i kryptologa-amatora. Podczas wojny polsko-bolszewickiej w sierpniu 1919 roku udało mu się złamać szyfry Armii Czerwonej. Umożliwiło to polskiemu dowództwu poznanie rozkazów sowieckich dowódców wszystkich szczebli. Podczas Bitwy Warszawskiej rozszyfrowane rozkazy bolszewickich dowódców frontu odczytywał on przez telefon, w języku oryginału, Marszałkowi Józefowi Piłsudskiemu. Jego działalność miała istotny wpływ na zwycięstwo wojsk polskich w wojnie polsko-bolszewickiej 1919–1920 mimo niewątpliwej przewagi przeciwnika.

Na zakończenie zabrzmiały „Żurawiejki” – dowcipne, czasami uszczypliwe przyspiewki kawalerskie, których refren brzmi: *„Lance do boju, szable w dłoń, bolszewika goń, goń, goń...”*

Helena CHOMENKO



Członkowie Stowarzyszenia Kultury Polskiej im. Z. Krasińskiego w Białej Cerkwi przy rzeźbie Florence Hoffmann

WCIAŻ JESZCZE KRWAWI TAMTA RANA

O świcie 11 kwietnia 1943 roku nikt nie przypuszczał, że oto budzi się ostatni dzień w wieloletniej historii wioski Raska. Jeszcze nie wzeszło słońce, kiedy hitlerowcy wraz z policjantami wdarli się do sennego jeszcze siola. Nie omijając ani jednej chaty, nie litując się nad żadną z rodzin, oprawcy wypędzali mieszkańców z domostw na obrzeża, do miejsca masowej egzekucji. Tam zgładzono ponad 600. bezbronnych mieszkańców Raski, którzy byli etnicznymi Polakami. Wśród zamordowanych było 215 dzieci. Wieś doszczętnie spalono. Pozbawiona mieszkańców – przestała istnieć.

Każdej wiosny setki mieszkańców rejonu borodiańskiego przybywają do osłoniętej dziś sosnami

nekropolii, aby oddać hołd bestialsko zamordowanym.

A tegoroczna, 77. już wiosna dzieląca nas od tamtej tragedii, była wyjątkowa, gdyż bezduszna pandemia nie pozwoliła tak gremialnie jak zwykle uczcić pamięć poległych. Jak nigdy wcześniej 11 kwietnia br. przybyło tutaj bardzo małe grono osób: Starosta wsi Raska – Walenty Kowalski, Przewodniczący Piaskówki – Anatol Rudniczenko i Prezes Oddziału ZPU w Borodiance – Arseniusz Milewski. Jednak wirtualnie był z nimi każdy z nas. Każdy, w czyjej pamięci wciąż jeszcze krwawi tamta rana.

KOS



Tegoroczne uroczystości w Rasce były wyjątkowo skromne. Na zdjęciu (od lewej): Starosta wsi Raska – Walenty Kowalski, Przewodniczący Piaskówki – Anatol Rudniczenko i Prezes Oddziału ZPU w Borodiance – Arseniusz Milewski

ŚWIĄTECZNY KOSZYK DLA SENIORA



Inicjator i koordynator akcji „Świąteczny koszyk dla seniora”
Pani Monika Kapa-Cichocka

W tym roku Wielkanoc wyglądała jak nigdy dotąd. W większości przypadków ze swoimi bliskimi łączymy się „wirtualnie”, jeżeli pozwalały na to możliwości techniczne.

Wymuszona przez kwarantannę samotność szczególnie doskwiera dziś tym, którzy nie mogą liczyć na kontakt z bliskimi.

W tych przedświątecznych dniach – dzięki szlachetnej akcji zainicjowanej przez Panią Monikę Kapę-Cichocką, Ambasadę RP w Kijowie, Wydział Konsularny i Attachat Ambasady – grupa aktywistów organizacji Związku Polaków Ukrainy „Pomocna dłoń” odwiedziła osoby starsze i samotne, aby złożyć życzenia świąteczne, a także przekazać artykuły spożywcze ze „Święconką” przygotowaną przez prowadzony przez OO. Dominikanów ośrodek pomocy społecznej – Dom Świętego Marcina de Porres w podkijowskim Fastowie.

Wzruszeniom nie było granic, ciepłe wyrazy wdzięczności uczestnicy akcji usłyszeli w każdym odwiedzonym domu.

O tej godnej najwyższego uznania akcji został nagrany film, który można obejrzeć na fb „Dziennik Kijowski” lub fb „Polska Sobotnia Szkoła w Kijowie”.

Inf. własna

Zdj. G. Bakaliński



Grupa operatywna świątecznej akcji przed gmachem Ambasady RP w Kijowie

DZIEŃ PAMIĘCI W BYKOWNI

13 kwietnia 2020 r. na terytorium Narodowego Rezerwatu Historycznego i Memorialnego Groby Bykowni odbyła się ceremonia upamiętniająca 80. rocznicę zbrodni katyńskiej z udziałem Ambasadora Nadzwyczajnego i Pełnomocnego Rzeczypospolitej Polskiej Bartosza Cichockiego, Wiceministra Spraw Zagranicznych Ukrainy Wasyla Bodnara, Dyrektora Generalnego NRHM Groby Bykowni Bogdana Bilaszywskiego i przedstawicieli Ambasady RP na Ukrainie.

Było to uroczyste i wzruszające wydarzenie, chociaż ze względu na kwarantannę miało skromny charakter. Polska delegacja i ukraińscy urzędnicy upamiętnili ofiary stalinowskich represji, składając wieńce przy masowym grobie w ukraińskiej części pomnika. Dalsze patriotyczno-religijne uroczystości odbywały się na terenie Polskiego Cmentarza Wojennego, gdzie spoczywają rozstrzelani w 1940 roku przez NKWD oficerowie Wojska Polskiego, Korpusu Ochrony Pogranicza, Policji Państwowej, urzędnicy, policjanci, nauczyciele i zwykli obywatele II Rzeczypospolitej.

Do masowego grobu wieńce w imieniu Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej Andrzeja Dudy, Sejmu i Senatu złożyli: Ambasador RP na Ukrainie Bartosz Cichocki i attaché obrony RP na Ukrainie kmdr Maciej Nałęcz. Wieniec w imieniu władz Ukrainy złożyli: z-ca Szefa Dyrekcji Generalnej do Spraw Zagranicznych Biura Prezydenta Ukrainy Ołeksandr Irkin, Wiceminister Spraw Zagranicznych Wasyl Bodnar i Dyrektor Generalny NRHM Groby Bykowni Bogdan Bilaszywski.

Modlitwę za dusze ofiar sowieckiego ludobójstwa oraz ich bliskich, którzy nie ustali w walce o prawdę, poprowadził o. proboszcz kijowskiej parafii św. Mikołaja Andrzej Rak OMI.

Ambasador Rzeczypospolitej Polskiej na Ukrainie Bartosz Cichocki odczytał przesłanie Prezydenta RP Andrzeja Dudy z okazji 80. rocznicy zbrodni katyńskiej.

Obecni zapalili znicze przy ołtarzu, a wieczorem znicze zapłonęły na całym cmentarzu.

Olga OZOLINA



Hold pomordowanym w Bykowni złożyli m.in.: Ambasador RP na Ukrainie Bartosz Cichocki, Wiceministra Spraw Zagranicznych Ukrainy Wasyl Bodnar, Dyrektor Generalny NRHM Groby Bykowni Bogdan Bilaszywski i przedstawiciele Ambasady RP na Ukrainie

OLIMPIADA HISTORII POLSKI DLA POLONII I POLAKÓW ZA GRANICĄ

Za nami pierwszy tydzień egzaminów on-line II etapu Olimpiady Historii Polski dla Polonii i Polaków za granicą „W drodze do Niepodległości”. Do egzaminów przystąpili uczniowie z Ukrainy, Białorusi i Grecji przed dwoma komisjami egzaminacyjnymi z Uniwersytetu Marii Curie-Skłodowskiej w Lublinie i Uniwersytetu Warmińsko-Mazurskiego z Olsztyna.

24 kwietnia br. przed komisją Uniwersytetu Warmińsko-Mazurskiego pod przewodnictwem prof. dr hab. Andrzeja Korytko, z udziałem prof. dr hab. Barbary Krysztopy-Czupryńskiej i Prezesa Fundacji Wolność i Demokracja – Roberta Czyżewskiego, odpowiadali uczniowie z Domu Polskiego w Kijowie, Polskiej Sobotniej Szkoły w Kijowie przy ZPU oraz uczestnicy z Białorusi.

Nagrodą główną dla grupy laureatów Olimpiady Historii Polski są indeksy na Uniwersytet Jagielloński, Uniwersytet Marii Curie-Skłodowskiej w Lublinie, Uniwersytet Opolski oraz Uniwersytet Warmińsko-Mazurski w Olsztynie. Dodatkowo dla uczestników III

etapu przewidziane są nagrody rzeczowe, w tym kilkudniowy pobyt w Polsce.

Olimpiada Historii Polski dla Polonii i Polaków za granicą jest inicjatywą Polskiego Towarzystwa Historycznego organizowaną przez Fundację Wolność i Demokracja. W skład Komitetu Głównego Olimpiady wchodzi członkowie Polskiego Towarzystwa Historycznego, profesorowie reprezentujący poszczególne Uniwersytety oraz przedstawiciele Fundacji. Partnerami Olimpiady są: Departament Współpracy z Polonią i Polakami za Granicą Ministerstwa Spraw Zagranicznych oraz Ośrodek Rozwoju Polskiej Edukacji za Granicą, przy wsparciu placówek Ministerstwa Spraw Zagranicznych i Instytutu Pamięci Narodowej.

Anna ŚMIGIELSKA
Sekretarz Olimpiady



Epidemia Covid-19 sprawiła, że Olimpiada Historii Polski dla Polonii i Polaków za granicą przeprowadzona została w tym roku w systemie on-line

RAJDOCROSS SAMOCHODOWY POLONII KIJOWA

W ramach obchodów uroczystości Matki Boskiej Królowej Polski, Dnia Polonii i Polaków za Granicą, Dnia Flagi oraz Dnia Konstytucji 3 Maja w Kijowie grupa aktywistów Związku Polaków Ukrainy „Pomocna dłoń” zorganizowała „II Rajdocross samochodowy Polonii Kijowa”, który odbył się w sobotę 2 maja 2020 r. Jego celem było złożenie hołdu wybitnym Polakom, których losy związane były z Kijowem.

Ze względu na panującą kwarantannę tegoroczny rajd miał ograniczony i skromny wymiar. Wzięło w nim udział zaledwie kilka samochodów udekorowanych polskimi i ukraińskimi flagami.

Rajd tradycyjnie już rozpoczął się on pod stołeczną konkatedrą pw. św. Aleksandra, która zawsze była i jest miejscem niezwykle ważnym dla Polaków mieszkających w Kijowie. Wierni nie mogli wejść do wnętrza świątyni ze względu na przeciwepidemiczne ograniczenia. Dlatego wszyscy pozostali przy swoich samochodach, z maskami na twarzach, zachowując przepisową

odległość i przestrzegając obowiązujących przepisów. Dali w ten sposób świadectwo dyscypliny i rozumienia sytuacji.

Z wysokości schodów konkatedry, przed wystawionym tam obrazem MB Częstochowskiej – Królowej Polski, duszpasterz Polaków przy parafii pw. św. Aleksandra – diakon Jacek Jan Pawłowicz poprowadził krótką modlitwę. Przywołał w niej słowa św. Jana Pawła II, którego 100. rocznicę urodzin obchodzimy w dniu 18 maja br. Kilka słów do zebranych skierował także Pan Konsul RP Jacek Gocłowski.

Po błogosławieństwie uczestnicy Rajdu rozdzielili się, aby następnie udać się do miejsc naznaczonych obecnością Polaków w Kijowie.

Andżelika PŁAKSINA

Zdj. autora



Wspólna modlitwa uczestników Rajdu przed konkatedrą pw. św. Aleksandra w Kijowie

DZWONY PAMIĘCI

Upamiętnieniu braterstwa Polaków i Ukraińców w czasie wojny polsko-bolszewickiej poświęcona została multimedialna akcja „Rok 1920 – pamięć w czasach zarazy”, zainicjowana i zrealizowana przez korespondenta „Radia Wnet” Pawła Bobołowicza i dziennikarza „Kuriera Galicyjskiego” Dmytra Antoniuka.

Dziennikarze przebyli 2000 kilometrów szlakiem cmentarzy i pól bitewnych, na których walczyli i zostali pochowani polscy i ukraińscy żołnierze.

Głosząc chwałę polskiego i ukraińskiego oręża udało się im odwiedzić takie miejsca, jak Nowogród Wołyński, Susły, cmentarz w Korcu, w Zdobunowie, Równym, w Żółtańcy, Horpyni, Łopatyni. Na odwiedzanych mogiłach korespondenci zapalali symboliczne znicze w barwach sojusznicych – białe i czerwone, niebieskie i żółte.

Finał akcji nastąpił 9 maja br. w Kijowie, w którym to sto lat temu, w 1920 roku – po wyparciu bolszewików przez polskie i ukraińskie oddziały – ulicami Kijowa przeszła wspólna parada wojskowa, którą odbierał generał Edward Śmigły i ówczesny pułkownik Marko Bezruczko.

Polacy i Ukraińcy przez miesiąc stacjonowali w Kijowie, później zostali wyparci przez bolszewików, ale nie zakończyło to polsko-ukraińskiego braterstwa. Żołnierze razem walczyli aż do ostatecznego triumfu nad

bolszewikami, po Bitwie Warszawskiej 15 sierpnia 1920 roku.

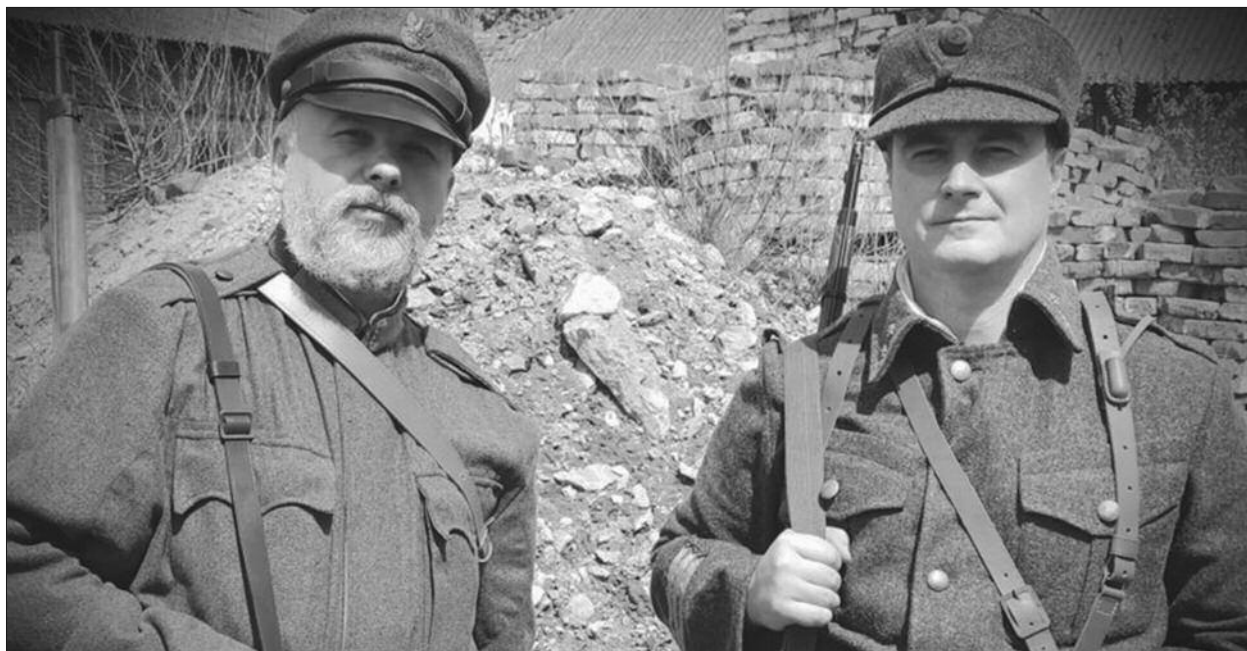
Dziennikarze złożyli kwiaty na Cmentarzu Bajkowa, gdzie spoczywa 117 polskich żołnierzy poległych w walkach o Kijów, zaś w południe zabrzmiały dzwony w kijowskiej konkatedrze św. Aleksandra oraz w wielu kościołach w miejscach, gdzie zostały upamiętnione walki z 1920 roku.

Dziennikarze przypomnieli także o ukraińskich żołnierzach, którzy dziś przeciwstawiają się agresji rosyjskiej i nieustannie walczą o swój kraj od 2014 roku, wśród których są też Ukraińcy z polskimi korzeniami. W cześć ich pamięci o tej samej porze zabrzmiały dzwony prawosławnego Złotogłowego Soboru św. Michała Archanioła i odbyło się nabożeństwo żałobne pod ścianą upamiętniającą ukraińskich żołnierzy, którzy od 2014 roku zginęli na Wschodzie.

Relacje z tych wydarzeń zwięźliwie audycję „Program Wschodni”, prowadzoną z kijowskiego studia „Radia Wnet” przez redaktora Pawła Bobołowicza.

O tej samej porze, w kościele św. Krzyża na Krakowskim Przedmieściu w Warszawie rozpoczęto Mszę św. w intencji poległych w wojnie polsko-bolszewickiej oraz walczących o wolność Ukrainy od 2014 roku.

KOS



9 maja br. w Kijowie Paweł Bobołowicz wraz z Dmitriem Antoniukiem, w mundurach żołnierzy Ukraińskiej Republiki Ludowej i Wojska Polskiego z 1920 r., odbyli honorowy patrol ulicami Kijowa (oryginalne mundury z 1920 roku udostępniło Muzeum Szturm we Lwowie)

OBCHODY 100. ROCZNICY URODZIN ŚW. JANA PAWŁA II W ŻYTOMIERZU

Z okazji 100. rocznicy urodzin św. Jana Pawła II Żytomierski Obwodowy Związek Polaków na Ukrainie w dniu 18 maja 2020 r. przygotował szereg jubileuszowych uroczystości. M.in. zorganizowano okolicznościową akademię, V Konkurs Recytatorski im. Walentego Grabowskiego, wystawę „Jan Paweł II (KUL)”. Żytomierscy Polacy wzięli udział w modlitwie dziękczynnej za wstawiennictwem św. Jana Pawła II i wspólnie odśpiewali ulubioną pieśń Papieża – „Barkę”.

Uroczystości upamiętniające 100-lecie urodzin św. Jana Pawła II miały niezwykle charakter w świetle sze-

rzającej się w całym świecie pandemii koronawirusa. Z powodu zagrożenia epidemiologicznego większość jubileuszowych wydarzeń odbyła się w przestrzeni online. Przy pomniku św. Jana Pawła II przed żytomierską katedrą mogli się zebrać tylko nieliczni przedstawiciele społeczności polskiej.

Modlitwę poprowadził ks. proboszcz katedry żytomierskiej św. Zofii Witalij Bezszkury i ks. Wojciech Witek – wikariusz.

Inf. własna



Polacy Żytomierza przed pomnikiem św. Jana Pawła II

100. ROCZNICA URODZIN ŚW. JANA PAWŁA II

W ramach obchodów 100-lecia urodzin św. Jana Pawła II grupa polskich aktywistów Związku Polaków Ukrainy „Pomocna dłoń”, przy współpracy z Duszpasterstwem Polaków przy parafii pw. św. Aleksandra w Kijowie oraz Wydziałem Konsularnym i Polonii Ambasady RP w Kijowie w dniu 23 maja br. przeprowadziła on-line konferencję z wykorzystaniem platformy ZOOM pt. „Wymagajcie od siebie choćby inni od was nie wymagali”. Konferencję zainaugurowały wystąpienia: Prezesa ZPU Antoniego Stefanowicza, moderatora debat Łesi Jermak, Dyrektora Polskiej Sobotniej Szkoły w Kijowie oraz Rady Wydziału Konsularnego i Polonii Ambasady RP Jacka Gocłowskiego.

Pierwszy blok tematyczny obrad zatytułowany: „Niech nasza droga będzie wspólna. Niech nasza modlitwa będzie pokorna. Niech nasza miłość będzie potężna. Niech nasza nadzieja będzie większa od wszystkiego, co się tej nadziei może sprzeciwić” rozpoczął swoją wypowiedzią redaktor „Dziennika Kijowskiego” Stanisław Panteluk, który opowiedział o wizycie Jana Pawła II na Ukrainę, głównie o pobycie Papieża w Kijowie. Następnie głos zabrała dr med. asystent katedry Pediatrii Narodowego Uniwersytetu Medycznego im. O. Bohomolca Halina Kozinkiewicz, która z zebranymi podzieliła się wrażeniami ze spotka-

nia z Ojcem Świętym w drugiej fazie Jego wizyty w naszym kraju, która przebiegała we Lwowie.

W panelu II konferencji, zatytułowanym: „Jan Paweł II orędownik pokoju i pojednania”, mgr filologii polskiej UJ Lidia Skubisz – aktywna realizatorka międzynarodowych wymian polonijnych wypowiedziała się na temat „Karol – tajemnica świętości”.

O tym, co zmieniło się po wizycie Jana Pawła II do Ukrainy opowiedział, sukcesywnie zachęcając wszystkich do dyskusji, diakon dr Jacek Jan Pawłowicz, który także dokonał posumowania obrad konferencji.

Konferencja została zorganizowana profesjonalnie, przebiegała w dobrej, przyjaznej atmosferze. Miała ciekawą oprawę graficzną.

Oceniając przedsięwzięcie organizatorzy i uczestnicy zwracali uwagę na bardzo istotne znaczenie tego wirtualnego spotkania, jako że była to pierwsza konferencja w takiej formule, wymuszonej obecną sytuacją epidemiologiczną i ekonomiczną. Podkreślano, że formuła ta wymaga dużej dyscypliny, gdyż wystąpienia i polemika są tu mocno ograniczone czasowo, co może wywołać u uczestników uczucie niedosytu.

Z niecierpliwością czekamy na kolejne tego typu konferencje.

Stanisław PANTELUK



Ekran komputera – tak w obecnych czasach wyglądają konferencje

NIEZWYKŁY WYKŁAD

Doskonały radiowywiad i złamanie rosyjskich szyfrów dały Polsce ogromną przewagę informacyjną, która umożliwiła zwycięstwo w Bitwie Warszawskiej nad przeważającymi wojskami bolszewickiej Rosji.

„Nasz wywiad bazował głównie na rozszyfrowaniu korespondencji przeciwnika, co dawało niezwykle spektrum, aktualność i wiarygodność uzyskiwanych informacji. To było wprost niewiarygodne, że myśmy otrzymywali informacje w tym samym czasie, w którym dostawały je sztaby rosyjskie. Wywiad rosyjski nie rozpoznał żadnej większej polskiej koncentracji, żadnego większego polskiego przegrupowania” – zaznaczył dr hab. prof. Grzegorz Nowik* w znakomitym wykładzie (w języku polskim), w którym uczestniczyło w systemie on-line (platforma Zoom) ponad 60 uczestników Klubu Nauczycieli Języka Polskiego oraz osoby zainteresowane daną tematyką.

Wykład zorganizowany został w dniu 30 maja br. przez Muzeum Józefa Piłsudskiego w Sulejówku oraz Referat ds. Współpracy Naukowo-Oświatowej Ambasady Rzeczypospolitej Polskiej na Ukrainie. W spotkaniu wzięła udział Pani Ambasadorowa Monika Kapa-Cichocka.

* *Prof. dr hab. Grzegorz Nowik – pracownik Instytutu Studiów Politycznych PAN, zastępca dyrektora Muzeum Józefa Piłsudskiego w Sulejówku.*

Jest autorem m.in. książek „Zanim złamano Enigmę” oraz „Zanim złamano Enigmę rozszyfrowano Rewolucję”, w których opisuje rolę wywiadu w wojnie polsko-bolszewickiej.

Inf. własna



Muzeum Józefa Piłsudskiego w Sulejówku

NAUKA W WARUNKACH COVID-19

Wirus nas nie zatrzyma

Zamknięte szkoły, biblioteki, kina, teatry. A co z lekcjami języka polskiego prowadzonymi w szkołach, na kursach, w stowarzyszeniach polonijnych? Część z nich odbywa się on-line.

W Narodowościowo-Kulturalnym Stowarzyszeniu Polaków na Ukrainie „ZGODA” zajęcia odbywają się przy wykorzystaniu programu Skype. Z konieczności przybrały inną formę niż do tej pory. Może nawet dogodniejszą dla uczących się, chociaż bezpośredniego kontaktu z nauczycielem nic nie zastąpi. Teraz, w czasie kwarantanny, każdy ma możliwość indywidualnego uczestnictwa w zajęciach. Nie jest łatwo, bo nie wszyscy mają dostęp do Internetu i posiadają komputery.

Ale jeśli są chęci (a są), to i rozwiązania się znajdują. Wykorzystywane są tablety, smartfony, telefony – wszystkie urządzenia, w których można zainstalować Skype. Czasami brakuje połączenia, bywa, że obraz albo głos jest zniekształcony, ale zdecydowanie częściej lekcje przebiegają bez problemów i zakłóceń. Uczący się mają każdego dnia kontakt z nauczycielem, czytają, piszą, uzupełniają ćwiczenia, rozwiązują krzyżówki.

Uczniowie wraz ze swoją nauczycielką planują wprowadzić nową formę kontaktów, poprzez platformę ZOOM. Będzie wtedy można spotykać się w większej grupie. Wirus ich nie zatrzyma, pracują, czytają po polsku, rozmawiają i czekają na koniec kwarantanny, bo niestety jeszcze nie wymyślili, jak prowadzić próby on-line kolejnego przedstawienia, które przygotowują w stworzonym przez siebie Teatrze Zgoda.



Ewa GOCŁOWSKA
nauczyciel skierowany przez ORPEG
do pracy na Ukrainie

Język polski na kwarantannie w Kijowie

W walce z koronawirusem nie poddajemy się na froncie edukacji. Kwarantanny profilaktyczne, relatywnie często wprowadzane w ukraińskim systemie oświaty, przyczyniły się do sprawnej reakcji na obecną sytuację. Wypracowane metody stanowią bazę do prowadzenia zdalnej edukacji, gdy realna staje się perspektywa pozostania w trybie pracy on-line do końca roku szkolnego. 30 marca 2020 roku, po tygodniowych feriach wiosennych dla uczniów, kontynuujemy interaktywne lekcje języka polskiego.

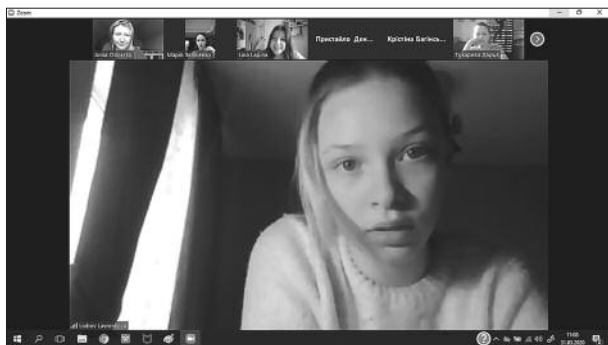
Szkoła Profilowana I-III stopnia nr 23 z rozszerzonym programem nauczania języka angielskiego rejonu desniańskiego miasta Kijowa od 2013 roku korzysta z nauczania za pośrednictwem platformy edukacyjnej Moodle. Aktualnie w tym systemie, w połączeniu z lekcjami prowadzonymi na żywo za pomocą Zoom Video Communications, realizowane są obowiązkowe przedmioty dydaktyczne.

Uczniowie wybierają język obcy spośród oferty czterech języków – angielskiego, niemieckiego, rosyjskiego i polskiego. Obecnie język polski nauczany jest w 10 oddziałach klasowych na poziomach od 5 do 11 klasy oraz w ramach zajęć dodatkowych, dla uczniów chcących pogłębiać swoją wiedzę. Zajęcia stale cieszą się dużą popularnością i aktualnie uczestniczy w nich ponad 200 osób.

W roku 2014 przy szkole powstało Kreatywne Stowarzyszenie „PRODIS”, dzięki staraniom którego do kadry pedagogicznej dołączyła nauczycielka skierowana do pracy dydaktycznej przez Ośrodek Rozwoju Polskiej Edukacji za Granicą, mgr filologii polskiej Anna Maria Oskierko.

Zajęcia z języka polskiego prowadzone są przez mgr Linę Liapinę w ramach ukraińskiego programu nauczania oraz w trybie konwersacyjnym, przy wsparciu nauczycielki z Polski.

Przybliżając uczniom historię i kulturę Polski korzystamy między innymi ze współpracy z Instytutem Polskim w Kijowie, Fundacją Wolność i Demokracja, Ośrodkiem Polskiej Edukacji za Granicą oraz Instytutem Pamięci Narodowej, wykorzystując udostępniane przez nie materiały i programy edukacyjne.



Lekcja języka polskiego w klasie 7b (Szkoła nr 23 w Kijowie), prowadzona przez nauczycielkę Annę Marię Oskierko w dniu 31.03.2020 r.

W ramach współpracy z Ambasadą RP na Ukrainie i Wydziałem Konsularnym Ambasady RP w Kijowie aktywizujemy uczniów do udziału w polskich świętach narodowych, konkursach i wydarzeniach artystycznych promowanych przez polską placówkę dyplomatyczną. Dzięki wsparciu Konsula ds. Polonijnych Pana Jacka Goćłowskiego uczniowie mają dostęp do udziału w bieżących projektach edukacyjnych, kulturalnych i oświatowych. Trwają zajęcia przygotowujące do egzaminów NAWA na program stypendialny dla Polonii; kontynuujemy prace nad projektami konkursowymi, takimi jak np. konkurs historyczny Patria Nostra (https://konkurs-patrianostra.pl/edycja-iv-wielkopolska-2018#competition_works praca nr 39 w edycji konkursu 2018/2019).

Poza propozycją języków obcych szkoła prowadzi również eksperymentalne klasy teatralne, realizujące program sztuki audiowizualnej. Jest to jedyna placówka edukacyjna na Ukrainie posiadająca status Młodzieżowego Teatru Narodowego oraz aktywnie współpracująca z Kijowskim Narodowym Uniwersytetem Teatru, Kina i Telewizji im. Iwana Karpenki-Karego. W 2019 roku, dzięki staraniom dyrektora szkoły Aleksandra Ignatowa, otwarta została unowocześniona część placówki, wyposażona w aktualne technologiczne rozwiązania. Nauczyciele zostali objęci szkoleniami z zakresu edukacji multimedialnej.

Technologia umożliwia merytoryczną pracę, ale nie w pełni zastępuje twórczy proces, jaki ma miejsce na przykład w ramach zajęć o charakterze teatralnym. Odkładamy niestety planowane na maj premiery z udziałem młodych artystów w rolach Smoka Wawelskiego, Świtezianki i innych, z nadzieją na szybki powrót do naszej często niezwyklej zwyczajności.

Anna Maria OSKIERKO

*nauczyciel skierowany do pracy dydaktycznej
przez ORPEG*

O pracy w Polskim Centrum Kulturowym im. Karola Szymanowskiego w Czerkasach

W tym bardzo dla wszystkich trudnym czasie, kiedy kontakty międzyludzkie ograniczone są do koniecznego minimum, nasza szkoła przy Polskim Centrum Kulturowym im. Karola Szymanowskiego w Czerkasach stara się, w miarę możliwości, kontynuować naukę języka polskiego.

Odbywa się to drogą elektroniczną na SKYPE. Nie jest to idealne rozwiązanie, ale wobec zaistniałej sytuacji każdy kontakt z uczniami jest niezwykle ważny. W czasie prowadzonej przeze mnie lekcji na SKYPE z grupą młodzieży czy dorosłymi, mamy okazję nie tylko realizować program dydaktyczny, prowadzić dialog, ale widzimy się, uśmiechamy się do siebie, wspieramy się, tworzymy szczególną grupę, jesteśmy razem. Poza ustalonym przez nas grafikiem zajęć, jesteśmy również w kontakcie telefonicznym, który pozwala na szybkie rozwiązanie problemu dotyczącego np. różnych wątpliwości językowych.



Lekcja on-line. Nauczycielka Natalia Pruchniak i jej uczeń

Grupie dzieci młodszych przesyłam e-mailem materiały dydaktyczne, aby, chociaż w takiej formie, obcować z językiem polskim. Są to animowane polskie baśnie, legendy, piosenki, wierszyki, filmiki, a także kolorowanki o treściach historycznych, patriotycznych oraz nawiązujących do polskich tradycji i obyczajów. Jestem przekonana, że taką metodą pracy, choć częściowo, wypełniam lukę bezpośredniej pracy z dziećmi.

Natalia PRUCHNIAK

*nauczyciel skierowany za granicę przez ORPEG
na Ukrainę*

„PRZYBYWAM JAKO BRAT W WIERZE!”

Dziewiętnaście lat temu w ciągu pięciu dni, od 23 do 27 czerwca 2001 roku, oczy całego świata uważnie obserwowały nadzwyczajne wydarzenie – wizytę Papieża Jana Pawła II na Ukrainie. 94. podróż zagraniczna Papieża Polaka, która objęła dwa miasta – Kijów i Lwów przebiegała pod hasłem: „Chrystus drogą, prawdą i życiem”. Było to piąte państwo byłego Związku Radzieckiego i największy kraj prawosławny, po Rumunii, Gruzji i Grecji, który odwiedził On w czasie swojego pontyfikatu.

Pokrótkę spróbuję przedstawić chronologiczny przebieg zdarzeń w dniach pobytu Ojca Świętego w Kijowie i przytoczyć Jego najdobitniejsze wypowiedzi.

Oficjalnie informacja o zaproszeniu Papieża na Ukrainę pojawiła się jeszcze w 1998 roku. Na otwarciu katedry greckokatolickiej w Kijowie Jego Świątobliwość zaprosił ówczesny premier Ukrainy W. Pustowoitenko. W Watykanie niemal 3 lata rozważano datę i format tej wizyty. Ostatecznie zdecydowano, że dobrą okazją będą obchody 10-lecia niepodległości Ukrainy. Wprawdzie pozostawały wciąż wątpliwości, czy Papieżowi uda się posiać ziarno pojednania i dialogu?

Dlaczego? Doskonale zdawano sobie sprawę, że Papież zawita do kraju rozdartego politycznie i religijnie. Zwaśnione społeczeństwo, wojujące ze sobą Kościoły...

Najzagorzalej przeciwko wizycie protestowała posłuszna Moskwie ukraińska Cerkiew Prawosławna Patriarchatu Moskiewskiego na czele z ówczesnym metropolitą kijowskim Wołodymyrem, traktując ją jako nowy etap ekspansji Watykanu na Ukrainę.

Ówczesny prezydent Ukrainy Leonid Kuczma nie krył, że wiąże z wizytą papieską niemałe nadzieje, rozumiejąc, iż pomoże ona podnieść jego autorytet, nadzarpanięty m.in. przez afery polityczne i osłabiony w kontekście zarzucanych mu powiązań z porwaniem i zamordowaniem dziennikarza Georgija Gongadze.

Przeważał fakt akceptacji wizyty ze strony ukraińskiej Cerkwi Prawosławnej Kijowskiego Patriarchatu na czele z patriarchą Filaretem, ukraińskiej Cerkwi Autokefalicznej z metropolitą Metodym, no i oczywiście ukraińskiego Kościoła Greckokatolickiego, którego pasterzem był kardynał Lubomyr Huzar.

Sam Ojciec Święty trzy dni przed zbliżającą się podróżą apostołską w czasie audiencji generalnej powiedział:

„Wiążę wielkie nadzieje z podróżą na Ukrainę. Pragnę utwierdzić tam w wierze naszych braci i siostry ze wspólnoty katolickiej, a także, posłuszny słowom Chrystusa: aby wszyscy stanowili jedno – dać nowy impuls działalności ekumenicznej”.

Wizycie towarzyszyło ogromne zainteresowanie mediów. Do Kijowa przyjechało 1700 dziennikarzy z całego świata. Zespół redakcyjny „Dziennika Kijowskiego” miał zaszczyt bezpośrednio uczestniczyć w tym wydarzeniu. Redaktor Eugeniusz Gołybard, będąc w składzie ukraińskiej ekipy dziennikarskiej, skierowanej do Stolicy Apostolskiej, uczestniczył w przygotowaniach odpowiedniego podłoża informacyjnego przed wizytą Papieża na Ukrainę. Drugi Eugeniusz – śp. red. Tuzow-Lubański i red. Borys Dragin relacjonowali przebieg wizyty, w tym i na łamach specjalnego numeru naszego pisma. Niżej podpisany pracował w sztabie organizacyjnym wizyty. Red. Dorota Jaworska poświęciła temu wydarzeniu cały 32 numer naszego kwartalnika „Krynica”.

I oto w sobotę 23 czerwca 2001 roku, kwadrans po południu, samolot z Ojcem Świętym na pokładzie wylądował na lotnisku Boryspol, gdzie zgromadzili się przedstawiciele władz państwowych i kościelnych oraz mieszkańcy stolicy Ukrainy i całego kraju.

Na samym początku stało się zadość tradycji – Ojciec Święty z szacunkiem ucałował ukraińską ziemię i chleb podane mu na tacy przez ukraińskie dzieci, ubrane w ludowe stroje, a następnie u boku prezydenta Kuczmy odebrał defiladę kompanii honorowej.

Papieża powitali także premier rządu Anatolij Kinach, kard. Lubomyr Huzar – arcybiskup większy Lwowa obrządku ukraińsko-bizantyjskiego, kard. Marian Jaworski – metropolita Lwowa obrządku łacińskiego, a także nuncjusz apostolski na Ukrainie abp Nikola Eterović.

W przemówieniu powitalnym prezydent Leonid Kuczma m.in. zaznaczył, że przed Papieżem otwiera się „nowa Ukraina”, która wyrzeka się wszelkiej ideologii ateistycznej i pragnie zbudować państwo, w którym będą przestrzegane prawa człowieka, gdzie panować będzie sprawiedliwość i prawda. „Dziś Ukraina wychodzi



Modlitwa Jana Pawła II w kijowskim kościele pw. św. Mikołaja (zdj. Arturo Mari)

z politycznej izolacji i szuka swego miejsca we wspólnocie międzynarodowej” – podkreślił.

Jan Paweł II – przemawiając w języku ukraińskim (nb. z zaskoczeniem oceniono powszechnie, że władza nim niegorzej niż Kuczma) podkreślił m.in.: „*Przybywam jako brat w wierze, aby spotkać się z licznymi chrześcijanami, którzy pośród najdotkliwszych prześladowań wytrwali wiernie przy Chrystusie. [...] Najżywszym życzeniem, które wypływa z naszego serca jest to, ażeby dawne błędy nie powtórzyły się w przyszłości. Pamięć przeszłości nie powinna być dzisiaj przeszkodą do wzajemnego poznania, które by sprzyjało braterstwu i współpracy*”.

Z lotniska Jan Paweł II udał się do Nuncjatury Apostolskiej w Kijowie, która na czas wizyty stała się papieską rezydencją.

Na ulicach Kijowa przy trasie z lotniska było pusto, gdyż do końca nie było wiadomo, którędy Papież pojedzie. Bezpieczeństwa Papieża i pielgrzymów w tamtych dniach strzegło ponad 4000 funkcjonariuszy milicji ukraińskiej.

W samochodzie panoramicznym – „papamobile” towarzyszyli mu kardynałowie Lubomyr Huzar i Marian Jaworski – zwierzchnicy Kościołów greckokatolickiego i rzymskokatolickiego na Ukrainie.

Tuż po wjeździe do prawobrzeżnej części miasta Papież zawitał do greckokatolickiego kościoła św. Mikołaja zbudowanego nad tzw. Mogiłą Askolda i nieco później zażyczył sobie niespodziewanie (dla szefa protokołu Georgija Czerniawskiego była to pierwsza i jak się okazało nie jedyna niełatwa do uwzględnienia niespodzianka) odwiedzić Grób Nieznanego Żołnierza w Parku Chwały. Ojciec Święty przez dłuższą chwilę modlił się u stóp Obelisku Wiecznej Chwały. (Spowodowało to, że wszystkie spotkania popołudniowe przesunęły się o ponad 40 min.)

Po kurtuazyjnej prywatnej rozmowie z prezydentem L. Kuczmą w Pałacu Mariańskim rozpoczęło się spotkanie z przedstawicielami świata polityki, kultury, nauki i przemysłu (w którym nb. przedstawiciele ukraińskiej opozycji nie uczestniczyli).

Na spotkaniu głos zabrał Jan Paweł II, który podkreślił, że tylko na wartościach Ewangelii, stanowiących część ukraińskiej tożsamości narodowej, można zbudować nowe społeczeństwo, otwarte i solidarne, po spustoszeniu, jakiego dokonał totalitaryzm.

„*Starsi ludzie z Waszego narodu z tęsknotą wspominają czas, kiedy Ukraina była niezależna. Po tym, raczej krótkim okresie nastąpiły straszliwe lata dyktatury so-*

wieckiej i bardzo ciężki głód na początku lat 30., kiedy wasz kraj, «spichlerz Europy», nie potrafił wyżywić własnych dzieci, których umarły miliony. [...] Ludzie polityki! – zaapelował – nie zapomnijcie tej poważnej lekcji historii! Waszym zadaniem jest służyć ludziom i zapewnić im pokój i równe prawa. Nie ulegnijcie pokusie wykorzystania władzy dla osobistych bądź grupowych interesów”.

W dniu następnym, a była to niedziela, 24 czerwca, na kompleksie sportowo-lotniczym „Czajka”, oddalonym 14 km od centrum stolicy, Ojca Świętego witało 150 tys. wiernych z Ukrainy, Polski, Białorusi, Rosji, Litwy, Węgier, Mołdawii, Gruzji. Kiedy specjalna winda wywiozła Papieża na poziom ołtarza przypominającego pięciożagłową łódź, płynącą nad 27. hektarowym terenem lotniska, ze wszystkich stron rozległy się okrzyki „*Witamy Cię!*”. Tarcza słońca powoli wносиła się na horyzoncie, kiedy nagle ukazała się ogromna tęcza. To zjawisko trwało co najmniej pół godziny. Potem niebo zaciągnęły stalowego koloru, dramatycznie spiętrzone chmury.

Jana Pawła II witali kardynałowie: Angelo Sodano, Lubomyr Huzar, Marian Jaworski, Walter Kasper, Roberto Tucci, Józef Glemp, Franciszek Macharski, Joachim Meisner, liczni biskupi oraz ok. 650 księży. Słowo powitalne wygłosił ordynariusz diecezji żytomiersko-kijowskiej bp Jan Purwiński.

W homilii „*Kołyśka wiary chrześcijańskiej*” wygłoszonej po ukraińsku i po polsku podczas Mszy św. w obrządku wschodnim Jan Paweł II porównał Ukrainę, a w szczególności Kijów, skąd wzięła swój początek ewangelizacja Rusi, do postaci św. Jana Chrzcziciela.

„*Tutaj, w tym mieście, dokonał się chrzest Rusi. Od Kijowa zaczął się rozkwit życia chrześcijańskiego, które rozbudziła Ewangelia najpierw na ziemiach Starej Rusi, potem na terytoriach Europy Wschodniej, a wreszcie za Uralem, w przestworzach Azji. Wraz z Chrztem w Kijowie, rozpoczęła się tysiącletnia historia chrześcijaństwa na terytoriach obecnej Ukrainy i całego regionu*”.

„*Ut unum sint!*” – apelował. „*Zanoszę wraz z wami moją modlitwę do Pana, ażeby wszyscy chrześcijanie na nowo stali się «jednym» zgodnie z pragnieniem Jezusa w Wierczniku*.”

Osobne fragmenty homilii Papież skierował do młodych. „*Wj, młodzi ludzie – apelował Ojciec Święty – bądźcie dzielni i wolni. Nie poddawajcie się zwodniczym mirażom łatwego szczęścia. Idźcie za Chrystusem: On jest oczywiście wymagający, ale tylko On może wam pomóc w odnalezieniu pełnego sensu życia i spokoju serca*.”

Dzięki bezpośredniej transmisji telewizji państwowej Mszę obejrzała cała Ukraina.

Po zakończeniu Mszy św. Papież zaprosił na obiad i półprywatne spotkanie w Apostolskiej Nuncjaturze z biskupami Kościołów Greckokatolickiego i Rzymskokatolickiego.

Nawołując do dialogu i całkowitej zgody powiedział: *„Podczas komunistycznego prześladowania Kościoły greckokatolicki i rzymskokatolicki utrzymywały przykładowe stosunki, które stanowiły mocną przesłankę późniejszego rozkwitu kościelnego. Korzystając z tego doświadczenia, dzisiaj jeszcze bardziej należy współpracować, aby wypełnić wymagające zadania nowej ewangelizacji”*.

W programie popołudniowym w kijowskiej filharmonii (miast w planowanym wcześniej Soborze Sofijskim) Ojciec Święty spotkał się z przedstawicielami Wszzechukraińskiej Rady Kościołów i Organizacji Religijnych Ukrainy.

Uczestniczyło w nim 16 delegacji, reprezentujących Kościół katolicki i część prawosławia, a także wspólnoty protestanckie, muzułmańskie i żydowskie.

Zwracając się do obecnych, Jan Paweł II mówił o bogactwie *„ziemi, która dzięki swej szczególnej pozycji i ukształtowaniu stanowi naturalny pomost, nie tylko między Wschodem i Zachodem, lecz także pomiędzy narodami, które spotykają się od wielu wieków”*. Z wielką uwagą i zadowoleniem przyjęto głos Ojca Świętego o haniebnie zaplanowanej i przeprowadzonej eksterminacji Żydów i Tatarów Krymskich.

Po spotkaniu Jan Paweł II pojechał „papamobilem” z kard. Lubomyrem Huzarem i kard. Marianem Jaworskim do podkijowskiej miejscowości Bykownia, gdzie złożył biało-żółty wieniec pod krzyżem – jedynym wówczas pomnikiem upamiętniającym pomordowanych, i pobłogosławił to miejsce, kreśląc znak krzyża, a stojący za nim bp Stanisław Dziwisz zaintonował pieśń religijną „Salve Regina”. Papież był pierwszym gościem tak wysokiej rangi, który odwiedził bykowniańskie mogiły i Jego bytność tu przypominało niejednokrotnie, gdy rozważano potrzebę należytego upamiętnienia tego tragicznego miejsca masowej zagłady.

W trzecim dniu wizyty apostolskiej, w poniedziałek 25 czerwca 2001 roku, Jan Paweł II na tymże lotnisku „Czajka” odprawił Mszę św. w obrządku ukraińsko-bizantyjskim.

Głównym celebransem liturgii wschodniej św. Jana Chryzostoma był kard. Lubomyr Huzar. Na miejscu oczekiwało Papieża ok. 70 tys. wiernych. Ojca Świę-

tego przywitał greckokatolicki egzarcha Kijowa-Wyszogrodu bp Wasyl Medwit’.

Homilia „Ut unum sint – Aby wszyscy stanowili jedno!” wygłoszona w języku ukraińskim, poświęcona była jedności chrześcijan. *„Niechaj chrześcijanie trzeciego tysiąclecia ukazą się światu z jednym sercem i jedną duszą. To gorące pragnienie powierzam Matce Jezusa, Niechaj prowadzi nas drogą pojednania i jedności, ażeby w każdej części ziemi chrześcijanie mogli wreszcie głosić razem Chrystusa i jego orędzie zbawienia mężczyznom i kobietom trzeciego tysiąclecia”*.

Na zakończenie Eucharystii Papież poświęcił kamienie węgielne pod budowę przyszłych świątyń ukraińskich. Był wśród nich m.in. kamień węgielny dla nowej katedry greckokatolickiej, która dziś wznosi się w lewobrzeżnej części stolicy.

W drodze z lotniska Czajka do Nuncjatury Ojciec Święty zawitał do jednego z najstraszniejszych symboli Holokaustu – Babiego Jaru, miejsca kaźni obywateli miasta, głównie żydowskiej narodowości. Przy pomniku pomordowanych Żydów powitali Papieża przedstawiciele liczącej ok. 500 tys. osób ukraińskiej społeczności żydowskiej. Jan Paweł II spotkał się z przewodniczącym ukraińskich Żydów rabinem Jakowem Bliechem i odmówił modlitwę za zmarłych.

Po południu, po pożegnaniu w budynku nuncjatury, Papież Jan Paweł II nieoficjalnie, w drodze na lotnisko, w towarzystwie biskupa Jana Purwińskiego i kardynała Lubomyra Huzara odwiedził kościół pod wezwaniem św. Mikołaja oraz kościół pw. św. Aleksandra.

Na przyjazd Ojca Świętego czekało ok. 700 osób – wiernych i zwykłych przechodniów, którzy chcieli zobaczyć Jana Pawła II. Wśród nich byli także pielgrzymi z Polski, m.in. chór z Lublina.

O szóstej po południu, w wypełnionym po brzegi kościele św. Aleksandra została odprawiona Msza św. z udziałem różnych prefektów kongregacji watykańskich, kardynałów, biskupów i ponad setki księży. Przewodniczył Ksiądz Prymas Józef Glemp.

Papież modlił się przez chwilę przed tabernakulum, po czym spotkał się z grupą parafian oraz księży, seminarzystów i sióstr zakonnych pracujących w Kijowie. Wizyta w tej świątyni była, choć nieoficjalnym, jednak jednym z najważniejszych punktów pobytu Ojca Świętego w Kijowie, którym zakończył On pierwszą część wizyty na Ukrainie. Jeszcze w tym samym dniu witał Go Lwów.

Stanisław PANTELUK

POLSKA GOSPODARKA W WALCE ZE SKUTKAMI EPIDEMII

Tarcza antykryzysowa w Polsce

Prezydent Andrzej Duda podpisał 31.03 br. przyjęte przez Sejm ustawy składające się na tzw. tarczę antykryzysową, w tym specustawę o walce z koronawirusem, która wprowadza możliwość głosowania korespondencyjnego dla osób objętych kwarantanną i osób 60 plus.

Prezydent zapowiadał wcześniej chęć wprowadzenia noweli do ustawy w zakresie systemu ochrony zdrowia przed 1 kwietnia.

Sejm wcześniej odrzucił większość poprawek proponowanych przez Senat.

Tarcza antykryzysowa ma wspomóc polskich przedsiębiorców i ochronić pracowników i pracodawców przed skutkami możliwego kryzysu gospodarczego.

Nowela uwzględni m.in. zwolnienie mikrofirm do 9 osób ze składek do ZUS na 3 miesiące, czy dofinansowanie wynagrodzeń pracowników.

Zmiany w ustawach zdrowotnych zakładają wprowadzenie mechanizmów egzekwowania maksymalnych cen leków, ograniczenie obowiązków sprawozdawczych do NFZ i reguluje kwestię wystawianych recept.

„Prezydent RP Andrzej Duda niezwłocznie po zakończeniu prac parlamentarnych podpisał ustawy tworzące tarczę antykryzysową” – napisał na Twitterze sekretarz stanu w kancelarii prezydenta Błażej Spychalski. „Wsparcie polskiej gospodarki, przedsiębiorstw,

rolnictwa, pracowników jest najważniejsze w tym trudnym czasie!” – dodał. Informację o podpisaniu przez Prezydenta wszystkich ustaw tarczy antykryzysowej Spychalski potwierdził również w rozmowie z Onetem.

31.03. br. Sejm przyjął ustawy, które składają się na tzw. tarczę antykryzysową, odrzucając większość poprawek wprowadzonych przez Senat.

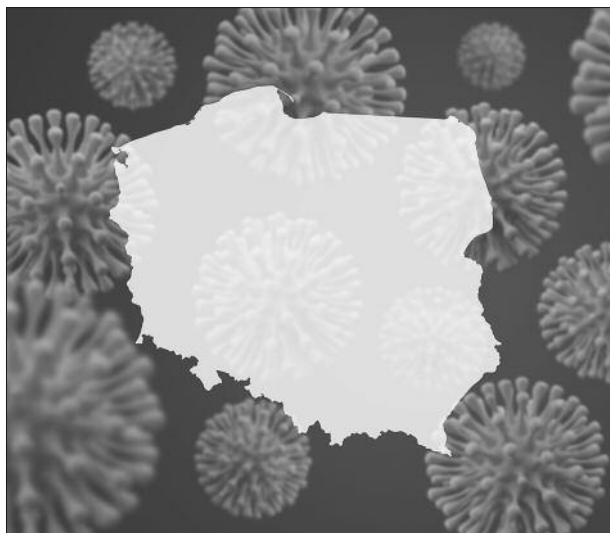
Nowelizacja wprowadza zmiany w kilkunastu ustawach działających w obszarze ochrony zdrowia. Przewiduje m.in. ograniczenie obowiązków sprawozdawczych wobec Narodowego Funduszu Zdrowia; ułatwienie powrotu do czynnego wykonywania zawodu przez pielęgniarki lub położne mające co najmniej pięcioletnią przerwę w jego wykonywaniu oraz możliwość dyżurowania w placówkach medycznych przez inne zawody pracujące w ochronie zdrowia.

Ustawa stwarza także możliwość wystawiania przez farmaceutów refundowanych recept farmaceutycznych dla siebie i swojej rodziny oraz wystawiania recept, nie tylko w przypadku nagłego pogorszenia stanu zdrowia, jak to jest obecnie. Nowela wprowadza mechanizmy egzekwowania maksymalnych cen na leki i inne produkty medyczne. Regulacja umożliwia też np. zawieszenie obowiązkowych kontroli w laboratoriach diagnostycznych.

Nowelizacja umożliwia personelowi medycznemu, który przebywa na kwarantannie, udzielania pacjentom wideokonsultacji. Wskazuje też, kogo można skierować do pracy przy zwalczaniu epidemii, a kogo nie. Wyłączeni będą m.in. wychowujący dziecko do 14 lat, a w przypadku, gdy robią to samotnie, do lat 18, oraz osoby wychowujące dziecko z orzeczeniem o niepełnosprawności. Skierowanie będzie mógł otrzymać tylko jeden rodzic, jeśli oboje są medykami.

PiS składa w Sejmie nowy projekt w sprawie głosowania korespondencyjnego dla wszystkich wyborców w wyborach prezydenckich 2020.

Nowela wprowadza też kary za niestosowanie się do zakazów, nakazów i ograniczeń; wprowadzono kary pieniężne w wysokości od 5 tys. do 30 tys., zależnie od rodzaju czynu.



Podpisana przez Prezydenta tarcza anty kryzysowa przewiduje m.in. zwolnienie mikrofirm do 9 osób ze składek do ZUS na 3 miesiące (marzec-maj) – zwolnienie dotyczy składek za przedsiębiorcę i pracujące dla niego osoby; skorzystać mogą także samozatrudnieni z przychodem do 3-krotności przeciętnego wynagrodzenia, którzy odpłacają składki tylko za siebie.

Ponadto zakłada świadczenie postojowe w kwocie do ok. 2 tys. zł – dla zleceniobiorców (umowa zlecenia, agencyjna, o dzieło) i samozatrudnionych o przychodzie poniżej 3-krotności przeciętnego wynagrodzenia; dofinansowanie wynagrodzeń pracowników – do wysokości 40 proc. przeciętnego miesięcznego wynagrodzenia i uelastycznienie czasu pracy – dla firm w kłopotach; ochronę konsumentów w zakresie nadmiernego wzrostu cen i innych nieuczciwych praktyk; czasowe zniesienie opłaty prolongacyjnej przy odroczeniu lub rozkładaniu na raty należności skarbowych i składkowych (ZUS).

Tarcza umożliwia też odliczenia od dochodu (przychodu) darowizn przekazanych na przeciwdziałanie COVID-19; korzystniejsze zasady rozliczania straty.

Tarcza przewiduje wsparcie firm transportowych przez ARP w refinansowaniu umów leasingowych; ułatwienia dla branży turystycznej; umożliwienie sklepom

– w niedziele objęte zakazem handlu – przyjmowania towaru, rozładowywania go oraz wykładania na półki.

Zgodnie z przepisami ustawa wchodzi w życie z dniem następującym po dniu ogłoszenia, z wyjątkiem niektórych jej zapisów.

Nowela ustawy o systemie instytucji rozwoju rozszerza kompetencje Polskiego Funduszu Rozwoju, tak by mógł sprawniej wspierać przedsiębiorców w związku z epidemią koronawirusa. Zgodnie z ustawą do zadań PFR będzie należało np. podejmowanie działań służących zapobieganiu lub łagodzeniu skutków sytuacji kryzysowych. Fundusz będzie udzielał m.in. firmom wsparcia finansowego.

Ustawa zakłada, że w latach 2020–2029 maksymalny limit wydatków budżetu państwa będących skutkiem finansowym noweli wyniesie 11,7 mld zł.

Nowe regulacje usuwają ograniczenia wynikające z dotychczasowych przepisów, np. przez dopuszczenie udzielania finansowania przedsiębiorcom nie tylko w formie obejmowania akcji lub udziałów (czyli nowo wyemitowanych), ale także przez ich nabycie (tj. z obecnego kapitału zakładowego).

Zgodnie z zapisami, ustawa ma wejść w życie z dniem następującym po dniu ogłoszenia.

Źródła: Onet, Twitter, PAP



Pakiet dotyczący tarczy antykryzysowej w Polsce wszedł w życie

Ochrona zatrudnienia, zmniejszenie obciążeń i zachowanie płynności finansowej w firmach, to główne cele pakietu ustaw, które składają się na tarczę antykryzysową.

Pakiet, który ma przeciwdziałać gospodarczym skutkom pandemii koronawirusa, 01.04.2020 r. wszedł w życie.

Na pakiet składają się: ustawa o zmianie ustawy o szczególnych rozwiązaniach związanych z zapobieganiem, przeciwdziałaniem i zwalczaniem COVID-19 (specustawa); ustawa o zmianie ustawy o systemie instytucji rozwoju (PFR). A także projekt ustawy o udzielaniu pomocy publicznej w celu ratowania lub restrukturyzacji przedsiębiorców (polityka nowej szansy), który nie został jeszcze uchwalony.

Projekty ustaw opracowały: Ministerstwo Rozwoju; Ministerstwo Rodziny, Pracy i Polityki Społecznej; Ministerstwo Finansów; ZUS; PFR; KNF; MS; MSWiA, pod nadzorem KPRM i we współpracy z innymi ministerstwami oraz instytucjami publicznymi.

Tarcza antykryzysowa przewiduje m.in.:

- zwolnienie mikrofirm, które na 29 lutego br. zatrudniały do 9 osób, ze składek do ZUS na 3 miesiące (marzec–maj) – zwolnienie dotyczy składek za przedsiębiorcę i pracujące dla niego osoby; skorzystać mogą także samozatrudnieni z przychodem do 3-krotności przeciętnego wynagrodzenia, którzy opłacają składki tylko za siebie;
- świadczenie postojowe w kwocie do ok. 2 tys. zł – dla zleceniobiorców (umowa zlecenia, agencyjna, o dzieło) i samozatrudnionych o przychodzie poniżej 3-krotności przeciętnego wynagrodzenia;
- dla samozatrudnionych na karcie podatkowej świadczenie wyniesie 1300 zł, zaś dla zleceniobiorców, których suma przychodów z umów cywilnoprawnych jest niższa od 1300 zł, wyniesie ono kwotę utraconych przychodów;
- dofinansowanie wynagrodzeń pracowników – do wysokości 40% przeciętnego miesięcznego wynagrodzenia i uelastycznienie czasu pracy – dla firm w kłopotach;
- ochronę konsumentów w zakresie nadmiernego wzrostu cen i innych nieuczciwych praktyk;

- czasowe zniesienie opłaty prolongacyjnej przy odroczeniu lub rozkładaniu na raty należności skarbowych i składkowych (ZUS);
- umożliwienie odliczenia od dochodu (przychodu) darowizn przekazanych na przeciwdziałanie COVID-19;
- korzystniejsze zasady rozliczania straty;
- wsparcie firm transportowych przez ARP w refinansowaniu umów leasingowych;
- ułatwienia dla branży turystycznej;
- umożliwienie sklepom – w niedziele objęte zakazem handlu – przyjmowania towaru, rozładowywania go oraz wykładania na półki;
- przedłużenie legalnego pobytu i zezwoleń na pracę dla obcokrajowców;
- zwalnianie z naliczania kar umownych za – związane z epidemią – opóźnienia przy realizacji przetargów;
- umożliwienie radzie danej gminy odstąpienia, za część roku 2020, od pobierania podatku od nieruchomości od firm, które przez epidemię koronawirusa utraciły płynność finansową;
- przedłużenie bankowych kredytów obrotowych, w oparciu o dane finansowe na koniec 2019;
- gwarancje *de minimis* z BGK;
- dopłaty BGK do odsetek;
- fundusze płynnościowe BGK, PFR i KUK, w tym możliwość uzyskania – przez średnie i duże firmy – z funduszu PFR inwestycje podwyższenia kapitału lub finansowania w postaci obligacji – łącznie o wartości 6 mld zł.

Szczegóły wybranych rozwiązań

Zwolnienie mikrofirm do 9 osób ze składek do ZUS przez 3 miesiące

Państwo przejmie na 3 miesiące (za marzec, kwiecień i maj br.) pokrycie składek do ZUS od mikrofirm zatrudniających do 9 osób, założonych przed 1 lutego br. Zwolnienie dotyczy składek za przedsiębiorcę i pracujące dla niego osoby. Ze zwolnienia mogą skorzystać także samozatrudnieni z przychodem w wysokości 300% przeciętnego wynagrodzenia, którzy opłacają składki tylko za siebie. Zwolnienie dotyczy składek na

ubezpieczenia społeczne, ubezpieczenie zdrowotne, Fundusz Pracy, Fundusz Solidarnościowy, FGŚP, FEP. Zarówno przedsiębiorca, jak i pracujące dla niego osoby, zachowują prawo do świadczeń zdrowotnych i z ubezpieczeń społecznych za okres zwolnienia ze składek. Łączny skutek dla finansów publicznych za 3 miesiące szacujemy na 9,5 mld zł, w tym 6,8 mld zł za mikrofirmy i 2,6 mld zł za samozatrudnionych opłacających tylko swoje własne składki.

Świadczenie postojowe dla zleceniobiorców i samozatrudnionych

Wyplata przez ZUS świadczenia postojowego w związku z przestojem spowodowanym epidemią koronawirusa. Świadczenie co do zasady wynosi 2080 zł (80% minimalnego wynagrodzenia) i jest nieoskładkowane oraz nieopodatkowane. W przypadku zleceniobiorców, których przychód z umów cywilnoprawnych nie przekracza 1300 zł miesięcznie (50% minimalnego wynagrodzenia), świadczenie postojowe wynosi sumę wynagrodzeń z tytułu umów cywilnoprawnych. Z kolei samozatrudnieni rozliczający się w formie karty podatkowej otrzymają świadczenie postojowe w wysokości 1300 zł. Warunkiem uzyskania świadczenia jest to, aby przychód w miesiącu poprzedzającym miesiąc złożenia wniosku nie przekraczał 3-krotności przeciętnego wynagrodzenia. Poza tym rozpoczęcie działalności lub zawarcie umowy musi nastąpić przed 1 lutego br. W przypadku osób samozatrudnionych przychód w miesiącu poprzedzającym miesiąc złożenia wniosku musi spaść o co najmniej 15% w stosunku do miesiąca poprzedniego. Nie trzeba zawieszać działalności, ale świadczenie przysługuje także samozatrudnionym, którzy zawiesili ją po 31 stycznia br.

Dofinansowanie zatrudnienia

Pomoc ze środków FGŚP przysługuje przedsiębiorcy w okresie wprowadzonego przez przedsiębiorcę przestoju ekonomicznego lub obniżonego wymiaru czasu, w przypadku spadku obrotów gospodarczych:

- nie mniej niż o 15%, obliczony jako stosunek łącznych obrotów w ciągu 2 kolejnych miesięcy w okresie po 01.01.2020 r., do łącznych obrotów z analogicznych 2 miesięcy z roku ubiegłego w następstwie wystąpienia COVID 19, lub
- nie mniej niż o 25 %, obliczony jako stosunek łącznych obrotów w ciągu dowolnie wskazanego miesiąca w okresie po 01.01.2020 r., w porównaniu do obrotów z miesiąca poprzedniego.



W związku ze spadkiem obrotów gospodarczych w następstwie wystąpienia koronawirusa, pracownikowi objętemu przestojem ekonomicznym pracodawca wypłaca wynagrodzenie w wysokości co najmniej minimalnego wynagrodzenia za pracę. Dzięki środkom z FGŚP pracodawca otrzyma dofinansowanie do wynagrodzenia w okresie przestoju w wysokości 50% minimalnego wynagrodzenia plus składki na ubezpieczenia społeczne należne od pracodawcy od przyznanych świadczeń, czyli 1 533,09 zł, z uwzględnieniem wymiaru czasu pracy.

Przedsiębiorca, który obniżył wymiar czasu pracy w związku ze spadkiem obrotów gospodarczych w następstwie wystąpienia koronawirusa, może obniżyć wymiar czasu pracy pracownika o 20%, nie więcej niż do 0,5 etatu, z zastrzeżeniem, że wynagrodzenie nie może być niższe niż minimalne wynagrodzenie za pracę, z uwzględnieniem wymiaru czasu pracy. Przy tak obniżonym wymiarze czasu pracy Fundusz dofinansuje maksymalnie do wysokości 40% przeciętnego miesięcznego wynagrodzenia z poprzedniego kwartału ogłaszanego przez Prezesa Głównego Urzędu Statystycznego plus składki na ubezpieczenia społeczne należne od pracodawcy od przyznanych świadczeń. tj. 2 452,27 zł.

Oba świadczenia przysługiwać będą przez łączny okres 3 miesięcy przypadających od dnia złożenia wniosku o wypłatę świadczeń. Rada Ministrów może, w celu przeciwdziałania skutkom gospodarczym COVID-19, w drodze rozporządzenia, przedłużyć ten okres, mając na względzie okres obowiązywania stanu zagrożenia epidemicznego lub stanu epidemii oraz skutki nimi wywołane.

Wnioski mogą być składane elektronicznie, do dyrektorów Wojewódzkich Urzędów Pracy.

Uelastycznienie czasu pracy

Pracodawca dotknięty skutkami epidemii koronawirusa będzie mógł skrócić dobowy czas nieprzerwanego odpoczynku dla pracownika z obecnych 11 godzin do 8 (z gwarancją oddania pracownikowi równoważ-



nego odpoczynku w okresie 8 tygodni), a tygodniowy czas takiego odpoczynku – z 35 do 32 godzin. W porozumieniu ze związkami zawodowymi albo – gdy nie ma związków – z przedstawicielami pracowników – będzie mógł też wydłużyć dobowy wymiar czasu pracy do 12 godzin (równoważny system czasu pracy) oraz okres rozliczeniowy do maksymalnie 12 miesięcy.

Brak kar za opóźnienia w przetargach publicznych

Wprowadzenie mechanizmu wydłużania terminów realizacji zamówień publicznych. Służyć temu będzie procedura zwalniania z naliczania kar umownych za – związane z epidemią – opóźnienia w realizacji przetargów. Jednocześnie nienaliczenie kar umownych w tej procedurze nie będzie stanowić naruszenia dyscypliny finansów publicznych. Dodatkowo wprowadzony będzie przyspieszony tryb lub niestosowanie przepisów Prawa zamówień publicznych w przypadku zamówień niezbędnych do walki z koronawirusem.

Ułatwienia dla branży turystycznej

Przedłużenie terminu na zwrot wpłat klienta w przypadku niemożności zorganizowania wydarzenia z powodu epidemii (dot. organizacji wystaw i kongresów lub działalności kulturalnej, rozrywkowej, rekreacyjnej, sportowej, organizującej wystawy tematyczne lub imprezy plenerowe) do 180 dni od rozwiązania umowy.

Możliwość skorzystania przez klientów z voucherów na realizację imprezy turystycznej w ciągu roku od dnia, w którym miała się odbyć impreza odwołana w związku z przeciwdziałaniem COVID-19.

Rozliczenie całej tegorocznej straty w przyszłym roku

Umożliwienie podatnikom CIT i PIT, którzy ponoszą negatywne konsekwencje COVID-19, odliczenia straty poniesionej w 2020 r., od dochodu z dzia-

łalności, uzyskanego w 2019 r. Warunek to osiągnięcie w 2020 r. – w porównaniu do 2019 r. – przychodów niższych o co najmniej 50 proc.

Przedłużenie bankowych kredytów obrotowych

Umożliwienie obliczania zdolności kredytowej w oparciu o dane finansowe na koniec 2019 r. Towarzyszyć temu będą rekomendacje w zakresie sposobu liczenia rezerw na kredyty. Sektor bankowy zadeklarował gotowość do przedłużenia kredytów obrotowych przy zmianie regulacji. Rozwiązanie to umożliwia wydłużenie kredytów obrotowych – o wartości ok. 150 mld zł – dla sektora przedsiębiorstw.

Przedłużenie legalnego pobytu i zezwoleń na pracę dla obcokrajowców

Wydłużenie wiz pobytowych i zezwoleń na pobyt czasowy cudzoziemców. Wydłużenie terminu składania wniosków o udzielenie zezwoleń pobytowych, przedłużenie wizy oraz przedłużenie pobytu w ramach ruchu bezwizowego, jeżeli wypadłby w okresie stanu zagrożenia epidemicznego lub stanu epidemii. Wydłużenie z mocy prawa okresów ważności zezwoleń na pobyt czasowy oraz wiz krajowych (do 30 dni od dnia odwołania tego stanu).

Polityka nowej szansy

W sytuacji kryzysu makroekonomicznego duża liczba firm może być zmuszona do restrukturyzacji. Zwłaszcza małe i średnie przedsiębiorstwa mają problem ze skutecznym przejściem przez proces restrukturyzacji i wiele z nich kończy się upadłością lub likwidacją. Dlatego możliwa będzie pomoc dla MŚP, które przechodzą proces restrukturyzacji. Cel to ułatwienie im ponownego startu działalności gospodarczej. Rozwiązanie – które czeka jeszcze na uchwalenie przez Sejm – ma minimalizować przyszłe skutki gospodarcze pandemii.

Odroczenie niektórych obowiązków, m.in.:

- Przesunięcie terminu płatności zaliczek na podatek od wypłacanych wynagrodzeń w marcu i kwietniu 2020 r. (do 1 czerwca 2020 r.);
- Przesunięcie obowiązku składania nowego pliku JPK_VAT z deklaracją dla dużych podatników z 1 kwietnia na 1 lipca 2020 r.;
- Przesunięcie matrycy VAT z 1 kwietnia na 1 lipca 2020;

- Brak sankcji za złożenie deklaracji podatkowej i zapłaty podatku po terminie, jeśli nastąpi to do końca maja 2020 roku;
- Firmy, które są podatnikami CIT, będą miały więcej czasu na złożenie zeznania rocznego CIT-8 oraz wpłatę podatku. Termin został dla nich wydłużony do 31 maja br. Organizacje pozarządowe będą to mogły zrobić do 31 lipca;
- Przesunięcie obowiązku utworzenia Pracowniczych Planów Kapitałowych w średnich przedsiębiorstwach (II etap wdrożenia PPK). Nowe maksymalne terminy, to: 27 października 2020 r. na zawarcie umowy o zarządzanie PPK i 10 listopada 2020 r. na zawarcie umowy o prowadzenie PPK;
- Odroczenie do 13 lipca 2020 r. obowiązku zgłoszenia informacji do Centralnego Rejestru Beneficjentów Rzeczywistych (ustawa o przeciwdziałaniu praniu brudnych pieniędzy);
- Wydłużenie terminu na złożenie informacji o cenach transferowych do 30 września 2020 r.;
- Wydłużenie terminu na złożenie zawiadomienia o dokonaniu zapłaty powyżej 15 tys. złotych na rachunek niezamieszczony w wykazie podatników VAT, o którym mowa w art. 96b ust. 1 ustawy o VAT (z 3-dniowego do 14-dniowego);
- Przesunięcie terminu wejścia w życie rozwiązań prawnych dot. zrównania pozycji prawnej drob-

nych przedsiębiorców i konsumentów z 1 czerwca 2020 r. na 1 stycznia 2021 r.;

- Odroczenie podatku od sprzedaży detalicznej do 1 stycznia 2021 r.;
- Możliwość odroczenia terminu wykonania badań urządzeń technicznych, z zachowaniem możliwości eksploatacji przez maksymalny okres kolejnych 6 miesięcy;
- Wydłużenie okresu sporządzania dokumentów ewidencji odpadów w formie papierowej do 31 grudnia 2020 r.

Co to jest tarcza antykryzysowa?

Celem rządu w obliczu pandemii koronawirusa jest ochrona miejsc pracy i zapewnienie bezpieczeństwa finansowego oraz zdrowotnego naszych obywateli i firm. Koszty związane z obecną sytuacją gospodarczą powinny być rozłożone pomiędzy sektor przedsiębiorstw, pracowników, system finansowy i sektor publiczny w sposób solidarny i adekwatny do możliwości, z dbałością o bezpieczeństwo wszystkich sfer życia społecznego i gospodarczego w Polsce.

Osiągnięciu tego celu służyć ma właśnie tarcza antykryzysowa. Szacowana całkowita wartość tego pakietu to co najmniej 10% PKB.

Źródło: Ministerstwo Rozwoju



POLSKIE DZIEJE KIJOWA (cz. VII)

Proponujemy Czytelnikom „Krynicy” VII część książki Pana Mariana Kałuskiego pt. „Polskie dzieje Kijowa”, którą PT Autor (od 1964 roku mieszkający w Australii) uprzejmie zgodził się udostępnić Polakom Ukrainy. Redakcja wyraża Mu za to serdeczną wdzięczność.

Ekspedycje do królestwa Pani Historii są zawsze bardzo niebezpieczne, bowiem trudno w nich zachować obiektywizm. Dlatego ile osób, tyle spojrzeń na Przeszość.

Zachęcamy Państwa do lektury książki Pana Mariana Kałuskiego, przypominając, że jest to spojrzenie z drugiej półkuli naszego globu... i zapewne część PT Czytelników z owym spojrzeniem się nie zgodzi...

Redakcja

Sowieckie czasopisma polskojęzyczne wydawane w Kijowie w latach 1919–1941

Po wygranej przez Polskę wojnie polsko-bolszewickiej w 1920 roku i po Traktacie Ryskim zawartym między rządami Polski i Związku Sowieckiego (Republiki Rosyjskiej i Republiki Ukraińskiej), który ustalał granicę polsko-sowiecką i który zezwalał na repatriację Polaków z bolszewickiego „raju”, z której skorzystało 469 000 Polaków (Krystyna Sierocka, „Polonia Radziecka 1917–1939”, Warszawa 1968), na Ukrainie sowieckiej według danych sowieckiego spisu ludności z 1926 roku pozostało nadal 476 435 Polaków, z których 90% mieszkało na wsi. Pozostały procent Polaków mieszkał w miastach i należeli oni do klasy robotniczej. Inteligencja polska, tak liczna na Ukrainie do 1920 roku, repatriowała się do Polski.

Związek Sowiecki był rzekomo krajem „przyjaźni ludów”, w którym w teorii (ale tylko w teorii!) nie było dyskryminacji mniejszości narodowych. Władze sowieckie wydawały więc również czasopisma niby polskie. Niby, gdyż nie były one nie tylko z ducha polskie, ale także ich język polski pozostawiał wiele do życzenia, gdyż redaktorami i współpracownikami tych czasopism byli całkowicie zrusyfikowani Rosjanie (rządziej Ukraińcy) albo ukraińscy Żydzi, którzy znali słabo język polski. Poza tym wydawane przez władze sowieckie wszystkie czasopisma polskojęzyczne były niczym innym jak zwykłą propagandą bolszewicką, i to często o treści polakożerczej. Oto bolszewickie gadzinówki polskojęzyczne wydawane w Kijowie w latach 1918–1941:

„Biuletyn Głosu Komunisty” 1920

„Foto-Gazeta” 1928

„Głos Armii Czerwonej” – dodatek do „Głosu Komunisty” 1919–1920

„Głos Komunisty. Organ Komitetu Kijowskiego Polskiej Sekcji Komunistycznej Partii Ukrainy” – dziennik 1919–1922

„Głos Młodzieży” – tygodnik 1928–1935

„Głos Radziecki” – dziennik organ Komunistycznej Partii Ukrainy 1935–1941

„Komunista Polski” – organ Kijowskiego Komitetu Centralnego Polskiej Robotniczo-Włościańskiej Partii Komunistycznej 1919

„Młody Towarzysz” – miesięcznik dla dzieci i młodzieży 1924

„Na Barykady” 1918–1920

„Poradnik Oświatowy” – organ Centralnego Biura Polskiego Komisariatu Ludowego Oświaty Ukrainy 1930–1932

„Przegląd Komunistyczny” – organ Biura Polskiego przy KC Komunistycznej Partii Ukrainy 1920

„Sierp” – tygodnik poświęcony sprawom wsi 1922–1928

„Stawajmy do Wyborów” – jednodniówka wyborcza 24.10.1924

„Sztandar Komunizmu” – tygodnik Sekcji Polskiej przy Federacji Grup Zagranicznych Komunistycznej Partii Bolszewików Ukrainy 1919

„Sztandar Pioniera” miesięcznik dla dzieci 1924–1925

„Szturmowiec” – jednodniówka z okazji 13. rocznicy rewolucji bolszewickiej 1930

„Żołnierz Polski. Pismo poświęcone czynowi i doli żołnierza polskiego” – pismo bolszewickie 1920

„Żołnierz Rewolucji” 1920.

N-r 2.

Wtorek, 22 czerwca 1920 r.

N-r 2.

BIULETYN „GŁOSU KOMUNISTY“

Proletariusze wszystkich krajów łączcie się!

Redakcja i Administracja: Kreszatyńsk 38, Tel. 25-64.
Administracja czynna od godz. 10 — 4 po południu.
Godz. przyjęć w sprawach Redakcji od 12 — 1 i od 6 — 7.

Wydawnictwo wydziału politycznego Wojennej Rady Rewolucyjnej N-tej Armii Czerwonej.

Robotnicy, uczciwi obywatele Polacy! Sami przekonaliście się o okrucieństwie i barbarzyństwie rodzimej reakcji.

Do broni, do pracy! Jedynie tylko władza robotniczo-właścicka zapewni wam spokój i możliwość pracy twórczej.

Popierajcie czynem władzę Robotniczo-właścicką!

Na prawo.

Według ostatnich wiadomości nadeszłych z Polski, gabinet Skulskiego w pełnym składzie podał się do dymisji. Równocześnie w Warszawie oczekują na przyjazd Paderewskiego.

Obydwe wiadomości są w ścisłym związku i wyraźnie wskazują, że w polityce klas rządzących Polski następuje nowy zwrot na prawo.

Gabinet Skulskiego był marionetką w rękach junkierstwa polskiego a Pilsudskim na ciele.

Awarant wojenna, która doprowadziła armię polską do klęski, przeprowadził w Polsce obłąkany romantyzm młodego imperjalizmu polskiego.

Pilsudskiemu i całej jego kamaryllie wojskowej zdawało się, że wystarczy wydobyci karabale z pochwy, odłożyć ją kapitałom zagranicznym i ostrzymać jej dechodzący o najwęższych krawędziach społecznych i politycznych.

Była to reakcja polska: beznadziejna, krzykawa, ale politycznie niedojrzała.

Niebezpieczeństwo owej polityki zaważającej o rasie, nasycała polską niecierpliwość i najgłębszą nienawiść, nasycała demokrację. Ona chciała jeszcze szerzej i głębiej kłaskać Rewolucję. Ale, na brzości pewnej, wprawy i zmysłu politycznego w swej wieloletniej tułaczce po przedpokojach ministerialnych Europy, stała wygi reakcyjnego obłąka reakcji polskiej patrzył więcej trzeźwo na prawdziwy stan rzeczy i widział, że sprawa, że w wewnętrzną politykę może doprowadzić do ogólno-przebiegłych rezultatów.

Dlatego to endecy wystąpili przeciwko ostatniej awanturze wojennej klęki polskiej, dlatego sprzeciwiali się stwarzaniu podstaw ukraińskiego i awanturkizmu Petlura na ciele. Woleli oni obłąka polski, rosyjski i ukraiński lud pracujący według systemu angielskiego, wyzyskany wędry robotniczo-właścickiej drogi „pokoju” od wewnątrz.

Obecnie, jak widać, endecy biorą się do retortowania Polski ślacheckiej. Według wszelkiego prawdopodobieństwa nowy gabinet będzie całkowicie złaowy i endekowski. Walka bowiem klasowa w Republice Świeckich, nieustannie wrzesać rewolucyjną na całym świecie wypręży głębokie bruzdy w życiu społecznym i politycznym Polski.

W sytuacji obecnej, po strasznej klęsce awantury ślacheckiej dwie tylko widziały się możliwości w Polsce. Władza proletariacka, komunistyczna, lub najbardziej reakcyjna. Władza utworzona z elementów środków, wahał się, w rodzaju pepesowskiej, lub liberalnej nie umiała i nie mogła utrzymać równowagi politycznej przy zaostrzonej obecnie sytuacji w Polsce.

Nie wątpimy, że o ile proletariacki polski nie skorzysta z obecnej nader dla niego dogodnej sytuacji politycznej, to wyprzedzi go narodość demokracja, która będzie się starała przy pomocy burżuazji (dyskretnej burżuazji) — tłumić ruch rewolucyjny, jaki niezawodnie wybuchnie ze zdwojoną siłą po klęsce ślacheckiej, i uratować ustroju burżuazji w Polsce.

Przez prasę rosyjską obiegły pogłoski, jakoby Polska wróciła się do koalicji z prośbą o wznowienie naszej ofensywy, obowiązując się wzmianką do wycofania swych wojsk i zawarcia pokoju z Rosją Sowiecką. Jest to bezwzględnie fałszywa endekowa, jako mocno spóźniona.

Obecnie bowiem armię polską my sami „wycofamy”, a gościć się będziemy z proletariatem Polski.

Wojtyła.

Front Czerwony.

Z komunikatu N-tej Armii godz. 12
19 czerwca.

Kierunek Owrutsk. W rejonie Czerasobyla, na północ od ujścia Prypiet — spokojnie. Z obu stron — stacja wyładowania. Na południe od ujścia Prypiet, wojska nasze, poczynając od dnia 17-go czerwca, toczyły zaciekłe walki w celu opanowania wsi Czerewacz, położonej nad rzeką Ula. Nie bacząc na spór nieprzyjaciela, zajęliśmy most, oraz samą wioskę Czerewacz. Nieprzyjacieli cofa się w kierunku Mozyrza.

Dnia 17-go czerwca, wieczorem, nie bacząc na silny ogień nieprzyjacielski, oddziały nasze wtargnęły do m. Czernia. Nieprzyjacieli cofali się w popłochu. Dnia 17-go czerwca, wieczorem, oddziały nasze toczyły uporczywą walkę około wsi Rożnyshe. Nieprzyjacieli za pomocą kontrataku zmusili nasze oddziały do ustąpienia o kilka wiorst na południe od wsi Rożnyshe. Przy pomocy przybyłych z szeregu poprzednia sytuacja została opanowana.

Kawaleria nasza opanowała miasteczko Chabno, poczem po rozbięciu do polaków, w dalszym ciągu nacieramy na Owrutsk.

Z komunikatu N-tej Armii godz. 21
19 czerwca.

Wojska nasze, zderzając się z cofającymi się m. Czernobyla nieprzyjacielskim, opanowały wioskę Kopyca, odległą o 10 w. na północny zachód od Czernobyla, oraz wioskę Iłłice. Tego samego dnia zajęliśmy wioskę Rożnyshe i Naroditsk.

Kierunek Korosten. Oddziały nasze dotarły do linii wsi Bojar — Malin, odległych o 15 wiorst na południowy zachód od Korostena i w dalszym ciągu nacieramy na Korosten.

Rozbiła przez nas wojska nieprzyjacielskie okrutną ślaby epokę, porzucając i niszcząc amunicję oraz wszelkie zapasy. W bitwach stoczonych dnia 18-go czerwca zagraneliśmy mnóstwo jeńców, wśród nich szeregowców 41-go pułku, wchodzącego w skład szeregów kijowskiej.

Na południu, oddziały nasze zagraneli szeregi nieprzyjacielskie, położonych w odległości 15 w. na zachód od Malina.

(Kijów — Ukraina).

Wielki z frontu.

Przybyły z frontu współpracownicy „Ukroty”, w rozmowie z nami oświadczają co następuje:

W tym czasie, gdy ogarniał niewypowiedzianą paniką polacy ewakuowali Kijów, na tyłach dyktacji polskiej kawalerii Budennego rozpoczęła się niepostrzeżenie śmiała operacja.

Jednym z najbardziej efektywnych i śmiałych epurów wspaniałego reidu, był fakt pojawienia się kawalerzystów Budennego na st. Teterów. Przybyli niespodzianie podjazd kawalerii czerwonej rozbił zające stację, zajął aparaty telegraficzne, wzięł do niewoli komendanta stacji, oraz żołnierzy, poczem zwoławszy zebranych pracowników kolejowych oraz okolicznych władców, opuścili stację. Wioszczenie okłamań dowodzących się o przybyciu kawalerii Budennego przybywali tłumnie, zafascynowani żywności, rozumiejąc, iż jedynie armia czerwona wybrała ich z niewoli polskiej.

Najed nacz. Teterów wywołał niebywałą panikę na całej linii kolejowej, poczynając od Kijowa aż do Korosten. Znajdujące się na st. Korosten podległe wojskowe oraz sanitarne opuściły stację kierując się ku Sarnom.

Następnym przerwaniem linii kolejowej, cofające się z Kijowa oddziały polskie, opuściły stację. Wioszczenie okłamań dowodzących się o przybyciu kawalerii Budennego przybywali tłumnie, zafascynowani żywności, rozumiejąc, iż jedynie armia czerwona wybrała ich z niewoli polskiej.

Z ZAGRANICY.

Kreszaty robotników.

REWEŁ. W Paryżu aresztowano sekretarza federacji kolejowej Monmousseau, sekretarza komitetu sydykietu urzędników miejskich Corin, oraz kilkunastu innych robotników, pod zarzutem rozpowszechniania przez nich literatury antymilitaryzacyjnej.

Revolucja w Persji.

REWEŁ, 10 czerwca. (Spółziona). Według wiadomości podanych przez gazety francuskie, wiadomości o zwycięstwie posuwaniu się wojsk czerwonych wywołały niebywałe panikę, w stolicy kraju — Teheranie. Banki i kasy oszczędnościowe — obłożone. Wiele osób opuszcza miasto. (Kijów — Ukraina).

Różne.

Mobilizacja na Ukrainie.

CHARKOW, 15 czerwca. (Spółziona). Z wielu miast i miasteczek na Ukrainie donoszą o pomyslnym przebiegu mobilizacji. Czekotkowie zmobilizowani uchylają się od oglądania lekarzów, oświadczając, że nie chcą się zgłaszać do szpitali i przynajmniej do czerwonej armii.

Zapóźno.

Możk „Prawda” z dn. 11 maja pisał, że rząd polski w związku z klęską armii polskiej zwrócił się do Koalicji z prośbą, by ta ostatnia zwróciła się do Rządu Sowieckiego z propozycją zaprzestania ofensywy, wzmianka za co Polska zobowiązała się wycofać swe wojska z Ukrainy.

Łaska pańska wieka, lecz my komunisty jesteśmy tak źle wychowani, że nie możemy się zgodzić na utrzymanie polityki jaśniejania. Mamy dobrą pamięć i pamiętamy o wcale nieuprzejmym tonie ślacheckim w Borysowie.

Zresztą uważamy, że wygodniej i korzystniej prowadzić rokowania ze ślachecką w Czerwonej Warszawie, w Naczelnym Trybunale Rewolucyjnym Polskiej Republiki Sowieckiej.

W KIJOWIE.

■ Nie wierząc w prowokatorstwo, prowokatorów, najemników Pilsudskiego, Petlura i Lloyd George’a rozpowszechniają po mieście, a zwłaszcza na rynkach, pogłoski o jakiejś armii „narodowej”, o zajęciu przez nią Moskwy, Charkowa, Polawy i t.p.

Milicja miejska otrzymała rozkaz aresztowania, rozpowszechniających podobne prowokatorskie pogłoski osób i oddziały ich do Trybunału Rewolucyjnego, gdzie poniosą zasłużoną karę.

■ Otwarcie Gubernialnego Trybunału Rewolucyjnego. Kijowski Gubernialny Trybunał Rewolucyjny rozpoczął urządowanie w dniu 17 b. m. w lokalu przy ul. Mikajewskiej Nr 3.

■ Naprawa mostów. Tymczasowe Biuro Związków zawodowych zarządziło mobilizację wszystkich nie zajętych dotychczas pracą robotników dla robót przy odbudowaniu mostów.

Robotnicy otrzymują rację czerwonoarmistów, oprócz płacy zarobkowej.

Z ostatniej chwili.

Komunikat operacyjny z dnia 20 czerwca.

Na południowy zachód od Polowa w rejonie linii kolejowej odpędziliśmy kilka ataków nieprzyjacielskich.

W rejonie rezydując wojska nasze pod silnym ogniem nieprzyjacielskim sforsowały Dniepr i opanowały m. Rezcze. Nacieranie nasze trwa w dalszym ciągu, przyczem zagroźniliśmy liczną ułecą.

W kierunku Korostenkim w dalszym ciągu wypieramy nieprzyjaciela, zagarniając przysiężnych jeńców i trofea.

W kierunku Płoskowskim oddziały nasze zdobyły Winnik i wypierają cofające się polaków.

(Kijów — Ukraina).

Polskie życie teatralne w Kijowie



Życie teatralne w Kijowie zapoczątkowali Polacy.

W dziejach narodu polskiego jest jeszcze wiele białych plam – tematów jeszcze nieopracowanych przez historyków. Do tych tematów należą m.in. dzieje polskiego życia teatralnego w Kijowie na przestrzeni wieków. Opracowane zostały jedynie dzieje polskiego życia teatralnego w tym mieście w latach 1905–1918 (Piotr Horbatowski, „Polskie życie teatralne w Kijowie w latach 1905–1918”, Wydawnictwo Uniwersytetu Jagiellońskiego, Kraków 2009), podczas gdy, według Wandy Świątkowskiej, teatrologa z Uniwersytetu Jagiellońskiego, skromne przekazy historyczne wspominają o polskich występach teatralnych w naddnieprowym grodzie Kija już w XVII wieku, kiedy to miasto odwiedzały polskie trupy teatralne („Wschodnie peregrynacje i praktyki Juliusza Osterwy”, „Performer” 2011, nr 3).

Były to jednak prehistoryczne dzieje polskiego życia teatralnego w Kijowie. Nowsze dzieje teatru polskiego zapoczątkował rok 1803. Los sprawił, że historia teatru polskiego w Kijowie jest podzielona na dwa okresy: pierwszy do 1864 roku i drugi od 1905 roku. Luka w tej historii była rezultatem obowiązującego w latach

1864–1905 carskiego zakazu dawania przedstawień w języku polskim w Kijowie i na całych Kresach dawnej Rzeczypospolitej. Rewolucja 1905 roku zmusiła władze carskie do liberalizacji polityki, do przyznania obywatelom Rosji, także i Polakom, większych swobód obywatelskich, w wyniku czego odrodziło się w Kijowie polskie życie teatralne. Tutaj postaram się częściowo zapęłnić tę białą plamę w dziejach tak teatru kijowskiego jak i teatru polskiego.

W II (1793) i III (1795) rozbiórze Polski całe jej ziemie ukraińskie zostały włączone do Rosji. Z polskiego województwa kijowskiego carat w 1797 roku utworzył gubernię kijowską, do której przyłączył przygraniczny rosyjski Kijów, tworząc z miasta jej stolicę. W następnym roku władze carskie przenieśli z Dubna na Wołyniu do Kijowa wielkie doroczne kontrakty, na których w przedrozbiorowej Polsce szlachta polska ziem ukraińskich zawierała różne umowy dotyczące sprzedaży i kupna dóbr ziemskich, dzierżaw, cesji dożywoci w królewskich, wypłaty posagów, a także umowy o charakterze kredytowym, jak zastawy dóbr, kupno renty, zabezpieczenie wierzytelności na nieruchomościach, zaciągano długi na skrypty itp. W 1812 roku w guberni kijowskiej było 43 000 polskich właścicieli ziemskich i tylko 1000 rosyjskich. Toteż kontrakty kijowskie ściągały do miasta tysiące polskiej szlachty i innych Polaków nimi zainteresowanych. Jednocześnie bardzo wiele polskich rodzin szlacheckich spędzało zimy w Kijowie. Wesoło spędzały tam czas: urządzano przyjęcia i bale oraz różne imprezy. Do miasta zaczęły przyjeżdżać różne polskie trupy teatralne i baletowe, a w 1803 roku, według Wandy Świątkowskiej, założono w mieście pierwszy stały teatr polski. Może nie był to tyle stały teatr polski, co dłuższy występ, a właściwie dwa występy zawodowych teatrów polskich. Wiemy na podstawie zachowanych materiałów archiwalnych, że w tymże 1803 roku w Kijowie występował zawodowy teatr polski z Kamieńca Podolskiego Jana Nepomucena Kamińskiego (wychowanek „ojca teatru polskiego” Wojciecha Bogusławskiego i później zasłużony twórca wielkości teatru lwowskiego), w którym występował m.in. Antoni Bensa (później wielki aktor teatru lwowskiego) oraz w 1803-04 polsko-rosyjski teatr Łotockiego, który na inaugurację 9 września 1803 roku wystawił komedię polską „Gawęł na księżycu” i rosyjską „Kozak poeta”.



Jan Nepomucen Kamiński (1777–1855) – polski reżyser, aktor, dramaturg, tłumacz, poeta, redaktor, autor pism filozoficznych i językoznawczych, dyrektor teatru polskiego we Lwowie, nazywany „Ojcem galicyjskiej sceny polskiej”

Nie było tu wówczas stałej sali teatralnej. Pierwszy drewniany teatr na Kreszczatiku na 470 miejsc wzniesiono w 1807 roku według projektu architekta Andreja Melenskiego. Fasadę główną zdobił tympanon z czterema kolumnami. Sala miała pięć rzędów krzeseł, parter, amfiteatr, dwa piętra łóż i galerię. Tutaj, do czasu rozebrania budynku w 1851 roku, grały wszystkie stałe i odwiedzające Kijów teatry polskie.

W latach 1805-09 swój teatr w Kijowie prowadził były aktor Teatru Narodowego w Warszawie Antoni Żmijowski, który następnie prowadził teatr polski w Żytomierzu (Wołyń). W 1816 roku teatr ten dawał z powodzeniem przedstawienia również w Kijowie. Występowali w nim dobrzy, zawodowi aktorzy jak np. Czechowski, Denger, Grabowski, Aleksander Łękowski, Anna Malinowska, Malinowski, Ludwik Młotkowski, Montwianiec, Sokołowska, Wilczyński, Zawadzki (na podstawie afiszu w zbiorach Muzeum Teatralnego w Kijowie). Teatr wystawiał m.in. „Hamleta”, „Diabła wrzawę”, „Nadyra”, „Bajdara, rycerza bez bojaźni i przygany”, „Ifigenię w Aulidzie”.

Lata 20. XIX w. zaznaczyły się ożywioną polską działalnością teatralną w Kijowie. W 1822 roku przybył tu ze swoim zespołem i prowadził go przez rok Hieronim Kamiński i prawdopodobnie grał tu w tymże roku również teatr polski ze Lwowa, kierowany przez Jana Nepomucena Kamińskiego, a oprócz tego kilka innych trup teatralnych.

W latach 1811-12 i 1822-29 dyrektorem teatru kijowskiego był Aleksander Łękowski, który w latach 1812-16 prowadził własny zespół teatralny i następnie w latach 1829-30. Łękowski stworzył duży zespół, złożony z dobrych aktorów, grających przedtem i potem w różnych zespołach polskich na terenie zaboru rosyjskiego; w latach 1823–1827 przewinęli się przez niego tacy aktorzy jak: Beer, Michał Betlejewski, Bielińska-Pillik, Rozalia Burzyńska, Ciechanowicz, Degner, Marianna Kamińska, Kasper Kamiński, Litwianiec, Dezydery Mahe, Mikulska, Mikulski, Milewska, Józef Milewski, Młotkowska, Montwianiec, Elżbieta Niedzielska, Szymon Niedzielski (występował w Kijowie w zespole Łękowskiego do 1830 r.), Nowicka, Magdalena Podgrabiańska, Jan Radoszewicz (występował w Kijowie w zespole Łękowskiego do 1830 r.), Jan Starzewski, Stefanowska, Anastazja Szytler, Wojciechowska, Zawadzka, Zawadzki, Zieliński, Zubowicz (na podstawie afiszów w zbiorach Muzeum Teatralnego w Kijowie). Wystawiano m.in. sztuki: „Krakowiacy i górale”, „Helena, czyli Hajdamacy na Ukrainie”, „Hamlet”, „Hen-

ryk VI na łowach”, „Cyd”, „Don Juan” (Moliera), „Cyrylik sewilski”, „Zbójcy”, „Dziewica słońca”, „Płaksa i Wesołowski”, „Kora i Alonzo”, „Inez de Castro”, „Dnieprowska rusałka”, „Pokój nad Prutem”, „Podrzutka”, „Żelazna maska” (dramat).

Po Powstaniu Listopadowym 1830-31 władze carskie utrudniały polską działalność teatralną w Kijowie i bardzo ograniczyły dostęp polskich trup do miasta. Jednocześnie dążyły one do zrusyfikowania teatru kijowskiego, co było trudne do zrealizowania, gdyż większość publiczności teatralnej stanowili Polacy. Chcąc nie chcąc, występujący w Kijowie w 1834 roku teatr rosyjski Jana Szejna z Charkowa wystawił też kilka sztuk w języku polskim (afisze Muzeum Teatru w Kijowie). Niewiele zachowało się informacji z polskiej działalności teatralnej w Kijowie z tego okresu. Wiemy tylko tyle, że np. w 1832 roku wystawiano tu „Cyd”, że w 1835 roku w występującym tu polskim zespole teatralnym grali m.in. Anastazja Szytler i Jankowski, że Kijów odwiedzał zespół teatralny Ludwika Młotkowskiego, działający w Charkowie w latach 1836-43, że w 1843, 1845 i 1846 roku występował tu polsko-niemiecki zespół operowy Wilhelma Schmidkoffa.

Pod koniec panowania Mikołaja I (zm. 1855) żelazni uległa wroga Polakom polityka caratu. W 1852 roku ożyło na nowo polskie życie teatralne w Kijowie.

W 1848 i w 1851 roku przybył do Kijowa na występy z własnym zespołem baletowym Maurycy Pion (1801–1869), polski tancerz i choreograf pochodzenia francuskiego (ożenił się z Polką Antoniną Budzyńską, dzieci wychował na Polaków i zmarł w Warszawie), od 1818 roku pierwszy tancerz baletu warszawskiego, jako jego dyrektor (1826-43) i od 1832 roku kierownik warszawskiej szkoły baletowej stworzył podwaliny ich późniejszej świetności. Po przejściu na emeryturę z własnym zespołem baletowym odwiedzał miasta polskie i rosyjskie. W styczniu 1852 roku obrał Kijów na stałą siedzibę swego baletu, który tu zdobył dużą popularność. W Kijowie przyłączył do swego baletu rosyjski zespół dramatyczny, a potem także polski oraz zorganizował szkołę baletową. W związku z tym, że w 1851 roku ze względów bezpieczeństwa rozebrano budynek teatru na Kreszczatiku, zespół Maurycego Piona występował najpierw w sali teatralnej przy ul. Luteńskiej, w wzniesionym w 1851 roku obszernym budynku klubu niemieckich rzemieślników. Jako antreprener teatru kijowskiego w 1853 roku Pion urządził nowy teatr w gmachu dawnego dużego magazynu, w którym występował. Teatr w tym budynku działał tylko

do 1857 roku. Pion zrezygnował z dyrekcji teatru w 1855 roku, a rok później opuścił Kijów; po pobycie w Kamieńcu Podolskim powrócił do Warszawy.

W teatrze kijowskim za Maurycego Piona występowali m.in.: tancerz warszawski Józef Baldi i tancerz z Teatru Polskiego w Żytomierzu Dobrucki, tancerki Klimkowska, Emilia Kotulińska, Emilia Skwarska. Tańczyli m.in. w przedstawieniach: „Milili, czyli Stryczykowie”, „Rozbójnik morski”, „Schadzka na przedmieściu”, „Ciernie żywota”, a z aktorów występowali m.in. Sławski (role amantów i bohaterów) i Leonard Słobodziński (grał doskonale Wojciecha w „Rodzinie Mazurów”).

Od listopada 1852 do lutego 1853 roku występował w Kijowie zespół teatralny Konstantego Fedeckiego, dla którego został zbudowany prowizoryczny teatr w „polskiej” dzielnicy miasta – Lipki (mieszkało tam dużo bogatych Polaków). W repertuarze teatru były przedstawienia: „Mąż i żona”, „Pokoik Zuzi”, „Antoni i Antosia”, „Icek sędzią”, „Spis wojskowy”, „Nikt mnie nie zna”, „Birbantduch Robert”.

Polacy przystąpili do budowy nowego gmachu teatralnego w Kijowie dla teatru polsko-rosyjskiego. Został on zbudowany w 1856 roku według projektu polskiego architekta Ksawerego Skórzyńskiego (Skarżyńskiego). Teatr był najpierw na 800 osób, a po podniesieniu parteru na 1200 osób. Miał podłogę parterową ruchomą dla balów maskowych, schody granitowe, loże i *foyer* pięknie ozdobione, scenę obszerną, kilka wejść zaopatrzonych tamburami, sufit metalowy, akustyczny. Rezerwuary na wodę miały komunikację ze sceną i maszynią. Teatr otwarto 2 października 1856 roku polską komedią J. Korzeniowskiego „Doktor medycyny” i dwoma rosyjskimi wodewilami.

We wrześniu 1858 roku przybył na występy do Kijowa zespół teatralny Teofila Borkowskiego (1815–1897), w latach 1845–49 aktora teatru krakowskiego, a następnie założyciela własnego dobrego zespołu teatralnego, który dawał występy w miastach Wschodniej Galicji. Zespół ten, jego gra i organizacja spodobały się aktorom polskim w Kijowie, a repertuar i gra również publiczności. 20 grudnia 1858 roku Teofil Borkowski został dyrektorem teatru kijowskiego; podpisano z nim kontrakt na sześć lat. Była to bardzo udana dyrekcja pod każdym względem. Najważniejszym było ogromne uznanie i poparcie ze strony publiczności. Na przełomie 1860–1861 roku Borkowski objął też dyrekcję teatru polskiego w Żytomierzu i zabrał część tamtejszego zespołu do Kijowa. Teatr wyjeżdżał na występy

do innych miast ziem ukraińskich, m.in. do Kamieńca Podolskiego i Odessy w 1860 roku, czy do Białej Cerkwi i Humania w 1861 roku. Borkowski wydał dwie broszury w języku polskim i rosyjskim: „Powszechne prawidła dla teatru” (Kijów 1861) i „Bilans Teatru Polskiego w Kijowie od dnia 22 lutego 1859” (Kijów 1862), a w 1896 roku w czasopiśmie „Żyzń i искусство” opublikował artykuł o dziejach teatru kijowskiego od 1818 roku. W styczniu 1863 roku na ziemiach polskich zaboru rosyjskiego wybuchło polskie powstanie narodowe skierowane przeciwko rosyjskiemu panowaniu w Polsce. W jesieni 1863 Teofil Borkowski został usunięty od kierowania teatrem kijowskim, podobno za sprzyjanie powstaniu. Zmarł w Kijowie w 1897 roku.

Aktorami kijowskimi za Teofila Borkowskiego byli m.in.: aktorka z Wilna Teofila Baczyńska, przyrodni brat Heleny Modrzejewskiej – Józef Benda, Brumer,



Aleksander Zelwerowicz (1877–1955) – polski aktor, reżyser, dyrektor teatru, pedagog, członek Polskiego Komitetu Obrońców Pokoju w 1949 roku.

Jeden z najwybitniejszych polskich aktorów i reżyserów w historii.
Na zdjęciu jako Figaro w „Cyruliku sewilskim”

aktor z Wilna Chrzczonowicz, aktorzy z Kamieńca Podolskiego Albert Wojciech Ekert i jego żona Marcelina Ekertowa, kijowianin Tytus Gembicki, późniejszy aktor teatrów warszawskich Władysław Holtzman, aktor z Kalisza Joachim Lesser (w 1858 reżyser teatru), aktor lwowski Józef Mroziński, śpiewaczka z Warszawy Albina (Bagnerowska) Ostrowska, ze Lwowa Rozumiłowska, aktorka z Grodna Antonina Słobodzińska, aktor z Wilna i Grodna Michał Tomkiewicz, aktorka lwowska (debiut) Maria Trzeciak (należała do grona aktorów polskich wyrugowanych z teatru kijowskiego w 1864 r.), dekorator teatru warszawskiego Ignacy Ważniewski.

Po Powstaniu Styczniowym 1863 władze carskie postanowiły zniszczyć polskość na Kresach. Zabroniono wydawania czasopism i książek polskich, dawania przedstawień teatralnych czy jakichkolwiek innych imprez po polsku. Zabroniono nawet używania języka polskiego w miejscach publicznych. Teatr Polski w Kijowie został zamknięty na początku 1864 roku, które to posunięcie władz carskich zakończyło pierwszy rozdział historii polskiego życia teatralnego w Kijowie.

Jednak nie wszystkie więzi Polaków z teatrem kijowskim zostały zerwane.

Po zamknięciu Teatru Polskiego w Kijowie, w jego gmachu znalazła siedzibę założona w 1867 roku rosyjska stała trupa operowa. Z biegiem lat opera kijowska stała się, obok teatrów operowych w Moskwie i Petersburgu, jedną z najlepszych w Imperium Rosyjskim.

Szereg znanych polskich śpiewaków operowych występowało w operze kijowskiej przed i po 1905 roku, a wśród nich w 1901, 1905, 1906 i w 1914 roku Janina Korolewicz-Waydowa, o której głosie włoski maestro – mistrz *belcanta*, o pięknym aksamitnym głosie Mattia Battistini (zm. 1928) powiedział, że jest to najpiękniejszy głos świata. Podczas występu w 1905 roku śpiewała m.in. „Halkę” w języku polskim, co było na tamtym gruncie niezwykle wyjątkowym wydarzeniem, a podczas występów w 1906 roku miała po raz pierwszy za partnera F. J. Szalapina (w „Fauście”), a tak cudownie śpiewała, że otrzymała propozycję pozostania na stałe na scenie Cesarskiej Opery w Petersburgu. Poza Korolewicz-Waydową w operze kijowskiej występowali następujący znani śpiewacy polscy: Antoni Borkowski (1908), Stanisław Bruszewski (1893), Teresa Brzechffa (1871), Bronisława Dowiakowska (1881), Michalina Frenkiel-Niwińska (1892), krakowianka Emilia Gadowska (1867-71, zmarła w Kijowie), Wiktor Grąbczewski (1911), występująca na wszystkich wielkich

scenach operowych świata Margot (Maria) Kaftal (1906), jedna z najsławniejszych polskich śpiewaczek operetkowych Wiktoria Kawecka (1905, 1906, 1909, 1910), Maria Krzyżanowska (1918-19), Tadeusz Leliwa (1901, 1906 i 1911; tu usłyszał go słynny skrzypek S. Barcewicz i sprowadził do Warszawy), rodowita kijowianka Maria Łubkowska (często w latach 1886-94), która ukończyła konserwatorium kijowskie i w latach 1905-18 uczyła śpiewu w Kijowie (potem w Warszawie), Justyna Machwic (1881 i 1885), jedna z najwybitniejszych śpiewaczek polskich Lucyna Messal (1913 i podczas wojny gościnnie), śpiewak opery lwowskiej i warszawskiej Aleksander Myszuga (1895-96, 1897 i 1898; 1905-11 nauczyciel śpiewu w konserwatorium w Kijowie, następnie w Warszawie), po debiucie w Warszawie Teodor Orzeszkiewicz (1906-10), śpiewaczka warszawska o międzynarodowej sławie Adelina Paschalis (1876), po debiucie w Warszawie Eugeniusz Patiuszenko (1874), Adolf Popławski (do 1920; odbywał studia muzyczne m.in. w Kijowie), z opery warszawskiej Wanda Roszkowska (1905/6, występowała w partii tytułowej w „Halce”), światowej sławy śpiewak, porównywany z E. Carusem – Stefan Belina-Skupiewski (podczas I wojny światowej), śpiewaczka opery warszawskiej Amalia Maria Szymańska (przed 1917, zmarła w Kijowie w tymże roku), po debiucie w Warszawie Ludwik Wierzbicki (1881 i 1885).

A poza tym: w operze kijowskiej występowali przed i po 1905 roku znani tancerze i baletmistrzowie opery warszawskiej: Antoni Kwiatkowski w 1874 roku opracował choreografię „Halki” S. Moniuszki dla opery kijowskiej, Stanisław Lenczewski występował w operze kijowskiej w 1874 i 1875 roku, gdzie wystawił m.in. „Wesele w Ojcowie”, Stanisław Faliszewski w 1906 roku wystawiając tu „Sen baletomana”, Sylwin Baliśzewski podczas I wojny światowej, tancerka warszawskiej opery Maria Mazurowska występowała w operze kijowskiej w 1881 roku, a w latach 1915-16 występująca w wielu teatrach świata Halina Szmolcówna; w sezonie 1891/92 występowała w operze włoskiej w Kijowie polska śpiewaczka Mira Heller; w 1903 roku w Kijowie koncertował cieszący się dużym powodzeniem krakowski zespół operowy Ludwika Hellera; znany aktor i dyrektor teatrów polskich Konstanty Łobojko po opuszczeniu sceny w 1879 roku osiadł w Kijowie, gdzie prowadził znaną szkołę tańca i gdzie zmarł w 1904 roku; dyrygent czeski działający w teatrach polskich Warszawy i Lwowa Ludwik Czelański w sezonie 1904/05 był dyrygentem opery kijowskiej; w teatrze



Juliusz Osterwa (1885–1947) – polski aktor i reżyser teatralny, wolnomularz. Jeden z najwybitniejszych polskich aktorów i reżyserów teatralnych w historii

rosyjskim T. Sołowcewa w Kijowie debiutował w 1915 roku Polak Olgierd Radwan, w latach 1924-62 aktor teatrów w Polsce.

Powolutku i właściwie tylnymi drzwiami powracało do Kijowa polskie życie teatralne przed przywróceniem Polakom wolności przez carat w 1905 roku. I tak kijowianin, Władysław Guenther w swoich wspomnieniach pisze, że niektóre domy zamożnych Polaków w Kijowie udzielały gościny polskim teatrom amatorskim. W maju 1899 roku w Teatrze Bergonie po raz pierwszy od 36 lat wystąpił w Kijowie zawodowy polski zespół teatralny Józefa Popławskiego i jego żony Gabrieli Morskiej. Z „wieczorami humoru” występował w Kijowie w 1898 i 1899 roku znany monologista Artur Zawadzki. Aktor i reżyser Warszawskich Teatrów Rządowych Bolesław Bolesławski wraz z żoną Józefiną w 1901 roku zorganizowali własny zespół teatralny, z którym do 1904 roku wędrowali po ziemiach historycznej Polski w zaborze rosyjskim, występując m.in. w Kijowie w 1901 roku. W 1904 roku w Kijowie występowała Stanisława Chrzanowska. W latach 1897-99 uczniem konserwatorium kijowskiego był Zygmunt Wilczkowski, znany potem polski aktor, reżyser i dyrektor teatru „Rewia” w Wilnie; w latach 1902-03 brał udział w polskich konspiracyjnych amatorskich przedstawieniach w Kijowie, o których dzisiaj nic prawie nie wiemy, a który to fakt obrazował siłę polskiego zbuntowanego ducha przeciwko rosyjskiej tyranii.

W wyniku rewolucji 1905 roku car Mikołaj II był zmuszony przyznać obywatelom Rosji, a więc także Polakom, większe prawa obywatelskie. Polacy po 41 latach mogli na nowo organizować jawnie polskie życie teatralne w Kijowie. Występ Janiny Korolewicz-Waydowej w operze kijowskiej w 1905 roku w języku polskim zapoczątkował drugi okres dziejów polskiego życia teatralnego w Kijowie.

Historykom dziejów teatru polskiego musi rzucić się w oczy to, że zaraz i wkrótce po przyznaniu Polakom na Kresach wolności słowa, a co za tym szło możliwości organizowania polskich przedstawień teatralnych w polskich ośrodkach na Kresach, Kijów i Wilno stały się celem podróży polskich zespołów teatralnych z Królestwa Polskiego i Galicji oraz miejscem gościnnych występów pojedynczych gwiazd polskiego teatru. Jeszcze przed wydaniem przez cara Mikołaja II Manifestu Październikowego (30.10.1905) przyznającego ludności swobody obywatelskie, bo już w czerwcu 1905 roku Teatr Polski ze Lwowa pod kierownictwem Tadeusza Pawlikowskiego występował w Kijowie, z

udziałem Karola Adwentowicza, Władysława Antoniewskiego, Huberta Brzozowskiego, Józefa Chmielińskiego, Ferdynanda Feldmana, Anny Gostyńskiej, Janiny Jankowskiej, Władysława Kwiatkiewicza, Jana Nowackiego, Felicji Stachowicz, Ludwika Solskiego, Maksymiliana Węgrzyna, Pauliny Wojnowskiej, Romana Żelazowskiego.

Teatr lwowski nie był jedynym teatrem polskim z ziem polskich, który zawitał w tamtym okresie do Kijowa. W październiku 1907 roku występował tu Teatr Mały z Warszawy pod kierownictwem Mariana Gawałowicza, w 1909 roku odwiedził Kijów warszawski zespół „Momus”, w 1911 roku Teatr Polski z Łodzi (z udziałem m.in. Aleksandra Zelwerowicza), w 1912 i jesienią 1914 roku Teatr Polski z Warszawy pod dyrekcją Arnolda Szyfmana.

Jednak głównym udziałowcem polskiego życia teatralnego w Kijowie przed 1915 rokiem był teatr prowincjonalny – teatr objazdowy, choć niekiedy pozbawiony wielkich nazwisk i wybitnych przedstawień, jednak jakże ambitny i barwny w swym heroicznym zmaganiu z codzienną rzeczywistością, a przede wszystkim spełniający swój patriotyczny obowiązek wobec rodaków, którzy przez 40 lat nie mieli prawa rozmawiać po polsku w miejscach publicznych. Te wędrowne trupy teatralne przynosiły z sobą język polski i polską kulturę.

Już w 1905/6 roku w Kijowie występowały różne zespoły teatralne, m.in.: Juliana Myszkowskiego, Józefiny i Bolesława Bolesławskich, Czesława Janowskiego, Józefa Puchniewskiego, Stanisława i Wandy Jarszewskich, w 1907 roku ponownie zespół Juliana Myszkowskiego oraz zespół Tadeusza Pola, w 1908 roku zespoły Marii Przybyłko-Potockiej, Bolesława Bolesławskiego, Kazimierza Kamińskiego, w 1909 roku zespół operetkowy Józefa Puchniewskiego, w 1910 roku zespół Jana Pawłowskiego, od listopada 1911 do marca 1912 roku zespół Józefa Popławskiego. Nie były to małe zespoły i nie brak w nich było utalentowanych aktorów i aktorek. Np. w zespole teatralnym Juliana Myszkowskiego, występującego w Kijowie na przełomie 1905/6 roku występowali m.in.: Marian Domaślawski, Stefania Górską, Kamila Jarosz, Eugeniusz Koszutski, Filip Kuligowski, Maria Mariewska, Stefania Michnowska, Morawski, Władysław Piotrowski, Michał Silvini, Jan Zakrzewski; a w zespole Czesława Janowskiego m.in.: Janusz Borawski, Jan Czapski, Stefan Lochman, Włodzimierz Miarczyński, Stanisław Orlik, Zygmunt Posiadłowski, Konstanty Prosznow-



Stanisława Wysocka (1877–1941) – polska aktorka, reżyser teatralny, dyrektor teatrów.
Na zdjęciu jako Mossakowska w jednej ze scen filmu „Dziewczęta z Nowolipek”, 1937 r.

ski, Maria Szewczyńska, Karol Wojciechowski, Teofila Żołopińska, Jan Żołopiński. Polacy nie mieli teraz własnego budynku teatralnego. Wszystkie występy polskich zespołów teatralnych odbywały się od 1905 roku w sali teatralnej Klubu Polskiego „Ogniwo” przy głównej ulicy Kijowa – Kreszczatiku.

Do Kijowa na gościnne występy do Polaków wybierały się również pojedyncze gwiazdy scen polskich – również warszawskich: w 1906 roku m.in.: Maria Mariowska, Antoni Miller, Teodor Roland, Artur Zawadzki, Józef Zejdowski, w 1907 roku Teodor Roland, w 1908 roku Konstanty Prosznowski i Leontyna Karska, przed 1909 rokiem Maria Klinowska, w 1909 roku Stanisław Knake-Zawadzki, Julian Kratochwil, w 1910 roku Józef Winiaszkiewicz, Stanisława Wysocka, w 1911 roku Artur Zawadzki, w 1913 roku Kazimierz Kamiński, Władysław Ordon oraz Józef Śliwicki, a w 1914 roku kilka występów dał Juliusz Osterwa.

Polacy w Kijowie, a właściwie młodzież kijowska z pomocą aktorów z Królestwa Polskiego przystąpili także do organizowania własnej działalności teatralnej. W 1906 roku powstał przy polskim Towarzystwie Gimnastycznym „Sokół” teatr amatorski, którego reżyserem został przybyły z teatru lubelskiego aktor Władysław Kindler; w 1908 roku prowadził on amatorski teatr polski w sali Towarzystwa „Ogniwo” (reżyserował m.in. „Śluby panieńskie”). Z kolei związany z teatrami Łodzi i Warszawy Henryk Grubiński był w 1907 roku reżyserem amatorskiego teatru polskiego Towarzystwa Miłośników Sztuki. To pod patronatem tego Towarzystwa powstał w Kijowie w 1912 roku pierwszy stały Teatr Polski.

Nie spadł on do Kijowa z nieba, ani nie przyjechał tu z Królestwa Polskiego. Dzięki uporowi i konsekwencji kilkudziesięciu pasjonatów on tutaj się rodził od 1906 roku. Do jego powstania przyczynili się miejscowi Polacy – miłośnicy teatru, którzy założyli teatry amatorskie, jak i zawodowi aktorzy polscy, którzy nie patrząc na to, że to tylko teatry amatorskie, podjęli w nich działalność aktorską. Byli to m.in. Romuald Betcher (1908-9), Stefania Betcherowa (1908-9), Józefina Bolesławska (1909), Antoni Borkowski (1908), Maria Chaveau (1909), Stanisława Chrzanowska (1909), Jan Czapski (1908), Antoni Folta (1910), Romuald Gierasieński (1909-10), Władysław Kindler (1908), Kazimiera Leśniewska (1908-10), Janusz Nowacki (1910-11, teatr „Ogniwo”), Maksymilian Piotrowski (1910-12), Aleksander Rodmund (1911-12), Antoni Siemaszko (1907/8 reżyser teatru polskiego To-

warzystwa Miłośników Sztuki), Tadeusz Skarżyński (1911-12), Zygmunt Wilczkowski (1908-12), Maria Wnorowska (1909-10), Karol Wojciechowski (1909-10 w teatrze klubu „Ogniwo”). To tylko dzięki ich działalności w teatrach amatorskich mógł powstać w Kijowie stały teatr polski, gdyż przy nich uczyli się aktorstwa członkowie tych scen amatorskich. Np. Zygmunt Wilczkowski, występujący w teatrze amatorskim w latach 1908-12, w 1919 roku występował w Młodym Teatrze Polskim, a w 1920-22 był kierownikiem, reżyserem i aktorem Państwowego Teatru Polskiego w Kijowie; z kolei kijowianka Maria Wrześniowska, późniejsza aktorka teatrów w Łodzi, Wilnie, Toruniu i Warszawie, w sezonie 1910/11 debiutowała w amatorskim teatrze polskim w Kijowie.

Założycielem pierwszego stałego dramatycznego Teatru Polskiego w Kijowie był Franciszek Rychłowski (1878-1949), znany aktor pierwszoplanowych ról w szeregu teatrach (Lublin, Poznań, Łódź, Warszawa, Wilno), który w 1912 roku postanowił osiąść w Kijowie i założyć stały zawodowy teatr polski. Prowadził go od sezonu 1912/13 do 1918 roku. Pierwszym sekretarzem teatru był w latach 1912-14 Marian Bogusławski, a reżyserem Konstanty Tatarkiewicz (1912-14, wystawił m.in. „Bolesława Śmiałego”, „Sędziów”, „Wesele”). Teatr ten stał się radością i dumą polskiego Kijowa. Niebawem polskie życie teatralne w Kijowie doczekało się chwil sławy i zasłużonego miana pierwszej sceny emigracyjnej i jednej z najlepszych scen polskich w ogóle (spośród kilkudziesięciu stałych teatrów!), na której występowali czołowi twórcy polskiego teatru i na której zaczęły się realizować nowe prądy teatralne, które nie pozostały bez wpływu na działalność polskich artystów i teatrów w okresie międzywojennym.

W 1914 roku wybuchła I wojna światowa, która wywarła przeogromny wpływ na polskie życie teatralne w Kijowie. W 1915 roku Niemcy zajęli zbrojnie okupowane dotychczas przez Rosję Królestwo Polskie. Kilkaset tysięcy Polaków było zmuszonych z tych czy innych przyczyn, często na rozkaz władz rosyjskich, do ewakuowania się w głąb Rosji. Około 30-50 tysięcy Polaków osiedliło się w Kijowie, co sprawiło, że miasto mające teraz 80-100 tysięcy Polaków stało się ważnym ośrodkiem polskiego życia politycznego i kulturalnego. Jeśli chodzi o polskie życie teatralne, to w okresie I wojny światowej i zaraz po niej w Kijowie działały stałe sceny: Teatr Polski pod patronatem Kijowskiego Polskiego Towarzystwa Miłośników Sztuki, Teatr Polski pod dyktando Franciszka Rychłowskiego, Teatr „Studia”

Stanisławy Wysockiej, Nowy Teatr Polski, a później Teatr Polski w klubie „Ogniwo”, a także teatry rewiowo-muzyczne (Warszawski Teatr Miniatur, Teatr „Figliki”, Teatr Nowości) oraz sekcje dramatyczne i kółka amatorskie.

Dzieje pierwszego stałego Teatru Polskiego w Kijowie, zwanego także „teatrem Rychłowskiego”, dzielą się na dwa okresy: od 1912 do 1914/15 roku i od 1915 do 1918 roku, czyli do wybuchu I wojny światowej i po jej wybuchu aż do opanowania Kijowa przez bolszewików.

W pierwszym okresie w teatrze tym występowali m.in.: Marian Bogusławski (1912-14 aktor i sekretarz Teatru Polskiego, w 1913 grał tam m.in. „Męża” w „Ich czworo”), Gustaw Buszyński (1912-14), Stanisław Daczyński (1912-14), Halina Dunin-Rychłowska (1912-18), Jadwiga Gzylewska (1912-14), Waław Julicz (1912), Marian Kiernicki (1913-15), Ewa Kunina (1914), Stanisław Larewicz (1913-14), Tadeusz Lechowski (1911-14), Mary (Maria) Mrozińska (1914), Mieczysław Nawrocki (1913-14), Aleksander Olędzki (1912-13), Olga Orleńska (1912-13), Janusz Orliński (1912), Stanisław Pancewicz (1912-13), Jan Pawłowski (1913 – gościnne występy w Teatrze Polskim), Józef Puchniewski (1913), Klemens Puchniewski (1913), Helena Rawicz-Łopatko (1914-15), Franciszek Rychłowski (1912-15, był także aktorem), Jadwiga Sachnowska (1913-15), Wanda Siemaszkowa (1913 – gościnne występy), Tadeusz Skarżyński (1912-13), Konstanty Tatarkiewicz (1912-14). W kijowskim Teatrze Polskim zadebiutowali jako aktorzy: Jadwiga Gzylewska, Ewa Kunina (później bardzo znana aktorka) i Mieczysław Nawrocki. Nie były to gwiazdy scen polskich, jednak kilku z nich było już wówczas dobrymi aktorami, a kilku innych zabłysło na scenach teatrów odrodzonej Polski.

Teatr Polski z Kijowa wyjeżdżał na występy gościnne do innych dużych skupisk polskich na Ukrainie i w Rosji, m.in. do Winnicy, Kamieńca Podolskiego, Odessy i w 1915 roku nawet do Moskwy i Petersburga.

Po wybuchu I wojny światowej w 1914 roku Rychłowskiemu udało się ściągnąć do Kijowa – do swego teatru – wielu dobrych, a w kilku przypadkach znakomitych aktorów przymusowo ewakuowanych z Królestwa Polskiego czy Galicji, m.in. Stanisława Daczyńskiego (1915-18), Antoniego Fertnera (1915-18 z przerwami), Marię Gellę (1914-18), Zofię Hartman (1915-18), Stanisława Kordowskiego (1915-17), Feliksa Kosińskiego (1915-16), Stefana Lochmana (1915-

18), Waław Malinowskiego (1915-18), Stefana Orzechowskiego (1914-18), Irenę Orzecką (1915-18), Maksymiliana Piotrowskiego (1915-18), Zofię Rodowicz (1915-18), Edmunda Szafrńskiego (1915), Michalinę Szpakiewicz (1914-16), Mieczysława Szpakiewicza (1914-16), Michała Tatrzańskiego (1914-16), Marię Tęczyńską-Jabłońską (1915-18), Stefana Truszyńskiego (1915-16), Stefanę Turońską (1915-18), Marię Wilkoszewską (1915-19), Marię Wnorowską (1915-19), Józefa Wodyńskiego (1915-19), Bronisławę Wojciechowską (1914-18), Józefa Wodyńskiego (1915-18), Marię Wrześniowską (1914-19), Waław Zabielskiego (1915-18), Aleksandra Zelwerowicza (1914-15). W 1915 roku zamieszkał w Kijowie prozaik, poeta, felietonista, krytyk teatralny i publicysta Kornel Makuszyński, który do 1918 roku był kierownikiem literackim Teatru Polskiego (oraz prezesem Związku Literatów i Dziennikarzy Polskich).

Wielka ranga Kijowa jako ośrodka polskiego w Rosji, jak również wysoki poziom Teatru Polskiego w Kijowie (w 1916 roku Teatr Polski w Kijowie stał się głównym ośrodkiem polskiego życia teatralnego w imperium rosyjskim) sprawił, że od 1916 roku zaczął on przyciągać coraz więcej znakomitych aktorów przymusowo ewakuowanych z Królestwa Polskiego do Rosji, z których wielu było do tej pory związanych z Teatrem Polskim w Moskwie Arnolda Szyfmana, m.in. tak wybitnych aktorów jak: Juliusza Osterwę (1916-18), Stefana Jaracza (1916-18), Michała Tarasiewicza (1916-18), Bolesława Bolesławskiego (1916, 1917-18), Mariana Brokowskiego (1916-17), Janusza Strachockiego (1916-18), Jana Szymańskiego (1916-18), Helenę Larys-Pawińską (1916-18), Wandę Osterwinę (1916-18), a także wielkiego scenografa Wincentego Drabika. A poza nimi do Kijowa przybyli i występowali, obok już wspomnianych aktorów Teatru Polskiego (F. Rychłowskiego), w różnych teatrach polskich m.in.: Marcin Bay-Rydzewski (1918), Józefa Bielska (1917), Aleksander Bobryn (1918), Aleksander Bogusławski (1917-18), Józefina Bolesławska (1916-18), Józef Karol Cornobis (1917), Jadwiga Dąbrowska (1918-19), Eugeniusz Dobrowolski (1918), Antonina Dunajewska (1916-17), Ludwik Dybizański (1917), Józef Hollak (1919-21), Giną Jakóbowska (1916-18), Jadwiga Jaraczowa (1916-18), Walery Jastrzębiec-Rudnicki (1916-18), Eleonora Korycińska (1916), Bronisława Koyałowicz (1916-18), Józef Krokowski (1916-18), Bruno Lechowski (1916-17), Michalina Łaska (1915-16), Kazimierz Markiewicz (1917-18),

Maria Mirska (1917-19), Leopold Morozowicz (1916-18 występował dorywczo), Natalia Morozowiczowa (1916-18), Janina Newlin (1916-18), Władysław Ochrymowicz (1918-19), Tymoteusz Ortym (1916-21), Helena Peszyńska (1916-19), Natalia Plucińska (1917, debiut), Marceli Popławski (1917-18), Józef Poręmba (1916-18), Władysław Prekański (1918), Wincenty Rapacki (1917-18), Feliks Siennicki (1917-18), Bronisław Skąpski (1916), Bronisław Szczurkiewicz (1916-17), Władysław Szumowicz (1916-18 Teatr Polski oraz występował w zespołach estradowych i na koncertach), Teodozja Wandycz (1916-17), Maksymilian Węgrzyn (1915), Zygmunt Wilczkowski (1908-12 i 1919-22), Stanisław Wolicki (1918-19), Zofia Wołoszynowska (1917-20), Wincenty Wybrański (1916-18), Kazimierz Wysocki (1916-18), Wacław Zabielski (1915-18), Stefan Zborowski (1917-18) („Słownik biograficzny teatru polskiego 1765–1965”, Warszawa 1973).

Okres ten w dziejach Teatru Polskiego w Kijowie, który miał swoją siedzibę przy ul. Meryngowskiej 8, omówił obszernie Piotr Horbatowski w swojej monografii „Polskie życie teatralne w Kijowie w latach 1905–1918” (Kraków 2009), a szerzej o działalności w Kijowie Juliusza Osterwy – Wanda Świątkowska w swojej rozprawie „Wschodnie peregrynacje i praktyki Juliusza Osterwy” (grotowski.net), a uzupełnia to swoimi wspomnieniami pt. „Polski Teatr w Kijowie (Kartka z pamiętnika)” („Pamiętnik kijowski”, tom trzeci, Londyn 1966) Władysław Günther, który był kierownikiem literackim tego teatru. Rychłowski kierownikiem artystycznym mianował Juliusza Osterwę, a Günther wprowadził na scenę współczesnych polskich autorów (Rydla, Wyspiańskiego, Zapolską, Nowaczyńskiego, Perzyńskiego, Żeromskiego, Orkana, Rittnera). W repertuarze dominowały tytuły polskie – na 75 sztuk pokazanych w sezonie 1916/17 aż 52 dramaty były polskich autorów. Sezon ten pod kierunkiem artystycznym Juliusza Osterwy, rozpoczęto 14 września „Weselem” – w jego reżyserii i występem w roli Pana Młodego. Teatr Polski wystawił m.in. „Odprawę posłów greckich”, „Kordiana”, „Księcia Niezłomnego”, „Wyzwolenie”, „Warszawiankę”, „Kłątwe”, „Bolesława Śmiałego”. Zorganizowano Wieczór Mickiewiczowski z fragmentami „Dziadów”.

W sezonie 1917/1918, który był znaczony najpierw wejściem bolszewików do Kijowa (9 lutego 1918), a wkrótce potem Niemców (1 marca), również dominowały sztuki autorów polskich. Do wspomnianych po-

wyżej doszły m.in. dramaty: „Kościuszkę pod Racławicami” (16 październik 1917), „Grube ryby” (21 październik), „Tamtego” Zapolskiej (23 październik), „Konfederaci barscy” z fragmentami „Dziadów” (28 październik), komedia Jana Aleksandra Fredry „Oj, młody, młody” (3 listopad), „Miód kasztelański” Kraszewskiego (17 listopad 1917), „Lekkomyślna siostra” (1 grudzień), „Zaczarowane koło” i „Betlejem polskie” (24 grudzień).

Juliusz Osterwa także jako aktor występował w popisowych i tytułowych rolach m.in. w: „Fircyku w zalotach”, „Księżu Niezłomnym”, „Sułkowskim”, „Kordianie”, „Diabli i karczmarce”, „Było nad Bałtykiem”, „Ładnej historii”, „Domu otwartym”, w „Lecie”.

Scenografem kijowskiego Teatru Polskiego został przybyły również z Moskwy Wincenty Drabik. Zaprojektował m.in. scenografię „Księcia Niezłomnego” powtórzoną w Teatrze Polskim w Warszawie w 1918 roku, a uznawaną za dzieło przełomowe w dziejach polskiego malarstwa scenicznego.

Reżyserami byli Juliusz Osterwa, m.in.: „Diabeł i karczmarce”, „Było nad Bałtykiem”, „Ładna historia”, „Skapany świat”, „Bolesław Śmiały”, „Szlakiem legionów”, a przede wszystkim sztuki z największego polskiego repertuaru, z których kilka miało mu już odtąd nieustannie towarzyszyć w drodze twórczej: „Księżu Niezłomny” (z Tarasiewiczem w tytułowej roli, premiera 3 lutego 1917), „Kordian” (premiera 6 października 1917), „Noc listopadowa” Wyspiańskiego (premiera 12 grudnia 1917), „Sułkowski” Żeromskiego (16 kwietnia 1917), „Odprawa posłów greckich” Kochanowskiego (12 grudnia 1916), „Horsztyński” Słowackiego (23 marca 1918). Obok niego reżyserią parali się m.in. Jan Szymański, który reżyserował kilka sztuk, m.in. „Jeńca Napoleona”, podobnie jak Stefan Jaracz (m.in. „Dom otwarty” Bałuckiego i „Lato” Rittnera) i Władysław Günther („Fircyk w zalotach” Franciszka Zabłockiego).

Nie ulega wątpliwości, że Osterwa stał się najważniejszą osobą kijowskiego Teatru Polskiego, człowiekiem, który sprawił, że teatr ten stał się jedną z najlepszych scen polskich. Horbatowski podsumowując wkład artysty w rozwój sceny kijowskiej pisał: *„Zmiany, jakich dokonał Osterwa, w największym stopniu uwidoczniły się w samym przygotowaniu przedstawień. Dbał on o możliwie jak najbardziej harmonijne współgranie wszystkich elementów spektaklu. Udało mu się doprowadzić do tego, że w wielu inscenizacjach stojącym na wysokim i wyrównanym poziomie aktorstwu to-*

warzyszyła profesjonalna, dbająca o szczegóły reżyseria i dopasowana do całości widowiska scenografia. Nowy kierownik artystyczny wprowadził znacznie bardziej rygorystyczne standardy przygotowywania premier. [...] W poczynaniach Osterwy widać było przemyślaną politykę, dzięki której teatr «artystycznie urósł». [...] [Jego] działalność sprawiła, że zespół zaczęto postrzegać przede wszystkim jako jeden z silniejszych teatrów Kijowa, a dopiero w drugiej kolejności jako teatr polski”.

Wyjątkowy rozkwit Teatru Polskiego w Kijowie przerwał konflikt Franciszka Rychłowskiego z Juliuszem Osterwą. Było to nieuniknione, bowiem Osterwa miał swoją własną wizję teatru i jego prowadzenia, aktorów i ich gry. W kwietniu 1918 roku Osterwa wraz z osiemnastoma aktorami (m.in. Jaracz, Kojałłowicz, Osterwina, Chaberski, Daczyński, Poremba, Jadwiga Daniłowicz, Kacicka, Łuszczewski, Sokołowska i Maria Gella, która była aktorką pobierającą w 1918 najwyższą gażę w zespole kobiecym) i scenografem Wincentym Drabikiem odszedł z Teatru Polskiego i założył drugi teatr polski w Kijowie – Nowy Teatr Polski, którego siedzibą stała się sala Klubu Obywatelskiego „Ogniwo” (przy ulicy Kreszczatik 1). Teatralni aktorzy nazywani byli „komuną Osterwy”. Jego dyrektorem został krytyk literacki i teatralny Józef Flach, a kierownikiem artystycznym Osterwa. Nowy Teatr Polski działał zaledwie 70 dni – od 21 kwietnia do końca czerwca 1918 roku. Pomiędzy 11 maja a 30 czerwca 1918 roku Nowy Teatr Polski dał 35 przedstawień. Wystawiono „Fircyka w zalotach”, „Monnę Vannę” Maeterlincka, „Jastrzębia” François de Croisseta, „Rekoniesans” Eugeniusza Popoffa, „Marta wychodzi za mąż” François de Curela, „Virtuti Militari” Kazimierza Andrzeja Czyżowskiego, „Igraszki trafu i miłości” Marivaux, oraz grane jednego wieczoru: „Komedie o człowieku, który zaślubił niemowę” Anatole’a France’a i „Komedie o człowieku, który redagował gazetę rolniczą” Marka Twaina, w repertuarze pojawiły się także „składanki” i „uroczysty wieczór”.

Jedna z najwybitniejszych aktorek polskich początku XX w. („Oto będzie nowa Modrzejewska” pisał „Przegląd Polski” 1902, t. 144) – Stanisława Wysocka, aktorka Teatru Miejskiego w Krakowie (1901-11), w 1911 roku wraz z mężem zamieszkała na stałe w Kijowie, gdzie jej mąż, Grzegorz Stanisławski był znanym lekarzem. Do 1914 roku występowała dorywczo w kijowskim Teatrze Polskim Franciszka Rychwałskiego. Od marca 1915 roku zajmowała się kształceniem grupy polskiej młodzieży, z której powstał potem Teatr

Studia pod jej kierownictwem, który dał pierwsze przedstawienie 22 lutego 1916; zespół ten stworzony na wzór studiów rosyjskiego MchAT istniał do stycznia 1918; w 1916 roku do zespołu Teatru Studya dołączyła grupa aktorów kijowskiego Teatru Polskiego (m.in. Michalina Szpakiewicz, Mieczysław Szpakiewicz, Stefania Turońska, Zofia Wołoszynowska, Wincenty Wybrański). Znanymi aktorami Teatru Studya byli m.in.: Jadwiga Dąbrowska (1917-18 – debiut), Giną Jakóbowska (1916-18), Walery Jastrzębiec-Rudnicki (1916-18, grał Engstranda w „Upiorach” – debiut, Kanclerza w „Balladynie”, Trissotina w „Uczonych białogłowach”), Józef Krokowski (1916-18), Bruno Lechowski (1916-17, scenograf teatru Studya i wraz z C. Popławskim opracował m.in. dekoracje do „Snów pór roku”, „Intruza”, „Wnętrza”), Janina Newlin (1916-18), Helena Peszyńska (1916-18), Marcelli Popławski (w 1917 kierownik muzyczny, skomponował m.in. muzykę do „Balladyny” wystawianej w tym teatrze), Bronisław Szczurkiewicz (1916/17), Michalina Szpakiewicz (1916-18), Mieczysław Szpakiewicz (1916-18), Stefania Turońska (1916/17), Maria Wnorowska (1915-18, grała m.in. Wrózkę w „Świerszczu za kominem”, Alinę w „Balladynie”, Szimenę w „Cydzie”), Zofia Wołoszynowska (1917-18), Julian Wołoszynowski (1916-18), Wincenty Wybrański (1917/18). Wysocka ustąpiła z kierownictwa 16.12.1917. Teatr Studya w kwietniu 1918 roku występował w Żytomierzu, Humanu i Białej Cerkwi.

Po upadku caratu w lutym 1917 roku, a szczególnie po rewolucji bolszewickiej w listopadzie tego roku, Ukraina była w ogniu rewolucji i totalnym chaosie. Władza przechodziła od jednej grupy politycznej do drugiej, także w samym w Kijowie. Prowadzić teatr polski w takich warunkach graniczyło z cudem. Władysław Günther wspomina: „Gdy Osterwa, Drabik i ja wybraliśmy się do Tokarówki Antoniny Swieykowskiej, koło Skwiry, by na tle jej parku i dworu opracować scenografię «Snu Srebrnego Salomei» Słowackiego, wracając «pańską» bryczką na kolej, ledwo uszliśmy jako «obcy» z rąk bandy bolszewickiej. Antonina Swieykowska wraz z wnukiem uratowała się ucieczką. I zaniechaliśmy wystawienia tego «romansu dramatycznego» wysnutego z dziejów hajdamaczyzny, gdyż hajdamaczyzna stała się znów ponurą i współczesną rzeczywistością”. Oprócz tego incydentu Günther pisze, że: „...pewnego dnia wpadła do gmachu teatru (polskiego) banda opryszków i pobiła do krwi żonę W. Drabika i artystkę dramatyczną Wrześniowską”.



Wanda Siemaszkowa (1867–1947) – polska aktorka teatralna, reżyserka, pedagog, dyrektorka: Teatru Miejskiego w Bydgoszczy (1920–1922), Teatru Popularnego im. Bogusławskiego w Poznaniu (1930–1931), Teatru Ziemi Rzeszowskiej (1945–1947).
Na zdjęciu jako Donna Alnica w „Bestii” Jerzego Żuławskiego, 1907

W zanarchizowanym i pełnym różnych innych kłopotów Kijowie słychać było krzyki i radę: „*Ratuj się, kto może!*”. Osterwa i większość jego aktorów oraz teatru Rychłowskiego postanowiło wracać do kraju. 10 sierpnia 1918 roku Osterwa wrócił do Warszawy. Wraz z nimi każdego nowego miesiąca wyjeżdżało do kraju tysiące Polaków. Do 1920 roku Kijów opuściło około 85 000 Polaków.

Poza Teatrami Polskimi Rychłowskiego i Osterwy oraz Studium Wysockiej, w Kijowie do 1918 roku działały inne polskie teatralne zespoły zawodowe i amatorskie oraz organizowane były spektakle okolicznościowe. I tak np.: od 1915 do 1919 roku organizowane były liczne przedstawienia rewiowe, z których znany był przede wszystkim teatr Figielki, w którym występowali m.in.: Władysław Ochrymowicz, Stefan Truszyński i Teodozja Wandycz oraz Warszawski Teatr Miniatur. W organizowanych w Kijowie w latach 1915-19 koncertach polskich brała udział prawie zawsze pianistka i śpiewaczka Maria Wilkoszewska, absolwentka szkoły muzycznej w Kijowie. W maju 1916 roku Feliks Kosiński założył i prowadził w sali „Ogniwa” zespół polskiej farsy i operetki, który po jego śmierci w listopadzie tego roku prowadził do 1918 roku Kazimierz Wysocki, a kierownikiem artystycznym był Michał Tatrzański; w zespole tym debiutował Tymoteusz Ortym, znany później w Warszawie organizator popularnych imprez estradowych. Od 29 września 1917 do kwietnia 1918 roku Wincenty Rapacki kierował w Kijowie Teatrem Nowości, w którym dawano przedstawienia „składane” lub pełnospektaklowe operetki i wodewile z udziałem m.in. dobrej śpiewaczki Józefy Bielskiej, Konstantego Tatarkiewicza i Ludwika Dybizańskiego. Mieczysław Szpakiewicz, występujący od 1916 roku w Teatrze Studya, w kwietniu 1918 zorganizował wraz z M. Brokowskim-Brykiem zespół teatralny, z którym odwiedził m.in. skupiska polskie w Żytomierzu, Humaniu, Białej Cerkwi, Winnicy, Kamieńcu Podolskim.

Po wyjeździe do Polski większości aktorów teatru Rychłowskiego i teatru Osterwy, w Kijowie trwała jeszcze wraz z mężem Stanisława Wysocka, która w sierpniu 1918 roku przekształciła swe Studium na Nowy Teatr Polski, aby utrzymać jakiś ośrodek kultury polskiej w Kijowie, a także aby przyciągnąć do niego pozostałych jeszcze w mieście aktorów (m.in. Józef Poremba, Maria Wnorowska, Józef Wodyński) oraz adeptów sztuki teatralnej, gdyż, jak pisze Günther, legitymacja artysty dramatycznego, w tych czasach bol-

szewickiego terroru, była najlepszą ochroną osobistą. Teatr ten istniał w sali „Ogniska” do grudnia 1918 i kierowali nim Wysocka i Kazimierz Markiewicz. Markiewicz reżyserował tu m.in. „Kresowego rycerza Wesołka”, a także projektował dekoracje, m.in. do „Przyjaciół”. Trwające nadal wyjazdy aktorów do Polski przyczyniły się do zamknięcia i tego teatru.

Jednak polskie życie teatralne w Kijowie nadal walczyło ze „śmiercią” – nie chciało poddać się zagładzie. Za zgodą bolszewików i nawet przy ich wsparciu finansowym, w lipcu 1919 roku powstała w mieście nowa scena polska pod nazwą Państwowy Młody Teatr Polski, którym do października 1919 roku kierowała Stanisława Wysocka. W teatrze tym 18 września 1919 roku obchodziła ona jubileusz dwudziestopięciolecia pracy, grając rolę tytułową w „Elektrze” H. Hofmanstahla i Jewdochę w „Sędziach”. Wykładała jednocześnie w rosyjskiej szkole teatralnej. W grudniu 1919 roku Wysocka wróciła do Polski, a kierownictwo teatrem objął Zygmunt Wilczkowski. Po ostatecznym przyłączeniu Kijowa do Związku Sowieckiego w 1920 roku przybrał on nazwę Państwowego Robotniczego Teatru Polskiego. Niestety, mało o nim wiemy. Grali w nim m.in. aktorzy: Walery Jastrzębiec-Rudnicki (1919-20), Tymoteusz Ortym (1919-21), Zygmunt Wilczkowski (1919-22, w latach 1920-22 kierownik, reżyser i aktor), Zofia Wołoszynowska (1919-20). Scenografem obu teatrów był Józef Hollak (1919-21, projektował za Wysockiej m.in. scenografie „Wyzwolenia” Wyspiańskiego, „Nowego Don Kiszota” Fredry, „Sędziów” Wyspiańskiego). O nich wiemy tylko dlatego, gdyż wszyscy do 1923 roku powrócili do Polski i brali udział w jej życiu teatralnym (L. Eustachiewicz, „Kijowskie teatry Wysockiej”, „Dialog” 1966, z. 8).

Również Państwowy Robotniczy Teatr Polski w Kijowie zmarł śmiercią naturalną. Poza tym w Związku Sowieckim nie mógł – nie miał prawa istnieć prawdziwie polski teatr. Mógł istnieć najwyżej teatr polskojęzyczny. Taki teatr próbowały założyć władze sowieckie. Od jesieni 1929 do 1936 roku (?) istniał w Kijowie teatr polski najpierw pod nazwą Polprat, a od 15 sierpnia 1930 roku jako Państwowy Teatr Polski; w 1931 roku miał 35 aktorów i aktorek. Kierował nim do lutego 1931 lewicowy pisarz i reżyser Witold Wandurski. Poziom teatru był bardzo słaby. Repertuar obejmował głównie wyselekcjonowaną dramaturgię polską i rosyjską, a po odejściu Wandurskiego, na fali prowadzonej wówczas ukrainizacji słabo uświadomionych narodowo Ukraińców, prawie wyłącznie marne sztuki

ukraińskie; był to wtedy właściwie teatr ukraiński grający w języku polskim. Teatr odwiedzał większe skupiska polskie na Ukrainie, a także w 1931 i 1934 roku odwiedził Moskwę; występujący w stolicy Rosji w 1931 roku Państwowy Teatr „Polski” przedstawił wyłącznie sztuki ukraińskie (Krystyna Sierocka, „Polonia radziecka 1917–1939”, Warszawa 1968; chociaż polskiemu życiu teatralnemu poświęciła cały rozdział, niewiele czytelnik o tym życiu się dowiaduje, np. poza Wandurskim nie wymienia żadnej innej osoby związanej z teatrem kijowskim!). W 1935 roku władze sowieckie przystąpiły do likwidacji wszelkich objawów działalności polskiej w Związku Sowieckim oraz do masowej deportacji Polaków z Ukrainy do Kazachstanu. Zlikwidowano m.in. Państwowy Teatr Polski w Kijowie, a sam Wandurski już w 1933 roku został aresztowany i zgładzony w 1937 roku. Prawdopodobnie taki sam los spotkał aktorów Państwowego Teatru Polskiego w Kijowie.

Tak zakończyło się polskie życie teatralne w Kijowie. Dopiero w 1954 roku zawitał do Kijowa z występami gościnnymi Teatr Polski z Warszawy.

Prawie wszyscy aktorzy polscy, którzy podczas I wojny światowej i rewolucji bolszewickiej związani byli z teatrami polskimi w Kijowie, zrobili karierę arty-

styczną w odrodzonej Polsce i odegrali znaczącą rolę w życiu polskiego teatru tego okresu. Wielu z nich stało się znanymi i popularnymi aktorami. Niektórzy zostali założycielami lub dyrektorami znanych i dobrych polskich teatrów zawodowych. Wśród tych ostatnich byli: Antoni Fertner był 1923–26 dyrektorem Teatru Letniego w Warszawie i popularnym aktorem filmowym; Stefan Jaracz został uznany za jednego z największych aktorów polskich i współtwórcę nowoczesnej sztuki aktorskiej, był założycielem i dyrektorem Teatru Ateneum w Warszawie 1930–39; Juliusz Osterwa był dyrektorem słynnego Teatru Reduta działającego w Warszawie, Wilnie i Grodnie oraz Teatru Rozmaitości w Warszawie i Teatru im. Juliusza Słowackiego w Krakowie; Franciszek Rychłowski był dyrektorem teatrów w Łodzi, Wilnie i Grodnie; Wanda Siemaszkowa była dyrektorem teatrów w Bydgoszczy, Poznaniu i Rzeszowie; Bronisław Skąpski był dyrektorem teatrów polskich w Grodnie i Białymstoku; Bolesław Szczurkiewicz był 1919–33 dyrektorem Teatru Polskiego w Poznaniu; Mieczysław Szpakiewicz był dyrektorem teatrów w Toruniu, Wilnie i Lwowie (1938–39); Aleksander Zelwerowicz był dyrektorem teatrów w Łodzi, Warszawie (m.in. współdyrektorem Teatru Narodowego 1938–39) i Wilnie.

Kradzież zbiorów polskich uczelni umożliwiła powstanie Uniwersytetu Kijowskiego w 1834 roku

Gdyby nie kradzież przez carat zbiorów polskich uczelni w Krzemieńcu i Wilnie, nie zostałby założony uniwersytet w Kijowie w 1834 roku.

29 listopada 1830 roku wybuchło w Warszawie powstanie narodowe przeciw Rosji, które objęło wszystkie tereny zaboru rosyjskiego. Upadło ostatecznie 21 października 1831 roku, głównie z powodu liczebnej przewagi armii rosyjskiej (115 tys. żołnierzy) nad wojskiem polskim (54 tys. żołnierzy). Ponowny podbój Polski przez Rosję przekreślił byt państwowy Królestwa Polskiego i wszelkie prawa narodu polskiego, szczególnie na Kresach. Bezwzględna i okrutna władza carska na ziemiach polskich chciała strachem i poniżeniem doprowadzić kraj i naród do zupełnego bezwładu. Na Kresach wprowadzono w życie bezwzględną rusyfikację kraju, likwidując m.in. polskie szkolnictwo w latach 1832–33. Zniesiono oczywiście dwa największe bastiony polskiej oświaty na Kresach: Uniwersytet Wileń-

ski i Liceum Krzemienieckie w Krzemieńcu na Wołyniu.

Już w trakcie Powstania Listopadowego 1830–31 carat uznał, że rosyjska racja stanu domaga się otwarcia w Kijowie „roskiej Akademii”, która miała być jednym z motorów rusyfikacji dotychczas bardzo spolonizowanego Podola, Wołynia i Kijowszczyzny.

W ramach polityki całkowitej rusyfikacji Kresów władze carskie w miejsce polskich szkół w guberniach: kijowskiej, wołyńskiej i podolskiej założyły szkoły rosyjskie. Problemem dla władz carskich było założenie uniwersytetu w Kijowie. Zacořana pod każdym względem, a przede wszystkim naukowym i kulturalnym Rosja nie dysponowała bowiem żadnymi zbiorami naukowymi i księgozbiorami oraz potrzebnymi wyładowcami, na bazie których mogłaby powstać „ruska Akademia” w Kijowie. Postanowiono więc do zrealizowania tego celu wykorzystać zbiory naukowe, księgozbiory i kadrę naukową zlikwidowanego Uniwersytetu

Wileńskiego i Liceum Krzemienieckiego. Majątek tych dwóch polskich uczelni powstał i był utrzymywany głównie wysiłkiem społeczeństwa polskiego i stanowił niewątpliwie własność narodową polską. Np. olbrzymie fundusze Liceum Krzemienieckiego wynoszące 462 580 rubli plus 3362 czerwonych złotych powstały z różnych zapisów polskich. Przez bezprawne przywłaszczenie sobie tych zbiorów i księgozbiorów, czyli przez zwykłą kradzież, mógł powstać i powstał w 1834 roku najpierw rosyjski Kijowski Uniwersytet Imperatorski św. Włodzimierza, a dziś ukraiński uniwersytet w Kijowie – Kijowski Uniwersytet Narodowy im. Tarasa Szewczenki. Bez tej kradzieży uczelnia ta wówczas definitywnie by nie powstała!

A jak wielka była ta kradzież i jak bardzo przyczyniła się do powstania uniwersytetu w Kijowie, pisze francuski historyk Daniel Beauvois w swej pracy „Polacy na Ukrainie 1831–1863” (wyd. pol. Paryż 1987): „...przeprowadzka do Kijowa wszystkiego, co przedtem należało do Krzemieńca, była istotnym i przełomowym momentem w procesie depolonizacji (Wołyńia). Biblioteka licząca 34 000 tomów, mająca wartość symboliczną, tym cenniejszą, że zawierała dawną bibliotekę Zamku Królewskiego w Warszawie, niegdyś odkupioną przez T. Czackiego, została bezlitośnie – łącznie ze zbiorami

królewskimi – przeniesiona do Kijowa (i nie została po dziś dzień zwrócona odrodzonemu państwu polskiemu w 1918 r.! – przyp. M.K.). Ten sam los spotkał 264 przyrządy z gabinetu fizycznego, 14 195 okazów z kolekcji mineralogicznej, 540 preparatów z gabinetu chemicznego wraz z 660 instrumentami, 18 000 wypchanych zwierząt, ptaków, ryb, owadów, muszle z gabinetu zoologicznego, tysiąc przyborów, modele i rysunki z instytutu agronomicznego, 259 obrazów i rysunków różnych mistrzów z gabinetu rycin. Ogród botaniczny, uprawiany troskliwie przez Bessera, również nie ocalał się rosyjskiej furii konfiskowania. Ogród ten mierzył 179 na 46 sążni, to znaczy około 360 na 100 metrów. Rosjanie nie zadowolili się grabieżą 10 000 odmian nasion, 300 próbek zaszuszonych owoców, 8000 roślin donicowych z oranżerii wraz z 50 drzewami egzotycznymi, ale wykopali z ziemi 15 000 roślin i drzew, żeby przetransportować je do Kijowa”.

Barbarzyńcy i złodzieje polskiego mienia przystąpili do organizowania rosyjskiego uniwersytetu w Kijowie.

Historia przekazała nam relację o tym, jak odbywała się ta kradzież i transport eksponatów i księgozbioru do Kijowa: „Grabieżni wyprzątacze, nie znając wartości i użytku przedmiotów, które się znajdował, w tamecznych gabinetach, wiele z pomiędzy takowych ze-



Liceum Krzemienieckie na pocztówce z początku XX w.



Uniwersytet św. Włodzimierza w Kijowie na pocztówce z 1911 r.

psuli przy złośliwym rzucaniu dla przewozu do innej szkoły, rozchwytywali zaś i pochowali złote i srebrne numizmaty, świetniejsze materiały, polerowane kryształy, drogie kamienie; podczas wyjmowania książek z szaf bibliotecznych oddzielali ozdobne okładki, wycinali piękniejsze ryciny, wycinali wzorzyste sztychy, rozrzynali pergaminowe zwitki autentycznych dyplomów, rozszarpywali kartki starodawnych rękopisów, pilnując zaś szczególnie, aby zabrać z każdej sali tylko napelnione paki i wory, spychali do nich jak najciaśniej druki i pisma podług kompletu takiego, że dla wyrównania powierzchni dokładane były w próżnych miejscach skrawki z grubszego formatu, któreby się składniej mieściły pod przybitą szczelnie u wierzchu deszczką” (D. Mieczkowski, „Wspomnienia krzemienieckie”, Równe 1939).

Do Biblioteki Uniwersytetu Kijowskiego włączono cały księgozbiór krzemieniecki, czyli 34 378 tomów. 78% tych książek było w języku łacińskim, 12% w polskim, 7% we francuskim, 2% niemieckim i ok. 1% w rosyjskim. 1,5% książek zostało wydanych w XV i XVI w., 4% w XVII w., 45% w XVIII w. i 50% w XIX w.; w zbiorze tym było więc ok. 17 000 starodruków.

Książki pochodziły z oficyn wydawniczych z całej Zachodniej Europy, a z polskich najczęściej pochodziło z Warszawy, Krakowa, Wilna i Lwowa (tylko z trzech ostatnich ośrodków – 6000 woluminów). Były tu m.in. prace historyków polskich sprzed lub XVI w.: Jana Długosza („Historia Polonica”), Wincentego Kadłubka, Marcina Kromera, Macieja Miechowity, Marcina Bielskiego.

Wkrótce do księgozbioru krzemienieckiego, znajdującego się teraz w Kijowie, dołączono część księgozbioru byłego polskiego Uniwersytetu Wileńskiego oraz księgozbiory Akademii Medyko-Chirurgicznej w Wilnie (1842), bazylianów z Humania na Ukrainie (znane gimnazjum polskie), z klasztorów polskich karmelitów z Berdyczowa i jezuitów z Krzemieńca, część księgozbioru zamkniętego przez carat Polskiego Towarzystwa Lekarskiego w Kamieńcu Podolskim (2000 tomów), Seminarium Duchownego w Wilnie jak również zrabowane polskie zbiory prywatne.

Najcenniejszy był księgozbiór Uniwersytetu Wileńskiego, bo były to w większości książki naukowe. Do Kijowa trafiło z Wilna 5405 dzieł w 7563 tomach,

w tym np. 780 dzieł w 1216 tomach historycznych, 795 dzieł w 1039 tomach matematycznych, 475 dzieł w 596 tomach prawnych i 305 dzieł w 372 tomach filozoficznych oraz 63 książki z byłej biblioteki Jana Śniadeckiego. Ponadto Uniwersytet Kijowski przejął z

Wilna 19 939 sztuk monet i medali (Kazimierz Warda, „Druki krakowskie, lwowskie i wileńskie w zbiorach Cesarskiego Uniwersytetu świętego Włodzimierza w Kijowie” (w:) „Kieleckie studia bibliologiczne”, 5, 2000).

Polskie korzenie Uniwersytetu Kijowskiego

Kradzież zbiorów polskich uczelni przez carat umożliwiła powstanie Uniwersytetu Kijowskiego w 1834 roku.

W ramach represji po zatopionym w morzu krwi antyrosyjskim Powstaniu Listopadowym 1830-31, Rosjanie zlikwidowali w latach 1832-33 polskie szkolnictwo na Kresach. Ze zbiorów zlikwidowanego Liceum Krzemienieckiego i Uniwersytetu Wileńskiego władze carskie założyły 15 lipca 1834 roku uniwersytet w Kijowie – Kijowski Uniwersytet Imperatorski św. Włodzimierza, który obecnie jako Kijowski Uniwersytet Narodowy im. Tarasa Szewczenki jest jedną z największych i najbardziej znanych uczelni wyższych na Ukrainie. Miał on nadzorować walkę z polskością i rusyfikację Ukrainy jako naczelną placówka nowo utworzonego Okręgu Naukowego Kijowskiego, który swym zasięgiem obejmował gubernie: wołyńską, podolską i kijowską.

Tymczasem Uniwersytet Kijowski przez pierwszych 30 lat swego istnienia – w latach 1834-64 – miał charakter w połowie polski i ogólnie przyczynił się w dużym stopniu do wzmocnienia polskiego żywiołu w Kijowie.

Petersburg miał poważny problem ze skompletowaniem kadry naukowej dla Uniwersytetu Kijowskiego spośród Rosjan, więc był zmuszony zatrudnić Polaków, aby uniwersytet w ogóle mógł działać. Dlatego poza cenną polską biblioteką i zbiorami z Krzemieńca i Wilna wśród profesorów Uniwersytetu Kijowskiego było aż 19 Polaków – 9 z Wilna, 6 z Krzemieńca i 4 z Krakowa i Lwowa (wg D. Beauvois) i 17 z Krzemieńca i 2 z Wilna (wg. W. Wielhorskiego). Byli to: Ignacy Abłamowicz – fizyk, Antoni Andrzejowski – zoolog, Jan Bahrynowski, Willibad Besser – botanik, ks. Julian Chodykiewicz – teolog, Ignacy Daniłowicz – prawnik, ks. Ignacy Hołowiński – teolog, Grzegorz Hreczyna – matematyk, Maksymilian Jakubowicz – filolog, Paweł Jarkowski, Bonawentura Klembowski, Józef Korzeniowski – filolog klasyczny, Wojciech Liedl – lektor języka niemieckiego, Aleksander Mickiewicz (brat

Adama Mickiewicza) – prawnik, Franciszek Miechowicz – architekt, Józef Mikulski – lektor języka polskiego i angielskiego, Józef Osieczkowski, Antoni Planson – lektor języka francuskiego, Stefan Wyżewski – wybitny matematyk i Stefan Zienowicz – chemik. Początkowo jedynymi nie-Polakami na rosyjskim (!) Uniwersytecie Kijowskim byli: Rosjanin – M. Maksymowicz (lektor języka rosyjskiego), który został rektorem, także Rosjanin O. Nowicki – filozof i Ukrainiec W. Cych – historyk.

Zaistniała paradoksalna sytuacja. Rząd carski dla zlikwidowania „szkodliwych” wpływów kultury polskiej na Kresach zniszczył znakomite uczelnie: Uniwersytet Wileński (największy uniwersytet w ówczesnej Rosji!) i Liceum Krzemienieckie. Przeniósł je do Kijowa (szczególnie Liceum Krzemienieckie) i powierzył nowo założony przez siebie Uniwersytet Kijowski tym samym „polonizatorom” – profesorom polskim, którzy wychowują studentów tego uniwersytetu nie w duchu rosyjskim. Bo o tym, jaki panował język i duch na tym uniwersytecie do 1864 roku, świadczą znane nam fakty historyczne, które przytoczymy poniżej.

Co więcej, do rosyjskiego uniwersytetu w Kijowie przeniosła się także ocalała po pogromie Powstania Listopadowego polska młodzież z Liceum Krzemienieckiego i Uniwersytetu Wileńskiego, owiana nie tylko ich duchem, ale także przesiąknięta hasłami filareckimi. W 1834 roku, a więc w pierwszym roku akademickim, było na uniwersytecie 62 studentów, w tym 34 Polaków; w roku akademickim 1837/38 na 263 studentów było 164 Polaków, natomiast w 1839 roku, gdy chwilowo zamykano uniwersytet, 211 Polaków na ogólną liczbę 267 studentów.

Polacy nie znali wcale albo znali słabo język rosyjski, toteż wykłady były prowadzone po łacinie, co odpowiadało wielu studentom polskim ze względu na dość powszechną znajomość języka łacińskiego wśród Polaków. Wyjątkiem była katedra teologii katolickiej i prawa kanonicznego, w której do 1864 roku (czyli do

jej likwidacji) wykłady były prowadzone w języku polskim.

Po likwidacji polskiego szkolnictwa w guberniach: wołyńskiej, podolskiej i kijowskiej po Powstaniu Listopadowym 1830-31, władze carskie przystąpiły do organizowania tu szkolnictwa rosyjskiego. Jednak nauka wówczas nie była darmowa. Polskie ziemiaństwo i mieszczaństwo na ziemiach ukraińskich stać było na wysyłanie swych synów do szkół. Toteż w 1840 roku wśród 5346 uczniów gimnazjalnych i szkół innego typu w tych trzech guberniach było aż ok. 4000 Polaków (Daniel Beauvois). Dlatego też, pomimo obstrzeżeń stawianych przez Rosjan kandydatom polskim, w latach 1834-63 na Uniwersytet Kijowski zapisało się aż 1753 Polaków. Spośród nich 1192, czyli 68%, pochodziło z guberni wołyńskiej, podolskiej i kijowskiej (z tej liczby 44% pochodziło z guberni wołyńskiej, 30% podolskiej i 26% kijowskiej), 16,2% z przedrozbiorowych polskich ziem białoruskich i 10,2% z Litwy oraz 5,6% z Królestwa Polskiego (Kongresówki). W roku akademickim 1843-44 było 320 studentów, w tym 163 Polaków (50,9% ogółu studentów), w 1848-49: 653 studentów – 363 Polaków (55,6%), w 1853-54: 641 studentów – 333 Polaków (52%), 1858-59: 964 studentów – 507 Polaków (52,5%) i 1862-63: 830 studentów – 401 Polaków (48,3%).

Oczywiście, studenci polscy w rosyjskim Uniwersytecie Kijowskim rozmawiali ze sobą po polsku i język ten królował w murach Uniwersytetu Kijowskiego. Stwierdzają to zresztą sami Rosjanie. Minister Sergiusz Uwarow pisze w 1848 roku: *„Język rosyjski zaledwie dawał się słyszeć w tej ogromnej przestrzeni”* – mając na myśli nowy gmach uniwersytetu. Jeszcze w 1863 roku minister oświaty Chomiakow pisze do ówczesnego rektora uniwersytetu, prof. Maksymowicza: *„Czas, aby Kijów żył i mówił po rosyjsku”*.

Co więcej, studenci polscy domagali się często wprowadzenia, a raczej przywrócenia języka wykładowego polskiego, m.in. za rektoratu prof. Bunge. W 1861 roku studenci polscy w Kijowie wysunęli wręcz żądanie polonizacji Uniwersytetu Kijowskiego.

Jak patriotycznymi Polakami byli ci studenci, pisał m.in. historyk ziem ukraińskich byłej Rzeczypospolitej Władysław Wielhorski, dając m.in. taki oto przykład:

„Zakazy, dotyczące wydawnictw polskich na Rusi, szły podówczas tak daleko, że nie tylko zabroniono druku gazet i czasopism, lecz i książek zbiorowych o charakterze jednorodniówce. Młodzież polska w Kijowie zdolała w pomysłowy sposób obejść to zarządzenie. Wydała pod pseu-

donimem urojonej osoby: Józefa Prospera Gromadzkiego książkę pt. «Pisma Urywkowe». Mieściła ona utwory wielu autorów. Inicjatorem tego był Fortunat Nowicki, późniejszy twórca zakładu leczniczego w Nałęczowie. Wśród współautorów tej książki spotykamy nazwiska znanych później osób w nauce i literaturze polskiej, jak np. Aleksandra Jabłonowskiego. Studenci polscy w Kijowie przepisywali odręcznie swe utwory, grupując się w tajnych kółkach literackich. Wydali w ten sposób np. «Trzecią część Dziadów» (Adama Mickiewicza). Do grona, o jakim mowa, prócz A. Jabłonowskiego należeli pom. innymi: Józef Tretiak, Marian Dubiecki, Paulin Świącicki, zaś z poetów późniejszych: J. Kędrzycki, Tadeusz Komar, Bończa Tomaszewski”.

Podobnych przykładów można by było przytoczyć znacznie więcej. Patriotyzm polski wykazywała młodzież kijowska również poprzez działalność w tajnych stowarzyszeniach patriotycznych i rewolucyjnych.

Fakt, że Uniwersytet Kijowski powstał na gruzach polskich uczelni – Liceum Krzemienieckiego i Uniwersytetu Wileńskiego i że przeszła do niego kadra profesorska oraz ocalała po pogromie Powstania Listopadowego młodzież z tych uczelni, owiana nie tylko ich duchem, ale prześlągnięta także hasłami filareckimi, sprawił, że władze carskie i policja obserwowała działalność polskich profesorów Uniwersytetu Kijowskiego, a przede wszystkim tropiła studentów. Pomimo tego studenci i młodzież polska w Kijowie jednoczyła się w tajne grupy, kółka, organizacje, mające na celu podtrzymanie polskiej świadomości narodowej. Już w 1835/36 roku z inicjatywy Leonarda Łepkowskiego, Gaspra Maszkowskiego i Piotra Borowskiego powstała na Uniwersytecie Kijowskim pierwsza polska tajna organizacja studencka – Towarzystwo Patriotyczne, które wydawało nawet ręcznie przepisywaną gazetkę „Przyjaciół Prawdy”. Organizacja miała za cel pracę patriotyczno-wychowawczą wśród studentów, aby „narodowość zagrożoną utrzymać, ducha poświęcenia obudzić, obyczaje poprawić, oświatę rozkrzewić, lud rolny na dobrych synów Ojczyzny i przyszłych jej obrońców sposobić i fałszywe opinie prostować”. Prowadziła także działalność charytatywną, wspomagając materialnie ubogich studentów. W maju 1837 roku policja carska odkryła, że trzech studentów Uniwersytetu Kijowskiego: B. Bogdanowicz, J. Bujalski i S. Rutkowski kolportowało wśród innych studentów polską literaturę emigracyjną – utwory Adama Mickiewicza, Seweryna Goszczyńskiego i biografię Tadeusza Kościuszki. Rosyjski minister oświaty Sergiusz Uwarow przybył oso-

biście do Kijowa, aby wydać wyrok na tych śmiałków: dwóch wcielono do wojska i wysłano do garnizonu na Kaukazie, a trzeciego zesłano do Kazania.

Po zawieszeniu działalności oddziału w 1837 roku, na Uniwersytecie Kijowskim powstała komórka sprzysiężenia Szymona Konarskiego (1808–1839), zwanego konarszczyzną. Był to ruch spiskowy, który, liczący 3000 członków na Kresach, odegrał dużą rolę w dziejach polskich walk narodowowyzwoleńczych. Szymon Konarski był uczestnikiem Powstania Listopadowego, a następnie działaczem patriotycznym na emigracji, który w 1835 roku wrócił nielegalnie do kraju (do Wolnego Miasta Krakowa) i rozpoczął agitację rewolucyjno-demokratyczną, także na Ukrainie i w Kijowie. 3 czerwca 1837 roku założył w Berdyczowie (gubernia kijowska) i stanął na jego czele Związek Ludu Polskiego, którego pełnomocnikiem na Ukrainę został Piotr Borowski. Borowski działał głównie wśród studentów Uniwersytetu Kijowskiego i kilkunastu wprowadził do sprzysiężenia. Pomagali mu w pracy z dużym poświęceniem studenci: Władysław Gordon, Franciszek Duchiński, Ksawery Pietraszkiewicz, Stanisław Winnicki, Edmund Liwski, Jan Prusiński i Antoni Stanisławski. Studentom przewodził Władysław Gordon.

W 1838 roku spisek rozbiła policja carska. W maju został aresztowany sam Konarski i osadzony w więzieniu w Wilnie. Po 9 miesiącach ciężkiego śledztwa został skazany na karę śmierci i 27 lutego 1839 roku rozstrzelany w Wilnie. Rozbicie sprzysiężenia objęło także i Kijów, gdzie przez zdradę jednego ze studentów ukraińskich policja carska aresztowała 115 Polaków, w tym 34 studentów. Gordon i Duchiński zdążyli zbiec przed aresztowaniem, natomiast Pietraszkiewicz i Winnicki oraz inni studenci-konarszczycy zostali wcieleni do wojska. Kijowski sąd wojenny 27 marca 1839 roku skazał na śmierć Piotra Borowskiego, natomiast dr Antoni Beaupre, Fryderyk Michalski i Gasper Maszkowski skazani zostali na karę śmierci przez ćwiartowanie i konfiskatę majątku. Karę tę w ostatniej chwili przed egzekucją zamieniono na dwudziestoletnie zesłanie do kopalni złota w Nerczyńsku na Wschodniej Syberii. Tak zakończyła się działalność pierwszej polskiej organizacji akademickiej na Uniwersytecie Kijowskim.

Francuski historyk Daniel Beauvois w pracy „Polacy na Ukrainie 1831–1863” (wyd. pol. Paryż 1987) pisze: „*Rozwścieczony (car) Mikołaj I chciał najpierw definitywnie zamknąć uniwersytet, otwarty dopiero cztery lata temu, ale ostatecznie zezwolił na zawieszenie wykładów*”

«tylko» przez jeden rok. Spośród postawionych przed wojskowym trybunałem jedenastu studentów skazano na śmierć i – zgodnie ze starą carską metodą – ulaskawiono w ostatniej chwili, wcielając do wojska jako prostych żołnierzy. Sześciu spośród nich pozbawiono szlachectwa... Piętnastu skazano «jedynie» na 10 lat służby wojskowej, natomiast ośmiu «po prostu» przeniesiono na uniwersytet do Kazania. Sprawa dotknęła również ciała pedagogicznego: wszyscy profesorowie polscy zostali przeniesieni do Moskwy, Charkowa, Nieżyna. Pozostał samotny katecheta».

A od siebie Daniel Beauvois tak komentuje to wydarzenie: „*Uderzające jest działanie pamięci historycznej: kilkunastu studentów wileńskich skazanych w roku 1824 za założenie Towarzystwa Filomatów i Filaratów stało się dzięki «Dziadom» Adama Mickiewicza symbolem narodowej chwały. 34 studentów kijowskich, sądzonych w roku 1839 i srożej niż wileńskich skazanych, nie znalazło swojego poety, a ich imiona uległy zapomnieniu. Jednak w sytuacji politycznej lat 1836–38 ich odwaga była większa. «Wina» była, prawdę mówiąc, równie niewielka, ale scenariusz wileński powtórzył się raz jeszcze... Dramat ów pokazuje, że właśnie w najbardziej szykanowanym środowisku, w szkołach, w których zakazano ojczystego języka i kultury, niektórzy Polacy radykalizowali się najbardziej, wiedząc o ciężkich karach, cenie jaką muszą zapłacić, chcąc być mimo wszystko Polakami».*

Jednocześnie w związku z tzw. antyrosyjskim spiskiem Gordona Uniwersytet Kijowski został 9 stycznia 1839 roku zamknięty przez władze carskie. Został ponownie otwarty dopiero we wrześniu 1839 roku. Władze carskie w międzyczasie usunęły z uniwersytetu wszystkich wykładowców polskich. Od tej pory uczelnia w zasadzie nie angażowała Polaków na wykładowców. Zrobiono wyjątek dla wybitnego chemika, prof. Ignacego Fonberga (był jednym z twórców polskiej terminologii chemicznej), który przeszedł na Uniwersytet Kijowski ze zlikwidowanej przez carat Akademii Medyczno-Chirurgicznej w Wilnie w 1842 roku i wykladał w uczelni kijowskiej do 1859 roku. Prawie do końca XIX w. tylko trzech innych Polaków było profesorami Uniwersytetu Kijowskiego: dermatolog Ludwik Górecki (1864–84), farmaceuta Oskar Gwiński i patolog Włodzimierz Podwysocki (1888–1900). Jednak po ponownym otwarciu uniwersytetu we wrześniu 1839 roku przewaga Polaków wśród studentów się utrzymała.

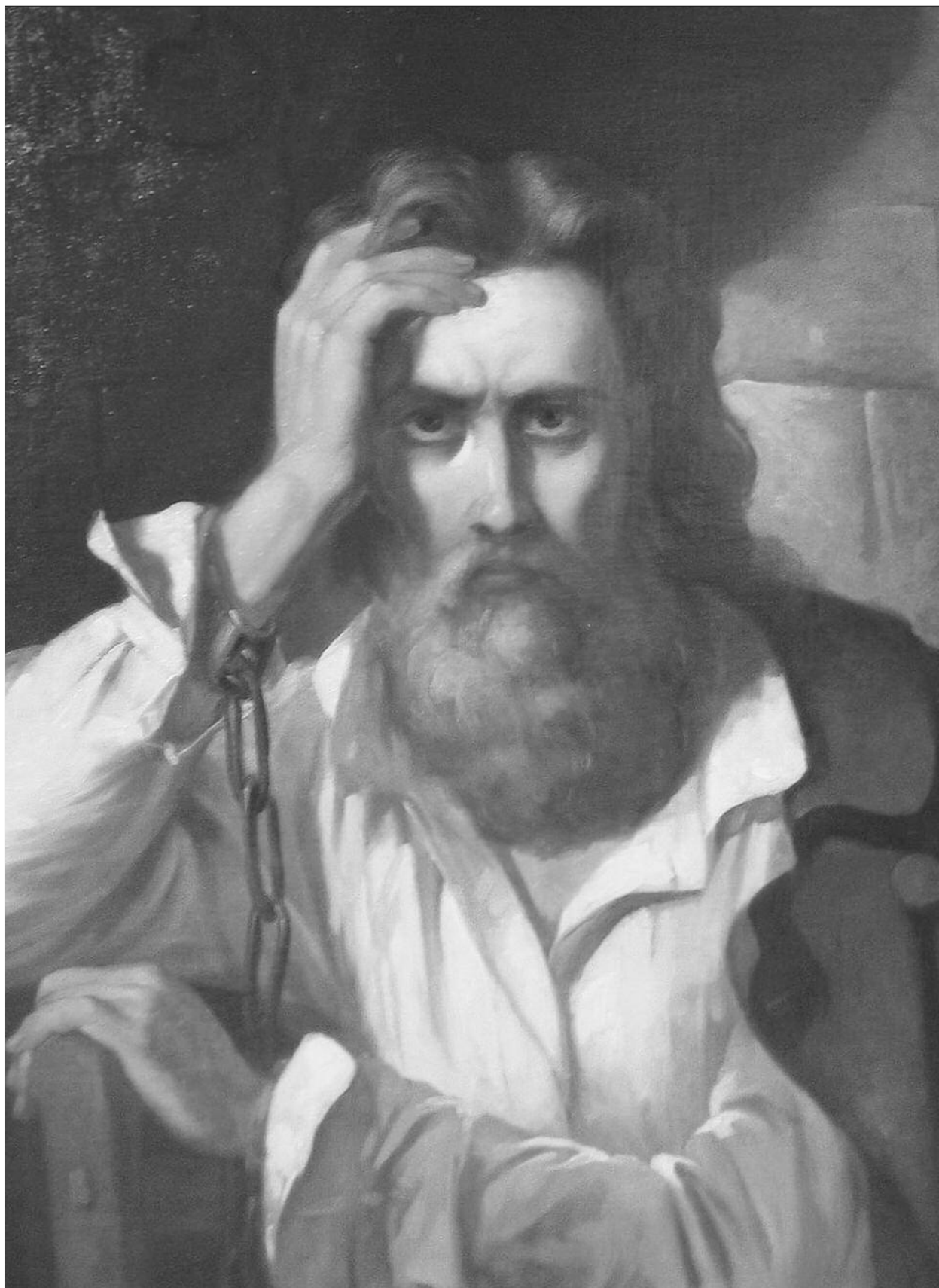
Kłopoty, jakie sprawiali polscy studenci władzom uczelni i ogólnie władzom carskim, sprawiły, że ponoć

przez Polaków kolor głównego budynku Uniwersytetu Kijowskiego, ukończonego w 1843 roku, jest czerwony, podczas gdy wszystkie urzędowe i użyteczności publicznej budynki w Rosji były zawsze malowane na kolor żółty. Dlaczego w przypadku Uniwersytetu Kijowskiego zrobiono tak dziwny wyjątek? Otóż stare podanie głosi, że panujący wówczas car Mikołaj I wydał rozkaz pomalowania uniwersytetu na czerwono, aby budynek rumienił się (ze wstydu) za swych studentów (*„pust’ krasniejet za swoich studentow”*). Ponieważ rozkaz ten nigdy nie został odwołany, przy każdym odnawianiu gmachu malowano go tak samo (Mikołaj Wisznicki). I tak już pozostało – dzisiaj przez tradycję.

Terror carski wobec Polaków na Ukrainie oraz na Uniwersytecie Kijowskim sprawił, że po brutalnym zgnieceniu przez policję carską spisku Gordona młodzież polska nie przejawiała żywszej działalności organizacyjnej. Nie znaczy to, że zamarł lub chociażby ostygł wśród studentów duch patriotyzmu. O, nie. Młodzież konspirowała ostrożnie już w 1841 roku. Wystarczyła jedna iskra, aby uaktywnić ją na dobre. 22 lutego 1848 roku wybuchła rewolucja we Francji. Obalono monarchię i wprowadzono ustrój republikański. M.in. zlikwidowano cenzurę oraz wprowadzono wolność prasy i stowarzyszeń. Rewolucja we Francji dała początek tzw. Wiosnie Ludów, czyli serii ludowych zrywów rewolucyjnych i narodowych w większości krajów europejskich. Na ziemiach polskich objęła ona zabór pruski (Powstanie Wielkopolskie 1848) i zabór austriacki (pierwszy wiec polski we Lwowie 13.03.1848, potem walki we Lwowie). [...] Rosja otworzyła się na Europę dopiero za cara Piotra I, czyli na początku XVIII w. Otworzyła jednak tylko trochę – w niektórych dziedzinach, ale nie duchowej i politycznej. Wiosna Ludów nie objęła więc Imperium Rosyjskiego. Jednak echa wydarzeń w Europie dotarły do Kijowa, a konkretnie do Polaków w tym mieście. Generał-gubernator kijowski Dymitr Bobikow został wówczas także kuratorem kijowskiego okręgu szkolnego. Nastąpiło zaostrenie kursu na Uniwersytecie – zaostrome zostały metody policyjne. Jednocześnie Bobikow pragnąc odciągnąć studentów od polityki, próbował kierować ich w stronę zabaw, karciorstwa itd. Reakcją studentów polskich, którzy łączywie chłonęli wiadomości o rewolucji w Europie, o prawach, które ona przynosiła uciemiężonym dotąd ludom, było żywsze zainteresowanie się polityką i sprawami polskimi. Studenci polscy zaczęli łączyć się ponownie w kołach, gdzie panował duch nauki i patriotyzmu. Przywódcą

nowej spiskowej organizacji studenckiej został Zygmunt Miłkowski (Teodor Tomasz Jeż), a do czołowych jego współpracowników należeli m.in.: Izydor Kopernicki, bracia Kądrzyccy, Korewo, Postępski, Aleksander Szumowski. Zadaniem organizacji było szerzenie zasad demokratycznych i propaganda czynu orężnego. Organizatorzy wydali odezwę o konieczności zniesienia poddaństwa i pańszczyzny, jako aktu sprawiedliwości społecznej. Zorganizowali tajną bibliotekę z nielegalnymi książkami. Niestety, państwa reakcyjne się zjednoczyły: reakcyjniści powrócili do władzy we Francji, w Niemczech Prusy zdusiły polską rewolucję w Wielkopolsce, a wojska wirtemburskie rozprędziły demokratyczny parlament niemiecki w Stuttgarcie, Austria zdusiła rewolucję polską w Galicji i we Włoszech, a kiedy Węgry ogłosiły oderwanie się od Austrii, na jej pomoc pospieszyła Rosja, wysyłając na Węgry 200-tysięczną armię pod dowództwem Iwana Paskiewicza, która krwawo rozprawiła się z powstańcami węgierskimi. W związku z wyjazdem Zygmunta Miłkowskiego na Węgry, gdzie u boku Węgrów walczył Legion Polski, a przede wszystkim pod wrażeniem krwawego stłumienia przez Rosję powstania węgierskiego, zdruzgotani tym studenci polscy zaprzestali działalności politycznej.

W latach 1853-56 toczyła się wojna krymska – wojna pomiędzy Rosją a Imperium Osmańskim (Turcją), którą wspierały militarnie Wielka Brytania, Francja i Sardynia i którą Rosja sromotnie przegrała. Polacy także i nią bardzo się interesowali. Także polscy studenci Uniwersytetu Kijowskiego. Po stronie tureckiej walczyły bowiem oddziały polskie, w szeregach których byli także Polacy z Ukrainy i Kijowa, jak np. były student Uniwersytetu Kijowskiego Zygmunt Miłkowski (Teodor Tomasz Jeż). Przegrana Rosji ucieszyła Polaków – także w Kijowie, napełniła ich nową nadzieją na lepsze jutro dla sprawy polskiej i zachęciła do ponownej walki o niepodległość. Jednocześnie od 1856 roku na Uniwersytecie Kijowskim mogła studiować także młodzież polska z Królestwa Polskiego. Przyniosła ona ze sobą ponowne ożywienie polskiej działalności na Uniwersytecie. Powstała wówczas trzecia z kolei polska organizacja studencka na Uniwersytecie Kijowskim, w której aktywny udział brali m.in.: Włodzimierz Antonowicz, Edward Bondi, Cypryński-Ciekawy, Gustaw Hartman, Wacław Lasocki, Zenon Maliszewski, Włodzimierz Milewicz, Edward Naskręcki, Fortunat Nowicki, Julian Orzechowski, Tadeusz Orzechowski, Szczęśny Oskierko, Gustaw Rakowski, Michał Toma-



Szymon Konarski (1808–1839) – polski działacz niepodległościowy, powstaniec listopadowy, członek Młodej Polski i Stowarzyszenia Ludu Polskiego
(obraz olejny nieznanego autora)

szewski, Jan Wesołowski i Jan Zaleski. Na pierwszy ogień poszło podniesienie poziomu życia moralnego wśród studentów zdemoralizowanych przez władze rosyjskie i uniwersyteckie. Od tego czasu moralność studentów polskich znacznie się podniosła.

Nowym kuratorem kijowskim został znany uczyony (chirurg) i liberał Nikołaj Iwanowicz Pirogow. Wówczas władze Uniwersytetu zezwoliły na utworzenie organizacji „gmin” jako organizacji narodowościowych. Młodzież polska utworzyła sześć gmin: Koronną (studenci z Królestwa Polskiego), której kierownictwo objął Tomasz Burzyński, Litewską z Władysławem Henszlem na czele i Białoruską, której przewodził Szymon Konopacki, a z ziem ukraińskich: Wołyńską z Antonim Chamcem, Podolską z Wróblewskim i Ukraińską (kijowską) z Włodzimierzem Antonowiczem.

Poza organizacją jawnych gmin i tajnych kół samokształceniowych zostało w 1857 roku założone przez Narcyza Jankowskiego ściśle tajne stowarzyszenie polskie pod nazwą Związek Trojnicki. Głosił on potrzebę przeprowadzenia uwłaszczenia chłopów i odbudowy państwa polskiego w granicach z 1772 roku, a jego celem było przygotowanie młodzieży akademickiej do walki zbrojnej o wolną Polskę. W tym celu Związek Trojnicki nawiązał kontakt z Kołem Oficerskim Zygmunta Sierakowskiego w Petersburgu, biorąc udział w przygotowaniach do wybuchu Powstania Styczniowego. Do jego czołowych działaczy należeli: Włodzimierz Antonowicz (w 1861 r. odszedł ze Związku wiążąc się z ruchem chłopomańskim), Stefan Bobrowski, Leon Głowacki, Włodzimierz Milewicz, Władysław Kamiński, Władysław Henszel, Antoni Chamiec, Marian Dubiecki, Leon Syroczyński i Wincenty Odyniec.

W okresie tym polska młodzież akademicka odczuwała brak pisma zajmującego się zagadnieniami ideowymi nurtującymi młodzież. O wydawaniu drukiem takiego pisma mowy być nie mogło. W 1856 roku ukazał się pierwszy numer pisma pt. „Bigos”, pisany ręcznie. W ciągu paru następnych lat ukazało się jeszcze 4-5 numerów tego pisma. Wkrótce pojawiły się dalsze pisma młodzieży akademickiej. Młodzież pochodząca z Królestwa Polskiego rozpoczęła wydawanie pisma „Ulicznik”, natomiast młodzież z Ukrainy – pisma „Publicysta” pod redakcją Antoniego Mioduszeńskiego, przy współudziale Włodzimierza Antonowicza i Tadeusza Ryłskiego. Będąc przeciwnikami idei powstania narodowego w 1859 roku z redakcji „Publicysty” odeszli Włodzimierz Antonowicz i Tadeusz Ryłski i założyli nowe pismo „Plebeusz”. Wkrótce oba

te czasopisma przestały wychodzić. W 1861 roku Antonowicz i Ryłski wraz z kilkoma innymi studentami opuścili Związek Trojnicki i założyli jednocześnie odrębną polsko-ukraińską grupę pod nazwą „Hromada”. Jednak, gdy w 1863 roku wybuchło Powstanie Styczniowe, wszyscy Polacy z grupy Antonowicza, z wyjątkiem paru jednostek, wzięli w nim czynny udział.

Większość młodzieży polskiej stanęła na stanowisku, że Uniwersytet Kijowski to polska uczelnia przeniesiona z Wilna i Krzemieńca i że w rozporządzeniu cara nie było mowy o zmianie języka wykładowego z polskiego na rosyjski – wobec tego słuszne jest żądanie przywrócenia języka polskiego. Dlatego w 1861 roku studenci polscy wystąpili z sugestią żądania polonizacji Uniwersytetu Kijowskiego.

Organizatorzy Związku Trojnickiego odegrali dużą rolę w Powstaniu Styczniowym 1863 roku. W 1862-63 prawie wszyscy członkowie Związku weszli w skład organizacji narodowej kierowanej przez Komitet Centralny Narodowy „czerwonych”, który z chwilą wybuchu Powstania Styczniowego w 1863 roku w Królestwie Polskim (Kongresówce) i na Kresach przekształcił się w Tymczasowy Rząd Narodowy.

Siły powstańcze składały się z przeszło tysiąca studentów i byłych studentów Uniwersytetu Kijowskiego, kilkuset uczniów starszych klas gimnazjalnych oraz kilkuset urzędników i mieszkańców Kijowa. Pierwsza (300 ludzi) i druga (150 ludzi) grupa powstańców wymaszerowały z Kijowa w dniu 10 maja 1863 roku pod wieczór – pierwsza w kierunku Romanówki i Borodziańki, a druga w kierunku drogi Starożytomierskiej. Tylko część powstańców pierwszej grupy była uzbrojona, a reszta miała otrzymać uzbrojenie w pobliskich lasach. Na przedzie szła kolumna konna w ilości 100 koni, dowodzona przez Romualda Olszańskiego. Pierwszą grupą dowodził oficer saperów Borowski, zaś głównym dowódcą był kapitan artylerii Władysław Rudnicki. Pod Borodziańką doszło do krwawej bitwy powstańców z dużo silniejszym, lepiej uzbrojonym i wyszkolonym oddziałem wojsk rosyjskich. Oddział powstańczy został kompletnie rozбит. Do niewoli dostało się 70 powstańców, a grupa powstańców, której udało się wymknąć z pola bitwy, została wkrótce wybita we wsi Wercholeska. Podobny los spotkał drugą grupę powstańców.

Najtragiczniejszy los spotkał trzecią grupę powstańców kijowskich, złożoną z 21 studentów i starszych uczniów gimnazjalnych, dowodzoną przez byłego studenta Uniwersytetu Kijowskiego Antoniego Jurjewicza.

Była to grupa propagandowa. Jej celem było rozdawanie chłopom egzemplarzy „Złotej Hramoty”, czyli aktu nadania ludowi wolności i ziemi przez rząd powstańczy. Niestety, będąc w Sołowijówce (w obwodzie żytomierskim, na południowy wschód od Korostyszewa) 9 maja 1863 roku powstańcy najpierw zostali gościnnie przyjęci przez chłopów ukraińskich i na ich prośbę odłożyli broń na bok, a w nocy 13 z nich zostało bestialsko zamordowanych kosami, dragami i toporami, a 12 innych ciężko zmasakrowanych wydano Rosjanom. Józef Dereżyński zmarł w szpitalu od ran, dziewięciu zostało zesłanych na Sybir, a dowódca, Antoni Jurjewicz, jako dowódca oddziału, został skazany na karę śmierci; udało mu się jednak uciec z fortecy kijowskiej. Tragedia zniechęciła polskich ziemian na Ukrainie do dalszego udziału w Powstaniu Styczniowym. Tragedia w Sołowijówce nie tylko przeszła na trwałe do polskiej historii, ale także stała się tematem wielu utworów literackich, m.in. „Na Ukrainie” (1873) L. Sowińskiego i „Szkiców z powstania 1863 r.” (1889) J. Sawickiego.

Powstanie na ziemiach ukraińskich trwało cały miesiąc i zakończyło się w dniu 11 czerwca 1863 roku. W

okresie jego trwania stoczonych zostało na ziemiach ukraińskich 12 potyczek zbrojnych z wojskiem rosyjskim. Ostatnia grupa powstańców, dowodzona przez Edmunda Różyckiego, musiała się schronić w zaborze austriackim. Młodzież polska wypełniła więzienia w Kijowie, Żytomierzu, Zasławiu, Dubnie, Berdyczowie, Starym Konstantynowie, Włodzimierzu i Związlu. Wielu powstańców zostało rozstrzelanych, wielu zaś zesłanych na długie lata na Sybir.

Generał Korencke, dowódca wojsk rosyjskich w guberni kijowskiej, który zgniótł powstanie na Kijowszczyźnie, zarządził, zgodnie z rosyjską barbarzyńsko-mongolską tradycją, by wzięci do niewoli powstańcy z różnych części Kijowszczyzny zostali przewiezieni do Kijowa i przemaszerowali głównymi ulicami miasta, tj. Wielką Wasilkowską, Kreszczatkiem do twierdzy na Peczersku. W pierwszej grupie znajdowali się powstańcy wzięci do niewoli przez chłopów z okolic Białej Cerkwi, przeważnie uczniowie białocerkiewskiego gimnazjum. Następne grupy stanowili rozbitkowie spod Boro-dzianki, Wiercholska i innych miejscowości. Był to straszny widok: na wozach leżeli skrepowani młodzi po-



Złota Hramota

wstańcy otoczeni przez żołnierzy i chłopów uzbrojonych w kosy, cepy i widły. Silniejsi szli pieszo dwójkami ze związanymi w tył rękami, w podobnym otoczeniu.

Historyk polski Stefan Kieniewicz w swej pracy o Powstaniu Styczniowym (1972) zauważył, że w latach 1860-64 najbardziej aktywni i radykalni rewolucjonści polscy w tym okresie wywodzili się nie z Warszawy, ale właśnie z Kijowa, gdzie po Powstaniu Listopadowym (1830-31) panował antypolski terror władz carskich. Wywodzący się z ziem ukraińskich i związani z Kijowem: Stefan Bobrowski, Z. Sierakowski, A. Korzeniowski, J. Dąbrowski, Z. Padlewski, najbardziej zaangażowani „czerwoni”, byli wybuchowym tworem carskich prześladowań polskiej kultury na Ukrainie.

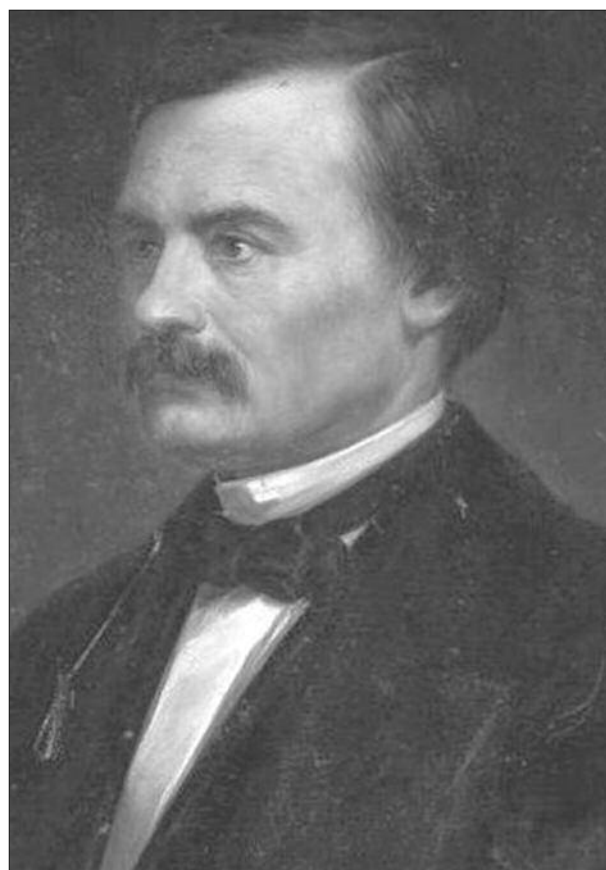
Natomiast Stanisław Grzymałowski w swoim szkicu o polskiej młodzieży akademickiej w Kijowie w latach 1834-1918 (1939) pisze, że należy podkreślić, że kijowska młodzież akademicka odegrała również dużą rolę w powstaniu 1863 roku w samej Warszawie. Ignacy Chmieleński, student Uniwersytetu Kijowskiego, stał wspólnie z Leonem Królikowskim i Witoldem Marczewskim na czele organizacji miejskiej powstania w Warszawie. Był on jednym z członków Centralnego Komitetu Narodowego, powstałego w Warszawie w czerwcu 1862 roku, na czele którego stał pochodzący z Żytomierza koło Kijowa Jarosław Dąbrowski. Z inicjatywy Chmieleńskiego odbyły się dwa nieudane zamachy na brata cara księcia Konstantego oraz na margrabiego Wielopolskiego. Wielkie wrażenie w czasie trwania już powstania wywołała akcja napadu na bank w Warszawie, zorganizowana przez studenta Uniwersytetu Kijowskiego Aleksandra Waszkowskiego z kilkoma studentami ze Szkoły Głównej. Zabrano wówczas z kasy rządowej ok. 20 milionów rubli (wówczas była to zawrotna suma). Waszkowski w czasie dogorywania powstania objął stanowisko naczelnika miasta Warszawy, które zajmował, jako ostatni naczelnik, do momentu aresztowania go, tj. do grudnia 1864 roku. Rozstrzelany został w Cytadeli w Warszawie 17 lutego 1865 r.

Po zdławieniu Powstania Styczniowego władze carskie przystąpiły do „ostatecznej” walki z Polakami na Ukrainie. Zabroniono nawet mówić po polsku między Polakami w miejscach publicznych. Uniwersytet Kijowski stał się uniwersytetem rosyjskim. Liczba Polaków na Uniwersytecie Kijowskim po powstaniu znacznie zmalała. Jednak aż do rewolucji bolszewickiej w 1917 roku studiowało na nim wiele, wiele setek Polaków, co potwierdzają chociażby biogramy w Polskim Słowniku Biograficznym.

Spśród wielu studentów i absolwentów Uniwersytetu Kijowskiego do 1863 roku, którzy odegrali później dużą rolę w życiu Polski i narodu polskiego lub byli znanymi osobami, należy wymienić: Jana Amborskiego – zasłużonego lektora języka francuskiego na polskim uniwersytecie we Lwowie, Adriana Baranieckiego – lekarza, założyciela muzeum techniczno-przemysłowego w Krakowie i kursów wyższych dla kobiet, Karola Baykowskiego – towiańczyka, Stefana Buszczyńskiego – powstańca 1863, publicystę i pisarza politycznego, Piotra Jaksę Bykowskiego – powieściopisarza, eseistę i prawnika, Antoniego Chamca – polskiego posła do Sejmu Galicyjskiego we Lwowie i austriackiej Rady Państwa w Wiedniu, Bronisława Chojnowskiego – profesora medycyny w Szkole Głównej Warszawskiej a następnie Uniwersytetu Warszawskiego, Aleksandra Czekanowskiego – wybitnego geologa, sybiraka (1863), a następnie zasłużonego badacza Syberii, Mariana Karola Dubieckiego – historyka, sekretarza Rusi w Rządzie Narodowym Powstania Styczniowego 1863-4, Franciszka Duchińskiego – konarszczyka, wybitnego etnografa, historyka i działacza emigracyjnego, Adama Gadowskiego – ziemianina z Wołynia, który już w 1849 roku w swoich dobrach z własnej inicjatywy zniósł poddaństwo i pańszczyznę, Kazimierza Gąsiorowskiego – zasłużonego lekarza w Serbii, Leona Głowackiego – filologa i pedagoga, brata powieściopisarza Bolesława Prusa, Ludwika Góreckiego – profesora dermatologii na Uniwersytecie Kijowskim, Michała Grzybowskiego – znanego filantropa, Aleksandra Jabłonowskiego – członka Wydziału Wykonawczego na Rusi w 1862 roku, wybitnego historyka ziem ukraińskich, autora m.in. prac Akademii Kijowsko-Mohylańska (Kraków 1899/1900), Historia Rusi południowej (Kraków 1912), Konstantego Jelskiego – przyrodnika, profesora uniwersytetu w Limie w Peru, Teodora Jełowickiego – sekretarza gubernialnego kijowskiego, marszałka powiatu humańskiego, działacza emigracyjnego, przyjaciela Cypriana Norwida, Władysława Kamieńskiego – wybitnego działacza społecznego, Izidora Kopernickiego – wybitnego anatoma i antropologa, profesora uniwersytetów w Kijowie i Krakowie, Władysława Kozłowskiego – filozofa, socjologa, psychologa, pedagoga, literata, ofiarodawcy swego cennego księgozbioru polskiemu Zakładowi im. Ossolińskich we Lwowie, Augustyna Kwaśnickiego – redaktora „Przeglądu Lekarskiego” w Krakowie, Jana Kwaśnickiego – znanego chirurga, Wacława Ignacego Lasockiego – lekarza i społecznika, pamiętnikarza i bibliofila, powstańca 1863 i

sybiraka, Edmunda Liwskiego – konarszczyka, docenta na uniwersytecie w Charkowie, Włodzimierza Miłowicza – prawnika i publicystę, jednego z przywódców Związku Trojnickiego w Kijowie, emisariusza polskiej emigracji przygotowującej Powstanie Styczniowe (członek Komisji Broni), Zygmunta Miłkowskiego (T.T. Jeż) – pisarza (autor bardzo wielu powieści), publicystę i polityka niepodległościowego, autora głośnej pracy „O obronie czynnej i skarbie narodowym”, Fortunata Nowickiego – założyciela uzdrowiska w Nałęczowie, Edwarda Nowodworskiego – księdza, literata i sybiraka, Tadeusza Orzechowskiego – działacza politycznego i emigracyjnego, lekarza, organizatora międzynarodowych przedsięwzięć technicznych, Antoniego Pietkiewicza (Adam Pług) – znanego poetę i powieściopisarza, Józefa Popowskiego – publicystę i posła na Sejm Krajowy we Lwowie, Józefa Rollego – historyka ziem ukraińskich, ojca Karola, prezydenta Krakowa w latach 1926-31, Leonarda Sowińskiego – literata i jednego z najwybitniejszych historyków literatury polskiej, tłumacza [...] „Hajdamaków” (1841) Tarasa Szewczenki na język polski (nigdy nie wydano w Polsce całego tego poematu z obawy na dodatkowe zaognienie stosunków polsko-ukraińskich), Antoniego Stanisławskiego – konarszczyka, profesora na uniwersytecie w Kazaniu, Leona Syroczyńskiego – profesora polskiej Politechniki Lwowskiej, Józefa Tretiaka – profesora Uniwersytetu Jagiellońskiego, Seweryna Waryńskiego – ojca Ludwika, działacza i ideologa polskiego ruchu socjalistycznego oraz Stanisława, polskiego i szwajcarskiego lekarza, Aleksandra Zygmunta Wicherńskiego – kompozytora, krytyka muzycznego, malarza i poety, Tomasza Zawadzkiego – literata, Józefa Anzelma Żulińskiego – w czasie Powstania Styczniowego 1863 naczelnika Krakowa z ramienia Rządu Narodowego, zasłużonego działacza społecznego w Krakowie i we Lwowie, pomysłodawcy i organizatora pierwszych kolonii dla młodzieży w Rymanowie.

Historiografia ukraińska i sam Uniwersytet Kijowski przemilcza lub fałszuje niewygodne dla nich fakty historyczne – fakt, że uniwersytet ten ma korzenie polskie, że powstał przez kradzież polskich zbiorów i bibliotek i do 1864 roku był *de facto* uczelnią polskorosyjską. W internetowej stronie Uniwersytetu Kijowskiego – w językach ukraińskim, rosyjskim i angielskim – w artykule o historii uniwersytetu czytamy taki oto zakłamany tekst:



Franciszek Duchński (1816–1893) – polski etnograf i historyk, działacz emigracyjny

„For many years it was realized that the city of Kyiv needed a new type of university. Pressure on the authorities to allow the creation of such a school was growing but it took many decades before this idea was realized. Since Russian autocracy feared the new school would turn into a centre of Ukrainian national liberation activity, one must say that such fears were not at all groundless”. (Od dawna zdawano sobie sprawę z potrzeby założenia nowoczesnego uniwersytetu w Kijowie. Naciski na władze carskie, aby powstała taka uczelnia, były nieustannie prowadzone. Jednak przeszło kilkadziesiąt lat, zanim ta idea została urzeczywistniona. Bowiem władze carskie obawiały się, że uczelnia stanie się centrum ukraińskiej działalności niepodległościowej, a te obawy rzeczywiście nie były bezpodstawne...).

Tymczasem uczciwie podchodzący do swej pracy amerykański historyk Michael F. Hamm w swej książce pt. „Kiev. A Portrait, 1800–1917” (Princeton University Press 1993) pisze, że spośród wszystkich mieszkańców Kijowa do 1863 roku tylko Polacy byli wyzwaniem dla władz carskich i tylko sprawa polska dominowała w ówczesnym życiu politycznym miasta.

CDN

JAN DWIGUBSKI. MIÓD I POŚPIECH

Jan (Iwan) Dwigubski urodził się w 1771 roku w guberni kurskiej. Jego dziadek trafił do Rosji z ziem ukraińskich w niewyjaśnionych okolicznościach, przyjął prawosławie i zruszczył się. Jan Dwigubski początkowo wychowywał się w kolegium charkowskim, po ukończeniu którego przez pewien czas wykładał retorykę w szkołach średnich. W 1793 roku wstąpił na wydział medycyny Uniwersytetu Moskiewskiego, który ukończył po trzech latach, uzyskując złoty medal za pracę dyplomową „De generatione”. Został też zatrudniony na macierzystej uczelni w charakterze kustosa gabinetu historii naturalnej. Niebawem obronił rozprawę „De amphibii Mosquiensibus” i objął funkcję adiunkt-profesora, rozpoczynając wykłady z fizyki i historii naturalnej.

W 1802 roku błyskotliwie obronił dysertację doktorską („Primitae Faune Mosquiensis”) i został wysłany w celu doskonalenia zawodowego za granicę, gdzie słuchał wykładów najznakomitszych profesorów Paryża, Wiednia i Getyngi. W celach badawczych zwiedził też Czechy, Morawy, Węgry, Ukrainę, doskonaląc się przy okazji w zakresie chemii i innych nauk przyrodniczych. Po powrocie do Moskwy wykładał tu m.in. mineralogię. W 1813 został przeniesiony na katedrę fizyki, w 1826 – botaniki. Od 1830 miał rangę profesora zasłużonego. Pełnił też szereg funkcji administracyjnych: był dziekanem wydziału medycyny i dwukrotnie (w 1826 r. i 1830 r.) wybierany na rektora Uniwersytetu Moskiewskiego.

W 1833 roku profesor Dwigubski podał się do dymisji w związku ze złym stanem zdrowia, wyjechał do miasta Kaszyra i tam kontynuował prace badawcze, pisząc szereg tekstów naukowych z różnych gałęzi medycyny i nauk przyrodniczych. Cieszył się poważną renomą w świecie naukowym nie tylko Rosji, ale też m.in. Francji i Niemiec; był członkiem kilkunastu towarzystw naukowych.

Prace Dwigubskiego miały charakter zarówno naukowy, jak też popularyzatorski i kompilacyjny. Czerpiąc pełną garścią z oryginalnego dorobku badawczego innych uczonych, posiadał wielką erudycję w zakresie medycyny, anatomii, fizjologii, zoologii, fizyki, chemii, botaniki, pszczelarstwa, higieny żywienia, historii nauki. Był encyklopedystą z prawdziwego zdarzenia, a w historii nauki rosyjskiej pozostał jako jeden z wybitniejszych wykładowców technologii Uniwersytetu Mo-

skiewskiego, autor dwutomowego podręcznika akademickiego (1807–1808) „Naczalnyje osnovanija tiechnologii ili kratkoje pokazanije rabot na zawodach i fabrikach proizwodimych”. Ceniono w swoim czasie także takie jego publikacje, jak „O strojenii czastiej czelowieczeskogo tieła”, „Nastawlenije socziniań recepty”, „Powiwalnoje iskusstwo”, „Naczalnyje osnovanija botaniki”, „Opisanije i izobraženije wsiech żywotnych Rossijskoj Impierii”, „Gławnyje prawa sadowodstwa”. Był też autorem mnóstwa drobniejszych publikacji w periodyce Niemiec, Francji, Rosji. Pisał przeważnie po rosyjsku i po łacinie, nie stroniąc zresztą także od języka niemieckiego i francuskiego.

Jeden z artykułów pt. „O prigotowlenii sacharu iz winogradnych jagod” profesor Dwigubski poświęcił historii i technologii produkcji cukru z winogron. Wskazywał w nim m.in. że słodkie substancje od czasów najdawniejszych były pozyskiwane przez mieszkańców Europy Północnej (Skandynawia, Litwa, Ruś i in.) z soku drzew klonowych. Tę umiejętność posiadali też Indianie Ameryki Północnej. W Kanadzie dotychczas produkuje się sposobem domowym nieduże ilości cukru klonowego, ale dwoma najważniejszymi surowcami w skali światowej są obecnie buraki cukrowe i trzcina cukrowa. I chociaż cukier klonowy jest znacznie słodszy i smaczniejszy niż buraczany i trzcinowy, jego produkcja na szerszą skalę byłaby kompletnie nieopłacalna i nigdy nie mogłaby zaistnieć jako licząca się gałąź przemysłu żywieniowego ze względu na ograniczony brak surowca. Natomiast produkcja smacznego cukru z winogron ma miejsce w Hiszpanii, Francji, Włoszech, Niemczech i odgrywa ważną rolę w żywieniu tych krajów.

Jako popularyzator Dwigubski opublikował szereg interesujących artykułów o różnych zagadnieniach sadownictwa, ogrodnictwa, pszczelarstwa, winiarstwa itp. Popularyzował m.in. wśród czytelników odżywcze i lecznicze właściwości miodu, który określał jako jeden z najbardziej wartościowych produktów służących człowiekowi. Istotnie, dziś wiemy, że miód zawiera 180 różnych substancji, wspomagających przemianę materii. Ma wprawdzie tylko śladowe ilości witamin, ale za to dużo potasu, magnezu, enzymów i aminokwasów. Jest wysokokaloryczny, a przy tym lekkostrawny. Wzmacnia serce, wątrobę, nerki, układ moczowy. Dzięki dużej zawartości fruktozy i cukru gronowego,



Jan Dwigubski (1771–1839) – rektor Uniwersytetu Moskiewskiego

które są błyskawicznie wchłaniane do krwi, „rozjaśnia” umysł, poprawia samopoczucie i dodaje chęci do działania. Kiedy wypijemy rano napój z miodu i soku cytryny, nasz mózg będzie produkował w ciągu dnia więcej tzw. endorfiny, które uśmierzają ból.

Do najważniejszych substancji znajdujących się w miodzie należą aminokwasy, podstawowy składnik białek. Pochodzą one z pyłków kwiatowych i nektaru.

Za działanie antybakteryjne miodu odpowiadają enzymy, które niszczą wszelkie zarazki. Warto zatem sięgnąć przy katarze czy przeziębieniu po stare i wypróbowane środki, czyli herbatkę ziołową z dodatkiem miodu. Ale uwaga: enzymy giną w wysokiej temperaturze, dlatego napój może być podgrzany najwyżej do 40°C.

Bardzo ważnym składnikiem miodu jest również inhibina. Powstrzymuje ona wzrost i rozmnażanie się

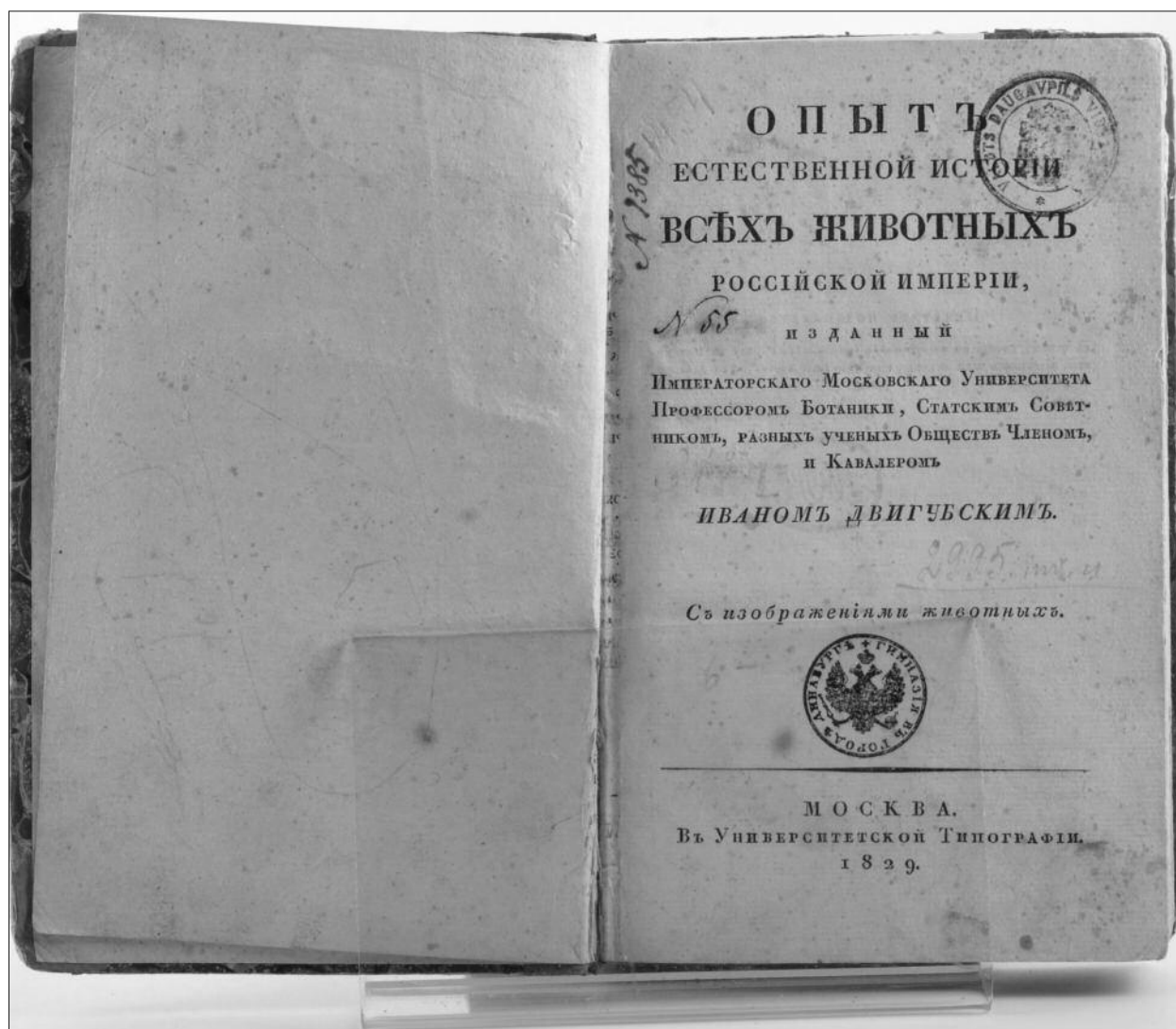
szkodliwych dla człowieka bakterii chorobotwórczych. Podobne działanie ma cholina. Oba składniki pomagają neutralizować wolne rodniki.

Różne słabe kwasy – np. octowy, mlekowy, cytrynowy, mrówkowy, jabłkowy, bursztynowy – wpływają na smak miodu, a co najważniejsze wspomagają trawienie.

Dobroczynne właściwości miodu, jego kolor, smak i zapach zależą od tego, z jakich roślin pracowite pszczołki go wyprodukowały.

Akacjowy polecany jest alergikom, ponieważ zawiera najmniej pyłków. Jest to bardzo jasny miód o płynnej konsystencji, słodszy niż inne miody.

Eukaliptusowy zawiera dużo fruktozy. Ma ciemną barwę, niezbyt intensywny smak, choć wyraźnie wyczuwa się nutę żywicy. Długo zachowuje postać płynną. Stosowany przy nieżytach górnych dróg oddechowych.



Strona tytułowa pracy naukowej Jana Dwigubskiego o wszystkich zwierzętach w Imperium Rosyjskim, wydanej w Moskwie w 1839 r.

Gryczany stosowany jest przy schorzeniach układu krążenia. Ma brązową barwę, ostry aromat, charakterystyczny drapiący w język smak. Zawiera sporo białka i żelaza, jest więc polecany przy niedokrwistości (anemii).

Jodłowy to niemal czarny miód o korzennym smaku, z nutą żywicy. To miód spadziowy – produkowany ze spadzi, czyli substancji wydalanych przez mszyce i czerwce. Ma dużo soli mineralnych oraz inhibiny. Najbogatszy jest w mikroelementy i pierwiastki śladowe, znakomicie więc uzupełnia ich niedobory w organizmie. Skutecznie wspomaga leczenie chorób dróg oddechowych.

Kasztanowy ma kolor ciemny, czerwonozłoty; intensywny, nieco orzechowy aromat prażonych kasztanów z wyczuwalną goryczką.

„Bartnicze piśmiennictwo polskie datuje od roku 1614, trwa od tego czasu bez przerwy – a w nowszym czasie możemy się poszczycić znakomitością europejskiego rozgłosu i to o nazwisku tak polskim, że żaden Niemiec za nic w świecie wymówić go nie zdoła, a więc i zaanektować: szkoda, że nasz Kopernik Dzierżonem się nie nazywał” – pisał profesor Feliks Koneczny w dziele „Polskie Logos a Ethos”.

Trzeba powiedzieć, że rosyjskie bartnictwo nie było młodsze od polskiego, a w XVIII-XIX wieku doznało też znacznego rozwoju także dzięki licznym w tym zakresie autorom i ich publikacjom, nie w ostatniej kolejności także Janu Dwigubskiemu, uczonemu wszechstronnie uzdolnionemu i wykształconemu.

Na początku XIX wieku profesor Dwigubski zwrócił uwagę na zagadnienia związane z higieną pracy naukowej, wskazując m.in. na konieczność jej harmonizacji, czyli rytmicznej i regularnej zmiany okresów wysiłku a wypoczynku. Dopiero w sto lat później ten wątek został ponownie podjęty przez naukę rosyjską, która opracowała to zagadnienie z nadzwyczajną dokładnością.

Ustalono np., że najlepszą pozycją sprzyjającą myśleniu jest pozycja siedząca. Mimo to, wielu wybitnych pisarzy – Hemingway, Balzak, Gogol – wołało pracować na stojąco przy wysokim biurku. Najgorsza natomiast jest pozycja leżąca (dotyczy to nawet pasywnych rozważań).

Profesor Uniwersytetu Petersburskiego, znany fizjolog, Mikołaj Wwiedieński, sformułował na początku XX stulecia podstawowe zasady podtrzymywania aktywności twórczej i wydajności pracy mózgu. Zasady te

obejmują stopniowe zagłębianie się w pracę umysłową, rytmiczność, konsekwentność i systematyczność pracy, oraz obowiązkowe przestrzeganie kolejności pracy i wypoczynku.

Najbardziej wydajne dni tygodnia, to wtorek i środa (w każdym razie u ludzi pracujących systematycznie w rytmie tygodniowym). Wydajność pracy umysłowej osiąga maksimum w godzinach 9-10 oraz 11-13. Jest to złota pora polotu, natchnienia, wysokiej produktywności. Druga dogodna część doby – od 16 do 18 po południu. Później następuje spadek aktywności, zmniejsza się wydajność. Najbardziej niekorzystne godziny pracy to 1-2 w nocy. Nocnego trybu pracy lekarze w ogóle nie zalecają. Po dwugodzinnej pracy umysłowej należy zrobić 10- lub 15-minutową przerwę. Odpoczynek powinien wyprzedzać zmęczenie – radzą specjaliści.

Problematyką usprawnienia pracy umysłowej zajmują się obecnie nie tylko fizjologia, psychologia i higiena; w tę niezbadaną do końca dziedzinę wtargnęła ostatnio technika i architektura wnętrz. Stwarza się więc przedmioty, których zadaniem jest stymulacja twórczej aktywności. Unowocześnione pióro, stonowany atrament, odpowiedni fotel, dogodne oświetlenie, biurko, przy którym pracuje się wygodnie i przyjemnie, estetyczne wnętrza gabinetu nierozpraszkające uwagi – wszystko to ułatwia i usprawnia pracę.

Trzeba też unikać zbytniego pośpiechu: pośpiech, bowiem, to nic innego, jak jedna z licznych postaci lenistwa oraz świadectwo nieumiejętności rozumnego planowania i organizowania własnego życia.

S. Łazarew, współczesny uczony rosyjski, nazywa pośpiech agresją przeciwko czasowi, a więc atakiem na własną i swoich dzieci przyszłość, który częstokroć kończy się śmiercią. Wydaje się, że także w tej dziedzinie może nauka dotrzeć do interesujących wniosków, choć przecież już starożytni zalecali: *festina lente* (łac. *spiesz się powoli*). Z tej zasady nie wynika jednak postulat lenistwa, z reguły bowiem życie leniwe jest jałowe. Aby napisać i opublikować kilkanaście książek oraz paręset artykułów – jak to uczynił profesor Dwigubski – trzeba pracować bardzo intensywnie i być człowiekiem nader ruchliwym. Tacy ludzie zresztą wyznają zasadę, że póki się żyje, trzeba się ruszać, coś robić – na prawdziwe, wieczne, odpocznienie przyjdzie czas dopiero później. Po śmierci.

Profesor Jan Dwigubski zakończył życie 30 grudnia 1839 roku, w wieku 68 lat.

Dr Jan CIECHANOWICZ

JAN MIKULICZ. KRÓL KRÓLEWIECKIEJ CHIRURGII

Urodził się w zamożnej rodzinie szlacheckiej w Czerniowcach w 1850 roku.

Mikuliczowie herbu „Gozdawa” z odmianą należeli do najstarszytniejszego rycerstwa Wielkiego Księstwa Litewskiego. Wywodzili siebie z Ziemi Oszmiańskiej od Huryna Skumina Lwowicza. Mieli własny herb o tejże co nazwisko nazwie.

S. Uruski („Rodzina”, t. 11, s. 58) podaje: *„Mikulicz herbu Mikulicz vel Gozdawa odm... Stara litewska rodzina, jedna jej linia nosiła przydomek Skumin, druga Radecki; linia Skuminów istniała jeszcze w końcu XVII stulecia, linia Radeckich istnieje do tego czasu. Mikulicze, jak się zdaje, wychodźcy smoleńscy, posiadali na Litwie majątek Zamosze w pow. Brastawskim, którego właścicielem w 1525 r. był Jacko, syn Mikuły Wasilkowicza”*.

Przed 1522 rokiem w powiecie lidzkim i nowogródzkim byli spokrewnieni z Lubeckimi, Krzywcami, Pełowskimi, Kotowskimi, Karczewskimi, Bromirskimi.

O Mikuliczach herbu „Gozdawa” „Herbarz rodzin szlacheckich Królestwa Polskiego z roku 1853” (cz. II, s. 64) podaje, że *„Rodzina ta od dawna w Wielkim Księstwie Litewskim zamieszkała, udowodniła już prawa swoje do szlachectwa dziedzicznego w Cesarstwie, gdzie jej przodkowie od trzech wieków, bo od roku 1500 zajmowali znaczne urzędy i liczne dziedziczyli dobra [...]”*.

W roku 1443 *„Hryńku Mikuliczu Korol hramotu dał na Czaczinskoje sieto, i panu Juszku Kgocewiczu, szto by jemu dał pokój o to sieto. Hryńko by dzierżał i z żonoju”* („Russkaja Istoriceskaja Biblioteka”, t. 15, s. 110-111).

W 1530 roku figuruje w aktach grodzkich wileńskich imię dworzanina Teodora Mikulicza z Wilna. „*Poddany królewski Jan Mikulicz*” figuruje w roku 1571 w inwentarzu plebanii rudomińskiej pod Wilnem („Akty izdawajemyje Wilenskoju Archeograficzekoju Komissijeju”, t. 14, s. 158). Jan Mikulicz, szlachcic spod Oszmiany, notowany od roku 1576 w zapisach archiwalnych, figuruje w księgach trockiego sądu podkomorskiego z 1589 roku jako rewizor królewski („Akty izdawajemyje...”, t. 30, s. 38).

Inny Jan Mikulicz Radecki od 1608 roku mieszkał w powiecie wilkomierskim, dokąd przeniósł się z Korony (CPAH Litwy w Wilnie, f. 391, z. 1, nr 1690, s. 184).

Pan Samuel Mikulicz, cześnik piński, figuruje w księgach sądu brastawskiego w 1700 roku (CPAH Litwy w Wilnie, f. DA, r. 1700, nr 46, s. 91-94).

Stefan Mikulicz w 1767 roku podpisał akt różnowerczej konfederacji w Słucku, z czego wynika, że przynajmniej jedna z gałęzi tej rodziny była protestancka („Akty izdawajemyje...”, t. 8, s. 618).

Obfita dokumentacja, dotycząca dziejów rodu Mikuliczów herbu Mikulicz zgromadzona została (chyba ponad tysiąc kart) w Historycznym Archiwum Narodowym Białorusi w Mińsku (f. 319, z. 2, nr 1932). Znajdujący się tutaj „Wywód familii urodzonych Mikuliczów”, zatwierdzony przez Deputację wywodową szlachecką Guberni Mińskiej 8 listopada 1815 roku, donosi, że *„ta familia [...] od naydawniejszych czasów w zaszczytach urodzenia szlacheckiego zostając, i prerogatywy temu stanowi właściwie piastując, dotąd trwa. Z pomiędzy owej w późniejszym czasie licznie rozmnożonej familii dziś wywodzący się, wziąwszy za protoplastę domu swojego urodzonego Aleksandra Mikulicza [...] pochodzenie rodu szlacheckiego od niego aż do dziś żyjących i wywodzących się następnym usprawiedliwiono porządkiem. – Że w pokoleniu pierwszym ów rzeczony Aleksander Mikulicz był aktualnym i niekwestyonowanym szlachcicem, świadczy o tym kwit relacyjny z ksiąg grodzkich Zamku Mińskiego roku 1673 miesiąca Augusta 30 dnia wydany [...]”*. Aleksander Mikulicz był generałem, czyli woźnym, Jego Królewskiej Mości Województwa Mińskiego (oryginał przywileju za podpisaniem króla Stanisława Augusta znajduje się w tymże zbiorze).

„W pokoleniu drugim zostawił po sobie syna Samuela [...] W pokoleniu trzecim Samuel Aleksandrowicz zostawił po sobie syna Elizeusza, a Elizeusz w czwartym pokoleniu sptodził synów dwóch, Hieronima i Stefana, dzisiejszy wywód podpisujących”. W 1815 roku, siedzący przeważnie w powiecie borysowskim, Teodor (z synem Piotrem), Symon, Manuel (z synami Janem i Hrehorym) Mikuliczowie urzędowo przez heroldię mińską uznani zostali *„za rodowitych szlachtów polskich”* z wpisaniem ich do części pierwszej Ksiąg Szlacheckich Guberni Mińskiej.

Andrzej Mikulicz, żonaty z Agnieszką Przyborską, razem z dziećmi Janem, Józefem, Pawłem, Stefanem, Franciszkiem, Antonim i Walerianem odnotowany został w 1832 roku przez heroldię wileńską jako mieszkaniec powiatu dziśnieńskiego (CPAH Litwy w Wilnie, f. 391, z. 7, nr 4117, II, s. 813-814).

Wywód familii urodzonych Radeckich Mikuliczów herbu Gozdawa z 30 marca 1832 roku, ułożony w Wil-



Jan Mikulicz-Radecki jako profesor we Wrocławiu (1890 r.)

nie, podaje, że „*familia Mikuliczów będąc dawną starożytną i od niepamiętnych czasów dostojnością szlachecką zaszczyconą [...], a lubo dziś wywodzącym się niepodobno dokładnie początkowego nastania dośledzić i wykryć pierwszego przodka z powodu, iż akta publiczne i archiwa domu Mikuliczów nie tylko przez rozmaite wypadki, ale samą dawnością czasu zniszczone zostały, jednakże z dowodów, jakie od zatruty zachowały się wyświeca się najszybsze przekonanie, iż z górą od trzech wieków familia Radeckich Mikuliczów licznie rozgałęzioną w Xięstwie Liteuskim nie tylko szczyty się prawami szlacheckimi, lecz nadto między pierwszemi familiami będąc z onemi połączona związkiem pokrewieństwa, jest znaną. Że przodek tej familii pan Radecki Mikulicz wpośród zaszczytów szlacheckich koło 1500 roku był dziedzicem znacznych majątków z poddanymi, z których jedne Ostrowka zwane w powiecie oszmiańskim leżące, wydając córkę swoją Dorotę za Jana Wnuczka w posagu oddał, jak o tem przekonana kopia dokumentu 1596 Junij 2 datt [...], a dalsze, jako to: Kamionkę w tymże oszmiańskim i Olginiany w wileńskim powiatach położone, synom trzem Adamowi, Michałowi i Szczęsnemu z żony Katarzyny Wiesiołowskiej spółdzionym w sukcesyji zostawił...”. Szczęsny zginął z tureckiej niewoli, a pozostali bracia uczynili dział z całości dóbr.*

„*Michał, połączony związkiem małżeńskim z urodzoną Kossakowską, spółdził synów pięciu: Marcina, Jana, Samuela, Mikołaya i Michała [...]*”. Z tych Michał przeniósł się do powiatu wiłkomierskiego, gdzie jego potomkowie dziedziczyli dobra Kurkle, Możejki i Żmejdy (miał synów siedmiu). Całość rodziny była ogromnie rozgałęzioną, w 1832 roku „*za aktualną, rodowitą i starożytną szlachtę*” heroldia wileńska uznała kilkunastu przedstawicieli tylko wiłkomierskiej jej gałęzi (CPAH Litwy w Wilnie, f. 391, z. 1, nr 1026, s. 55-59).

Bogusław Mikulicz około roku 1880 był właścicielem majątku Dudy, leżącego w święciańskim powiecie Guberni Wileńskiej (CPAH Litwy w Wilnie, f. 391, z. 19, nr 1971).

W okresie 1918-39 – jak pisze Józef Godlewski w swych wspomnieniach („Na przełomie epok”, Londyn 1978) – „*Mikuliczowie byli znanymi działaczami polonijnymi na Litwie*”. Z Wileńszczyzny odgałęzili się też na ziemię Ukrainy i Mołdawii, gdzie również cechowała ich energia i orientacja patriotyczna.

Ojciec Jana Mikulicza, Jędrzej, był sekretarzem izby handlowej, człowiekiem wcale zamożnym, który umożliwił synowi pobieranie nauk gimnazjalnych nie tylko w rodzinnych Czerniowcach, ale też w Pradze i Wiedniu. W tym ostatnim mieście kończył młody człowiek w latach 1869–1875 studia medyczne. Przez trzy kolejne lata praktykował pod okiem profesora Th. Billrotha, zostając następnie na kolejne trzy lata jego asystentem. A po tym objął kierownictwo oddziału chirurgii w głównej przychodni wiedeńskiej. Po odbyciu rocznej delegacji naukowej do Wielkiej Brytanii, Francji i Niemiec habilitował się w Wiedniu i w 1882 został mianowany profesorem zwyczajnym i dyrektorem kliniki chirurgicznej na Uniwersytecie Jagiellońskim w Krakowie.

Jan Mikulicz pisywał początkowo wyłącznie w języku niemieckim, a jego pierwsza publikacja pt. „Über das Rhinosclerom” ukazała się w periodyku „Archiv für Klinische Chirurgie” w 1876 roku. W tymże roku „Wiener Medizinische Wochenschrift” zamieściło jego artykuł pt. „Beitrag zur Genese der Dermoide am Kopfe”. W okresie późniejszym każdego roku ukazywały się jego teksty naukowe w języku niemieckim w periodyce specjalistycznej Austrii, Szwajcarii i Niemiec.

Wydaje się, iż pierwszą publikacją naukową Jana Mikulicza w języku polskim był tekst pt. „O użyciu jodoformu w leczeniu ran”, zamieszczony przez „Przegląd Lekarski” w 1881 roku. Rok później ukazał się w tymże periodyku artykuł „O wpływie chirurgii nowoczesnej na kształcenie uczniów w klinice chirurgicznej”, a jeszcze po roku „Mięśniowłóknia śródścienny macicy wielkości dwóch głów dziecięcych i podsurowiczy wielkości pomarańczy. Wycięcie przez pochwę; wyzdrowienie”; w tymże roku opublikowano „Przecięcie nerwu łokciowego i pośrodkowego w okolicy łokciowej”.

Odtąd też teksty w języku polskim poświęcone rozmaitym przypadkom z dziedziny chirurgii bardzo często były publikowane na łamach „Przeglądu Lekarskiego”.

Od 1887 roku znakomity uczony pracował w Królewcu, a od 1890 we Wrocławiu. Razem ze specjalistami niemieckimi założył pismo „Mitteilungen aus den Grenzgebieten der Chirurgie und der inneren Medizin” (od 1896) oraz wydał fundamentalny „Handbuch der praktischen Chirurgie”, który był kilkakrotnie wznawiany.

Wypada być może w tym miejscu wyakcentować fakt, że działalność naukowa osób polskiego pocho-

dzenia na niemieckim obszarze językowym była równie ważka i znacząca, co na rosyjskim. Przypadek Jana Mikulicza nie był w tym względzie zjawiskiem odosobnionym. Na przykład na wydziale lekarskim Uniwersytetu Berlińskiego w XIX wieku docentami byli m.in. Zygmunt Radziejowski (farmakolog) i Albert Adamkiewicz (patolog). Na katedrach medycznych we Wrocławiu zasiadał słynny chirurg Bronisław Kader oraz patolog Jan Kołaczek. Na Wszechnicy Lipskiej pracowali docenci chirurgii Władysław Lesser i Antoni Jurasz (młodszy); w Jenie – chirurg Ludwik Rydygier; w Monachium – docent stomatologii Alfred Kantorowicz; w Heidelbergu – Stanisław Bądryński (higiena), Antoni Jurasz starszy (laryngologia); w Marburgu – Franciszek Tuczek (psychiatria), Wacław Sobierański (farmakologia); w Królewcu Bernard Rosiński (położnictwo), Kazimierz Krzywicki (chirurgia), Tadeusz Żuralski (ginekologia).

W Austrii na Uniwersytecie Wiedeńskim słynął okulista Michał Borysikiewicz, w Grazu – patolog Ru-

dolf Klemensiewicz, w Innsbrucku – dermatolog Włodzimierz Łukaszewicz.

W Szwajcarii na Uniwersytecie Genewskim organizatorem i dziekanem wydziału lekarskiego (1875–1916) był profesor anatomii opisowej Zygmunt Laskowski, docentem fizjologii Michalina Stefanowska. Na Uniwersytecie w Zurychu katedrę neurologii zajmował Mieczysław Minkowski (kilkakrotny rektor i dziekan tej uczelni), laboratorium chemicznym kierował Wacław Moraczewski, psychiatrię wyładał Eugeniusz Minkowski, kierownikiem kliniki internistycznej był aż do 1948 roku Antoni Krupski. W Lozannie na wydziale lekarskim katedrę biochemii zajmował Czesław Strzyżowski (zarazem profesor chemii farmaceutycznej na wydziale matematyczno-przyrodniczym, gdzie istniał oddział farmaceutyczny), wykładowcą psychiatrii i wicedyrektorem kliniki psychiatrycznej był Jan Piltz. W stołecznym Uniwersytecie Berneńskim katedrę chemii lekarskiej i bakteriologii zajmował w latach 1873–1891 profesor Marceli Nencki, którego asystentami byli Ernest Bandrowski, Stanisław Bą-



Willa Jana Mikulicza-Radeckiego w Świebodzicach (zdj. z 2009 r.)



Relief upamiętniający Jana Mikulicza-Radeckiego
przed Kliniką Chirurgiczną Wrocławskiej Akademii Medycznej

dzyński, Teresa Ciszewiczowa, Wawrzyniec Trzciński, Stefan Jentys, Odo Bujwid; asystentem epidemiologii był Jakub Borowski.

Jeśli chodzi o inne dziedziny wiedzy, sytuacja była podobna.

Jan Mikulicz-Radecki uchodził za jednego z najwybitniejszych chirurgów swej epoki, był członkiem wielu organizacji naukowych, w tym m.in. członkiem honorowym Mińskiego Towarzystwa Lekarskiego, w którego składzie działał szereg znakomitych fachowców Polaków. Opracował liczne, a skuteczne, metody operacyjne we wszystkich dziedzinach chirurgii. Wynalazł i skonstruował szereg narzędzi medycznych; jako pierwszy w praktyce światowej zastosował jodoform do leczenia ran, rękawiczki gumowe i maskę zakrywającą nos i usta chirurga w trakcie operacji. Jako pierwszy w Europie operował przełyk i żołądek; wprowadził do praktyki lekarskiej ezofagoskopię i gastroskopię.

W książce „Za zachodnią miedzą” (Warszawa 1973, s. 239-242) Stanisław Szenic notował: „Na przypomnienie zasługuje także świetny chirurg doktor Jan Antoni Makulicz-Radecki, długoletni profesor Uniwersytetu Wrocławskiego. Pochodził ze szlacheckiej rodziny herbu „Gozdawa”. Ojciec jego Andrzej był budowniczym i geometrą w Czerniowcach. Miasto zawdzięczało mu dużo,

m.in. wybudował ratusz i założył park miejski. Jedną z ulic nazwano jego nazwiskiem. Był trzykrotnie żonaty. Z drugiej żony, baronówny Emilii Damnitz, urodził się w Czerniowcach 15 maja 1850 roku Jan Antoni. Do szkół chodził w rodzinnym mieście, a potem w Pradze, Wiedniu i Celowcu, gdzie w roku 1869 zdał maturę. Medycynę studiował na uniwersytecie w Wiedniu. Został asystentem sławnego chirurga, profesora na tym uniwersytecie, Teodora Billrotha. W roku 1878 habilitował się w zakresie chirurgii. Ogłosił kilka prac dotyczących twarzdzieli oraz patogenezy kolana koślawego, którymi zyskał rozgłos w świecie naukowym.

Dzięki poparciu wpływowego Billrotha otrzymał w 1882 roku katedrę chirurgii w Uniwersytecie Jagiellońskim. We wstępnym wykładzie Mikulicz-Radecki zaakcentował silnie, że czuje się Polakiem, co mu w przyszłości nie pozwoliło uzyskać katedry w Wiedniu. W Krakowie pchnął chirurgię na nowe tory wykonując zabiegi niepraktykowane dotąd, na przykład po raz pierwszy dokonał usunięcia złośliwego nowotworu przez boczne cięcie gardła. Opublikował opis tego zabiegu w języku polskim w roku 1883, a w rok później w języku niemieckim. W Krakowie też rozpoczął badania nad procesem postępowania gnilnego.

W roku 1887 przyjął powołanie na uniwersytet w Królewcu, a od 1890 do końca życia zajmował katedrę we Wrocławiu, gdzie znalazł o wiele lepsze warunki pracy. Pod swym kierunkiem zapewnił nowo wybudowanej klinice wszelkie nowoczesne zdobycze medycyny. Zainicjował liczne nowe metody operacyjne we wszystkich dziedzinach chirurgii, skonstruował wiele narzędzi chirurgicznych, wprowadził rękawiczki nitane i maskę zakrywającą usta chirurga przy operacji, udoskonalił antyseptykę i aseptykę; zastosował m.in. jodoform do leczenia ran. Był jednym z najwybitniejszych chirurgów swojej epoki. Dr Z. Wiktor, autor monografii „Jan Mikulicz. Rys życia i działalność”, podaje kilkanaście wprowadzonych przez tego świetnego chirurga metod operacyjnych, które w swej nomenklaturze zostały związane z jego nazwiskiem. Był współautorem kilku podstawowych dzieł, m.in. wspólnie z E. Bergmannem i Viktorem Brunsem napisał cenny podręcznik „Handbuch der praktischen Chirurgie”. Z wybitnym klinistą, profesorem Naunynem, założył w roku 1896 czasopismo medyczne „Mitteilungen aus den Grenzgebieten der Chirurgie und der inneren Medizin”, w którym publikowano prace z pogranicza medycyny wewnętrznej i chirurgii.

Zainicjował badania w komorach niskiego i wysokiego ciśnienia dla przyszłych zabiegów w obrębie klatki pier-

siowej, które udoskonalili jego sławny uczeń, chirurg europejskiej sławy, dr Ernst Ferdinand Sauerbruch. Mikulicz wychował wielu znakomitych chirurgów. Otaczał się Polakami i miał we Wrocławiu, w klinice zwanej królewską (dzisiejszej II Klinice Chirurgicznej), a także w swojej prywatnej klinice przynajmniej jednego asystenta Polaka. Największą spośród nich sławę zyskał Ludwik Rydygier (1850–1820), profesor uniwersytetów w Krakowie i Lwowie, twórca szkoły chirurgicznej, z której wyszło wielu wybitnych operatorów.

Mikulicz otrzymał tytuł tajnego radcy i chociaż nigdy nie służył w wojsku, został mianowany pruskim generałem-lekarzem *a la suite*. Zmarł 14 czerwca 1905 roku we Wrocławiu. Złotki, zgodnie z jego ostatnią wolą, przewieziono do Świebodzic i tam pochowano na miejskim cmentarzu. Trumnę na dworzec wieziono ulicami, przy których, mimo ulewnego deszczu, stały tysiączne rzesze mieszkańców Wrocławia, tworząc szpaler. Przed kliniką uniwersytecką wystawiono mu pomnik: Atena, bogini mądrości, i Hygieja, bogini zdrowia, wieńczą Mikulicza-Radeckiego wawrzynem.

Żonaty był z Henryką Pacher. Miał dwie córki, które się chyba zniemczyły. Jedna wyszła za profesora Anschütza, druga za Kauscha.

– Nu, was hat man fier e Schlamassel in Ponem? (No, co to za paskudztwo ma się na twarzy?)

Na to Żyd z radosnym zdziwieniem zwraca się do swego współwyznawcy:

– Cohn, darfst gen ze Haus, der Herr Perfesser versteht daitsch (Cohn, możesz iść do domu, pan perfesser rozumie po niemiecku).

O Mikuliczu krążyło dużo anegdot. Na przykład tajny radca von Strümpell w swoim pamiętniku m.in. pisze, że Mikulicz od żydowskich pacjentów pobierał bardzo wysokie honoraria za operacje. Aby ich skłonić do płacenia, uprzedzał, że im wyższe honorarium, tym nóż jest ostrzejszy, przy niskich opłatach używa stępionych starych noży, a i ręka też mu wtedy drży. Jerzy Kraft odpowiada na to z oburzeniem, że profesor słynął z humanitarnego postępowania i nawet w prywatnej klinice operował często niezamożnych pacjentów nie biorąc za to wcale pieniędzy”.

Oczywiście, nie warto przeceniać usiłowań ludzkich także w tej dziedzinie. Lekarz leczy, ale życie daje i zabiera Bóg. Sami medycy mają zresztą z reguły dość powściągliwy stosunek do swych możliwości, skoro mówi o sobie: „Chirurg wszystko potrafi, ale nic nie wie. Terapeuta wszystko wie, ale nic nie potrafi. I tylko pato-

log wszystko wie i wszystko potrafi, ale dopiero wówczas, gdy już jest na wszystko za późno”...

Profesor Jan Mikulicz zmarł we Wrocławiu 14 czerwca 1905 roku, a jego zgon stanowił niepowetowaną stratę zarówno dla kultury polskiej, jak i dla nauki światowej.

Czasopismo „Świat” (nr 29 z 17.07.1909 r.) donosiło: „W Wrocławiu odbyło się odsłonięcie pomnika znakomitego polskiego chirurga, długoletniego profesora tamtejszego uniwersytetu, Jana Mikulicza. Pomnik wysokiej wartości artystycznej, przedstawiający uczonego naszego w płaskorzeźbie, wieńczonego przez postać kobiecą, symbolizującą naukę, ustawiono przed gmachem uniwersyteckiej kliniki chirurgicznej, a akt odsłonięcia odbył się z wielką uroczystością, przy udziale przedstawicieli władz i licznego grona uczonych i lekarzy, przybyłych z różnych stron...”

W chirurgii współczesnej zajął Mikulicz jedno z pierwszych miejsc, jako znakomity uczoney i jako świetny praktyk, ciesząc się sławą europejską. Niestety, krótko tylko pracował wśród swoich. Rosnące powodzenie, a także perspektywa rozporządzania większymi środkami naukowymi, które nie mogły nie nęcić uczonego, a które z ogromną hojnością ofiarował mu rząd pruski, pociągnęły go na obczyznę, gdzie zabłysnął świetną działalnością i gdzie też zmarł, utrzymując do ostatka żywe i serdeczne stosunki z krajem.”

Dr Jan CIECHANOWICZ



Nagrobek Jana Mikulicza-Radeckiego w Świebodzicach

Ten cykl prezentujemy PT Czytelnikom kwartalnika „Krynica”, aby w ten sposób przypomnieć i uhonorować sylwetki Polaków, którzy, zesłani przez władze carskie na Syberię i Daleki Wschód, stali się wybitnymi badaczami ludów azjatyckich lub odkrywcami nowych gatunków flory i fauny.

WIKTOR GODLEWSKI

Wiktor Ignacy urodził się w wielodzietnej rodzinie szlacheckiej Aleksandra i Anny Godlewskich 30 grudnia 1831 r. w Bogutach koło Ciechanowca. Ojciec był właścicielem majątku ziemskiego. Wcześniej osierocony przez ojca młody Wiktor ukończył gimnazjum w Łomży i rozpoczął pracę w majątku Brulino-Koski koło Czyżewa u stryjecznego brata Józefa Godlewskiego, a później administrował innymi okolicznymi majątkami na pograniczu Mazowsza i Podlasia. Zajął się myślistwem i kolekcjonowaniem okazów ptaków. Nawiązał kontakt z Władysławem Taczanowskim, kierownikiem gabinetu zoologicznego Szkoły Głównej Warszawskiej (właśnie powstała w 1861 r.), i na rzecz szkoły zaczął przekazywać swoje wypchane ptaki.

Zaangażował się w działalność rewolucyjną, za co po upadku powstania 1863 r. został skazany przez sąd wojskowy na 12 lat katorgi. W lutym 1864 r. przybył do Irkucka i stąd skierowano go do kopalni w Pietrowsku Zabajkalskim koło Wierchnieudinska (dziś Ułan-Ude). Dzięki staraniom Benedykta Dybowskiego Wiktor Godlewski znalazł się z nim w zabajkalskiej wsi Siwiakowo koło Czyty, następnie w Darasunie, gdzie skazańcy budowali uzdrowisko z wodami szczawiowo-żelazistymi. Tu Godlewski, jak i Dybowski, otrzymał zgodę na posiadanie broni palnej, dzięki czemu mógł się zająć polowaniem i pozyskiwaniem okazów ptaków.

Obydwaj zesłańcy wędrowali po pobliskich Stepach Agińskich i Górach Ałchanajskich, i podczas gdy Dybowski leczył ludzi, Godlewski tropił zwierzynę i polował. Niebawem mógł wysłać Władysławowi Taczanowskiemu do Warszawy 500 ptasich sukni ze 150 gatunków. Opisy tego zbioru Taczanowski wykorzystał w artykule opublikowanym w czasopiśmie ornitologicznym w Berlinie. Godlewski zaraził się wścieklizną od swojego wyżła, z którym polował, ale Dybowski zdołał go skutecznie wyleczyć przypalaniem, maściami i chininą.

Gdy Dybowski zdobył zezwolenie na zamieszkanie w Kułtuku nad Bajkałem, przeniósł się tam w 1867 r. wraz z Godlewskim. Rozpoczęli razem badania fauny Bajkału, w czym niebawem wsparł ich Aleksander Czekanowski. Badali jezioro głównie zimą, z lodu, mierząc jego głębokość i rozdział temperatur w warstwach wody. Znaleźli największą głębię Bajkału, niewiele się myląc w stosunku do późniejszych pomiarów. Badali faunę jeziora, sporządzali rysunki ryb. Na brzegu jeziora zbierali zioła lecznicze. Prowadzili obserwacje meteorologiczne.

Od lipca 1869 r. przez pół roku Godlewski z Dybowskim i jeszcze dwoma polskimi zesłańcami uczestniczyli w ekspedycji, wspieranej przez Imperatorskie Rosyjskie Towarzystwo Geograficzne (IRNG), badają-



Medal im. Wiktora Godlewskiego przyznawany przez Kapitułę organizacjom i osobom, które w sposób szczególnie przyczyniły się do ochrony przyrody w Polsce (awers i rewers)



Wiktor Ignacy Godlewski w 1890 r.



Jezioro Bajkał

cej faunę Kraju Amurskiego, Ussuryjskiego i Nadmorskiego na Dalekim Wschodzie. Z wyprawy tej Godlewski przywiózł wiele skór zwierząt, w tym rosomaka, który był postrachem miejscowej ludności. W 1870 r. Godlewski został uhonorowany złotym medalem nadanym przez Syberyjski Oddział IRTG. W 1871 r. uczestniczył w wyprawie wraz z Dybowskim i Czekańskim do jeziora Chubsugoł na pograniczu z Mongolią. W latach 1872–1875 Godlewski z Dybowskim i zesłańcem Michałem Jankowskim zorganizowali wyprawę badawczą na Daleki Wschód wspieraną przez IRTG. Łodzią „Nadzieja” płynęli pod biało-czerwonym proporcem rzeką Argunią, a następnie Amurem. Na postojach prowadzili badania przyrodnicze. Godlewski upolował wiele rzadkich zwierząt, np. białego lisa i jelenia cętkowanego, ustrzelił 5 tygrysów. Znad Cieśniny Tatarskiej i Morza Japońskiego zesłańcy wrócili nad Bajkał. Kontynuowali tu badania fauny nad Angarą.

Godlewski i Dybowski byli współautorami 10 prac naukowych dotyczących Bajkału i Syberii Wschodniej, opublikowanych przez Syberyjski Oddział IRTG.

Godlewski powrócił do Polski latem 1877 r. Zatrudnił się jako administrator majątku ziemskiego. Uskladawszy dość pieniędzy, w 1890 r. kupił majątek



Lód na jeziorze Bajkał



Grób Wiktora Godlewskiego na cmentarzu w miejscowości Jasienica niedaleko Ostrowi Mazowieckiej

Smolechy pod Ostrowią Mazowiecką. Zasadził zagajnik składający się z drzew tajgi, to jest z limb syberyjskich, jodeł, modrzewi i brzoź oraz różnych krzewów z nasion przywiezionych ze Wschodu. Hodował pszczoły. Nadal kolekcjonował okazy ptaków. Jeździł do Warszawy do Taczanowskiego, w jego gabinecie zoologicznym opowiadał o faunie syberyjskiej. Działal

społecznie w wielu organizacjach: w Towarzystwie Kredytowym Ziemskim, Towarzystwie Dobroczynności, Towarzystwie Pożyczkowo-Oszczędnościowym w Ostrowi Mazowieckiej.

W swym majątku Smolechy zachorował na tyfus. Zmarł 17 listopada 1900 r. Pochowano go na miejscowym cmentarzu parafialnym. Po jego śmierci Benedykt Dybowski wspominał:

„Zdobycie każdego nowego gatunku dla fauny wschodniej Syberii, a tem samem i dla gabinetu warszawskiego, zbadanie każdego nowego szczegółu biologicznego, stanowiły epoki w naszym życiu ówczesnem, a żaden z tych faktów nie może być pomyślany bez uczestnictwa w nim Wiktora Godlewskiego.”

Feliks Zienkowicz, kilkanaście lat mieszkający w Irkucku, taką wydał charakterystykę Godlewskiemu w tygodniku „Wszecławiat” z 2 grudnia 1900 r.:

„Godlewski nieodstępny był towarzyszem Dybowskiego, prawą jego ręką: wierną, pewną, niezmordowaną i zręczną nad wyraz wszelki. Stusznego wzrostu, krzepkiej budowy, żelaznego zdrowia, niezmordowanej wytrwałości na wszelkie trudy i niewygody, potężnej siły, a zarazem wielkiej zręczności w pracy wszelkiej, do wszystkiego się nadawał, wszystko potrafił wykonać. [...]”

Nazwisko Godlewskiego utrwalono w nazwach syberyjskich ptaków, ryb, mięczaków i wieloszczetów.

Na jego rodzinnej ziemi w Bogutach-Piankach mieszkańcy w 2008 r. na wielkim głazie umieścili napis:

„Pamięci Wiktora Godlewskiego, 1831-1900, Powstańca Styczniowego, zesłańca Sybiru, przyrodnika, urodzonego w Bogutach”.

Władze gminy Boguty-Pianki wręczają za zasługi dla regionu medal upamiętniający Wiktora Godlewskiego.

Janusz FUKSA

Tablica poświęcona Wiktorowi Godlewskiemu w Bogutach



LEON HRYNIEWIECKI

Urodził się w szlacheckiej rodzinie Franciszka Hryniewieckiego 29 czerwca 1853 r. na Połtawszczyźnie (źródła podają też inne daty urodzenia). Ukończył gimnazjum, następnie Charkowski Instytut Weterynaryjny (1876), po czym kontynuował studia w petersburskiej Wojennej Akademii Medycznej, którą ukończywszy został lekarzem, po czym otrzymał stopień doktora nauk medycznych (1882 r.). Już w czasie studiów wojskowych uczestniczył w ekspedycji hydrograficznej do zatoki Obskaja Guba, uchodzącej do Morza Karskiego. Zebrana tam przez niego kolekcja etnograficzna została przekazana do Kunst-Kamery (muzeum etnograficzne w Petersburgu).

Po zakończeniu akademii Hryniewiecki mógł się poświęcić pracy naukowej w Petersburgu, ale wybrał daleką podróż. Otrzymał IV stopień kwalifikacji lekarskiej i tytuł radcy stanu (odpowiadało to stopniowi wojskowemu porucznika) w maju 1882 r. wyruszył na statku „Cziżow” wokół brzegów Szwecji i Norwegii, a w lipcu przybył na Nową Ziemię. Podjął pracę w ramach pierwszego międzynarodowego roku polarnego na stacji badawczej Małe Karmakuly, utworzonej na południowej wyspie archipelagu. Został lekarzem i zastępcą naczelnika stacji. Doświadczenie zdobyte przy organizacji stacji przydało mu się później na Dalekim Wschodzie. Wraz z dwoma Nieńcami, korzystając z zaprzęgów z 22 psów, w ciągu 8 dni jako pierwszy Europejczyk przejechał Wyspę Południową archipelagu z zachodu na wschód i wyszedł na brzeg Morza Karskiego.

W 1884 r. założył pierwszą naukową organizację na Dalekim Wschodzie, a mianowicie Towarzystwo Badania Kraju Amurskiego. W 1886 r. został członkiem Imperatorskiego Rosyjskiego Towarzystwa Geograficznego i otrzymał srebrny medal towarzystwa. Rząd carski zaś nagrodił go Orderem Świętego Włodzimierza IV stopnia. W tym samym roku został lekarzem gar-



nizonu wojskowego na Wyspach Komandorskich na Morzu Beringa, a po dwóch latach przeniósł się do Aleksandrowskiego Postu w Zatoce De-Kastri nad Cieśniną Tatarską na Dalekim Wschodzie.

W 1888 r. już jako nadworny radca (podpułkownik) i lekarz VI stopnia Hryniewiecki został mianowany naczelnikiem nowo tworzonego Okręgu Anadyrskiego na najdalszych kresach Rosji. Wraz z aktem mianowania na naczelnika okręgu otrzymał od amurskiego generała gubernatora Pawła Unterbergera zalecenia co do działania anadyrskiej administracji, w których wskazano na konieczność udzielania wszelkiej pomocy *inorodcom* (tj. tubylcom), co miało zniechęcać ich do kontaktów z załogami amerykańskich statków, z którymi handlowali.

Wojenny *kliper* Floty Bałtyckiej „Razbojnik” z Władystoku zabrał 4 tys. pudów materiałów, w tym cegły, gotowe belki konstrukcyjne, papę dachową, 5 żelaznych pieców, naftę i towary do wymiany. Po drodze w Pietropawłowsku *kliper* przyjął na pokład dziesięciu kozaków (bez rodzin) z bronią, stanowiących garnizon wojskowy przyszłego postu, dziesięć psów oraz zapasy ryb i mąki. W lipcu 1889 r. *kliper* zacumował przy brzegu Zatoki Anadyrskiej. Miejscowi Czukczowie z wioski Wen z podziwem oglądali wielki trzymasztowy okręt wyposażony w maszynę parową.

Od okrętu oddzieliła się łódź, którą Hryniewiecki opłynął brzegi zatoki, by wybrać miejsce pod budowę domu. Hryniewiecki wraz z kozakami i załogą okrętu wzniósł ten dom w ciągu 10 dni. Dom miał 18 m długości i 5,5 m szerokości i było w nim 5 pokoi z piecami. Zamieszkał w nim z zastępcą Michaiłem Dmitrijewem i kozakami. Ponieważ nastąpiło to 22 lipca (starego stylu), w dniu imienin *imperatrycy* Marii Fiodorowny, żony cara Aleksandra III, post otrzymał nazwę Nowo-Mariinsk.

W nowym domu Hryniewiecki przebywał do sierpnia 1890 r., kiedy to wraz z załogą łodziami przepłynął do nowej siedziby we wsi Markowo (ponad 400 km w górę rzeki Anadyr). Miał opinię człowieka życzliwego, który pomagał ludziom. Dzięki temu, że podarował Czukczom piłę, mogli z jednego drzewa wyciąć wiele desek, a nie, jak dotychczas, tylko jedną. Odremontował szkołę w Markowie, przekazał jej pół setki własnych książek; stały się one zaczątkiem biblioteki. Spisał też pierwszą gramatykę języka Czukczów. Leczył ich, za darmo wydawał lekarstwa. Korzystając z psich zaprzęgów jeździł po tundrze, by leczyć chorych w jurtach. Przy tej okazji prowadził badania antropometryczne swoich pacjentów. Wiele czasu poświęcał badaniom botanicznym i zoologicznym. Zbierał dzieła sztuki ludowej. Do dziś w muzeum we Władywostoku można podziwiać rzeźby zwierząt wykonane przez Czukczów z kości morsa.

Zimowe wyjazdy w śnieżną zamieć w tundrze nie pozostały bez następstw. Wielokrotnie był przeziębiony. Wreszcie zachorował na *galopujące suchoty* (gruźlica). Nie miał lekarstw na tę chorobę. Wiosna nie przyniosła poprawy. Zaprosił więc do siebie starostę, miejscowego duchownego i w ich obecności podyktował sekretarzowi swoją ostatnią wolę. Mimo że chodził opierając się na lasce, starał się nadal jak najlepiej wykonywać obowiązki. W lipcu polecił przygotować podróż łodzią do ujścia Anadyru. Na przystani w Markowie żegnali go liczni mieszkańcy wsi. W białą noc przed 8 lipca 1891 r. na postoju na wysokim brzegu rzeki Majn, która wpada do Anadyru, Hryniewiecki poczuł zbliżający się koniec. Swoją dziennik oddał starszemu z kozaków, prosząc, by go nadal prowadził. Pierwszy naczelnik Czukotki zmarł tego samego dnia. Na swoje życzenie został pochowany w miejscu śmierci.



Anadyr kiedyś i dziś



Anadyr. Pomnik Leona Hryniewieckiego

Anadyr. Muzeum Czukotki



Dziennik Hryniewieckiego przekazano generałowi gubernatorowi Kraju Amurskiego. Materiały etnograficzne i przyrodnicze zebrane na Czukotce trafiły do muzeum we Władywostoku, później w części do muzeum w Anadyrze.

Hryniewiecki napisał 11 prac, z których najbardziej znana to „W poprzek Nowej Ziemi”.

W 1894 r. na grobie Hryniewieckiego ustawiono szary granitowy pomnik otoczony żeliwnym ogrodzeniem, które przysłała na Czukotkę jego matka. Na pomniku z jednej strony podano daty jego życia: 17.06.1853 – 26.06.1891 (w starym stylu), a z drugiej strony napisano: „*Trudzącemu się dla nauki*”. W 2014 r. pomnik na grobie został odnowiony, droga od rzeki poszerzona. Obok pojawiła się altana dla podróżnych i napis: „*Zatrzymaj się i pokłoń*”... Miejsce to stało się ważnym historycznym obiektem Czukotki, odwiedzanym przez delegacje i turystów.

W 2014 r., na 125-lecie 15-tysięcznego Anadyru, który wyrósł z Nowo-Marińska, wysoki brązowy pomnik Hryniewieckiego wzniesli mieszkańcy miasta i jego imieniem nazwali plac, gdzie stanął pomnik. Autorem pomnika jest znany współczesny rzeźbiarz Siergiej Isakow.

Rzeka płynąca przy historycznym domu pierwszego naczelnika Czukotki, wpadająca do zatoki, stała się rzeką Hryniewieckiego.

Leon Hryniewiecki był lekarzem wojskowym, podróżnikiem polarnym, odkrywcą, etnografem i przyrodnikiem, członkiem rzeczywistym Imperatorskiego Rosyjskiego Towarzystwa Geograficznego IRTG, nagrodzonym za udział w pierwszym międzynarodowym roku polarnym. Mimo krótkiego życia zasłużył się dla ziem Syberii i Dalekiego Wschodu.

Janusz FUKSA



Wygląd grobu Leona Hryniewieckiego przed odnowieniem go w 2014 rokiem

Wołodymyr Jankowyj
Dmytro Stefanowycz

POLITECHNIKA KIJOWSKA: POCZĄTEK HISTORII (cz.I)

Pod takim tytułem redaktorzy gazety „Kijowski Politechnik” Wołodymyr Jankowyj i Dmytro Stefanowycz wydali na 120-lecie uczelni swoją książkę o pierwszych 20 latach jej istnienia. Omawia ona rozwój techniki w XIX w. na Zachodzie i w Imperium Rosyjskim, rozwój przemysłu na ziemiach ukraińskich i na tym tle opisuje przesłanki powołania i organizację politechniki oraz budowę jej bazy technicznej. Charakteryzuje też poszczególne osobistości, związane z powstaniem uczelni. *„Opowieść o utworzeniu Politechniki Kijowskiej na tle kontekstu ogólnohistorycznego naprowadza na nieoczekiwane niekiedy paralele, zmusza nie tylko do zastanowienia się nad wewnętrznym podobieństwem procesów początku XX i XXI wieku, ale też do wyciągnięcia z tego podobieństwa pewnych wniosków”* – pisze w przedmowie akademik NAN Ukrainy, prorektor, profesor Mychajło Ilczenko.

Proponujemy Czytelnikom „Krynicy” przetłumaczone z ukraińskiego fragmenty tej wszechstronnej naukowej pracy historycznej, dotyczącej szkoły wyższej, która od lat jest w czołówce najlepszych uniwersyteckich uczelni Ukrainy.

Janusz FUKSA

[...] Gazeta „Kijewlanin” z 2 października 1896 r. donosiła: *„1 października o godz. 11 z rana kurierskim pociągami Południowo-Zachodniej Drogi Żelaznej do Kijowa przybył minister finansów Imperium Rosyjskiego stats-sekretarz Siergiej Juljewicz Witte. W swojej odpowiedzi na powitanie deputacji od Kijowskiego Zarządu Miejskiego Siergiej Juljewicz zwrócił uwagę na to, że wzrost przemysłu i potrzeby gospodarki rolnej kraju, który się szybko rozwija, wysuwają na pierwszy plan zagadnienie organizacji na Południu wyższej szkoły technicznej, i władza miejska powinna pragnąć, by została ona otwarta w Kijowie...”*

Zauważmy, że deputacja członków uprawy i radnych Dumy Miejskiej na czele z burmistrzem miasta Stefanem Solskim, która witała ministra, w swoim powitaniu mówiła o stworzeniu tylko średniej szkoły, dlatego podkreślenie S. Witte konieczności otwarcia wyższej szkoły technicznej było w pewnym stopniu niespodzianką. [...]

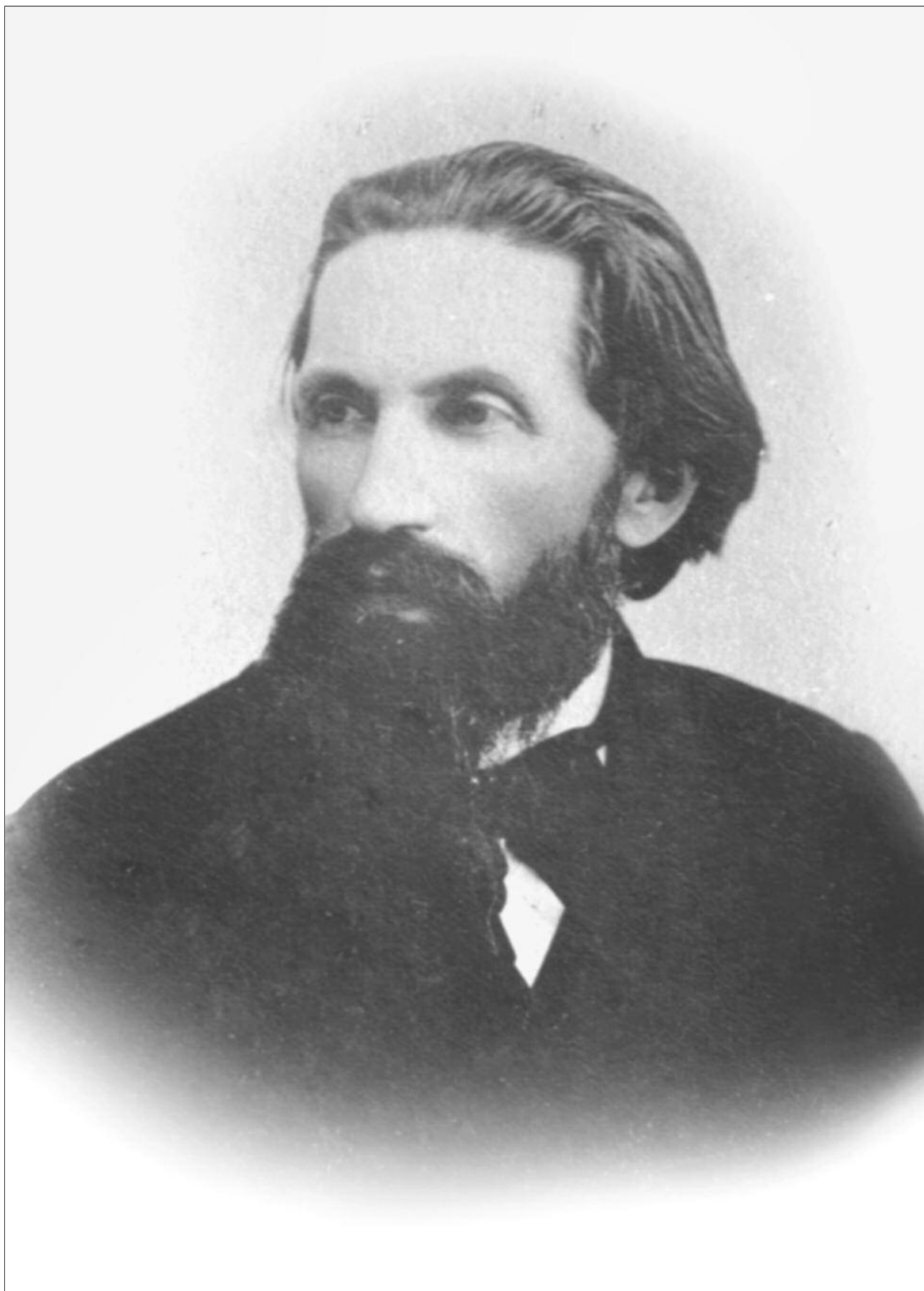
Przedstawiciele kijowskiego środowiska gospodarczego podtrzymali ministra finansów S. Witte. [...]

Już 25 listopada 1896 r. w mieszkaniu L.I. Brodskiego, pod przewodnictwem burmistrza miasta profesora filozofii Kijowskiej Akademii Duchownej Stepana Michajłowicza Solskiego, odbyła się pierwsza prywatna narada, której celem było uzgodnienie poglądów

władzy miejskiej i Komitetu Giełdowego na kształt przyszłego zakładu nauczania. [...]

Ustalenia prywatnej narady zostały ujęte w protokole. Punkt 3 tego protokołu określił najważniejszy wniosek: *„...utworzenie nowego wyższego technicznego zakładu nauczania powinno być uznane przez wszystkich jako pilna potrzeba”*. W punkcie 6 napisano: *„Za najbardziej odpowiedni typ nowego zakładu nauczania uważa się typ instytutu politechnicznego, który składa się z kilku wydziałów, różnych pod względem specjalizacji, za przykładem politechnik w Zürichu, Karlsruhe, Monachium, Wiedniu, Hanowerze, Aachen i innych”*; punkt 7 określał, że *„Kijowski Politechniczny Instytut powinien mieć nie mniej niż trzy wydziały: mechaniczny, chemiczny, rolniczy...”* Punkt 8 – że *„...należy dać mu nazwę Kijowski Politechniczny Instytut Imperatora Aleksandra II i powinien on być podporządkowany Ministerstwu Finansów”*; punkt 10 – że *„w zarządzaniu Kijowskim Politechnicznym Instytutem powinni brać udział przedstawiciele Kijowskiego Zarządu Miejskiego, Towarzystwa Giełdowego, Kijowskiego Oddziału Imperatorskiego Rosyjskiego Towarzystwa Technicznego...”* i tak dalej. [...]

Za półtora miesiąca, 18 stycznia 1897 r., kijowski generał-gubernator graf O.P. Ignatjew zaprosił do siebie uczestników prywatnej narady w sprawie utworze-



Wiktor Kirpiczow – pierwszy dyrektor Politechniki Kijowskiej

nia Politechniki Kijowskiej i powiadomił ich, że zgadza się z koniecznością powołania komitetu do spraw utworzenia KPI i przyjął propozycję stanąć na jego czele. [...]

Na początku marca tegoż roku graf Ignatjew poinformował cara swoją notatką o pracach nad utworzeniem w Kijowie instytutu politechnicznego. Niedługo potem minister finansów S. Witte oficjalnie powiadomił, że 14 marca Mikołaj II „*miłościwie polecił zechciał*”, by obowiązki w sprawie zatwierdzenia pod względem prawnym statutu i etatów Kijowskiego Politechnicznego Instytutu złożyć na Ministerstwo Finansów i że w Kijowie pod nadzorem generała-gubernatora kijowskiego, podolskiego i wołyńskiego powołuje się komitet do zbierania środków finansowych w celu powołania instytutu i wzniesienia potrzebnych budynków (co, jak już podaliśmy wyżej, zostało zrobione). [...]

O tym wszystkim generał A.P. Ignatjew powiadomił członków komitetu na jego posiedzeniu 2 kwiet-

nia. Na tym posiedzeniu utworzono jeszcze jedną podkomisję do spraw projektowania budynków instytutu politechnicznego (w Komitecie już wcześniej działały podkomisje do takich zadań, jak przygotowanie statutu, zbieranie pieniędzy od darczyńców, wyboru miejsca budowy, a także chemiczna, inżynierska i rolnicza pracujące nad koncepcją wydziałów politechniki i inne – *przyp. JF*). S.M. Solski poinformował obecnych o rezultatach pracy podkomisji do ustalenia miejsca budowy instytutu. Zaproponowano do wyboru kilka działek w różnych częściach miasta i w jego okolicach: na Lipkach, na Peczersku, na Łukjanowce i inne. [...]

Po wyjeździe członków komisji na proponowane miejsca trwały wśród nich spory co do lokalizacji budowli. Ich koniec nastąpił w październiku po przyjeździe do Kijowa dyrektora Departamentu Manufaktur i Handlu Ministerstwa Finansów W.I. Kowalewskiego. Zapoznawszy się ze wszystkimi propozycjami, ustalił on, że najlepsza będzie działka o powierzchni 38 dzie-



Budowa KPI

sięcin (prawie 42 ha – *przyp. JF*) przy Szosie Brzesko-Litewskiej, należąca do wojska, tak zwane „pole saperskie”. (Załatwił tę działkę, przekazując wojsku dwukrotnie większy obszar dalej od miasta – *przyp. JF*). [...]

Podkomisja do spraw projektowania budynków opracowała warunki konkursu na przygotowanie projektów budynków głównego i chemicznego dla czterech wydziałów instytutu. Autorzy wskazywali, że instytut powinien розміścić się w oddzielnych budynkach, przydatnych do dalszej rozbudowy i ulokowanych tak, by wokół nich można było wznosić nowe budynki. [...]

20 listopada kijowski generał-gubernator Ignatjew przekazał do Ministerstwa Finansów projekt statutu KPI, sporządzony przez grupę profesorów Uniwersytetu Kijowskiego św. Włodzimierza. Statut, wraz z rozporządzeniem o instytucie, został zatwierdzony przez cara Mikołaja II 24 lipca 1898 r. Dokumenty określały prawa i zadania nowej uczelni. W instytucie wprowadzono 4-letni kurs nauczania. Na utrzymanie KPI ministerstwo corocznie miało przekazywać 350 tys. rubli. Kierownictwo uczelni stanowili dyrektor i rada instytutu złożona z profesorów ze wszystkich wydziałów. [...] Planowano zatrudnić 23 profesorów zwyczajnych i 12 nadzwyczajnych, 10 wykładowców, 14 laborantów. [...]

Propozycję kierowania nowym instytutem w styczniu 1898 r. otrzymał profesor Wiktor Lwowicz Kirpiczow. Był od 1885 r. dyrektorem Charkowskiego Praktycznego Instytutu Technologicznego, wybitnym uczonym mechanikiem, autorem pierwszego w Rosji podręcznika „Części maszyn”, kursów z wytrzymałości materiałów, mechaniki i statyki. I choć W.L. Kirpiczow miał już wtedy prawo przejścia na emeryturę, zgodził się zostać pierwszym dyrektorem Kijowskiego Instytutu Politechnicznego, gdzie mógł urzeczywistniać swoje idee racjonalnej organizacji wyższej szkoły technicznej. [...] Interesujące jest to, że z inicjatywy S.J. Witte po raz pierwszy w kraju zatrudnianie profesorów na katedrach prowadzono na zasadzie konkursu spośród osób, które miały stopień naukowy. [...]

W końcu listopada 1897 r. Sankt-Petersburskie Towarzystwo Architektów ogłosiło konkurs na szkicowe projekty budynków KPI. Nagroda 1000 rubli przysługiwała każdemu uczestniczącemu autorowi, a 4000 rubli autorowi najlepszego projektu. Już w marcu następnego roku komisja konkursowa spośród ośmiu projektów wybrała projekt Hieronima Kitnera pod ha-

słem „Prestissimo” (Bardzo szybko). Projekt przewidywał duże tempo budowania, a budynki typu pawilonowego miały być wznoszone z cegły bez tynkowania. Autor zaplanował funkcjonalne zgrupowanie budynków, domów mieszkalnych dla wykładowców i pracowników, zaproponował miasteczko z otwartymi dziedzińcami i galeriami łączącymi. Po niewielkim dopracowaniu projektu w maju 1898 r. rozpoczęła się budowa. Pracami kierował petersburski architekt P.I. Reutow, później O.W. Kobilew i W.A. Obremski. Bezpośrednio w organizacji robót uczestniczył prof. W.L. Kirpiczow. Roboty budowlane wykonywała firma L.W. Ginzburga i firma „Kuksz i Liedke” (z Warszawy – *przyp. JF*). [...]

Ogłoszono konkurs na przyjęcie 330 studentów: 100 na wydział mechaniczny, 60 na chemiczny, 90 na inżynierię (tj. budowlany), 80 na rolniczy. Opłata za pół roku studiów wynosiła 50 rubli. W związku z tym, że znaczna część z tych 415 osób, które zjawiły się na egzaminy, zdała je z sukcesem, Ministerstwo Finansów zwiększyło ilość miejsc w instytucie do 360. I od 1 września 1898 r. na wszystkich czterech wydziałach rozpoczęły się zajęcia. Co prawda na razie w pomieszczeniach szkoły handlowej na ulicy Bulwarno-Kudriawskiej 24. KPI wydzierzał pomieszczenia na rok za kwotę 25 tys. rubli, wpłaconą przez właściciela cukrowni L.I. Brodskiego. [...]

Pierwszymi wzniesionymi budynkami instytutu stały się budynek chemiczny i domy mieszkalne dla wykładowców. Zostały one oddane do użytku 14 września 1899 r. Pozwoliło to instytutowi rozpocząć drugi rok studiów już we własnych pomieszczeniach, choć robót budowlanych nie wstrzymywano. Niebawem zakończono roboty przy centralnej części głównego gmachu, rozpoczęto prace wyposażeniowe, wzniesiono budynek warsztatu mechanicznego, położono bruk, zbudowano oborę i pomieszczenia pomocnicze. Równoległe z budynkami rósł i park (14,5 ha). Cały teren miasteczka uczelnianego stawał się jednym wielkim, zielonym masywem, z parkiem wzdłuż Szosy Brzesko-Litewskiej, przechodzącym w ogród botaniczny (dendropark) za głównym gmachem uczelni. [...]

Roboty budowlane i porządkowe nie przeszkadzały procesowi nauczania i zajęcia prowadzono bez utrudnień. Kijowski Instytut Politechniczny stawiał pierwsze kroki na drodze swojego powstawania i rozwoju. [...]

Tłumaczył: Janusz Fuksa

Wołodymyr Jankowyj
Dmytro Stefanowycz

POLITECHNIKA KIJOWSKA: POCZĄTEK HISTORII (cz.II)

W poprzedniej części materiału przytoczyliśmy fragmenty z pracy Wołodymyra Jankowego i Dmytra Stefanowicza o założeniu Politechniki Kijowskiej. W omawianym dziś drugim rozdziale pracy, na temat roli wyższych szkół technicznych Ukrainy w rozwoju przemysłu na przełomie wieków, autorzy piszą o budowie wciąż nowych warsztatów i fabryk, wzroście liczby robotników, co wymagało zatrudnienia specjalistów. W Imperium Rosyjskim do 1900 r. działało 14 uczelni technicznych, a do 1914 r. jeszcze 6, w tym na terenie Ukrainy tylko 3. Były to:

- Charkowski Instytut Technologiczny (powstał w 1884 r.),
- Kijowski Instytut Politechniczny (1898),
- Katerynosławski Instytut Górniczy (1899).

Janusz FUKSA

[...] Taka ilość wyższych szkół technicznych nie mogła w pełni zaspokoić potrzeb przemysłu Imperium Rosyjskiego. Tym bardziej za mało było trzech szkół o profilu technicznym dla Ukrainy Naddnieprzańskiej. Jednak dzięki tym szkołom sytuacja polepszała się stopniowo, bowiem liczba ich studentów corocznie rosła: w Charkowskim Instytucie Technologicznym od 1899 do 1913 r. z 811 do 1171 osób, w Kijowskim Instytucie Politechnicznym z 583 do 2313 osób, a w Katerynosławskiej Wyższej Szkole Górniczej (po 1912 był to instytut górniczy) – z 77 do 446 osób.

Absolwenci tych szkół wyższych o profilu technicznym mieli znaczący pozytywny wpływ na rozwój przemysłu w kraju, ale decydującej roli w tych procesach odgrywać jeszcze nie mogli. Przyczyną była względnie mała liczba tych osób. Poza tym daleko nie wszyscy oni po ukończeniu instytutów szli do pracy w przemyśle, transporcie lub w budownictwie. Ilustracją są dane z ankiet osób, które ukończyły wydział mechaniczny Kijowskiego Instytutu Politechnicznego w 1913 r. Wynika z nich, że tylko 32,4% absolwentów pracowało w przedsiębiorstwach i na kolei. Reszta, a więc 67,6%, to ludzie, którzy się stali współwłaścicielami warsztatów technicznych, przedstawicielami różnych firm, inspektorami, urzędnikami rozmaitych urzędów.

Warto zauważyć, że warunki do odchodzenia absolwentów Politechniki ze sfery praktycznej działalności w sferę państwowego zarządzania zostały stworzone przez samo państwo. Bowiem zgodnie z rozporządze-

niem o Kijowskim Instytucie Politechnicznym imperatora Aleksandra II, osoby, które go ukończyły, podczas rozpoczęcia służby państwowej miały prawo do otrzymania stopnia 11. klasy, a ci, co ukończyli uczelnię z wyróżnieniem – nawet stopnia 10. klasy. Dodajmy, że w tym czasie, zgodnie z Tabelą Rang, stopień 10. klasy służby cywilnej równy był porucznikowi w armii, i by go otrzymać, trzeba było nie tylko ukończyć szkołę wojskową, ale i odsłużyć w poprzednim stopniu podporucznika nie mniej niż cztery lata. Łącznie zaś nomenklatura stopni cywilnych, przewidywana przez Tabelę Rang, zawierała 14 klas, a więc otrzymanie 11., a tym bardziej 10. stopnia uważano za niezwykły sukces i dawało to prawo do zajęcia liczącego się stanowiska na służbie państwowej. Status człowieka, zwłaszcza człowieka, który wyszedł z socjalnych dołów, od razu szybko rósł (a uczelnie techniczne były bardziej demokratyczne w tym względzie niż klasyczne uniwersytety). [...]. Albowiem od 1827 r. dość długo istniał porządek, zgodnie z którym prawo do służby państwowej miały osoby tylko czterech kategorii:

- dziedziczna szlachta;
- dzieci szlacheckie, dzieci kupców pierwszej gildii, duchownych i diakonów;
- dzieci państwowych urzędników, którzy nie mieli stopni służby cywilnej;
- ci, którzy nie należeli do pierwszych trzech kategorii, ale zostali przyjęci do służby państwowej przed wydaniem ustawy 1827 roku.



Fedir Tereszchenko (1888-1950) – kijowski konstruktor samolotów

Dopiero później do tych kategorii dołączono ludzi innych stanów społecznych, którzy mieli pewien poziom oświaty (a on, zauważmy, poza nielicznymi wyjątkami był dostępny tylko dla osób z pierwszych trzech wymienionych kategorii). Taki porządek istniał prawie osiemdziesiąt lat i został zmieniony dopiero w wyniku działań rewolucyjnych początku XX wieku w 1906 r., gdy w prawie na otrzymanie służby państwowej zrównano przedstawicieli wszystkich stanów obywatelskich. Prócz tego, by otrzymać 11. klasę cywilną, począwszy od najniższej 14., zgodnie z Ustawą z 9 października 1856 r. „O okresach nadawania stopni w służbie państwowej”, człowiek miał odsłużyć w każdym z nich nie mniej niż trzy lata, a więc razem dziewięć, zaś żeby zostać urzędnikiem 10. klasy – odpowiednio dwanaście. Okres otrzymania kolejnego stopnia mógł zostać skrócony do połowy tylko w przypadku nadania stopnia jako nagrody za wzorową służbę albo za wykonanie jakichś zadań specjalnych.

Tak więc przez nadanie prawa na służbę państwową absolwentom uczelni technicznych państwo chciało polepszyć jakościowo stan urzędniczy, a dzięki temu pracę całego aparatu państwowego. I tak, gdy w 1897 r. wśród urzędników 1.-4. klas (w ich składzie było mniej niż 1,5% ogólnej liczby urzędników) wyższe wykształcenie miało 87% osób, wśród urzędników 5.-8. klas (49% urzędników) – 58%, to w pozostałych 49,5% urzędników 9.-14. klas urzędników z wyższym wykształceniem było jeszcze mniej.

Prócz tego państwowymi urzędnikami byli też fabryczni inspektorzy – przedstawiciele nowego dla Imperium Rosyjskiego resortu, utworzonej dopiero w 1882 r. Inspekcji Fabrycznej. 14 marca 1894 r. „*najwyższą zatwierdzoną opinią Rady Państwowej*” została ona podporządkowana Departamentowi Handlu i Manufaktur. Ustalono wówczas, że na stanowiska fabrycznych inspektorów należy mianować osoby, które ukończyły kurs szkół wyższych, zwłaszcza technicznych. Zresztą przedstawiciele tej państwowej instytucji zrobili bardzo dużo, tak dla humanizacji ówczesnych stosunków między właścicielami przedsiębiorstw i zatrudnionymi pracownikami (przede wszystkim specjalności robotniczych), jak i dla wprowadzania nowoczesnych dla tego okresu procesów technologicznych, a ich rola czeka jeszcze na dokładniejsze poznanie.

A zatem ukończenie wyższej szkoły technicznej dawało człowiekowi nie tylko szanowany w społeczeństwie zawód i pewien poziom dobrobytu, ale też realną

szansę wznieść się na dość wysokie szczeble służby państwowej i zdobyć odpowiednie społeczne uznanie. [...]

Strukturalnym zmianom w systemie oświaty wyższej Imperium Rosyjskiego towarzyszyła widoczna demokratyzacja. Szczególnie sprzyjało temu procesowi zwiększanie się ilości szkół wyższych o kierunku technicznym. Przy tym uczelnie techniczne zapewniały odpowiednią liczbę własnych krajowych fachowców we wszystkich gałęziach gospodarki kraju, sprzyjało to też zwiększeniu liczby ludzi pracy intelektualnej w społeczeństwie. Nauczanie w wyższej szkole technicznej, które wśród znacznej części młodzieży z wyższych warstw ludności uważano za mało prestiżowe, dawało możliwość otrzymać dobre jakościowo wykształcenie dzieciom ludzi z pospólstwa, mieszczan i chłopów, jeżeli ich rodziny potrafiły osiągnąć pewien materialny dostatek, który pozwalał na wnoszenie czesnego za nauczanie (zresztą ta opłata była niższa niż w uniwersytetach). [...]

Otóż nie dziwi, że społeczny skład studentów uczelni technicznych już na przełomie XIX i XX wieku znacznie się różnił od społecznego składu studentów, jacy studiowali w klasycznych uniwersytetach. I tak na Prydniprowiu w tym czasie społeczny skład studentów wyższych szkół technicznych zmieniał się następująco: w Charkowskim Instytucie Technologicznym w okresie od 1884 do 1904 r. liczba młodzieży szlacheckiej zmniejszyła się z 39% do 32%, jednocześnie liczba młodzieży wiejskiej wzrosła z 8% do 11%. W Katerynosławskiej Wyższej Szkole Górniczej według stanu na 1 stycznia 1904 r. uczyło się 22% studentów z rodzin szlacheckich, z mieszczańskich – 28% i 15% z chłopskich, a do 1909 r. udział szlachty zmniejszył się do 14%, przy czym liczba mieszczan wzrosła do 33% i chłopów – do 18%. W Kijowskim Instytucie Politechnicznym od 1898 do 1913 r. część dzieci szlacheckich zmniejszyła się z 47,7% do 36,2%, mieszczan – z 34,6% do 27%, a część dzieci chłopskich wzrosła z 5,9% do 16,3%.

Tak więc w przededniu pierwszej wojny światowej w uczelniach technicznych Ukrainy, inaczej niż w klasycznych uniwersytetach, udział liczby studentów z rodzin nie uprzywilejowanych w ogólnej liczbie studentów przekroczył 60%.

Wzrost wagi i roli kół interesu w społecznym życiu regionów i podczas decydowania o otwarciu nowych szkół wyższych o profilu technicznym sprzyjał początkowi „hamowania” kadrowego głodu na kwalifikowanych specjalistów technicznych, przy czym przedsta-



Pomnik Władysława Horodeckiego w Kijowie

wiele narodowej przedsiębiorczości sami też wzięli się za zdobycie zawodu inżynierskiego. Techniczne przeobrażenie przemysłu stymulowało zmiany w stanie zawodowo-kulturowym przedsiębiorców. Nowe wdrożenia pomagały nie tylko w odnowieniu wyrobów i modernizacji wytwarzania, ale i w obniżaniu kosztów produkcji. Po to, by swobodnie orientować się w różnorodności nowinek technicznych i mieć możliwość wprowadzania do swojej produkcji tego co najlepsze zjawiało się na świecie, przedstawiciele wielkich rodzin kupieckich zaczęli kierować swoich synów do wyższych szkół technicznych. I już w końcu XIX wieku kupcy drugiego i trzeciego pokolenia, inaczej niż ich rodzice, którzy podczas podejmowania decyzji opierali się na zdrowym rozsądku i doświadczeniu życiowym, w rzeczywistości wszyscy otrzymywali wykształcenie techniczne czy handlowe, a nawet obydwa jednocześnie.

Wysoko wykwalifikowani fachowcy techniczni, którzy dobrze orientowali się w nowinkach naukowych, szybko poznawali potrzeby rynku i koniunkturę ekonomiczną, a w procesie industrializacji zaczęli wypierać przedsiębiorców sprzed reformy. Dzięki temu zmieniało się nie tylko życie społeczno-gospodarcze kraju, ale i kulturalno-psychologiczne oblicze przedsiębiorcy i ogólna struktura przemysłu. Włączenie się inżynierów do tych gałęzi, które potrzebowały specjalnej wiedzy naukowo-technicznej i odpowiedniego przygotowania zawodowego, uwarunkowało pojawienie się wśród przedsiębiorców przemysłowców ludzi, jacy nie tylko z sukcesem prowadzili praktyczne sprawy finansowe, ale i wprowadzali w życie własne projekty i opracowania – czasem bardzo niezwykle i ciekawe. Nie dziwi, że większość takich nowych wykształconych przedsiębiorców włączyła się w te gałęzie, których intensywny rozwój rozpoczął się w latach ożywienia finansowo-ekonomicznego po reformie (budowa maszyn, przemysł elektryczny, produkcja chemiczna, budownictwo, a później – aeronautyka i budowa samolotów i inne).

W Kijowie przykładem takiego zdolnego i skutecznego człowieka nowej formacji był wybitny architekt Władysław Horodecki, autor projektów słynnego „domu z chimerami”, gmachu Muzeum Starożytności i Sztuki (dziś Narodowe Muzeum Sztuki Ukrainy), kościoła rzymskokatolickiego św. Mikołaja (gdzie obecnie mieści się Dom Muzyki Organowej), kenasy karaimskiej (dziś jest tam Dom Aktora) i innych znanych budowli. Początek jego samodzielnej działalności zbiegł się w czasie z budową w Kijowie sieci miejskiej kanalizacji,

więc młody dyplomowany architekt założył „*budowlany kantor kanalizacji budynków architekta W.W. Horodeckiego*”, który wykonywał proste projekty urządzenia podwórkowych toalet (*retyrad*, jak je wtedy nazywali kijowianie) i podłączenia ich do ulicznej sieci kanalizacyjnej. Później, jak wiemy, zaczął on wznosić budowle, które uwieczniły jego imię, ale do samej rewolucji nigdy nie pracował jako fachowiec do wynajęcia.

Nie mniej znanym wówczas w Kijowie był inżynier przedsiębiorca baron R.W. Szejngel, który w latach intensywnej rozbudowy kolei żelaznej w Rosji potrafił zgromadzić dość poważny kapitał. Wspominał nawet o nim w swoich wspomnieniach S.J. Witte: „*wysunął się całkiem niespodziewanie jako małeńki kolejowy król baron Szejngel*”. Inżynier dróg komunikacji R. Szejngel otrzymał koncesję na budowę kolei rostowsko-władykaukaskiej, później budował koleje od Tichorecka do Noworosyjska, od Władykaukazu do Pietrowska i inne.

Ciekawe, że jego brat M.W. Szejngel też był zdolnym inżynierem przedsiębiorcą i władał w Kijowie zakładem obróbki metali na ulicy Kuzniecznej 50 (obecnie ulica Antonowicza).

Możliwe, że najbardziej jaskrawym przedstawicielem nowej generacji inżynierów przedsiębiorców stał się członek szeroko znanej nie tylko na Ukrainie rodziny Tereszczenków – Fedir Tereszczenko. Pokolenia tego kupieckiego rodu dały krajowi nie tylko bardzo skutecznych przedsiębiorców, których głównym przedmiotem działalności był przemysł cukrowy (do nich należało założone w 1870 r. Towarzystwo Zakładów Burakocukrowych i Rafinacyjnych Braci Tereszczenków z 12 milionowym obrotem rocznym i 14 kantorami w różnych miastach Imperium Rosyjskiego), ale i znakomitych mecenasów, kolekcjonerów przedmiotów starożytności i sztuki, politycznych działaczy. Kolekcja pejzaży Fedora Artemowycza Tereszczenki stała się podstawą zbioru Kijowskiego Muzeum Sztuki Rosyjskiej. Nawet ulica, przy której jest ono położone, dzisiaj nazywa się ulicą Tereszczenkowską.

Syn jednego z założycieli Towarzystwa Fedir, po zdaniu w 1907 r. jako ekstern egzaminów maturalnych, wstąpił na wydział mechaniczny Kijowskiego Instytutu Politechnicznego imperatora Aleksandra II. Uczył się bardzo dobrze (w wydanym mu świadectwie były oceny bardzo dobre ze wszystkich przedmiotów z wyjątkiem kreślenia architektonicznego i sztuki budowlanej), ale z uwagi na osobiste przyczyny w 1912 r. odszedł z instytutu. W tym czasie był on już w pełni

ukształtowanym inżynierem i przedsiębiorcą, o czym świadczyła jego praktyczna działalność jako jednego z pierwszych ojczyźnianych konstruktorów w awiacji.

Do aktywnej działalności w sferze konstruowania aparatów latających F. Tereszczenko dołączył w 1909 r. W tym też roku w swoim majątku we wsi Czerwone w powiecie berdyczowskim i guberni wołyńskiej zaczął on wyposażać warsztat samolotowy i lotnisko. Już na pierwszym etapie tworzenia tego przedsiębiorstwa pracowało tu do 25 najętych pracowników. Ożywiającym to zainteresowanie Tereszczenki środowiskiem stało się Kijowskie Towarzystwo Żeglugi Powietrznej, ukształtowane przeważnie z wykładowców i studentów Kijowskiego Instytutu Politechnicznego z koła żeglugi powietrznej, jakie pracowało tu od 1905 r. [...]

W końcu 1909 – początku 1910 r. pierwsza konstrukcja F. Tereszczenki – samolot, wykonany jako monoplan L. Blerio, już demonstrowano w Moskwie na wystawie żeglugi powietrznej, przyporządkowanej do zjazdu przyrodników. Otrzymawszy poparcie od zwiedzających wystawę i uczestników zjazdu, po powrocie do Kijowa F. Tereszczenko z entuzjazmem przystąpił do rozbudowy wytwórni. W krótkim czasie warsztat rzeczywiście przekształcił się w wyspecjalizowane przedsiębiorstwo, jakie zajmowało się nie tylko produkcją doświadczalną, ale także budową aeroplanów na zamówienia. Liczba pracowników wzrosła. F. Tereszczenko konstruował lekkie samoloty, w tym myśliwce. Jeden z nich – opracowany wspólnie z inżynierem i awiatorem pracującym w jego przedsiębiorstwie A. Piszofem aeroplan „Tereszczenko-5” – stał się głównym eksponatem oddziału żeglugi powietrznej Wszechrosyjskiej Wystawy Handlowo-Przemysłowej, która odbywała się w maju-październiku 1913 r. w Kijowie. Samolot ten miał niezłe naówczas charakterystyki i absolutnie nowy system samouruchamiania, co pozwalało mu na lądowanie w dowolnym miejscu i startowanie bez zewnętrznej pomocy. Od tego 1913 r. przedsiębiorstwo oprócz aeroplanów konstrukcji Tereszczenki zaczęło budować samoloty na zamówienie resortu wojskowego: „Farman”, „Moran-Solnje”, a podczas wojny – samoloty „Wuazen”, które wykorzystywano jako rozpoznawcze na szczeblu korpusów.

Przy tym do każdej konstrukcji F. Tereszczenko wprowadzał pewne udoskonalenia. I tak po udoskonaleniu jednej z konstrukcji zamawiający – Awiacyjny Wydział Głównego Zarządu Wojskowo-Technicznego Sztabu Wojskowego – nadał samolotowi odrębną własną nazwę „*Moran-Solnje-parasol systemu Tereszczenki*”. Warto za-

uważyć, że w latach 1910–1915 F. Tereszczenko włożył w rozwój swego przedsiębiorstwa około 150 tys. rubli.

W 1914 r. przed początkiem I wojny światowej awiacyjne przedsiębiorstwo w Czerwonym budowało już po 2 samoloty w miesiącu. W końcu 1914 r., w związku z groźną sytuacją na froncie, Tereszczenko postanowił przenieść produkcję do Kijowa i przekształcić warsztat na zakład z produkcją 150 maszyn w roku. Ale planu tego nie udało się zrealizować, bo front podchodził coraz bliżej do miasta, więc w sierpniu 1915 r. wyposażenie i materiały zostały przewiezione do Moskwy. Zakład zlokalizowano na Polu Chodyńskim, tutaj rozmieszczono też zakładowy pociąg-warsztat, jaki był przypisany do działającej armii. Warsztat osiągnął wysoką wydajność: w niektórych miesiącach jego pracownicy remontowali i montowali po 55-60 aeroplanów. Przez niego przeszło do 30 różnych typów aeroplanów i do 15 marek silników. Do remontu aeroplanów w warunkach polowych F. Tereszczenko konstruował specjalny namiot-hangar. Ale nie udało się właścicielowi rozwinąć własnego zakładu – produkcja pozostawała na pół chałupniczą, a wydajność zakładu nawet po roku po przemieszczeniu nie przekraczała 4 samolotów na miesiąc. W końcu F. Tereszczenko sprzedał prawa do przedsiębiorstwa Towarzystwu Akcyjnemu „Duks”. Wyposażenie zakładu stało się faktycznie częścią mocy produkcyjnych przedsiębiorstwa, z jakim współpracowali i w jakim pracowali znani specjaliści awiacji – konsultantami „Duksa” byli profesorowie M. Żukowski, W. Wetczinkin i kijowianin S. Tymoszenko, w zakładzie zaczynał swoją działalność znakomity konstruktor lotniczy M. Polikarpow.

Jednak F. Tereszczenko po sprzedaniu przedsiębiorstwa nie zaprzestał swojej konstruktorskiej działalności. W końcu lata 1916 r. w warsztatach Kijowskiego Instytutu Politechnicznego wspólnie z inżynierem W. Grigoriewem zbudował nowy aparat, który otrzymał nazwę „Tereszczenko-7”. Była to ciekawa maszyna, niektóre jej rozwiązania konstrukcyjne wyprzedzały swój czas – wyposażony w 100-konny silnik „Gnom-Monosupap” jednopodwoziowy dwupłat z dużym kątem strzały i kątem skrzydeł zmienianym podczas lotu. Samolot przeszedł obowiązkowy program prób i powstał problem wzięcia go na uzbrojenie. Ale rewolucyjne wydarzenia okresu jaki nastąpił nie pozwoliły na to. Na tym praca F. Tereszczenki jako inżyniera lotnictwa w ojczyźnie się zakończyła. Zmarł on na emigracji.

Tłumaczył: Janusz Fuksa

Grzegorz Rybakow

ZASKOCZENIE

Sekcja Wychowanków Politechniki Kijowskiej ogłosiła drugi konkurs na wspomnienia z Kijowa w 1987 r. Prace oceniał sąd konkursowy pod przewodnictwem Wojciecha Żukrowskiego – Prezesa Związku Literatów Polskich. Utwór wspomnieniowy Grzegorza Rybakowa otrzymał jedną z dwóch głównych nagród. Autor przez wiele lat mieszkał w Warszawie.

Janusz FUKSA

Sniły mi się ogromne, czarne muchy. Ich brzęczenie stawało się coraz głośniejsze, dokuczliwsze, nieznośne... Obudziłem się... Brzęczenie ze snu przeistoczyło się w narastający warkot samolotów. Był to jakiś dziwny, wibrujący dźwięk, nie taki, jaki zwykle wydaje TB-3 lub I-16 – zwany powszechnie „*iszaczkiem*”. Odruchowo spojrzałem na budzik stojący na nocnej szafce: była godzina 3.45. Rozwidniało się na dobre, nadchodził piękny, słoneczny dzień.

Nie chciało mi się wstawać tak wcześnie. Dzisiejszą niedzielę zamierzałem spędzić z kolegami nad Dnieprem, oglądając regaty, a później na sportowym boisku DYNAMA, podziwiając efektowne występy gimnastyczne. Przecież dziś, 22 czerwca 1941 roku, jest Dzień Sportowca i zapowiadano szereg bardzo ciekawych imprez.

Warkot stopniowo narastał. Okienne i balkonowe szyby wtórowały mu z lekka pobrzękując. Nagle rozległy się artyleryjskie wystrzały – gorączkowe, bezładne, jakby strzelające działa prześcigały się nawzajem w ilości oddanych strzałów. Zrozumiałem, że to biją działa przeciwlotnicze. Na domiar wszystkiego od strony sąsiadujących z naszym domem koszar przy Bulwaro-Kudriawskiej zawyła syrena alarmowa.

„Do licha – pomyślałem – czyżby naprawdę doszczętnie zwariowali, urządzając w taki dzień ćwiczenia przeciwlotnicze?”

Zły na to wszystko, co tak wcześnie zakłóciło ciszę niedzielnego poranka, wstałem z łóżka i wyszedłem na balkon. Przyjemny poranny chłodek przenikał ciało, przez skórę przeszedł lekki dreszcz. Z balkonów i otwartych okien wyglądali sąsiedzi, pytając jeden drugiego: „Co to może być?” Nikt nic nie wiedział. Jedynie domysły, że to ćwiczenia obrony przeciwlotniczej.

Prawda, ostatnio takie ćwiczenia, zwłaszcza z udziałem całej ludności cywilnej Kijowa, urządzane były bar-

dzo często, tak dla miasta, jak i poszczególnych dzielnic, a nawet lokalnie w przedsiębiorstwach, urzędach, uczelniach i szkołach. Ludzie traktowali to jako zło konieczne, jednak rzetelnie brali w nich udział. Dziś oburzali się, że nie powiadomiono o tym w gazetach, że to niedziela – dzień odpoczynku, a oni wymyślili sobie ćwiczenia, że mało im zwykłych dni i tak dalej.

Wymiana zdań i narzekań jeszcze trwała, gdy nagle wstrząsnęły powietrzem cztery detonacje, a potem jeszcze kilkanaście. Ujądanie zenitówek wzmogło się. Niepokój zaczął ogarniać ludzi. Staraliśmy się obserwować niebo, ale nasze pole widzenia było bardzo ograniczone przez sąsiednie gmachy i wysokie kijowskie topole, rosnące na podwórzu naszej posesji przy ulicy Woroszyłowa, czyli byłej Wielkiej Podwalnej. Na widocznym skrawku błękitnego nieba raz po raz rozkwitały białe obłoczki wybuchów. Za chwilę usłyszeliśmy pojedyncze kłasnienia spadających na dachy odłamków. Nie było wątpliwości: strzelano na ostro. Od strony ulicy Rejtarskiej, gdzie mieściło się Pogotowie Ratunkowe miasta, słychać było syreny wyjeżdżających stamtąd karetzek pogotowia. Warkot niewidocznych dla nas samolotów oddalał się na zachód w kierunku przemysłowych dzielnic miasta, skąd po chwili znów usłyszeliśmy kolejną serię głuchych detonacji. Złudzenie, że to ćwiczenia, prysnęło jak bańka mydlana. Wróciłem do pokoju i ubrałem się w pośpiechu.

W chaotycznych myślach, naskakujących jedna na drugą, starałem się znaleźć logiczny związek dawniejszych wydarzeń z tym, co się stało. Przypomniały się rozmowy i dyskusje w gronie przyjaciół – o faszyzmie, wojnie i okupacji, która dotknęła prawie całą Europę, o niebezpieczeństwie, jakie się kryje we wzmocnieniu potencjału militarnego hitlerowskich Niemiec. Wzmianki w gazetach przynosiły coraz to nowe fakty o barbarzyństwach i okrucieństwach popełnianych

przez wojska hitlerowskie w okupowanych krajach. Wzmagало to naszą nienawiść do faszyzmu. Nie wierzyliśmy w żadne pakti zawierane przez Hitlera. Dyskutowano wówczas długo i namiętnie. Byli wśród nas niepoprawni optymiści, którzy wierzyli, że Związek Radziecki przez zawarty pakt o nieagresji uniknie na jakiś czas wojny z Niemcami, a jeżeli za parę lat Hitler narzuci nam wojnę, to „będziemy bić wroga na jego własnym terytorium” i „ani piędzi własnej ziemi nie oddamy wrogowi”. Byliśmy tego pewni. Z jednym tylko zgadzaliśmy się wszyscy, że faszystowskie Niemcy nie zrezygnują ze swego zamiaru i przy pierwszej lepszej okazji napadną na Związek Radziecki, nawet uciekając się do prowokacji, jak to uczynili w 1939 roku przy napaści na Polskę. Już od paru miesięcy dochodziły do nas nieoficjalne pogłoski o koncentracji wojsk niemieckich na wschodnich terenach Polski i Prus Wschodnich. Nie dawaliśmy im wiary, byli jednak wśród nas tacy, którzy wierzyli w to i przepowiadali rychłą agresję hitlerowskich wojsk. Wtenczas uważałem ich za ludzi kapanych w gorącej wodzie. Nie wierzyłem, że stoimy u progu wojny. Jakby na potwierdzenie mojego przekonania przed kilku dniami, 14 czerwca, ukazał się w „Prawdzie” komunikat TASS o

radziecko-niemieckich stosunkach: „...*Niemcy również nieugięcie jak Związek Radziecki dotrzymują warunków radziecko-niemieckiego paktu o nieagresji; dlatego, według opinii kół radzieckich, pogłoski o zamiarze Niemiec zerwania paktu o nieagresji i napaści na ZSRR pozbawione są wszelkich podstaw...*” Przekonywało to nie tylko mnie.

Na dziedzińcu koszarowym znów wyła syrena, tym razem odwołując alarm lotniczy. Dochodziła godzina piąta. Chciałem wyjść z domu, aby jak najprędzej znaleźć się wśród ludzi, dowiedzieć się czegoś konkretnego, gdy nagle zadzwonił telefon. Podniosłem słuchawkę. Mówił dyżurny dysponent Kijowskiej Wytwórni Filmów Fabularnych, w której pracowałem; z rozkazu dyrektora miałem natychmiast stawić się w wytwórni.

Na ulicy, mimo niedzieli i wczesnej pory, ruch był jak w zwykły dzień. Ludzie spieszyli do tramwajów. Twarze ich były pochmurne, nie słyhać było jak zawsze żartów czy kłótni w wozie. Z rozmów pomiędzy pasażerami dowiedziałem się, że godzinę temu samoloty niemieckie bombardowały lotnisko oraz fabrykę BOL-SZEWIK, zakłady lotnicze, fabrykę budowy maszyn. Są zabici i ranni. Szczegółów nikt nie znał. O porannych wydarzeniach krążyły różne plotki. Znaleźli się



Bundesarchiv, Bild 183-B12190
Foto: Kraagranger [Kraayvanger] | September 1941

Niemieckie bombardowanie Kijowa, wrzesień 1941 roku

nawet tacy, którzy „na własne oczy widzieli”, jak ktoś w tym rejonie miasta dawał sygnały przy pomocy rakiet dymnych, wskazując cele nieprzyjacielskim samolotom. Ktoś znów mówił, że schwytano dywersantów przebranych w mundury czerwonoarmistów. Słuchałem tego wszystkiego bez specjalnego przekonania o prawdziwości faktów.

Dojechałem do przystanku przy Domu Kultury Zakładu BOLSZEVIK tuż obok Parku Kultury i Wypoczynku im. Puszkina, skąd było do wytwórni tylko parę kroków. Do bramy szliśmy już sporą grupą. Wszyscy mówili o wydarzeniach, dzieląc się między sobą wrażeniami, jakich doświadczyli tego ranka. W rozmowach górowała wiara w to, że nasze siły zbrojne nie pozwolą więcej Niemcom na powtórzenie czegoś podobnego.

– *Nasze lotnictwo jest najlepsze; zobaczycie, jak dadzą faszystom w kuchnię* – mówił idący obok mnie krępy blondynek, oświetlacz, zawsze uczynny i wesoły chłopak, który jesienią ubiegłego roku przyszedł do wytwórni z marynarki wojennej.

– *A cóż wy myślicie*, – odezwał się kierowca z naszego działu transportu, wysoki, barczysty chłop, którego przezywano Zis, może z powodu jego potężnej sylwetki, a może i dlatego, że jeździł przedtem wozem ciężaro-

wym – że nasi na granicy śpią? Przecież sam nie tak dawno jeździłem z ekipą na zdjęcia: byłem w Kamieńcu Podolskim, w Czerniowcach, w Równem, w Kowlu i w ogóle kręciłem się po tamtych terenach. Widziałem tam nasze wojsko, czołgi, artylerię i kawalerię. Potęga! Nie dadzą faszystom przejść naszej granicy! Zobaczycie!

– *Natrą im mordę jak Japończykom w 38. roku na jeziorze Chasan lub jak na Chalcin-Got w 39.* – wtrącił wtedy młody pomocnik operatora.

– *Jeżeli zajdzie potrzeba, to i my pójdziemy bić się z Niemcami jak w czasie wojny domowej* – mówił stolarz z dekoratorni idącemu z nim kierownikowi działu ewidencji aktorskiej.

Wierzyłem w to, co mówili, i zgadzałem się z nimi.

W bramie wytwórni zamiast jednego wartownika stało ich dwóch, sprawdzali nasze przepustki tak dokładnie, jakby pierwszy raz nas widzieli. Z ważną miną poprawiali wiszący na ramieniu karabin i byli niezwykle surowi, podkreślając tym powagę chwili. W holu komendant straży przemysłowej kierował wszystkich wchodzących do głównej hali zdjęciowej. Niedzielna ciszę zakłócały nasze kroki w długim korytarzu, łączącym skrzydło „twórcze” z halą zdjęciową i zapleczem technicznym. W szerokiej części tego korytarza,



Bundesarchiv, Bild 140-1074-099-45
Foto: Hähle, Johannes | August 1941

Niemieccy żołnierze atakują wioskę Hatne na zachód od Kijowa, sierpień 1941 roku



Bundesarchiv, Bild 183-L29208
Foto: Schmidt | September 1941

Niemieccy żołnierze ostrzeliwują pozycje radzieckie na drugim brzegu Dniepru za pomocą armaty przeciwpancernej PaK 36, wrzesień 1941 roku

tuż przy licznych wejściach do hali, stały resztki rekwizytów i części dekoracji z różnych filmów, oczekujących na swą kolej lub wykorzystanych w sfilmowanych już scenach. Stały tu dekoracje „wnętrza wagonu pancernego” do filmu „Parchomienko”[1] oraz *taczanka*[2] z cekaemem, masywne biurko ze „sztabu białych generałów”, jak również wózek operatorski, makieta jakiegoś zamku średniowiecznego; leżały zwoje kabli do reflektorów. Zdawało się, że to wszystko stoi tu już bardzo dawno i nikomu nie jest więcej potrzebne.

Jedna z żelaznych bram wiodących do hali była szeroko otwarta. Powietrze wewnątrz, jak zawsze, przesycone zapachem świeżo malowanych dekoracji, spalenizną z reflektorów łukowych i rozgrzanym olejem silników dźwigowych. Na tle dekoracji „salonu pałacowego” stało już złożone z praktykabli podium ze stołem nakrytym czerwonym suknem. Ten znajomy na co dzień obraz działał uspokajająco na nerwy – oddalał niejako niebezpieczeństwo, które zawisło dziś rano nad miastem, nad całym krajem.

Co chwila dochodziły nowe grupy i grupki pracowników twórczych i technicznych. Zaludniała się de-

koracja pałacowa. Sprawiało to wrażenie, jakby się zaczynała próba generalna wielkiego planu zdjęciowego i wszyscy zebrali się w charakterze statystów; nie zostali im jeszcze tylko wskazane miejsce i rola, jaką powinni odegrać w tej wielkiej imprezie, garderobiani zaś i rekwizytorzy nie zdążyli wydać każdemu z uczestników odpowiedniego stroju i rekwizytu...

Wiec otworzył sekretarz organizacji partyjnej wytwórni. Przemówienie rozpoczął od komunikatu o naruszeniu granic ZSRR przez faszystowskie Niemcy i o zdrazieckim bombardowaniu Kijowa, Mińska, Odessy, Woroszyłowgradu oraz innych miast Związku Radzieckiego. Mówił o patriotyzmie, o wzmożeniu czujności, dyscypliny, ładu i porządku w wytwórni w związku z wprowadzeniem stanu wojennego w kraju. Przemówienie, jak zwykle, kończyło się okrzykiem na cześć Komunistycznej Partii, Stalina i Czerwonej Armii, która nie dopuści faszystowskich agresorów na radziecką ziemię. Po sekretarzu zabierali głos reżyserzy, pracownicy techniczni, operatorzy światła, robotnicy warsztatów mechanicznych, stolarskich, dekoratorni i innych. Każde przemówienie przesiąknięte było pa-

triotycznym duchem, mocną wiarą w Partię Komunistyczną, w Stalina i Armię Czerwoną. Na zakończenie odczytany został list do Stalina i KC KP(b) Ukrainy, który dobrze oddawał nastrój zebranych tu ludzi, ich gotowość, by cały swój wysiłek w pracy skierować na wzmocnienie obronności, a w razie potrzeby poświęcić życie w obronie Ojczyzny.

Rzęsiste oklaski były aprobatą zebranych. I wtedy, nie od stołu prezydiального, jak to było zawsze na zebraniach, ale gdzieś z końca sali zabrzmiały słowa Międzynarodówki, rósł śpiew, coraz to nowe głosy włączały się w melodię – śpiewali wszyscy... W tym momencie słowa pieśni nabrały jakiegoś ogromnego znaczenia, nowej treści, przysięgi, gotowości na ostatni bój, krwawy bój z wrogiem.

Dyrektor wytwórni i jednocześnie dowódca przeciwlotniczej obrony zakładu odczytał nam rozkaz o składzie poszczególnych grup samoobrony oraz kolejności ich dyżurów w wytwórni. Jako oficer rezerwy byłem w sztabie obrony wytwórni i pierwszy dyżur przypadł mi tego samego dnia od godziny dwunastej. Spojrzałem na zegarek, dochodziła dziesiąta. Dopiero teraz przypomniało mi się, że jeszcze dziś nie jadłem. Niestety, bufety wytwórni w niedzielę były zamknięte. Nic nie pozostało jak iść do pobliskiego dyżurnego sklepu spożywczego. Wyszedłem z gmachu, po drodze dogoniło mnie jeszcze czterech kolegów też idących do sklepu. Pogoda, jak przewidziałem, była piękna i słoneczna. Niebo gdzieś tam przetykane było niedużymi kłębiastymi chmurkami. Zbliżaliśmy się do sklepu, przed którym stała już duża kolejka ludzi. Przy wejściu milicjant pilnował porządku. Nie było mowy, żebyśmy się dostali poza kolejką do środka. Na szczęście miałem na ręku opaskę „Dyżurny sztabu MPWO”[3] i stojąc przed alternatywą: wejść do sklepu poza kolejką i kupić sobie i pozostałym kolegom coś do jedzenia albo zrezygnować i być głodnym aż do rana, do otwarcia bufetu w wytwórni – wybrałem to pierwsze. Zwróciłem się do kolegów:

– *Jeden z was pójdzie ze mną, dajcie mu pieniądze. Spróbujemy dostać się do sklepu, a tam zobaczymy, co będzie do żarcia.*

Zgodzili się. Ruszyliśmy twardo prosto do drzwi. Droę zastąpił milicjant.

– *Dokąd?*

– *Jak to dokąd? Nie widzicie, że jesteśmy służbowo, towarzyszu?* – z tymi słowami wskazałem ruchem głowy na opaskę na rękawie mojej marynarki.

Poskutkowało mimo protestów stojących przed sklepem. Wewnątrz nie było zbyt tłoczno, gdyż wpuszczano naraz nie więcej niż dwadzieścia osób. Ekspedienci uwijali się za ladą niby automaty, ludzie zaś kupowali jak leci: cukier, mąkę, zapalki, olej, sól, konserwy i Bóg wie co jeszcze. Półki na chleb były już puste. Nie widać było i wędlin. Kupujący domagali się większych ilości tych czy innych produktów, sprzedawcy natomiast ograniczali zakup, żeby starczyło i dla innych. Powstawały sprzeczki lub prośby, ludzie gorączkowali się. Jedyne kasjerka ze stoickim spokojem inkasowała należność. Był to pierwszy objaw zapobiegliwości zwykłego, szarego obywatela, przyzwyczajonego do zaciskania pasa w imię lepszego jutra.

Zaopatrzeni zamiast w chleb w herbatniki i inne wiktuały, wyszliśmy ze sklepu.

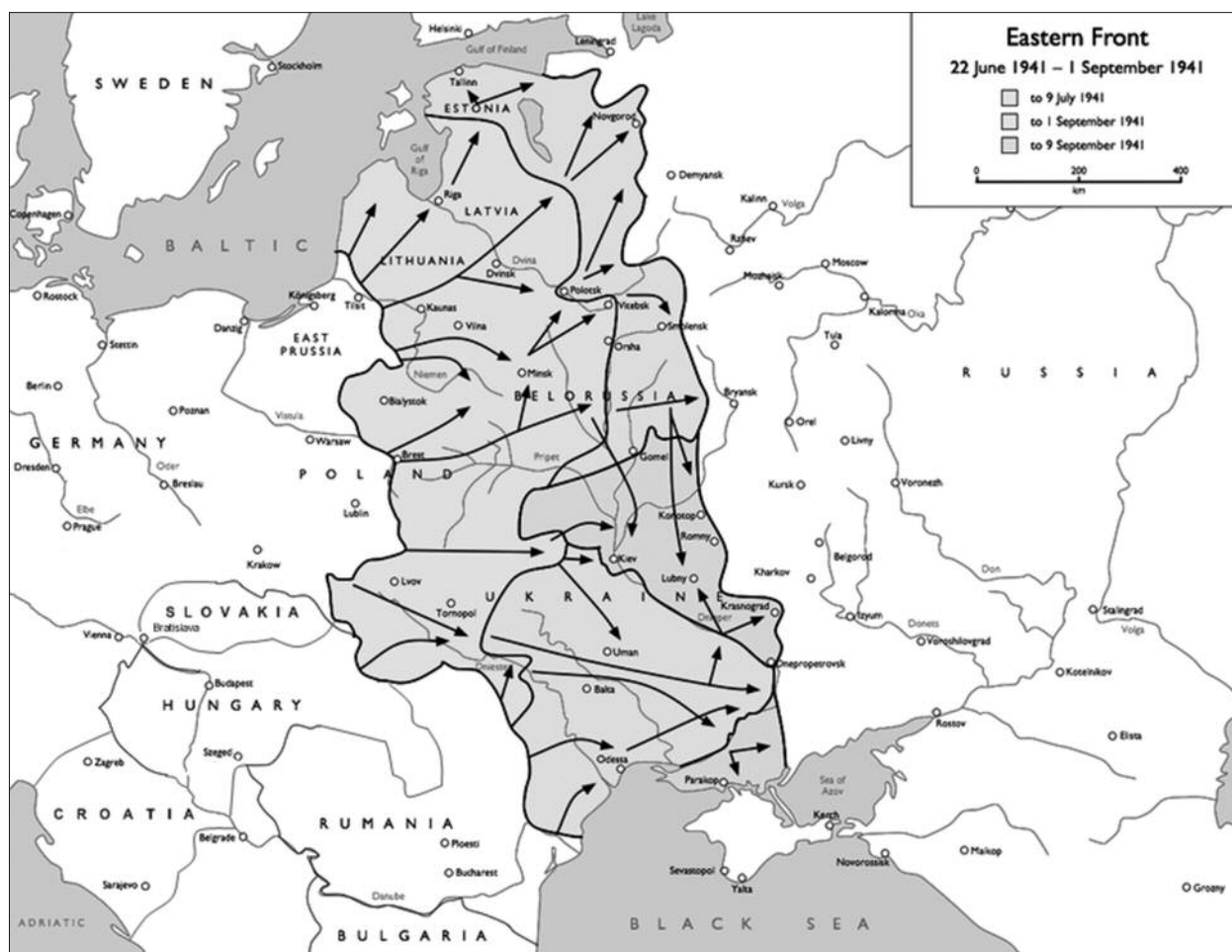
Alarm lotniczy zaskoczył nas już na ulicy. W licznych w tej dzielnicy zakładach przemysłowych wyły syreny alarmowe. Od pobliskiej kolejowej stacji rozrządowej Post Wołyński dolatywały alarmowe gwizdki lokomotyw. Milicjant rozpędzał zgromadzonych przed sklepem ludzi, kierując ich do pobliskich schronów. W pośpiechu zamykano drzwi sklepowe. Przeskoczyliśmy przez ulicę i znaleźliśmy się w płytkim wykopie za torami tramwajowymi. W niebie narastał wibrujący warkot silników. Ciężkie bombowce wroga, pod eskortą kilku myśliwców, leciały w kierunku naszej dzielnicy. Naliczyłem 27 sztuk. Z nerwowym napięciem obserwowaliśmy ich lot. Od strony lotniska Osoawiachim[4], z rejonu stacji Post Wołyński otworzyły ogień działa przeciwlotnicze. Dookoła lecących maszyn niebo zakwitło dziesiątkami małych obłoczków-wybuchów, z których żaden nie trafił do celu. Pierwszy klucz bombowców prosto nad naszymi głowami wysypał śmiercionośny ładunek. Było widać wyraźnie odrywające się od samolotów bomby, które z potwornym wyciem spadały na dół. Paniczny strach sparaliżował ciało. Pierwsza seria wybuchów wstrząsnęła ziemią. Zdawało się, że bomby eksplodowały gdzieś blisko. To było tylko złudzenie dla jeszcze niedoświadczonych ludzi.

Raptem, znad drzew parku, od strony miasta, lotem koszącym przeleciały nad naszymi głowami cztery myśliwce I-16, które po chwili wzbily się świecą w górę i pomknęły w kierunku nieprzyjacielskich samolotów. Stanowiące eskortę bombowców *meserszmity* zauważyły to i jak jastrzębie rzuciły się na nasze „iszaczki”. Zawiazała się walka powietrzna czterech śmiałków z przeważającym liczebnie i technicznie wrogiem.

Bój powietrzny zafascynował nie tylko nas. Ludzie zapomnieli o niebezpieczeństwie, powychodzili ze swych kryjówek i gromadzili się na chodnikach, obserwując tę walkę. Bombowce wyraźnie zbaczały z wytyczonego kursu, zrzucając bomby gdzieś za miastem. Tym się już nikt nie przejmował. Każdy z napięciem śledził dramatyczną walkę w górze, skąd dolatywały do nas wycie silników i krótkie serie wystrzałów z broni pokładowej. Samoloty, jak w diabelskiej karuzeli, krążyły jeden za drugim, ziejąc krótkim ogniem. Widać było wyraźną przewagę Niemców w szybkości, natomiast nasze myśliwce miały lepszą zwrotność i wykazywały wysoką klasę pilotażu. To ratowało je od niechybnego zestrzelenia. Okrzyk radości przeszedł przez tłum, kiedy jeden z *meserszmitów* gwałtownie wszedł w korkociąg i runął na ziemię gdzieś za miastem. Wkrótce jeszcze jeden niemiecki myśliwiec odpadł z walki: ciągnąc za sobą dym, oddalał się na zachód. Radość jednak była krótka. Po chwili Niemcy zestrzelili nasze dwa samoloty. Jeden z nich spadł w dół jak ścięta gałąź. Drugi – paląc się – runął z całym impetem na nieprzyjaciel-

skiego myśliwca. Był to straszny widok, gdy samoloty zderzyły się z sobą, aż poleciały kawałki. W dymie i płomieniach obie maszyny spadły na ziemię. Pozostałe nasze dwa „*iszaczki*” walczyły desperacko, lecz *maserszmity* tym razem wyraźnie unikały bezpośrednich starć. Wyzyskując przewagę nad I-16 w szybkości, Niemcy starali się zestrzelić je z bezpiecznej dla siebie odległości i przyciskali je coraz bardziej do ziemi. Albo nerwy odmówiły posłuszeństwa, a może zabrakło amunicji, w każdym razie pozostałe nasze dwa myśliwce wkrótce zręcznym manewrem wycofały się z walki i lotem koszącym tą samą trasą przeleciały nad nami.

Nikt tego nie oczekiwał... Byliśmy wszyscy jeszcze pod wrażeniem obserwowanej przez nas walki powietrznej, gdy nagle z przerażającym wyciem silników jak czarna śmierć przemknął nad nami *meserszmit*, ostrzeliwując z karabinu maszynowego ulicę. Ludzie rzucili się z chodników w rozsypkę, chowając się w bramy pobliskich domów. Kilka osób pozostało na ziemi, tam gdzie ich zaskoczył nalot Niemca. Po chwili



Front wschodni podczas bitwy o Kijów

niemiecki myśliwiec przeleciał z powrotem i nabierając wysokości, oddalił się na zachód.

Niebo było czyste od samolotów. Syreny odwołały alarm. Na chodniku leżeli zabici: milicjant i – pod murem domu – mała, chyba dziesięcioletnia dziewczynka. Dalej, na ulicy, leżało jeszcze kilkoro zabitych i ciężko rannych kobiet i mężczyzn. Ludzie spieszyli im z pomocą. Najeżdżały karetki sanitarne. Ktoś poprzykrywał gazetami twarze zabitych – pierwszych ofiar wojny.

Wróciliśmy do wytwórni zdenerwowani, przejęci grozą śmierci, która na chwilę zajrzała nam w oczy.

Za kwadrans dwunasta objąłem dyżur w dowództwie sztabu wytwórni. Sprawdziłem łączność za sztabem dzielnicowym MPWO, z wartownią, punktem obserwacji i powiadamiania przeciwlotniczego. Ustaliłem kolejność dyżurów dla poszczególnych drużyn samoobrony. Ludzie rozeszli się na wyznaczone posterunki.

Pozostałem z kierownikiem podstacji elektrycznej naszej wytwórni i dyżurnym elektromonterem. W bunkrze panował przyjemny chłód. Włączyłem głośnik: nadawali marsz lotników. Myślami byłem jeszcze przy tych jakże dramatycznych godzinach, a z głośnika śpiewano:

*Нам разум дал стальные руки-крылья,
А вместо сердца – пламенный мотор...*

Przypomnieli mi się dwaj piloci... gorejące samoloty. A chór podchwycił refren:

*Всё выше, выше и выше
Стремим мы полёт наших птиц
И в каждом пропеллере дышим
Спокойствие наших границ...[5]*

Jakże bezsensownie – zdawało się – brzmiał ten refren w dniu dzisiejszym.

Wiszący na ścianie zegar wybijał dwunaste uderzenie, gdy w radiu przerwano nadawanie marsza. Uroczystym głosem spiker moskiewski zapowiedział specjalny komunikat. Zamieniliśmy się w słuch. Była to odezwa rządu ZSRR do wszystkich obywateli, w której przedstawiono okoliczności zdradzieckiej napaści faszystowskich Niemiec na Związek Radziecki.

Głos przez radio mówił:

– ...Dokonano na nasz kraj napaści, pomimo że pomiędzy ZSRR a Niemcami zawarty został układ o nieagresji, a rząd radziecki z całą rzetelnością dotrzymywał jego warunków. Dokonano na nasz kraj napaści, pomimo że w czasie trwania układu rząd niemiecki ani razu nie mógł zgłaszać pretensji do ZSRR o niewykonywanie umowy... W związku z tym rząd radziecki całą odpowiedzialność za niesłychaną zbrodniczą napadę składa na niemiecki rząd. Niemcy dokonali napaści na ZSRR wbrew pokojowemu stanowisku Związku Radzieckiego...



Listopad 1943 r. Walki o wyzwolenie Kijowa

Wobec tego – mówił dalej – uważamy faszystowskie Niemcy za stronę agresywną... Wojna ta narzucona nam została nie przez naród niemiecki, nie przez niemieckich robotników i inteligencję, których cierpienia dobrze rozumiemy, lecz przez klikę krwiożerczych faszystowskich władców Niemiec – ciemiężycieli Francuzów, Czechów, Polaków, Serbów, Norwegów, Belgów, Duńczyków, Holendrów i innych narodów...

Rząd wzywał radzieckie siły zbrojne do ofiarnej walki z faszystowskim najeźdźcą, a ludność całego kraju do podjęcia heroicznej pracy na rzecz zaspokojenia wszystkich potrzeb Armii Czerwonej, marynarki i lotnictwa. Wzywano naród, aby w ten ciężki dla ojczyzny czas jeszcze bardziej skupił się wokół Partii Komunistycznej. Dalej rząd wyrażał nadzieję, że naród z honorem wykona swój obowiązek wobec ojczyzny.

Odezwa została zakończona słowami:

– ...Nasza sprawa jest słuszna. Wróg zostanie pokonany. Zwycięstwo będzie po naszej stronie!

Później te końcowe słowa odezwy stały się hasłem dla wszystkich w walce z wrogiem hitlerowskim.

Skończyła się odezwa. Siedzieliśmy jakiś czas w milczeniu. Każdy z nas zdawał sobie sprawę, że to nie sporadyczny konflikt zbrojny, ale wojna! Tylko jak długo będzie trwać?

– Niech ich diabli porwą, sukinsynów faszystów! – z pasją powiedział dyżurny elektromonter. – Tyle lat zaciaskaliśmy pasa. Cierpliwieśmy wszystko znosili. Zawsze było wytłumaczenie, że budujemy podwaliny pod lepsze jutro, że musimy kraj nasz uzbroić technicznie, że naokoło nas państwa kapitalistyczne – a my sami. Że nie ma skąd oczekiwać pomocy, że sami musimy wygrzebać się z zaco-fania. Mało tego! Musimy dorównać krajom rozwiniętym. No i co z tego? – zapytał i zaraz sobie odpowiedział: – Owszem! Doprowadziliśmy do uprzemysłowienia i kolektywizacji. – Rozpalił się, wstał z krzesła. Oparł się rękami o stół i mówił dalej: – Trzecia pięciolatka na ukończeniu, a dla nas, ludzi pracy, poprawa idzie powoli. Mam rodzinę – żona i dwoje dzieci. A ile razy było tak, że trzeba było w nocy stać w kolejce, żeby dostać dla dziecka ze sto gramów masła lub innej żywności dla wszystkich? Zawsze nam czegoś brakowało. Na naszych brakach żerowali spekulanci. Owszem, walczono ze spekulacją, wprowadzono kartki żywnościowe. Pomimo to pracowaliśmy rzetelnie. Cieszyliśmy się z tego, że to i owo wybudowano – czy to Dnieproges, czy Kuzbas, czy nowy zakład pracy. Z tego na stole mnie i moim dzieciom nie przybyło, ale wiedziałem, że moja częśćka pracy w tym jest. Może myślicie, że jestem panikarzem? Nie! Sam wal-

czyłem o władzę rad w 1918 roku. Mam ponad pięćdziesiątkę, ale jeśli będzie potrzeba, to i teraz pójdę walczyć z wrogiem. Tylko powiedzcie mi, towarzysze – jak to się stało? Od lat słyszeliśmy, że nasza zdolność obronna rośnie, że nasz sprzęt bojowy jest lepszy, że latamy wyżej i szybciej od innych, że w razie wojny będziemy bić wroga na jego własnym terenie – a co widzieliśmy dziś rano? – Z rozgoryczeniem spojrział na nas. Nie przerywałem mu. Wiedziałem, że to, co przeżyliśmy dziś razem z nim, musi znaleźć jakieś wyładowanie.

– Cztery nasze myśliwce przeciw takiej armadzie! – kontynuował – szkoda tylko tych chłopców, co tak bohatersko zginęli! A gdzie reszta naszego lotnictwa? Ech – machnął beznadziejnie ręką. Usiadł, oparł się ciężko o stół. Kończył jakby do siebie:

– Żeby nie ten przeklęty Hitler, na pewno w tym roku byłoby lepiej żyć. Popsuł nam to wszystko, ścierwo!

Nie znalazłem dla niego wówczas żadnych kontrargumentów. Byłem tak samo jak i on pod wrażeniem dzisiejszego dnia. W bunkrze zapanowała cisza. Tylko zegar ścienny równomiernie odmierzał czas.

23 czerwca od samego rana było duszno, jakby zanosilo się na burzę. Uporządkowałem swoje papiery i rzeczy osobiste. Wyszedłem na ulicę.

Miasto w ciągu doby zmieniło swoje oblicze. Wystawy sklepowe i okna domów patrzyły się nalepionymi na krzyż paskami papieru. W bramach kamienic stali lub siedzieli na ławeczkach dyżurni MPWO, wyznaczeni przez komitety blokowe, z opaskami i maskami przeciwgazowymi. Przeważnie były to kobiety lub młodzież. Uważnie obserwowali przechodniów. Czujność i tu już dotarła. Ruch uliczny był prawie normalny, kursowały tramwaje i autobusy. Przy sklepach spożywczych ludzie stali w długich kolejkach. Milicjanci kierujący ruchem oprócz naganów mieli również maski przeciwgazowe.

Na rogu placu Siennego i ulicy Bulwaro-Kudriawskiej, przed słupem ogłoszeniowym, gromadził się tłum ludzi. Czytali ogłoszenie o mobilizacji roczników od 1905 do 1918. Mobilizowani winni stawić się z książeczką wojskową, dowodem osobistym i niezbędnym ekwipunkiem do swych *rajwojenkomatów*[6]. Drugi plakat zawiadamiał o wprowadzeniu w mieście stanu wojennego. Zwracano uwagę na przestrzeganie zaciemnienia, okazywanie pomocy dowództwu w utrzymaniu ładu i porządku oraz pełne współdziałanie instytucji i zakładów z wojskiem.

Obwieszczenie o mobilizacji w zasadzie dotyczyło szeregowych i podoficerów, gdyż oficerowie rezerwy od dawna już mieli w swoich książeczkach wojskowych tak zwane „karty mobilizacyjne”, według których powinni w ciągu 12 godzin od ogłoszenia stanu wojennego stawić się w swoich dzielnicowych komisariatach wojskowych, gdzie byli zarejestrowani.

Mój Dzielnicowy Komisariat Wojskowy mieścił się w niedużym lokalu przy alei Szewczenki. Przed wejściem do komisariatu stał tłum mężczyzn podlegających mobilizacji, nad nimi górował młodszy *lejtenant*, stojący na kamiennych schodkach. W rękę trzymał plik książeczek wojskowych, z których wyczytywał nazwiska. Wywołani dołączali do formującej się na jezdni kolumny, z której po chwili odchodzili na chodnik, gdzie żegnali się ze swymi bliskimi, matką, dziećmi, siostrą lub narzeczoną. Zauważyłem, że wśród żegnających mało było mężczyzn. Reszta ludzi siedziała lub stała pod murem w oczekiwaniu na przydział do jednostki. Cała ta ciżba ludzka nie mieściła się na chodnikach, wypełniała jezdnię i ocieniony topolami pas zieleni biegnący środkiem szerokiej alei.

Do wnętrza komisariatu wpuszczano tylko oficerów z kartą mobilizacyjną. Przy wejściu stał podoficer pełniący funkcję „biura przepustek”. Skierowałem się do niego. Przede mną podeszło dwóch chłopców w wieku 18-19 lat. Domagali się koniecznie wpuszczenia ich do komisariatu wojennego, bo oni chcą na ochotnika do wojska, aby – jak mówili – „*bić faszystów*”. Długo molestowali, ale nieugięty sierżant nie wpuścił ich. Odeszli z kwitkiem. Szkoda mi było tych chłopców. Obejrzałem się dookoła uważnie i zobaczyłem, że takich ochotników kręci się tu spora gromadka.

Okazałem swoją książeczkę i wszedłem do środka. Na korytarzu i w pokojach komisariatu panował niesamowity tłok. Z trudem dopchnąłem się do „swojego” pokoju. Tu też było tłoczno. Kolejka tak się zawiązała, że musiałem stać przy samej barierce, która odgradzała interesantów od dość otyłego majora intendentury. Za jego plecami stała otwarta szafa pancerna, gdzie znajdowała się kartoteka oficerów. Przyjmując od każdego dokumenty sprawdzał tożsamość, odszukiwał w kartotece kartę oficera i wpisywał skierowanie do jednostki, podawał przy tym adres, gdzie należy jej szukać. Robił to wszystko sprawnie i szybko. Ogonek posuwał się. W pokoju było duszno. Przez otwarte okno przenikało rozgrzane słońcem powietrze. Koszula lepiła się do spoczonego ciała.

Kolej przyszła na wysokiego, przystojnego, tęgiego gościa, w ładnie skrojonym jasnym garniturze.

– *Jestem kierownikiem artelu krawieckiego* – przedstawił się majorowi, podając mu swoje dokumenty.

– *To dobrze*, – odpowiedział major – *spółdzielca, to dobrze. Pójdziecie do jednostki saperkiej*.

Twarz jegomościa zbladła, zaprotestował.

– *Towarzyszu majorze! Przecież nigdy w saperach nie służyłem. Byłem w łączności*.

– *Byliście w łączności, a teraz pójdziecie do saperów* – perswadował major. – *Nic nie poradzę, wojna* – i wręczył mu skierowanie.

– *A co będzie z artelem?*

– *O to się nie martwicie, dadzą sobie radę bez kierownika* – powiedziawszy to, wskazał mu adres, gdzie szukać jednostki.

Incydent ten wywołał trochę uśmiechów i wesołych komentarzy pod adresem niefortunnego kierownika artelu.

Przypomnił mi się stary kawał: Do carskiego wojska, w czasie pierwszej wojny światowej, został powołany Cygan. W komisji poborowej pytają go:

– *Do jakiej chcesz należeć formacji?*

Na to on:

– *Piszcie do taborów, tylko na ostatni wóz*.

– *A to dlaczego?*

– *Bo jak będziemy się cofali, to ja będę pierwszy*.

Takich „pierwszych”, niestety, też nie brakowało.

Zbliżała się już moja kolej, gdy major przestał przyjmować dokumenty i zaczął coś podliczać, coś sprawdzać w papierach leżących na stole. Tymczasem do pokoju wchodzili coraz to nowi ludzie. Po obliczeniu major zaczął nas błyskawicznie załatwiać. Odbierał dokumenty. Odnotowywał coś w naszych kartach i wypisywał skierowanie nie według kwalifikacji wojskowej, ale można by powiedzieć „na oko”. W taki sposób zamiast być skierowanym do jednostki liniowej – znalazłem się w służbie topograficznej. Zły na majora i cały świat przecisnąłem się ku wyjściu.

Przed komisariatem ten sam młodszy *lejtenant* stał na schodkach, wyczytując następną grupę. Miejsce poprzedniej kolumny zmobilizowanych zajęła już inna. Na chodniku stali już inni żegnający i żegnani. Jakaś kobieta w czarnej chustce żegnała się z mężem. Przy niej stał chłopczyk trzyletni. Byli zapałzeni w siebie. Po policzkach jej bladej twarzy powoli spływały łzy. On głąkał ją po ramieniu wciąż powtarzając:

– *Nie martw się, jakoś tam będzie, może nie na długo, nie martw się* – potem wziął dziecko na ręce i długo, długo całował...

Lejtenant skończył wyczytywać nazwiska. Padła komenda: – *Czwórkami zbiórka!* – Ostatnie uściski dłoni. Ostatnie pocałunki... Jakaś starsza kobieta dyskretnie przeżegnała krzyżem odchodzącego syna... Kolumna stała gotowa do wymarszu. Twarze skupione. Niektórzy jeszcze oglądali się za siebie, wypatrując swoich bliskich.

Ostatnia komenda: – *Marsz!* – i kolumna miarowym krokiem ruszyła z miejsca.

Stałem na chodniku i patrzyłem na odchodzących, na żegnających, którzy szli za kolumną, chcąc tym samym odwlec chwilę rozstania.

Jednostkę, do której zostałem skierowany, znalazłem nie od razu. Po wyjściu z tramwaju przy Wozduchofłotskiej długo błądziłem w gmatwaninie uliczek i zaułków, aż wreszcie natrafiłem na właściwy adres.

Z legitymacją oficerską w kieszeni i ekwipunkiem wojskowym w plecaku wróciłem do domu. Po drodze spotykałem coraz więcej świeżo umundurowanych ludzi.

W domu od razu zająłem się prasowaniem munduru, przypinaniem dystynkcji, czyszczeniem pistoletu, a ponieważ często byłem powoływany do wojska

na krótkie lub dłuższe ćwiczenia – miałem w tym wprawę i cała ta praca zabrała mi niewiele czasu.

Przebrałem się i stanąłem przed lustrem, krytycznie przyglądając się swojemu odbiciu. Patrzył na mnie średniego wzrostu szczupły szatyn z niebieskimi oczami, w wieku 33 lat, w wojskowej bluzie i bryczesach, w skórzanych butach z cholewami, zbiegającymi się na dole w lekką harmonijkę. Na zapiętym pod szyją kołnierzu po trzy metalowe, czerwone kwadraciki, oznaczające starszego *lejtenta*[7]. Mocno ściśnięty szeroki oficerski pas z koalicyjką i kaburą pistoletu podkreślał figurę. Nałożyłem z lekka na bakier furażerkę z czerwoną gwiazdą. Wyglądałem w tym stroju bojowo i dziarsko. Zadowolony, odsalutowałem swojemu odbiciu w lustrze.

Wieczorem zatelefonował do mnie kolega z pracy. Dowiedziałem się, że nasza wytwórnia, z rozkazu Głównego Komitetu do Spraw Kinematografii, zawieszając produkcję filmów i będzie przygotowywała się do ewakuacji. I jeszcze jedna wiadomość – ekipa filmowa, która na początku czerwca tego roku wyjechała do Drohobycza kręcić film według powieści Iwana Franki, prawdopodobnie wpadła w ręce niemieckich wojsk. Niewesołe były to wiadomości. Postanowiłem przy pierwszej okazji zajrzeć do wytwórni i dowiedzieć się



Wyzwolenie Kijowa z rąk faszystów. Zburzony Kreszczatik. Listopad 1943 r.

czegoś o losie kolegów, a zwłaszcza Walczaka, z którym byłem bardzo zaprzyjaźniony. W tę noc spałem ostatni raz we własnym „cywilnym” łóżku.

Przed ósmą rano byłem już w jednostce. Mój szef kapitan B. stał na dziedzińcu w grupie oficerów. Zameldowałem się. Przywitał się ze mną i przedstawił innym. Witając się kolejno, wymienialiśmy nawzajem swoje nazwiska. Najwyższy wzrostem z tej grupy był młodszy technik *lejtenant* Jakowlew – topograf, oficer rezerwy, o bardzo dobronudnej twarzy, w okularach, z wyrazem jakiegoś zażenowania. Mundur miał jakby z młodszego brata. Mimo woli zwróciłem uwagę na jego buty. Były to żółte, nieprzepisowe saperki, sięgające cholewkami zaledwie do pół łydek, przy tym największy numer, jaki można sobie wyobrazić.

Z resztą oficerów nie zdążyłem zapoznać się, gdyż przyjechał nasz bezpośredni szef ze służby topograficznej sztabu Frontu, major Uchow. Zaproszono nas na odprawę.

Z referatu majora wynikało, że położenie na odcinku naszego Południowo-Zachodniego Frontu było poważne. Wojska niemieckie w pierwszym dniu wojny wdarły się w głąb terytorium na 10-15 kilometrów, a na kierunkach lwowskim i żytomierskim do 50-60 km. Nasza 5 i 6 Armia znalazły się w bardzo ciężkiej sytuacji, zwłaszcza na kierunku rówieńskim. Tylko pojedyncze oddziały wojsk ochrony pogranicza heroicznie walczyły na niektórych odcinkach granicznych, lecz konkretnych danych w tej dziedzinie sztab Frontu nie posiada. Mówił dalej major o trudnościach w nawiązaniu łączności ze sztabami walczących armii i zmechanizowanych korpusów z powodu częstych zmian ich miejsca postoju. Na zakończenie wyraził nadzieję, że niedługo wydarzenia potoczą się po naszej myśli. Przechodząc do spraw dotyczących bezpośrednio służby topograficznej sztabu Frontu, a również i naszej jednostki, stawiał nam konkretne zadanie, żeby w ciągu kilku godzin przygotować dla sztabów armii i korpusów odpowiednią ilość map taktycznych, z uwzględnieniem kierunków zachodnich, i dostarczyć je przy pomocy naszych ruchomych pododdziałów na front. Razem z personelem składnicy kompletowaliśmy do następnego rana zestawy map dla walczących jednostek. O świcie wyjechały dwa nasze ruchome pododdziały topograficzne z mapami dla 5 Armii w rejon Równego i dla 6 Armii w rejon Lwowa.

Tak mijał dzień za dniem, często zakłócany nalożkami. W tym czasie odjechał ze stacji Łukjanówka gdzieś na wschód ostatni transport ewakuowanych rodzin wojskowych i map. Z nimi podążała grupa żołnierzy i oficerów z jednostki jako konwój, a w przyszłości – kadra nowej składnicy na głębokim zapleczu frontu.

Minał ósmy dzień wojny. Komunikaty frontowe nie przynosiły pocieszających wieści. Armia Czerwona, po uporczywych walkach z nacierającym wrogiem, opuszczała kolejne miasta i osiedla – od Bałtyku po Morze Czarne. Wojska hitlerowskie coraz głębiej wdzierały się na zachodnie tereny Związku Radzieckiego. 27 czerwca wojska radzieckie opuściły Mińsk. Wiadomości, które do nas docierały bezpośrednio ze sztabu Frontu, nie były zbyt przejrzyste z braku regularnej łączności ze sztabami walczących armii i korpusów. Wiadomo było jedynie, że na styku naszej 5 i 7 Armii, w rejonie Włodzimierza Wołyńskiego, toczą się zaciekle boje. Ciężka sytuacja wytworzyła się też pod Lwowem. To wszystko niepokoiło nas bardzo. Osobiste troski i zmartwienia odeszły na dalszy plan. Zgodnie z rozkazem, przygotowaliśmy się do opuszczenia koszar i przeniesienia się na wschód od miasta, za Dniepr, do Browarskiego Lasu.

Wyjazd został wyznaczony na godzinę dwudziestą, prawie o zachodzie słońca. Korzystając z tego, poprosiłem kapitana o pozwolenie na wyjście do miasta. Chciałem pożegnać się z ojcem i – jeśli zdążę – wpaść do wytwórni. Kapitan zgodził się i pozwolił nawet skorzystać z jednego z osobowych samochodów.

Przy dworcu towarowym Łukjanówka panował wielki ruch. Na plac dworcowy wjeżdżały ciężarowe samochody i konne platformy, załadowane skrzyniami z wyposażeniem fabrycznym, nawet meblami. Inne dowoziły ewakuowanych robotników, ich rodziny i skromny dobytek. Wartownicy przy bramie regulowali ruch, kłócąc się z kierowcami, woźnicami i przedstawicielami różnych urzędów. Na jezdni tworzyły się korki. Na rampach kolejowych żołnierze i cywile ładowali wszystko do podstawionych wagonów. Lawirując wśród tej ciżby, wyjechaliśmy na mniej zatłoczoną ulicę. Przejeżdżaliśmy prawie przez całe miasto, kierując się ku przybrzeżnej dzielnicy Kijowa – Podoł. Mijaliśmy niejedną kolumnę załadowanych samochodów i maszerujących żołnierzy. Sklepy spożywcze z niekończącymi się kolejkami ludności; przeważały kobiety i

młodzież. Krążyły patrole wojskowe. Tramwaje były przepełnione, z „winogronami” pasażerów na pomostach. Minęliśmy zakurzone wozy kolumny sanitarnej z rannymi żołnierzami, jadącymi w kierunku dworca. Ruch na ulicach był nerwowy, pośpieszny.

Ojca, jak zwykle, zastałem przy sztalugach. Malował jakiś portret. Ucieszył się na mój widok. Przywitaliśmy się serdecznie, potem siedząc przy stole patrzyliśmy na siebie. Jego przenikliwe, z lekka przymrużone, wesołe oczy były teraz smutne. Siwiejące, długie włosy w nieładzie okalały jego wysokie czoło. Zawsze zadbane puszyste wąsy opadały tym razem ku dołowi na niedużą spiczastą bródkę *à la* Henryk IV. Twarz miał zmęczoną. Ubrany, jak zawsze, w bonżurkę i ciemne spodnie, na nogach stare, wysłużone bambosze. Nie widziałem go od miesiąca. Zmienił się przez ten czas. Postarzał.

– *A więc wojujesz?* – zaczął. Brzmiało to jak pytanie i jak stwierdzenie dokonanego faktu. Skinąłem tylko głową. Ojciec mówił dalej, patrząc gdzieś w zamyśleniu:

– *Ciężka będzie to wojna. Duża machina wojenna idzie na nas. Jak sobie poradzicie? Tyle miast w tak krótkim czasie oddali Niemcom!*

Powiedział to z takim wyrzutem, że poczułem się jakby winnym tego, co działo się na froncie. Uszy zaczęły mi płonąć jak sztubakowi. Popatrzyłem z zainteresowaniem na mnie.

– *Tys, synku, tu nie winien. Jesteś bardzo małym pionkiem w tym wszystkim, choć i oficer. Uważaj na siebie. Bądź rozsądny. Szanuj siebie i innych. Tylko pamiętaj, że w naszej rodzinie honor był zawsze na pierwszym miejscu!*

Podniósł na chwilę rękę jakby w przestrodze. Był podobny w tym uniesieniu do Skargi z Matejkowskiego obrazu, którego reprodukcja wisiała w jego pokoju.

Znałem dobrze charakter ojca. Był nieraz porywczy i wybuchowy, a jednak dobry i sprawiedliwy. Chętnie pomagał innym. Udzielał rad życiowych, chociaż nie zawsze jemu samemu w życiu układało się tak, jak sobie marzył.

Pragnąłem usprawiedliwić przed nim to wszystko, co się wydarzyło. Dodać mu otuchy. Widziałem, że przeżywa to boleśnie. Szukałem w myślach argumentów, które mogłyby go przekonać. Zacząłem coś mówić, uspokajając:

– *Widzisz, ojcie, nie należy wpadać w panikę. Owszem, zaskoczyli nas. Trudno – musimy się cofać, ale to nie potrwa długo. Zobaczysz! Damy radę faszystom. Przecież nie cofamy się bez walki. To nie odwrót w panice. To walka na śmierć i życie. Dowództwo radzieckie nie ucieka z kraju, nie rzuca narodu i armii na pastwę losu.*

Partia i Stalin nie dopuszczą do tego – rozpalałem się. Sam już wierzyłem w to, co mówiłem. Ojciec słuchał mnie uważnie. Patrzył z nieukrywaną ciekawością, jakby widział mnie po raz pierwszy. Mówiłem dalej:

– *Przypuśćmy, że wróg dojdzie nawet do Moskwy. Czy znaczy to, że już koniec? Nie! Przypomnij sobie 1812 rok. A jak się skończyło? Przegrana!*

Mój zapal, z jakim przywodziłem racje, poprawił mu humor.

– *Cóż, synku! Daj Boże, żeby wszystko poszło po twojej myśli. Będziemy żywi, zdrowi – przekonamy się!*

Z tymi słowami wstał i zakrzętał się koło kredensu. Zabrzęczało szkło i na stół ojciec postawił karafkę i kieliszki. Spojrzałem na zegarek. Pora była na odjazd.

– *Co tak patrzysz na zegarek? Spieszysz się?* – zapytał ustawiając na stole talerze z zakąską. Patrzyłem na jego z lekka zgarbioną postać. Ogarnął mnie smutek. Cała wojna z jej nieszczęciami gdzieś się odsunęła, znikła. Widziałem przed sobą tylko ojca. Chciałem zapamiętać każdy jego ruch, każdą zmarszczkę jego twarzy. Przecież nie wiadomo, który z nas będzie żył. Pragnąłem tylko jednego: zabrać ojca ze sobą i wywieźć w bezpieczne miejsce. Stał przy stole i patrzył z uwagą. Zdecydowałem się powiedzieć:

– *Wiesz, ojcie, właściwie przyjechałem pożegnać się z tobą. Wyjeżdżam z miasta...*

Krtań ścisnął skurcz, chciało się tak po prostu, jak w dzieciństwie, rozbeczeć. Oczy zasłoniła mgła. Skape łzy spłynęły po policzkach. Objąłem ojca i przytuliłem się do niego. Przy nim ja, dorosły mężczyzna, czułem się jak mały chłopiec. Poklepał mnie uspokajająco i rzekł:

– *Trudno, mój chłopcze. Trudno. Bóg da, zobaczymy się jeszcze. W razie czego nic mi Niemcy nie zrobią. Jestem bezpartyjny, wierzący, uprawiam malarstwo. Jakoś przeżyję. Znałem Niemców jeszcze sprzed pierwszej wojny światowej. Kolegowałem z nimi. Ludzie kulturalni. W ich przekonania polityczne nie będę się wtrącał i oni mnie na pewno nie ruszą.*

Odsunąłem się trochę od ojca i popatrzyłem badawczo w jego twarz. Nie wierzyłem, że on, rozumny, inteligentny człowiek, mówi to z własnego przekonania. A jednak ojciec był zupełnie spokojny, pewien słuszności swojego rozumowania. Ogarnęła mnie rozpacz. Czyżby ojciec zmysły postradał?

– *Ojcie! Na miłość boską! Zastanów się, co mówisz! Czy nie czytałeś w gazetach, co wyprawiają hitlerowcy w Polsce i innych okupowanych krajach? Zrozum jedno: to nie ci twoi „starzy” Niemcy, ale faszyci. Wrogowie wszystkich, co niehitlerowskie!*

Przekonywałem go długo i namiętnie. Moje argumenty nie trafiały do jego świadomości. Ojciec za żadne skarby nie chciał opuścić miasta i wyjechać gdzieś na wschód kraju.

Na pożegnanie, jak nakazywał ruski zwyczaj, usiedliśmy w milczeniu przed rozstaniem.

– *Ano, synku...* – przemówił ojciec i wstał z krzesła. Podniosłem się również. Żał, że nie potrafiłem go przekonać, jak kamień leżał na sercu. – *Choć jesteś niewierzący, pozwól, że pobłogosławię cię na drogę.*

Z tymi słowami pożegnał mnie. Ucałowałem ojca ostatni raz. Pożegnaliśmy się na zawsze.

Wracałem do jednostki trochę okrężną drogą, przez centrum miasta. Wszędzie napotykałem te same obrazki. Ewakuacja, ewakuacja... Stanęliśmy na skrzyżowaniu alei Szewczenki z ulicą Kominternu prowadzącą do Dworca Głównego, przepuszczając skracające pojazdy. Ruch był tu nieco odmienny niż przy dworcu towarowym na Łukjanowce. Więcej było dorożek, taksówek i urzędowych wozów osobowych. Pasażerowie – przeważnie kobiety z dziećmi lub całe rodziny z głową domu na czele. W jednym takim pojeździe poznałem znajomego, wysokiego dygnitarza z dość znanej wówczas instytucji. Patrzył właśnie w moją stronę. Zasalutowałem mu – nie odpowiedział; widocznie mundur tak zmienia człowieka.

W drodze mijaliśmy kilka ciężarówek załadowanych cywilami obojga płci. Każdy trzymał, jak broń, łopatę lub kilof. W szoferkach wozów siedzieli wojskowi. Jechali widocznie na budowę umocnień i okopów na przedpolu miasta.

Po kolacji kolumna naszych samochodów ruszyła w kierunku Browarów na nowe miejsce postoju. Nagrzane słońcem w ciągu upalnego dnia kamienice i bruk ulic wydierały jeszcze ciepło. Było duszno. Wygaszono latarnie uliczne i ciemne oczodoły kamienic sprawiały, iż miasto robiło wrażenie wymarłego, a przecież nie tak dawno o tej wieczorowej porze te ulice tętniły życiem, zwłaszcza Kreszczatik w centrum miasta oraz Konstantinowska i Aleksandrowska ulice na Podole były ulubionym „deptakiem” kijowian. Tam było wesoło i gwarno. Światło wystaw i kolorowe reklamy licznych kinoteatrów i innych przybytków rozrywki przyciągały tu młodzież i nie tylko. Kiedy wrócą te czasy? – pomyślałem ze smutkiem. Jechaliśmy bez światła, utrzymując przepisową odległość pomiędzy pojazdami dzięki białym kwadratam, namalowanym z tyłu każdego wozu. Siedziałem w szoferce przy otwartym szybie. Zjeżdżaliśmy z placu Poczтового na szosę

biegnącą brzegiem Dniepru ku mostowi łańcuchowemu. Duszne powietrze zmieniło się teraz w przyjemny chłodek. Rzekę pokrywała biała mgiełka, ciągnąca z nizin lewego brzegu. Po prawej stronie droga ocierała się o wysoki, urwisty brzeg naddnieprowych parków. Mijaliśmy maszerującą do miasta kolumnę piechoty. Żołnierze, w pełnym bojowym rynsztunku, szli ciężkim, miarowym krokiem. Ich sylwetki na tle białej wstęgi rzeki rysowały się ostro. Kolumna była długa, szła przemieszana z artylerią konną i taborami. Zdawało się, że nie będzie jej końca. Niepokoilo mnie to. Zdawałem sobie sprawę, że w razie nalotu bombowców nie byłoby się gdzie ukryć.

Odetchnąłem z ulgą, gdy mijaliśmy ostatnie tabory kolumny. Po kilku minutach przejechaliśmy most strzeżony przez wojsko. Droga była pusta, nie licząc kilku pojedynczych samochodów wojskowych, mknących w stronę miasta. Cała nasza kolumna zwiększyła szybkość. Pozostały za nami osada Nikolska, osiedle Darnica i Browary. Na skraju osiedla czekał na nas oficer, który przeprowadził kolumnę do wyznaczonego miejsca postoju. Był to rejon starej cegielni w Browarskim Lesie, 100-150 metrów od szosy czernihowskiej.

Przypisy autora:

1. Realizowany przez reżysera Leonida Łukowa film o bohaterze wojny domowej na Ukrainie Aleksandrze Parchomience został ukończony później, w latach wojny, w Aszchabadzkiej Wytwórni Filmowej.
2. Parokonny pojazd używany w gospodarstwach rolnych na Ukrainie i północnym Kaukazie. W czasie wojny domowej żołnierze I Konnej Armii Budionnego przystosowywali te pojazdy do przewożenia cekaemów, zwiększając zaprzęg do czterech koni. Taka bojowa taczanka, która okazała się groźną bronią, weszła potem – zmodyfikowana – w skład uzbrojenia jednostek kawalerii Armii Czerwonej.
3. Местная противовоздушная оборона – Terenowa Obrona Przeciwlotnicza.
4. Общество содействия авиации и химии – odpowiednik polskiej Ligi Obrony Kraju.
5. *I zamiast rąk – nam skrzydła dał maszynny,
A zamiast serc – motorów śpienną stal.
Wciąż wyżej, wyżej i wyżej
Stalony nasz wzbija się ptak!
A w każdym motorze życie –
Na chwałę Republiki Rad.*
(Przekład Leona Pasternaka).
6. Районный военный комиссариат – odpowiednik naszej Wojskowej Komendy Rejonowej.
7. Wprowadzenie w Armię Czerwoną naramienników z gwiazdkami nastąpiło dopiero w 1943 roku.



Pomnik „Obrona Kijowa 11 lipca – 19 września 1941” przy drodze M-06

CZYNIE NIE DOBRA

„Dobro” należy do szeregu tego rodzaju pojęć filozoficznych, które są intuicyjnie uchwytne jako zupełnie klarowne i jednoznaczne, a dopiero gdy się je usiłuje poddać logicznemu sprecyzowaniu i werbalizacji, stają się niejasne, płynne, wieloznaczne i wręcz nieuchwytne dla rozumu. Z pojęć absolutnych przekształcają się we względne, ruchome i zależne od punktu widzenia czy poziomu rozwoju intelektualnego osób o nich rozprawiających, od okoliczności zewnętrznych itd. Podobnie jak pojęcie „czas”, „dusza” etc.

Apulejusz z Madaury zgodnie z zapatrywaniami Platona pisał o względności dóbr co następuje: *„Zdrowie i siły ciała oraz jego odporność na ból i pozostałe jego dobra zewnętrzne, podobnie jak majątek i inne rzeczy, które uznajemy za dobrodziejstwo losu, nie powinny być nazywane dobrami bezwzględnymi. Gdy ktoś bowiem, kto je posiada, odmówi sobie ich używania, staną się one dlań bezużyteczne. Gdy zaś wykorzysta je w niecnym celu, uznane zostaną za szkodliwe dla niego. Jeśli zaś ktoś, kto je posiada, będzie ich nadużywał i ulegnie wskutek tego złym skłonnościom, temu również posiadanie tych dóbr zostanie poczytane dlań za rzecz szkodliwą. Stąd wynika, że nie należy tych dóbr nazywać bezwzględnymi. Tak samo należy podchodzić do rzeczy uciążliwych, takich jak ubóstwo i pozostałe dolegliwości. Jeśli ktoś bowiem, kto jest ubogi, będzie dokładnie i ostrożnie miarował swoje wydatki, nie odczuje z pewnością niczego szkodliwego w swoim niedostatku. Kto zatem poważnie posługuje się swoim ubóstwem, ten nie tylko nie dozna żadnej przykrości z tytułu swego ubóstwa, lecz nadto stanie się lepiej i szlachetniej od innych przygotowany do znoszenia pozostałych uciążliwości. Jeśli zatem ubóstwo, gdy tylko rozumnie rozporządza tym, co się ma, nie przynosi żadnej szkody, nie może przeto być uznane za zło samo w sobie.*

Podobnie rozkosz nie może być uznana ani za dobro absolutne, ani też za zło w sensie bezwzględnym. Tej, która jest godziwa i nie jest rezultatem rzeczy wstydlivych, lecz szlachetnych poczynań, nie trzeba unikać. O tej natomiast, która jest pożądana dla szpetnej przyjemności, a którą już sama natura odrzuca, powinno się wystrzegać. Trudy i praca, jeśli tylko są naturalne i wynikają z cnoty, a przy tym są podjęte, aby czymś znakomicie pokierować, są godne tego, aby o nie zabiegać. Jednak jeśli są przeciwne naturze i służą występkom, są złe i niegodziwe.

Nie tylko same przykrości i przyjemności przytrafiają się duszy i wstępują do ciała. Istnieje jeszcze jakiś pośredni stan, jaki zachodzi wtedy, gdy nie czujemy już smutku, ale jeszcze nie odczuwamy radości”.

Platon powiadał, że o niektóre rzeczy należy zabiegać ze względu na nie same, jak np. o szczęście i dobrą radość; o inne ze względu na ich skutek, jak o lekarstwa; a o jeszcze inne – z obu tych powodów, jak o roztropność i pozostałe cnoty, których pożądamy zarówno dla nich samych jako czegoś bardzo wartościowego i szlachetnego, jak też i mając na względzie coś wtórnego, czym w tym przypadku jest szczęście, które jest owym najbardziej pożądanym godnym owocem cnót.

Na tej samej zasadzie pewnych rzeczy złych należy unikać z powodu ich samych, a innych ze względu na zło, jakie z nich się wyłania, a w większości przypadków – z obu powodów. Na przykład głupoty i pozostałych tego rodzaju wad należy wystrzegać się mając na względzie zarówno to zło, którym są one same bezpośrednio, jak i to, które zazwyczaj jest ich skutkiem, to jest pogmatwane życie. Z tych tedy dóbr, o które należy zabiegać, jedne nazywamy dobrami absolutnymi, to znaczy takimi, które przynoszą korzyści zawsze, w każdych okolicznościach i wszystkim ludziom, gdy tylko są obecne, a należą do nich cnoty, których owocem jest dobre życie. Inne z kolei bynajmniej nie dla wszystkich i nie zawsze są dobrem, jak na przykład zdrowie i siły cielesne, bogactwo i w ogóle to wszystko, co ma jakikolwiek związek z ciałem i losem. Podobnie jest również z rzeczami, których powinno się wystrzegać. Jedne z nich są mianowicie zawsze i dla wszystkich ludzi złe, gdyż im szkodzą i przeszkadzają, tak jak na przykład wady i różne niepowodzenia. Inne natomiast nie zawsze szkodzą i nie wszystkim, jak choroby, ubóstwo i tym podobne dolegliwości.

Jak widzimy, są to racjonalne i subtelne rozróżnienia, dające świadectwo wyrafinowaniu i głębi myśli helleńskiej. Z kolei późniejsi filozofowie i myśliciele europejscy nieraz różnili się co do samego pojęcia tego, co „dobre”. O tej kategorii filozoficznej Arthur Schopenhauer pisał na przykład, co następuje: *„Pojęcie to jest z istoty swej względne i oznacza stosowność jakiegoś przedmiotu dla jakiegoś określonego dążenia woli. Wszystko więc, co odpowiada woli w jakimkolwiek jej przejawie, co spełnia jej zamiary, pomyślane jest w słowie «dobry», niezależnie od tego, do jakiego stopnia różni się*

ono pod innym względem. Dlatego mówimy np. dobre jeźdzenie, dobra droga, dobra pogoda, dobra broń, dobra wróżba itd., krótko mówiąc, nazywamy dobrym wszystko, co jest takie, jak tego właśnie chcemy i dlatego może być dobre dla jednego coś, co dla drugiego jest złe. Pojęcie tego, co dobre, rozpada się na dwa podrzędne pojęcia: bezpośrednio obecnego oraz obliczonego na przyszłość zaspokojenia każdorazowej woli, czyli przyjemność i pożytek...

Czyli wszelkie dobro jest z istoty względne; albowiem istotą jego jest tylko stosunek do pożądliwej woli. Dobro absolutne jest więc sprzecznością; dobro najwyższe, *summum bonum*, oznacza właściwie to samo, a mianowicie ostateczne zaspokojenie woli, po którym nie pojawia się już żadne nowe pragnienie, ostateczny motyw, którego osiągnięcie daje woli niezniszczalne zadowolenie... Jest to beczka Danaid: nie ma dla woli najwyższego dobra, dobra absolutnego, lecz zawsze tylko dobro tymczasowe" ... Wydaje się głosić podobny pogląd także Carl Gustav Jung, gdy pisze: „Żadne dobro nie jest dobrem wiecznie,

gdyż w przeciwnym razie nie byłoby nic lepszego" ... Ale cóż? Czyżby nie było wartości nieprzemijających?

Obok powyżej wyłuszczonego relatywistycznego punktu widzenia na wartości istnieje nurt mu przeciwny, skłonny do uznawania absolutnego charakteru pewnych dóbr. Antonio Rosmini w „Zasadach etyki” twierdzi, że „aby zrozumieć, że do wydawania sądów o dobru moralnym potrzebujemy przede wszystkim pojęcia dobra w ogóle, gdyż nie możemy wiedzieć, czym jest dobro z przymiotnikiem, nie wiedząc najpierw, czym jest dobro w ogóle. Zdefiniowanie przeto dobra moralnego to nic innego, jak określenie i ograniczenie pojęcia dobra w ogóle, przez co czyni się je pojęciem własnym etyki. Wiadomo wszak, że etyka nie zajmuje się dobrem w ogóle, lecz jego szczególnym typem, jakim jest dobro moralne. Przez zdefiniowanie i zawężenie pojęcia dobra za pomocą tych cech, które nadają mu charakter moralny, wydobywamy z zasady ogólnej zasadę własną etyki. Należy ponadto pokazać, w jaki sposób, a więc na jakich drogach i poprzez jakie stopnie idea bytu, żeby tak powiedzieć, schodzi i



zbliża się do dobra i zła moralnego, i w jaki sposób nas budzi i oświeca, abyśmy mogli je poznać, rozróżnić i zmierzyć. Wszak pierwszych zasad nie da się stosować bezpośrednio ze względu na ich uniwersalność, stosujemy je wyłącznie za pośrednictwem zasad mniej uniwersalnych, które są ich pochodnymi i tworzą ogniwo pośrednie pomiędzy zasadami najogólniejszymi a prawdami bardziej konkretnymi.

Aby odpowiedzieć w sposób jasny na postawione pytanie – co to jest dobro moralne? – trzeba zacząć od powiedzenia kilku słów na temat dobra obiektywnego. Otóż dobrem obiektywnym nazywam to dobro, które jest potrzebne obiektywnie, to znaczy o ile jest ono przedmiotem poznania intelektualnego.

Absolutne pojęcie dobra polega na tym, że odstawiamy w rzeczy to, co należy do wewnętrznego porządku bytu każdej natury, czyli to, do czego każda rzecz zmierza za sprawą swego wosobnego dynamizmu, podczas gdy relatywne pojęcie dobra ujmuje jedynie to, iż jakaś rzecz jest pożądana dla drugiej, to znaczy, że jest ona kresem i celem dla naturalnych mocy innej rzeczy... Dlatego tak jak prawem rozumu jest ogląd bytu uniwersalnego, tak prawem moralnym jest miłość uniwersalna, czyli miłość wszystkich bytów i wszystkich dóbr, miłość rozciągająca się tak dalece, jak dalece rozciąga się poznanie – aż do nieskończoności.

Tak oto obydwie formuły: «Postępuj zgodnie ze światłem rozumu» i «Kochaj wszystkie byty» są jednoznaczne, albowiem to, co światło rozumu nam pokazuje i przedstawia, jest bytem. Światło rozumu przedstawia nam byt po to, abyśmy go kochali. Pokazuje nam ono w każdym bycie dobro, to znaczy wewnętrzny porządek, ujawniający się na zewnątrz dzięki konstytucji samego bytu». Stykamy się wszelako i tu z wewnętrzną sprzecznością: zło w różnych swoich wcieleniach stanowi niewątpliwie pewien byt i należy do jego konstytutywnych cech ontologicznych, ale czy już tylko z tego powodu zasługuje na to, aby być kochanym?

Wydaje się, że w aspekcie moralnym dobrem można nazywać nie wszystko, co istnieje, lecz tylko to, co służy udoskonaleniu zarówno osoby ludzkiej, jak i stosunków społecznych. Na przykład cnota jest zawsze czymś dobrym. Rene Descartes uważał, iż uprawianie cnoty stanowi doskonały środek przeciwko samowoli namiętności i notował: «Ktokolwiek żył w ten sposób, że jego sumienie nie może mu zarzucić, iż zaniedbał on kiedyś zrobienie tego wszystkiego, co uznał za najlepsze (to właśnie nazywam tu pojęciem cnoty), ten osiąga zado-

wolenie, które go czyni tak szczęśliwym, iż najgwałtowniejsze wybuchy namiętności nie mają nigdy dość mocy, aby zmącić spokój jego duszy». Również Tomasz a Kempis pisał: «Staraj się wystrzegać tego i przezwyciężać w sobie to, co razi cię w innych... Niech wszystko pobudza cię do doskonalenia się. Gdy widzisz jakieś dobre przykłady albo słyszysz o nich, staraj się je z zapamiętaniem naśladować. Gdybyś zaś zobaczył coś złego, uważaj, abyś tego samego nie robił, a jeśli już zrobiłeś, staraj się szybko poprawić. Jak widzisz innych, tak i siebie widzisz»... W sposób zaś zupełnie organiczny doskonałość jednostki prowadzi do ulepszenia stosunków międzyludzkich.

Dobro i jego czynienie, poddane analizie filozoficznej, ukazują się jako zjawiska wielopłaszczyznowe i złożone. Tak np. Max Scheler w dziele «Istota i formy sympatii» zanotował: «Jeżeli «altruizmem» zwie się postawę człowieka wobec innych ludzi, wyrażającą się w większej skłonności do odwrócenia się od siebie i własnego przeżywania, to ta «społeczna» postawa nie ma jeszcze nic wspólnego z postawą «czułą» czy «serdeczną». A jeśli miłość do drugiego jest ufundowana na takim akcie odwrócenia się, to jest ona jednocześnie ufundowana na bardziej pierwotnej nienawiści, mianowicie na nienawiści do siebie. Odwrócenie się od siebie, niemożność pozostania «u siebie» (takim typem jest np. «działacz» udzielający się w licznych stowarzyszeniach) nie ma nic wspólnego z miłością»...

W tymże dziele znakomity myśliciel wskazuje na dalszy aspekt owego wielowymiarowego i wielopłaszczyznowego tematu. «Nasze dążenie i chcenie – pisze – jest ufundowane w emocjonalnych ujęciach wartości, a kto nie uchwytuje istoty cudzej wartości, ten wskutek tego nie może też praktycznie służyć jej wspieraniu.

Egoizm jest zatem następstwem zasklepienia w sobie serca i umysłu, a nie przyczyną tej postawy duchowej, przyczyną, która mogłaby potem zostać usunięta dzięki wpływowi samej woli, dzięki idei obowiązku lub na drodze kształcenia woli. Dopiero zasadnicze zlikwidowanie iluzji realności, tzn. wypełnienie życiem i krwią cudzej mglistej egzystencji, która «szeroko» otwiera się dopiero sercu ku niej zwróconemu, może – dzięki uchyleniu timetycznego egocentryzmu – usunąć również egoizm jako egocentryzm praktyczny»...

W podobny sposób rozumował Eduard von Hartmann, pisząc w dziele «Zasady moralnej świadomości», jak następuje: «Złudzenie to całkowicie odpowiada złudzeniu ślepego, który sądzi, że doznania dotykowego nie ma w ręce, lecz na końcu swojej laski, bądź, jeszcze ogólniej, złudzeniu, że się nam wydaje, iż dostrzegamy



rzeczy poza nami, podczas gdy w naszej świadomości zawarta jest jedynie treść naszego własnego przedstawienia”... Zarówno prawda, jak i dobro, są zgodnie z tym punktem widzenia, niejako współtworzone przez ludzkie serce i umysł, choć przecież istnieją też obiektywnie, od czynnika subiektywnego niezależnie.

Prawie zawsze, gdy cokolwiek czynimy, wydaje się nam, że postępujemy dobrze. Starożytni filozofowie greccy uważali, że chęć i dążenie do jakiegoś działania są wzbudzane albo przez prawdziwe dobro, albo przez coś, co dobrem się wydaje, choć w istocie niekoniecznie dobrem jest. Simone Weil zaś zaryzykowała nawet twierdzenie, że w ogóle nie jesteśmy zdolni do czynienia dobra. „Z doskonałą jasnością widzę, – pisała – że cokolwiek bym zrobiła, nie jest to dobrem. Bo kto nie jest dobry, nie może czynić dobrze. A «tylko Bóg jest dobry»... W każdej sytuacji i cokolwiek byśmy zrobili, czynimy źle, i jest to zło, które jest nie do zniesienia. Trzeba modlić się o to, aby całe popelnione przez nas zło spadało wyłącznie i bezpośrednio na nas samych. To właśnie oznacza krzyż”. Nasz osobisty krzyż, który wciąż usiłujemy przełożyć na barki innego człowieka.

Karol Wojtyła wskazywał na jeszcze inny aspekt tematu, mianowicie na permanentne rozdarcie człowieka między dobrem a złem, na rozdwojenie i rozterkę osoby ludzkiej, myślącej i rozpaczliwie poszukującej

prawdy, mimo iż przecież Bóg w swej miłości do ludzi objawił im prawdę i dobro w całym ich pięknie i klarowności. Bóg „pragnie, by wszyscy ludzie byli zbawieni i doszli do poznania prawdy” (1 Tm 2, 4), Bóg chce, aby człowiek stał się uczestnikiem Jego prawdy i miłości, Jego tajemnicy – aby uczestniczył w Życiu samego Boga. «Drzewo życia» symbolizuje tę rzeczywistość... Jednakże na tych samych kartach spotykamy się również z innym drzewem: Księga Rodzaju nazywa je «drzewem poznania dobra i zła» (Rdz. 2, 17). Ażeby człowiek mógł spożywać owoc Drzewa Życia, trzeba, aby nie tykał owocu z drzewa «poznania dobra i zła»... Jakież ładunek egzystencjalnej prawdy o człowieku!.. Prawdę, którą każdy z nas odczuwa jako własną. Czyż zresztą Owidiusz, starożytny poeta rzymski, poganin nie powiedział na ten temat tak dobitnie: «video meliora proboque, deteriora sequor» (Owidiusz, Metamorfozy VII, 20). Niewiele różnił się jego słowa od tego, co później napisał św. Paweł: «Nie rozumiem bowiem tego, co czynię, bo nie czynię tego, co chcę, ale to, czego nienawidzę – to właśnie czynię» (Rz. 7, 15). Człowiek «historyczny» – po grzechu pierworodnym – staje «pomiędzy dobrem i złem». Pozwolimy jednak sobie na uwagę, że człowiek nie musi ciągle pozostawać pomiędzy dobrem a złem, wybrać zaś właściwą stronę opowiedzenia się pomoże mu nie „ubogość ducha”, lecz właśnie zdolność do poznawania dobra i

zła i do odważnego wybierania zawsze tego, co dobre. Bez racjonalnej zdolności rozróżniania między dobrem a złem człowiek jest moralnym ślepcem.

Dobro moralne ma swój wyrazisty wymiar społeczny i polityczny. Polega ono w tym zakresie na ustanawianiu ładu, harmonii, bezpieczeństwa i porządku w życiu socjalnym, w stosunkach między narodami, klasami społecznymi, grupami i jednostkami ludzkimi, przy tym bez nadużywania przemocy i gwałtu. Jeszcze Ciceron zauważył, że „*nic nie jest tak cenione przez lud jak dobroć*”. Dobroć zaś jest łagodna i zasiewająca pokój. Oto Papież Jan Paweł II powiada: „*Pokój! Jako owoc prawdziwego ładu, jako wyraz poszanowania życia, prawa do życia, do prawdy, wolności, sprawiedliwości i miłości dla każdego człowieka. Pokój sumień! I pokój serc! Nie osiągnie się tego pokoju, dopóki każdy z nas nie będzie mógł sobie powiedzieć, że zrobił wszystko, co było w jego mocy, aby wszystkim ludziom zostało zapewnione, od pierwszej chwili ich istnienia, życie godne dzieci Bożych*”...

Nieraz utwierdzanie dobra może być nie tylko uciążliwe, ale i niebezpieczne. Nie powinno to jednak zniechęcać osoby, mające wpływ na losy innych ludzi. „*Tam, gdzie dobro jest pewne, a zło niepewne, nie należy nigdy wyrzekać się dobra z obawy przed złem*” (Niccolo Machiavelli). Ostatecznie bowiem, w perspektywie eschatologicznej, dobro powinno – widocznie – okazać się zwycięskie. „*Człowiekowi nie wolno nigdy zwątpić w zwycięstwo dobra*” (Jan Paweł II).

I wskażmy na jeszcze jeden aspekt. „*W dobrze urządzonym społeczeństwie bycie osobą dobrą (a w szczególności posiadanie skutecznego poczucia sprawiedliwości) istotnie jest dobrem rozważanej osoby i, po drugie, społeczeństwo tego typu jest dobrym społeczeństwem. Pierwsze z tych twierdzeń wynika z przystawiania; drugie jest prawdą dlatego, że dobrze urządzone społeczeństwo wykazuje własności, których można racjonalnie oczekiwać od społeczeństwa, i to z dwu istotnych punktów widzenia. I tak, dobrze urządzone społeczeństwo spełnia zasady sprawiedliwości, które są zbiorowo racjonalne z perspektywy sytuacji pierwotnej; drugi punkt widzenia to punkt widzenia jednostki: pragnienie potwierdzenia publicznej koncepcji sprawiedliwości jako regulatora planu życia jest zgodne z zasadami racjonalnego wyboru*” (John Rawls, „Teoria sprawiedliwości”). Jeśli w społeczeństwie nagrody i honory są przyznawane łajdakom i głupcom, to ludzie szanujący się będą tych nagród i

honorów unikać i się wstydić. Rząd bowiem, który pochwała złych, odrzuca od siebie dobrych, i tym samym wykopuje pod sobą dół. Już przecież Kohelet uważał za największy błąd władzy sytuację, kiedy to „*wynosi się głupotę na stanowiska wysokie, podczas gdy zdolni siedzą nisko*” (10, 8). Władza, która wywyższa złych, a poniża dobrych, degraduje sama siebie, staje się siewcą zgorzienia i nieładu.

Łagodne i życzliwe postępowanie często wynika ze współodczuwania, z witalnego współuczestniczenia w cudzym losie, z przysłowiowego stawiania siebie na miejscu innego człowieka, który właśnie doznaje jakiejś udręki. Jak pisał wielki poeta gruziński Szota Rustaweli w poemacie „Rycerz w tygrysiej skórze”:

*Wosk roztopia się na ogniu i płomienia mu dodaje,
A zaś woda gasi ogień i do wosku nie przystaje;
W tym innemu się współczuje, co samemu się
doznaje.*

Ale też zacni ludzie postępują dobrze z jakiejś jakby przekory wobec świata wypełnionego złem, co Czesław Miłosz wyraził w słowach:

*Zbyt wieleśmy widzieli zbrodni,
Byśmy się dobra wyrzec mogli
I mówiąc: krew jest dzisiaj tania –
Zasiść spokojnie do śniadania.*

Człowiek w zasadzie chętniej hołduje dobru niżli złu, choć często warunki temu nie sprzyjają. Wielu więc trafiają do sumienia słowa św. Jana Chryzostoma: „*Nie depcz po tym, który upadł, ale lituj się nad nim... Pamiętaj, że gdy dostaniesz w moc swoją tego, kto cię obraził, o wiele wspanialszą i korzystniejszą rzeczą jest oszczędzić go, niż zgładzić*”... Łagodne, życzliwe, społeczne postępowanie czyni szczęśliwymi zarówno tych, którym się dobro wyświadcza, jak i tych, którzy je wyświadcza. „*Jeżeli ktoś uczynił coś takiego, co według jego wyobrażenia sprawia innym w radość, wprawiony on zostanie w radość połączoną z ideą siebie samego jako przyczyny, czyli będzie patrzył na siebie samego z radością. Przeciwnie, jeżeli ktoś uczynił coś takiego, co według jego wyobrażenia sprawia innym w smutek, to będzie patrzył na siebie samego ze smutkiem... Kto wyobraża sobie, że sprawia innym w radość lub smutek, przez to samo wprawiony zostanie w radość lub smutek*” (Baruch Spinoza, „Etyka w porządku geometrycznym dowiedziona”). Dobro więc powinno się czynić niejako odruchowo, bez liczenia, rachowania i namyślenia się,

natychmiast korzystając z okazji. Wątpienie byłoby w tej materii czymś niewłaściwym, a nawet złym. Jak to trafnie wyraził ongiś Lew Tolstoj: „Czas skończyć z czekaniem na nieoczekiwane prezenty od życia i samemu zacząć tworzyć życie”. I to życie dobre, które się tworzy wyłącznie przez własną dobroć. Czynienie dobra stanowi oznakę wartości i doskonałości człowieka. „Dobrze jest czynić dobrze” (Awicenna). Co prawda, nie pojmują tego czyniacy źle, ale zrozumiałe jest dla ludzi o szlachetnym sercu. „Każdy, idący drogą cnoty, życzy również innym ludziom dobra, którego pragnie dla siebie, i to tym więcej, im większą wiedzę mieć będzie o Bogu... Ludzie, o ile żyją pod przewodem rozumu, są dla człowieka czymś najpożyteczniejszym, dlatego będziemy koniecznie usiłowali pod przewodem rozumu sprawić, ażeby ludzie żyli pod przewodem rozumu. Dobrem zaś, którego pragnie dla siebie każdy, kto żyje wedle wskazań rozumu, tj. kto idzie drogą cnoty, jest rozumienie. A zatem każdy idący drogą cnoty życzy również innym ludziom dobra, którego pragnie dla siebie... Dobro, którego człowiek pragnie dla siebie i które miłuje, będzie on miłował stalej, jeżeli dostrzeże, że inni miłują to samo; dlatego też będzie się starał o to, aby i inni je miłowali. A

ponieważ dobro to jest wszystkim wspólne i wszyscy mogą się nim cieszyć, przeto starać się będzie o to, aby wszyscy się nim cieszyli, i to tym usilniej, im więcej napawa się on tym dobrem” (Baruch Spinoza, „Etyka”...).

Okazuje się jednak nieraz, że zło może budzić radość, a dobro smutek. Wystarczy wyobrazić sobie sytuację, gdy trapiące nas przez jakiś czas zło minęło, a już nawet samo wyobrażenie tego przynosi uczucie ulgi i radości; cóż dopiero, gdy naprawdę przeminie – ta okoliczność jest po prostu źródłem szczęścia. Gdy zaś tracimy lub wyobrażamy sobie, że tracimy jakieś prawdziwe dobro – ogarnia nas smutek i żal. Mówiąc dokładniej, to nie samo zło czy dobro, lecz fakt ich przeminięcia budzi owe radosne lub ciężkie chwile.

Nie powinno się być zbyt pochopnym w potępianiu czegośkolwiek lub kogokolwiek. Łatwo bowiem ganimy wady innych, ale rzadko czerpiemy z nich naukę ku poprawie swoich. Z mówienia zaś o dobru niektórzy uczynili sobie swego rodzaju rozrywkę, a nawet wcale intratne zajęcie. Jak ironizował Mark Twain: „Być dobrym, to szlachetne. Lecz pokazywanie innym, jak



mają być dobrzy, jest jeszcze szlachetniejsze i nie wymaga tyle wysiłku".

W tradycji etyki europejskiej, jak też starszej od niej azjatyckiej, dominuje przekonanie, iż czynienie dobra jest nakazem bezwzględny. „Potrzeba żyć dla innych, jeśli chcesz żyć dla siebie” (Seneka). „Każdy człowiek zobowiązany jest przyczynić się ze wszystkich sił dla dobra drugich i zaiste nic nie jest wart ten, kto nikomu nie jest użyteczny” (Kartezjusz). „Każdy, kto działa jedynie z myślą o sobie, jest skazany na cierpienie. Działaj dla innych, by cieszyć się wraz z nimi” (Goethe). „Czyni dobrze samemu sobie z możliwie najmniejszą krzywdą bliźniego” (Rousseau).

Podobne sformułowania można nagminnie spotkać u wielu innych autorytetów intelektualnych Europy. Ale nie u wszystkich. Taki np. krnąbrny duch jak Nietzsche powiadał w dziele „Also sprach Zarathustra”: „Zaprawdę ludzie sami nadali sobie wszelkie swe zło i dobro. Zaprawdę, nie przejęli go, ani go nie znaleźli, nie spadło im też ono, jako głos z nieba. Wartości nadał człowiek rzeczom w potrzebie samozachowawczej – on dopiero stworzył rzeczom treść, treść człowieczą! Przeto zwie się «człowiek», czyli: oceniający! Oceniać znaczy tworzyć... Ocena jest wszelkich oceniających rzeczy skarbem i klejnotem. Przez ocenę powstaje dopiero wartość: bez oceny pustym byłby orzech bytu... Zmienność wartości – to zmienność tworzącego. Niszczy zawsze, kto twórcą być musi”... I przeciwnie, tak zwani „dobrzy” są – według Nietzschego – właśnie niedobrzy, mało warci, pasożytujący na innych przez udawanie dobroci. „Die Guten nämlich – die können nichts schaffen: die sind immer der Anfang vom Ende”. Dobrotliwość jest chorobą, odmianą służalczego i przewrotnego konformizmu, jak też wyrachowanego egoizmu. „Gute Menschen reden nie die Wahrheit: für den Geist ist solchermassen gut sein wie eine Krankheit”. Czyli że, jak to przewrotnie i nie bez racji zauważał La Rochefoucauld: „Nikt nie zasługuje, aby go chwalono za dobroć, o ile nie ma siły, aby być złym. Wszelka inna dobroć jest najczęściej gnuśnością lub niemocą woli”... Jeśli zaś postępujemy dobrze z wyrachowania, że nas za to Bóg wiecznym życiem wynagrodzi, jest to przejawem prymitywnego merkantyizmu ludzi ciemnych, pozbawionych prawdziwej kultury duchowej i egoistycznych, nie zaś oświeconych światłem szlachetnej wiary.

Jak bardzo trafnie pisała Simone Weil, działanie jest dobre, jeśli możemy je dokonać mając intencję i uwagę skierowane całkowicie ku dobru czystemu i niemożliwemu, i nie przesłaniając sobie jakimkolwiek fałszem

ani powabu, ani niemożliwości czystego dobra. Przez to właśnie cnota jest czymś zupełnie analogicznym do natchnienia artystycznego, nawiedza tylko nielicznych wybranych, jest z natury wzniosła i całkowicie obca jakimukolwiek wyrachowaniu, liczeniu na „coś za coś”. Francis Bacon określał dobroć jako „pragnienie dobra dla ludzi” i dodawał: „Dobroć spośród wszelkich cnót i dostojeństw duszy jest największa, jako że jest cechą Bóstwa; i bez niej człowiek jest tylko ruchliwym, złośliwym i nędznym stworem, nie lepszym niż jakiś rodzaj robactwa... Skłonność do dobroci jest głęboko wrażona w naturę człowieka; tak dalece, że jeżeli nie znajdzie ujścia w stosunku do ludzi, to zwróci się ku innym stworzeniom żywym”... Filozof ostrzega jednak, iż z tej doskonałości mogą wynikać pewne błędy. „Dąż – powiada – do dobra innych ludzi, ale nie bądź niewolnikiem ich kaprysu; to bowiem jest uległością, która czyni uczciwego człowieka niewolnikiem”. I to niewolnikiem tych, którzy są gorsi od niego. A przecież nie powinno się rzucać pereł przed wieprze. „Zwykłe dobrodziejstwa należy rozdawać wszystkim; ale dobrodziejstwa szczególne tylko wybranym” – czytamy w „Esejach” Bacona. Większość ludzi zresztą i tak zwykła odpłacać za dobro złem.

Czyniąc dobro ponosimy z reguły bez porównania bardziej przykre konsekwencje niż czyniąc zło. Los bowiem karze tych, którzy czynią ludziom dobro bez potrzeby, bez konieczności. Nie wszystko też, co wydaje się być dobrem, dobrem jest. Dobrem jest wyłącznie to, co sprzyja rozwojowi miłości do Boga w duszy człowieka.

Nakarmić głodnego, chorego – to dobro, wspierać zdrowego i silnego to zło, które demoralizuje i może z kogoś uczynić pasożyta i łajdaka. Dlatego też za taką pomoc spotyka nas niewdzięczność i nienawiść – kara wcale zasłużona. „Dobry czyn (czynienie dobra) możemy zdefiniować jako taki, którego wykonanie zależy od naszej woli, a więc nie podlegający żadnym ograniczeniom ze strony naturalnego obowiązku czy zobowiązania, i który świadomie służy dobru innej osoby (wspiera jej racjonalny plan). Następnie zdefiniujemy dobre działanie (w sensie działania życziwego) jako dobry czyn wykonany z myślą o dobru innej osoby. Czynienie dobra to działanie pod wpływem pragnienia, by ktoś inny doświadczył dobra. Gdy podjęcie takiego działania, dobrego dla innego człowieka, wiąże się po stronie osoby działającej ze stratami lub ryzykiem strat (ocenianych na podstawie wąsko rozumianego interesu tej osoby), mamy do czynienia z działaniem nadobowiązkowym. Działania dobre dla innej osoby, szczególnie działania chroniące ją przed nieszcze-

ściem i krzywdą, stanowią nasz naturalny obowiązek wymagany przez zasadę wzajemnej pomocy, jeżeli tylko nie zmuszają nas do zbyt wielkiego poświęcenia i ryzyka... Ogólnie rzecz biorąc, działania nadobowiązkowe to działania, które byłyby obowiązkowe, gdyby nie pewne warunki, sformułowane z myślą o uwzględnieniu rozsądnego interesu własnego, które zwalniają z ich wykonania” (John Rawls, „Teoria sprawiedliwości”).

Do działań niewątpliwie nadobowiązkowych należy niesienie pomocy tym, którzy, mając wszelkie możliwości dobrego życia dzięki własnemu wysiłkowi, nie chcą tego wysiłku podjąć i wolą wyzyskiwać życzliwość innych, apelują manipulatywnie do ich współczucia. Wyzyskując zaś to współczucie, naśmiewają się z nich w głębi serca. Dokładnie tak, jak to czynią źli, wyzyskując życzliwość dobrych. Wielu mędrców uważało, że czynienie dobra złym jest niebezpieczne. „Jeśli dobrem odpłacisz za zło, czym za dobro się odwdzięczysz?” – zapytywał Konfucjusz. W klasycznym dziele kultury indyjskiej również znajdujemy zdanie: „Dobroczynność okazywana niewartym tego osobom jest dobroczynnością w stanie ignorancji” („Bhagawad-Gita”, XVII, 22). Wiadomo przecież, iż ludzie nie umieją cenić dobroci i poświęcenia, albo uważają to za rodzaj głupoty, albo za czyjś obowiązek – i nuż wyzyskiwać. Jeśli płacić będziemy dobrem zarówno za zło, jak i za dobro, jeśli będziemy równie ofiarni zarówno wobec osobników złych, jak i dobrych, czyż tym samym nie uznamy, że między dobrem a złem nie ma różnicy, i że – ergo – nie powinno się dążyć do pierwszego a unikać drugiego? Czyżby nie miał racji baron Paul Henri Dietrich de Holbach, gdy zauważał, iż „okazując dobroć złym, rozsuchwala się zło”?

Żaden dobry czyn nie pozostaje nieukarany, a czyniący dobro mają więcej wrogów niż przyjaciół. Gdyby było inaczej, wszyscy dobrzy byłiby szczęśliwi, a źli nie-szczęśliwi. Tymczasem jest inaczej. Do raczej mało budujących okoliczności życia ludzkiego zaszerzegował mędrzec Kohelet następujące m.in. fakty: „Że to nie chyżym bieg się udaje i nie waleczni w walce zwyciężają”, że „nie mędrcom chleb się dostaje w udziale, ani rozumnym bogactwo, ani też nie uczeni cieszą się względami”. I że „nie zna człowiek swego czasu, jak ryby, które się łowi w sieć zdradliwą, i jak ptaki w sidła schwywane”... Wszystkim bowiem rządzi nie ludzka logika, lecz los i przypadek, które można też nazwać niezbadanymi wyrokami Opatrzności Bożej. „Wszystko jednakie dla wszystkich: ten sam los spotyka sprawiedliwego, jak i złoczyńcę, tak czystego, jak i nieczystego, zarówno składają-

cego ofiary, jak i tego, który nie składa ofiar; tak samo jest z dobrym, jak i z grzesznikiem, z przysięgającym, jak i z takim, który przysięgi się boi”, czyli z wiarołomcą (Kohelet 9, 2).

Nawet potoczna obserwacja uwidocznia fakt, że czynienie dobra gorszy ludzi bardziej niż czynienie zła. „Ten, kto zamierza czynić dobro, nie może oczekiwać, iż ludzie będą mu usuwać kamienie z drogi, ale musi być przygotowany na to, że mu je będą rzucać pod nogi” (Albert Schweitzer). Ludzka bowiem mądrość i solidarność to raczej mit, marzenie i mrzonka niż rzeczywistość. „Człowiek moralny przypuszcza, że to, co jemu istotnie leży na sercu, musi też być istotą i sercem rzeczy” (Fryderyk Nietzsche). A tak wcale nie jest. Postępując dobrze nie powinniśmy więc oczekiwać, że będzie nam z tego powodu też dobrze. Naszą moralną satysfakcję z powodu dobrych uczynków skutecznie zrównoważy ludzka złośliwość, zawiść i niewdzięczność. „Los i natura dbają o równowagę w rachunku: nie obdarza cię nigdy dobrem, żeby na drugiej szali nie położyć zła” (Niccolo Machiavelli). Chodzi tu też o to, iż nieraz to, cośmy uważamy za dobre, przez innych jest interpretowane zgoła inaczej. „Dobry uczynek jest czymś dozwolonym właśnie dlatego, że stanowi upokorzenie jeszcze większe od bólu, jeszcze głębiej i w sposób jeszcze bardziej oczywisty doświadcza człowieka w jego poczuciu zależności. Wdzięczność zaś jest zalecana z tego względu, że w ten sposób z otrzymanego dobrodziejstwa można zrobić użytek. Ale powinno to być poczucie zależności od losu, a nie od określonej osoby ludzkiej. A wdzięczność w najmniejszym stopniu nie powinna być przywiązaniem, bo będzie wtedy psią wdzięcznością” (Simone Weil, „Świadomość nadprzyrodzona”). Te słowa genialnej żydowskiej myślicielki stanowią jakby echo głębokich nauk mądrościowych „Talmudu”, nakazujących największą dyskrecję, wręcz anonimowość, w udzielaniu pomocy, w dawaniu jałmużny, w okazywaniu dobrodziejstwa. Gdy ktoś potrzebuje pomocy, „Talmud” (wielkie zbiorowe dzieło ponad czterech tysięcy mędrców i kilkunastu wieków wytężonej pracy umysłowej), nakazuje np. takie zaaranżowanie samego aktu pomocy, by osoba wspomagana była przekonana, że ta pomoc jest dziełem jakiegoś przypadku („znalazła” podrzucone sobie pieniądze) lub godziwego porozumienia („pożyczka”, o której wiadomo, że nigdy nie zostanie zwrócona). W ten sposób akt psychicznego uzależniania osoby biorącej od dającej, który byłby jednocześnie

aktem poniżania, jest nieobecny, a czynienie dobra nie pociąga za sobą zła.

Nie powinno się więc pochopnie rozdawać dobra (zarówno materialne, jak i duchowe) byle komu, byle jak, byle kiedy i byle gdzie. Jest to wielka nauka o tym, jak mamy szafować darami, którymi nas Bóg obdarzył, abyśmy robili z nich właściwy użytek i także obdarowywali nimi innych, czyniąc to jednak rozumnie, oględnie i dalekowzrocznie.

Antonio Rosmini w „Zasadach etyki” dowodził, że idee prawa moralnego są człowiekowi wrodzone, to jest nadane jako „światło” przez samego Boga bezpośrednio. *„Jeśli idea bytu jest wrodzona i jeśli ona sama stanowi instancję najwyższego prawa, to z tego wynika, że w naszej duszy nosimy wpisane przez naturę całe prawo moralne w swym zarodku jako pierwsze prawo, które jest zasadą i źródłem wszystkich pozostałych oraz stanowi kryterium godziwości i słuszności naszych czynów. Konieczności tej tezy dowodzi także następujące rozumowanie. Gdybyśmy nie mieli wrodzonej zasady moralności, to nigdy nie moglibyśmy jej nabyć. Cały wszakże rodzaj ludzki zgodnie powiada, że ją mamy.*

Mówi się że zdobywamy wiedzę dzięki zmysłom. Ten rodzaj poznania jednak napotyka granicę, jaką stanowią

same zmysły, które poznają tylko fakty, lecz nie poznają ich racji i praw, niedostępnych na drodze poznania zmysłowego, gdyż mogą one być poznane jedynie przez istoty wyposażone w umysł. Zachowując konsekwencję, trzeba albo odrzucić moralność, albo uznać, że jej zasada jest w nas wrodzona... Teoria uznająca wpisane w naturę ludzką światło, które uczy człowieka odróżniać dobro od zła, jest tradycyjną doktryną całej zdrowej starożytności, a zwłaszcza tradycji chrześcijańskiej. Została ona przesłonięta przez ów ambitny ruch, jaki uczyniły umysły XIX stulecia, kiedy wydało im się, że ludzie powinni wyzwolić się od ciężaru wszystkich poprzednich stuleci i odrzucić filozoficzne przekonania swych ojców, podobnie jak każdy dążył do wyzwolenia się z więzów współczesnego społeczeństwa, aby nie ponosić żadnych zobowiązań wobec nikogo i żyć tylko dla siebie samego. Stąd ich częsta skłonność do odrzucania pewnej doktryny tylko dlatego, że była ona dawna i powszechnie przyjmowana.

Kontestowana przez wielu tradycja sięga czasów przedchrześcijańskich. Potwierdza to pogląd Marka Tuliusza, znanego z roli wyraziciela summy dorobku starożytności. «Sądzę – powiada on – że najmądrzejsi doszli do zdania, iż prawo moralne nie jest tworem ludzkich umysłów ani nie opiera się na uchwałach narodów, lecz jest czymś wiecznym, mądrością nakazującą i zakazującą czy-



nów, która rządzi całym światem». Według przekonania najwybitniejszych umysłów, które żyły przed Chrystusem, prawo moralne nie może być ani stworzone przez rozum, ani przezeń zdobyte, co znaczy, że człowiek ma je z natury.

Przekaz tej samej prawdy w epoce chrześcijańskiej spotykamy na każdej stronie u pisarzy kościelnych. Wystarczy przytoczyć dwa następujące miejsca. «W naszych duszach – mówi św. Hieronim – znajduje się całkowita świętość naturalna pochodząca od Boga, która przebywając w najbardziej szczytowej części duszy, dokonuje sądu w sprawie niesłusznego i słusznego».

Zwróćmy uwagę w cytowanym fragmencie na wyrażenie «świętość naturalna», która jest nam wrodzona. Rezyduje ona w najwyższej części duszy, stanowiącej, zgodnie z tekstem łacińskim, «twierdzę ducha». Wyrażenie to znajduje oddźwięk w naszej doktrynie głoszącej, że pierwsze prawo moralne stanowi jedyna wrodzona najwyższa idea bytu, która jest rdzeniem wszystkich pozostałych pojęć i wszelkiego ludzkiego myślenia. Jaka bowiem inna część duszy może być wyższa i bardziej strzeżona od tej części, w której przebywa światło bytu, dzięki czemu jest ona źródłem życia intelektualnego i najprostsza zasadą wszystkich sądów, będąc sama jako władza światłem rozumu? Oto dlaczego chrześcijańscy mistrzowie jednoznacznie – a wśród nich wyróżnia się Bonawentura – to najwyższe i najbardziej wewnętrzne miejsce naszego ducha, gdzie błąd nie ma dostępu i gdzie znajduje się ostateczna norma tak naszego myślenia, jak i działania, nazywają wierzchołkiem i «szczytem duszy».

Chcę jeszcze przytoczyć pogląd w tej sprawie św. Iwona. «Widzieliśmy – mówi on – że Bóg jako Najwyższa Prawda wyposażył ludzkie umysły w ideę słuszności, za sprawą której każdy bez pomocy nauczyciela, bez prawa pisanego, niezależnie od autorytetu, jedynie dzięki władzy swej synerezy odróżnia dobro od zła. Poprzez to światło Bóg oświeca każdego człowieka przychodzącego na ten świat»... Człowiek więc ma wrodzoną ideę i ta idea jest tym światłem, i jest to idea słuszności, obecna w umyśle tak, iż człowiek posługując się nią, rozróżnia dobro i zło bez interwencji nauczyciela. Czyż to nie jest dokładnie nasza teoria? Głosimy przecież, że to światło, którym Bóg oświeca każdego człowieka przychodzącego na świat, to znaczy światło rozumu, jest ideą najbardziej pierwotną w stosunku do wszystkich innych idei. Ta pierwsza idea nie ma pochodzenia zmysłowego, lecz została ona tchnięta w człowieka przez Stwórcę. Wreszcie mówimy, że pierwsza idea kształtuje światło człowieka rozumnego i stanowi miarę dobra i zła... Jest to idea

pierwsza i najwyższa pośród wszystkich idei, które mają w niej swe źródło, i dlatego jest ona prawdziwym światłem wszelkiego poznania ludzkiego; dochodzimy do wniosku, że tą ideą jest idea bytu, która tkwi we wszystkich pozostałych pojęciach jako konieczny element ich istnienia, element formalny. Widzimy, że nie jest ona zmieszana z żadną inną ideą prawdziwie prostą i w tej swej prostocie jest ona ideą wielce płodną». Z niej też wydaje się w naturalny sposób wynikać, jak wszystko istnieje lub powinno istnieć, a więc idea imperatywu moralnego, idea tego, co naprawdę dobre, a co naprawdę złe, co czynić należy, a czego nie należy, by być w zgodzie z naturalnym – czyli Boskim – porządkiem wszechrzeczy.

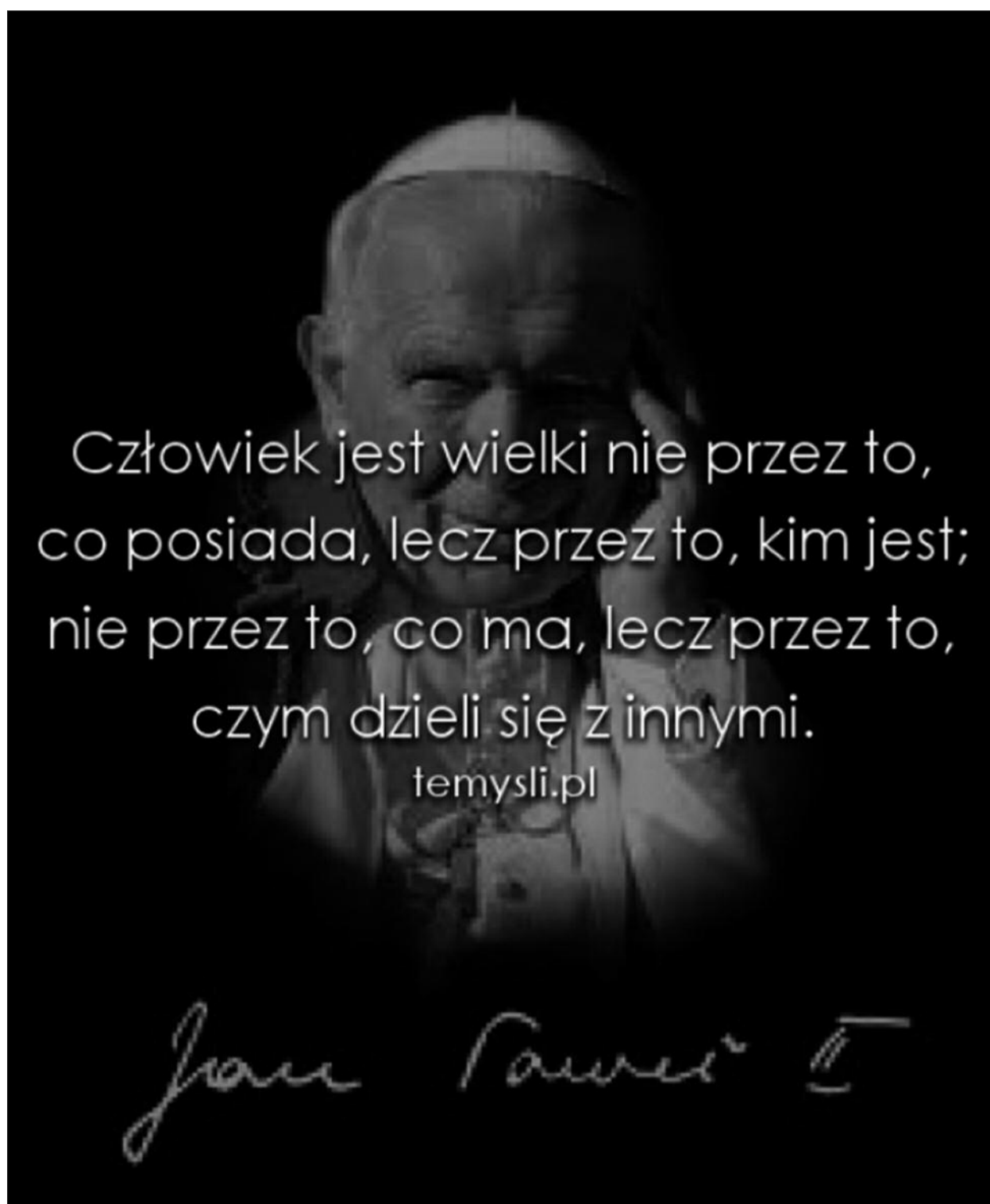
W tym miejscu nastęcza się jednak nieusuwalna trudność metodologiczna. O bycie możemy twierdzić, że on istnieje; natomiast formy jego istnienia są różnorakie i nie dają się ujmować jako właściwe lub niewłaściwe. A więc istnieje rzeczywistość fizyczna, biologiczna, duchowa, socjalna i in. To istnienie może przebiegać w formie ruchu lub spokoju, ewolucji lub inwolucji, wojny lub pokoju, postępu lub regresu itd. A o żadnej z tych form czy sposobów istnienia nie da się powiedzieć, iż jest „niewłaściwa”. Jeśli przenieść tę analogię na rzeczywistość moralną, o której również da się powiedzieć, że jest nadzwyczaj różnoraka, choć w żadnym razie jej odmian nie da się ocenić jako równowartościowych, o ile się nie chce wpaść do bagna etycznego indyferentyzmu. Widocznie normy poznania intelektualnego dają się bezkonfliktowo wyprowadzić z rzeczywistości bytu ontologicznego, ale normy poznania etycznego nie wynikają bezpośrednio z najeżonej przeciwieństwami rzeczywistości moralnej, a mogą być ustanowione jedynie na drodze wglądu intelektualnego, refleksji lub olśnienia mistycznego.

Czynienie dobra bywa co najmniej równie ponętne i zaraźliwe jak czynienie zła. „Trudno temu, kto znalazł się na dobrej drodze, wrócić na złą” (Mikołaj Gogol). Ale i na dobrej utrzymać się nie jest łatwo, gdyż zło kusi nieustannie przyjemnościami z niego płynącymi. Dlatego wszelkie drogi człowieka są zygzakowate. Mimo jednak rozmaitych pokus roztropność nakazuje unikanie przewrotnego zła, które wszystko w życiu ludzkim „przewraca”, a podążanie za głosem prawego dobra, które wszystko „prawi”. Przy czym już sam dobry uczynek stanowi nagrodę dla tego, kto go zrealizował. „Jeśliś zrobił coś dobrego, a inny tego dobrodziej-

stwa doświadczył, po cóż – jak głupiec – szukasz poza tym jeszcze czegoś trzeciego, a to albo sławy, albo wzajemności”?. (Marek Aureliusz). Po prostu w życiu powinno się działać zgodnie z tzw. „złotą zasadą postępowania”, która brzmi jak następuje: „*Wszystko, co byście chcieli, żeby wam ludzie czynili, i wy im czyńcie*” (Jezus z Nazaretu w „Ewangelii św. Mateusza”). Lub nieco inaczej

w „Ewangelii św. Łukasza”: „*Jak chcecie, żeby ludzie wam czynili, podobnie wy im czyńcie*”.

Na długo przed Jezusem ta zasada była wielokrotnie formułowana przez wielkich myślicieli Ariany, Egiptu, Indii, Chin, Grecji, Rzymu, Izraela, że wspomnimy tu tylko o dwóch mędracach z V wieku przed narodzeniem Chrystusa – Greku Kleobulosie i Chińczyku Konfu-



cjuszu. Oni, jak też wybitny myśliciel żydowski Hillel Starszy (60–9 p.n.e.), zalecali dosłownie: „*Nie czyni innemu, co tobie niemiłe*”. Nawet antychrześcijański cesarz Rzymu Aleksander Sewer (lata panowania 222–235) nakazywał: „*Nie czyni drugiemu tego, czego nie chcesz, żeby tobie uczyniono*”. Jest to więc prawdziwie uniwersalna „złota zasada postępowania”.

Warto dodać, że wielki filozof niemiecki Immanuel Kant (1724–1804) w dziele „Uzasadnienie metafizyki moralności” sformułował tę zasadę w sposób doskonały pod względem naukowym. „*Postępuj według takiej tylko zasady, co do której mógłbyś jednocześnie chcieć, aby stała się prawem powszechnym*”. Jak na razie nikt nie wyraził apologii dobra w sposób bardziej przejrzysty i precyzyjny. Podobnie jak nikt dobitniej nie dowodził, iż życie cnotliwe jest zgodne z odwiecznym, ustanowionym przez Boga łaodem wszechświata, do którego to ładu należy prawo, według którego człowiek dopiero pokonując opór świata zewnętrznego i samego siebie powoli wznosi się na wyżyny harmonii – także harmonii moralnej. „*Przyroda zechciała – pisał – ażeby wszystko, co przekracza mechaniczny porządek zwierzęcego istnienia, człowiek czerpał całkowicie sam z siebie i żeby nie przypadła mu w udziale żadna inna szczęśliwość lub doskonałość aniżeli taka, jaką uwolniwszy się od instynktu, osiągnąć może sam, mocą swego rozumu*. Przyroda nie czyni niczego zbędnego i nie jest rozrzutna w używaniu środków do osiągnięcia swoich celów. Samo to, że dała człowiekowi rozum i opierającą się na nim wolność woli, jasno ukazało jej zamiar w aspekcie wyposażenia go. Konkretnie oznaczał on, że człowiek nie miał kierować się swym instynktem, nie miała go wychowywać i instruować gotowa wiedza, a raczej w o wiele większym stopniu powinien on czerpać wszystko sam z siebie. Zapewnienie pożywienia, odzieży, zewnętrzne bezpieczeństwo i obrona (do czego nie dała mu ona ani rogów byka, ani pazurów lwa, ani kłów psa, lecz tylko same ręce), wszelka uciecha mająca mu uprzyjemnić życie, również zdolność rozumienia i mądrość, a nawet dobroć – wszystko to miało być całkowicie jego własnym dziełem. Wydaje się, że sama przyroda wykazała się tu wielką oszczędnością i zwierzęcego uposażenia udzieliła mu tak skąpo, tak dokładnie na miarę najniezbędniejszych potrzeb początkowej egzystencji, jak gdyby uznata, że człowiek, o ile uda mu się wznieść z najgłębszej prymitywności do najwyższej sprawności i wewnętrznej doskonałości sposobu myślenia, a tym samym do szczęśliwości (na tyle, na ile jest ona możliwa na ziemi), zasługę stąd wynikającą powinien przypisywać wyłącznie sobie. W ten sposób tylko

sam sobie może być za to wszystko wdzięczny – tak jak gdyby przyrodzie bardziej zależało na jego rozumnym szacunku dla samego siebie, aniżeli na jego pomyślności.

W samym tym biegu ludzkich spraw jest zawarte bowiem bardzo wiele czekającego na człowieka trudu. Wydaje się jednak, że przyroda wcale nie chciała sprawić, by człowiek żył pomyślnie, ale by w efekcie przeobrażenia samego siebie poprzez swe postępowanie stał się godnym swego życia i swej pomyślności. Zdziwiałoby, że starsze pokolenia zdają się podejmować uciążliwe wysiłki tylko dla dobra młodszych. Tworzą dla nich fundamenty, na których te mogą kontynuować dzieło budowy zamierzone przez przyrodę, tak by tylko pokolenia najmłodsze miały szczęście zamieszkiwać w gmachu, przy budowie którego pracował (wprawdzie bez jakiegokolwiek własnego zamiaru) długi szereg ich przodków, a którym nie miał być dany udział w wypracowanym przez nich szczęściu. Jakby to jednak nie było zagadkowe, okazuje się jednocześnie konieczne, o ile raz już przyjmujemy następującą tezę: pewien gatunek zwierząt ma posiadać rozum i jako klasa istot rozumnych, z których wszystkie jako pojedyncze istoty są śmiertelne, lecz jako gatunek są nieśmiertelne, powinna zwieńczyć powodzeniem rozwinięcie wszystkich zawartych w sobie zadatków...

Środkiem, którym posługuje się przyroda, ażeby mogły rozwinąć się wszystkie predyspozycje ludzkości, jest antagonizm w społeczeństwie o tyle, o ile ostatecznie staje się on źródłem prawodawczego porządku. Poprzez antagonizm rozumiem tutaj nietowarzystką towarzyskość ludzi, tzn. ich pociąg do życia społecznego, który jednak łączy się z powszechnym oporem ustawicznie grożącym rozbięciem społeczeństwa. Jest oczywiste, że predyspozycje po temu tkwią w naturze ludzkiej. Człowiek ma pewną skłonność do zrzeszania się z innymi, bo tylko w stanie społecznym czuje się kimś więcej, tzn. czuje, jak rozwijają się jego naturalne predyspozycje. Ma on jednak również silną skłonność do odosabniania się, bo równocześnie natrafia u siebie na aspołeczną skłonność, aby wszystko urządzać wedle własnego upodobania, zaś skłonność ta powoduje opór ze wszystkich stron, on zaś sam ze swej strony byłby skłonny do podobnego oporu względem innych. Opór ten mobilizuje wszystkie siły człowieka, sprawiając, że przewycięża on swój pociąg do lenistwa i gnany ambicją, żądzą władzy lub bogactwa, stara się zdobyć określoną pozycję wśród bliźnich, których nie może ścierpieć, ale też bez których nie może się obyć. W tym punkcie dokonuje się pierwszy prawdziwy krok od barbarzyństwa do kultury, która w istocie polega na krzewieniu społecznych wartości człowieka. Od tego punktu

zaczynają też rozwijać się stopniowo wszelkie talenty. Kształtuje się smak, a poprzez postęp oświecenia zostają położone podwaliny pod pewien sposób myślenia, w ramach którego prymitywne, wrodzone predyspozycje rozcznania moralnego z czasem będą mogły przekształcić się w określone zasady praktyczne, a w istocie patologiczna, wymuszona zgoda na związek ze społeczeństwem przeobrazi się w końcu w moralną jedność.

Bez tych, samych w sobie wprawdzie bardzo nieprzyjemnych cech aspołeczności, wywołujących opór, na który każdy musi natrafić w swych egoistycznych roszczeniach, w jakiejś arkadyjskiej społeczności pasterskiej, gdzie panowałaby całkowita harmonia, zgoda, skromność i stała wzajemna miłość, wszelkie talenty pozostałyby na zawsze ukryte w zarodku, a łagodni jak wypasane przez nich owieczki ludzie do swej własnej egzystencji przywiązywaliby niewiele większe znaczenie niż do egzystencji swojej trzody. Nie byłiby oni w stanie jako istoty rozumne wypełnić pustki stworzenia, gdy idzie o jego cel. Dzięki zatem należą się przyrodzie za niezgodę, za zawistną, prowadzącą do rywalizacji próżność, za nigdy niezaspokojoną żądzę posiadania czy nawet władzy. Bez nich wszelkie znakomite, wrodzone predyspozycje ludzkości pozostałyby na zawsze w stanie uśpienia. Człowiek chce zgody, lecz przyroda wie lepiej, co dla jego gatunku jest lepsze: ona chce niezgody. On chce żyć w dostatku i zadowoleniu; przyroda nie chce, by popadł w gnuśność i zadowolenie, lecz by pogrążał się w pracy i mozole, by w nich znaleźć sposób na uwolnienie się od tych pierwszych. Naturalne skłonności do tego – źródła aspołeczności i ustawicznego oporu, z których wynika tak wiele zła, które jednak zmuszają do wciąż nowego natężania sił, pobudzają do wielorakiego rozwoju naturalnych predyspozycji. Zdradzają w ten sposób postanowienie mądrego Stwórcy, nie zaś rękę jakiegoś złośliwego ducha, który jakoby miał partaczyć wspaniałe dzieło Stwórcy lub całkowicie je unicestwiać”. Ostatecznym więc odnośnikiem każdej postaci ludzkiego życia jest Bóg.

Odejście od wiary często pociąga za sobą chaos moralny, błędnie nazywany „wolnością”. Witold Gombrowicz wyznawał: „Ja jako ateista i jako intelektualista [...]. Rozstanie się z Bogiem – sprawa wielkiej wagi, bo otwierająca umysł na całość świata, odbyło się we mnie gładko i niepostrzeżenie, nie wiem, jakoś tak się stało, że w piętnastym czy w czternastym roku życia przestałem się zajmować Bogiem. Ale chyba i przedtem nie zajmowałem się nim zanadto”... A na skutki nie przyszło zbyt

długo czekać. Autor „Ferdydurke” nie był pod względem etycznym uosobieniem doskonałości; oddawał się przesadnej rozpuście (w tym pederastii), ciężkiemu pijaństwu i narkomanii, a teksty jego noszą na sobie niezaprzeczalne piętno destruktywizmu, patologii, chaosu intelektualnego i moralnego, choć nie brak im pewnego przekornego blasku. Znana to prawidłowość: „Głupota ludzka jest niezmienna i tym bardziej fantastyczna, im bardziej jest nieświadoma” (Cesare Lombroso). A im bardziej nieświadoma, tym bardziej pyśzałkowata, beczelna i sprytna, a nawet w swoisty sposób inteligentna. „Nigdy człowiek nie czyni złego tak wytrwale i tak ochoczo, jak kiedy je czyni z przekonania” (Blaise Pascal).

Powinno się więc starać o wyrobienie umiejętności rozpoznawania samego siebie, własnej dwoistości i własnego względem siebie samego niebezpieczeństwa. Toteż do rozumnego myślenia i do czynienia tego, co dobre, trzeba przełamywać dziecko od pierwszych lat jego życia, a to zarówno w rodzinie, jak i w szkole. Dopiero w takim przypadku ten nawyk zakorzeni się w jego duszy i okaże się w dalszym życiu wielce pomocny. „Dzieci bardzo prędko poznają życie. Obserwują i naśladują postępowanie dorosłych. Szybko uczą się miłości i szacunku dla innych, ale łatwo wchłaniają też jad przemocy i nienawiści. To, czego doświadczały w rodzinie, bardzo mocno wpłynie na postawy, które przyjmą jako dorośli. Rodzina jest pierwszym środowiskiem, w którym dzieci otwierają się na świat...”

Rodzice mają niezwykłą szansę ukazania dzieciom tej wielkiej wartości, jaką jest świadectwo ich wzajemnej miłości. Kochając się, pozwalają swemu dziecku, od samego początku jego istnienia, wzrastać w atmosferze pokoju, przenikniętej pozytywnymi elementami, które stanowią prawdziwe dziedzictwo rodziny: są to wzajemny szacunek i akceptacja, otwarcie się na innych, dzielenie się dobrami, bezinteresowność, przebaczenie” (z Orędzia Papieża Jana Pawła II na Światowy Dzień Pokoju 1996 roku). To są właśnie prawdziwe dobra tego świata, którym warto poświęcić swe życie, czyniąc nieustannie dobro, niezależnie od jakichkolwiek okoliczności zewnętrznych.

W chińskiej „Księdze Drogi i Błogosławieństwa” czytamy: „Dobrym czynię dobro i niedobrym czynię dobro – w ten sposób zaszczepia się cnotę. Jestem wierny dla fałszywych i wierny dla szczerzych – w ten sposób zaszczepia się wierność”.

Dr Jan CIECHANOWICZ



„NUSIA”

Helikopter

– Przyleciał helikopter!
– Helikopter, helikopter! – krzyczały podblokowe dzieciaki i biegły go zobaczyć.

Miał lada chwila wylądować na boisku pobliskiego stadionu.

Już było słychać warkot silnika.

Nusia biegła co sił, ale nie najlepiej jej szło. Biegła na samym końcu blokowej hałastry, ogromnie zdyszana.

Ostatnio dużo chorowała. Matce było jej bardzo żal i w nagrodę za uciulane pieniądze, za to, że dzielnie znosiła serię bolesnych zastrzyków, kupiła jej wymarzone, chabrowe, elastyczne rajstopy.

Była to wielka nowość, każda dziewczynka o takich marzyła.

Matka nawet pozwoliła jej wyjść w nich na podwórko, a nie z jakiejś specjalnej okazji. Nusia dumnie spacerowała pod blokiem. Była zachwycona ich kolorem, dotykała ich co chwilę. Były takie gładkie, ładnie obciskające łydki, a nie jak te niciane, wiecznie zwijające się na kostkach nóg albo opadające z pupy.



Czasami nosiła bawełniane pończoszki przypięte do staniczka-koszulki z płótna, ze śmiesznymi troczkami i metalowymi „żabkami” na końcach. Przypinała je do pończoch, a właściwie robiła to matka, bo nie było to łatwe zadanie. Wstydziła się, kiedy spod zbyt krótkiej spódniczki widać jej było kawałek gołej nogi, a chłopaki spod bloku zaśmiewali się z niej.

Teraz z zadowoleniem wyłapywała zazdrosne spojrzenia koleżanek, które jeszcze nie były szczęśliwymi posiadaczkami elastycznych rajstop.

Biegła na stadion jakby we śnie. Nogi nie chciały się poruszać tak szybko, jakby chciała. Wydawało jej się, że nie porusza się do przodu. Wciąż była ostatnia i bała się, że nie zdąży dobiec, a helikopter odleci.

W końcu dotarła do betonowych schodów trybun stadionu. Niezgrabnie przebierała nogami, pokonując stopnie, musiała jeszcze wbiec na samą górę, aby zobaczyć płytę boiska i helikopter.

Była już w połowie schodów, gdy nagle potknęła się, a może brakło jej sił. Bezwładnie upadła na chropawy beton schodów, boleśnie zdzierając naskórek na dłoniach, a z kolan połała się krew. Kiedy podniosła się z bolesnym – au, ujrzała na kolanach dwie wielkie dziury w swoich nowych rajstopkach, a w nich zakrwawione kolana.

Serce Nusi łomotało jak oszalałe, przerażona pomyślała, że nie ma po co wracać do domu, przecież matka ją zabije za zniszczone rajstopy, a „pan pasek” wylądować na jej głowie i plecach.

Helikopter przestał już dla niej istnieć, choć czuła na twarzy podmuch piasku w wirującym powietrzu przy jego lądowaniu.

Włókła się sama, powoli rozmyślając, co by tu powiedzieć matce.

Nic wiarygodnego nie przychodziło jej do głowy, a zresztą co by to dało, dziury przecież nie znikną.

Weszła do mieszkania i stojąc w przedpokoju zaplotła nogę na nogę dla zamaskowania choćby jednej dziury.

– Nie będziesz mnie biła? – zapytała od drzwi.

– A co się stało? – odpowiedziała matka z kuchni, nie widząc jeszcze Nusi.

– No, ale nie będziesz mnie biła, powiedz, że na pewno mnie nie zbijesz?

Matka wyskoczyła z kuchni i zobaczyła na nogach Nusi dwie chabrowe dziury, a w nich czerwone od krwi kolanka.

Żal jej się zrobiło małej, powiedziała tylko:

– A gdzie by tu bić taką dupinę skłutą zastrzykami. Zdejmij to, prędko ci już takich nie kupię. I do łazienki. Zaraz przyniosę jodynę i przylepcę.

Dopiero teraz Nusia rozbeczała się na cały głos. Z żalu, że nie zobaczyła helikoptera, nie z bólu.

Pranie

Nareszcie wakacje. Skoszów. Nusia jedzie do babci!

Już w pociągu była podekscytowana, wypatrywała przez okno znajomych miejsc na horyzoncie. Z powodu gruzlicy matki często wyjeżdżała na wieś do babci Wiesi i wujków – braci matki. Starsi mieli już swoje rodziny, a z babcią mieszkał najmłodszy z nich.

Pociąg sunął wysoko po nasypie kolejowym.

– No, nareszcie! Jest most kolejowy, już widać kładkę na rzeczce, jeszcze biała kapliczka i z czerwonej cegły dom babci!

– O! Babcia stoi przed domem.

Nusia wysunęła rękę przez okno i z całej siły pomachała. Babcia zauważyła je obie z matką w oknie pociągu i też radośnie do nich pomachała.

Babcia z góry wyglądała jak mała szmaciana lalka w chustce na głowie.

Na powitanie Dziódzia, mały czarny ratlerek, skakała niemal na głowę Nusi, liżąc jej buzię i radośnie pomrukując. Nusia rzuciła się do niej.

– Mój ukochany piesku, ale się za tobą stęskniłam!

To ojciec parę lat temu kupił Dziódzię od jakiegoś człowieka, z którym podróżował pociągiem i który koniecznie chciał się pozbyć suczki. Oczywiście ojciec przywiózł ją do Skoszowa, do swojej dobrej teściowej. Nikt nie wie, dlaczego tak nazwał suczkę.

Dziódzia tańczyła na tylnych łapach, liżała matkę po ręce, prosząc w ten sposób o smakołyki – tym razem w pyszczku wylądowała kostka czekolady.

Matka zapowiedziała Nusi, że na następny dzień rano wraca do domu i zostawia ją u babci na całe wakacje.

Nusia nie przejęła się już tym tak jak dawniej, kiedy jeszcze nie chodziła do szkoły i każde rozstanie z matką przeżywała bardzo boleśnie. Wtedy za każdym razem musiano użyć podstępów i kłamstwa, aby nie zauważyła, że matka pakuje walizkę i zbiera się do odjazdu. Najtrudniej było, gdy przyjeżdżała do Nusi tylko na krótkie odwiedziny w czasie swoich szpitalnych przepustek.

Matka jawiła się Nusi królową, najpiękniejszą na świecie. Uczepiona jej ręki nie odstępowała jej ani na krok. A kiedy spostrzegła, że nie ma matki i została oszukana, dostawała histerii i płakała tak długo, że kończyło się to gorączką i kilkudniową apatią.

Teraz wiedziała, że przyjadą do babci jeszcze dwie kuzynki i kuzyn, dzieci siostry matki, że będzie naprawdę wesoło i będą się razem wygłupiać.

A póki co, babcia Wiesia zapowiedziała na drugi dzień pranie i kochana wnusia będzie musiała jej pomóc. Pogoda piękna u progu lipca, więc trzeba wykorzystać okazję i wyprać pościel, której sporo się uzbierało.

Rankiem ryk krowy sąsiadów obudził Nusię.

Uwielbiała tę krowę, nazywaną Lalką. Obiecała sobie, że na pewno pójdzie ją odwiedzić i zanieśie jej kilka liści buraków cukrowych, za które kiedyś krowa podziękowała jej wielkimi łzami, które pociekły z jej ogromnych, błyszczących oczu.

Babcia krzątała się od samego rana, gotując na węglowej kuchni, w wielkim blaszanym kotle wodę, którą wcześniej w wiaderkach przyniósł ze studni pod domem wujek Adam. W powietrzu unosił się zapach kawy zbożowej.

Nusia złapała garnuszek, nałala sobie z fajansowego dzbanka świeżo zaparzonej, dobrze posłodzonej kawy zabiłonej mlekiem, wypila duszkiem. Tylko tutaj, w Skoszowie, tak wspaniale smakowała jej taka kawa. Babcia Wiesia rozkroiła wielką pszenną bułkę, posmarowała masłem i owocową marmoladą, podała małej i z niedowierzaniem przyglądała się, jak jej wnuczka – niejadek, z apetytem wcina bułkę. Uśmiechnęła się i pogłaskała małą po jej prostych, czarnych, obciętych na pazia włosach, z krzywą, przykrótką grzywką nad czołem.

Przed domem stała już metalowa ocynkowana balia, a w niej moczyły się białe lniane poszwy, prześcieradła, serwety, obrusy i bielizna.

Woda była ciepła i śliska od płatków mydlanych. Nusia zanurzyła dłonie i delikatnie ugniatała bieliznę, przyglądając się słonecznym świetlikom na jej powierzchni. Zapowiadał się upalny dzień. Babcia Wiesia wsunęła do balii drewnianą tarę do prania z pofalowaną blaszaną powierzchnią. Wiedząc, jak bardzo Nusia lubi się chlapać, zachęcała ją:

– Weź potrzyj porządnie, żeby było czyste.

Nusi nie trzeba było powtarzać dwa razy. Przyłożyła się co sił do tary i pocierała o nią pranymi płóciennymi kawałkami, one jednak wymykały się jej co rusz z małych dłoni pod wodę, która wychłapywała się z balii pod jej nogi i na sukienkę. Zrzuciła sandaalki i z rozkośszą przebierała stopami po błotku i mokrej trawie, czuła jak przykleja się do jej brzucha mokra sukienka.

– Zaraz wyschnie, bo słońko coraz mocniej przygrzewa – rzuciła babcia i delikatnie odsunęła Nusię, teraz sama solidnie przyłożyła się do prania, od czasu od czasu gładząc kostką szarego mydła prany kawałek, aż strużka potu zabłyszczała na jej skroni. Na koniec włożyła do balii lnianą szmatkę, w którą był zawinięty niebieski proszek – ultramaryna, nazywany popularnie przez gospodynie „siwką”, od siwego, czyli niebieskiego koloru, zwanego tak w tych stronach, ze lwowska. Kilka razy mocno zakręciła nią w wodzie. Popłynęły mocno błękitne strużki, nadając wodzie kolor nieba.

– To żeby białe płótno miało błękitny odcień, a nie żółty, i wyglądało na jeszcze bardziej białe – pouczała babcia, widząc zaniepokojenie Nusi.

– Gotowe. Teraz wykręcimy wszystko i hola do rzeki! – śpiewnie wykrzyknęła.

Nusia z całej siły kręciła jeden koniec prześcieradła, a drugi ścisnęła mocno babcia.

Wkrótce w małej balii z uszami wylądowały wszystkie prane rzeczy.

Złapały balię, każda z jednej strony, i równym krokiem pomaszerowały ścieżką w stronę rzeki. Sucha ziemia na ścieżce, nagrzana słońcem, parzyła stopy, drobne kamyczki wciskały się pomiędzy palce stóp, ale to nie przeszkadzało bosonogiej Nusi, była dumna, że pomaga babci.

Rzeka płynęła spokojnie i leniwie, jak na wakacyjny czas przystało. Babcia urwała wierzbową witekę i odgoniła pływające kaczęta, wołając – hula, hula! Ustawiły balię na czarnym, lśniącem kamieniu z dziwnymi znaczkami. Babcia, widząc zaniepokojenie wnuczki, rzuciła od niechcenia:

– To napisane po hebrajsku, taka gwiazda to Żydów. Niemcy w czasie okupacji z cementarza tu przywieźli, to ich nagrobki – macewy, umacniali nimi most kolejowy. Po wojnie nasi wybudowali nowy most, a te stracili na brzeg. I tak już zostało.

Obie kłęczały na rozgrzanych słońcem macewach, nachylone nad wodą potrząsały białizną zanurzoną w



przejrzyście czystej rzece. Białe smugi mydlin płynęły z nurtem i razem z nim ginęły.

Babcia podśpiewywała:

*Jedzie, jedzie Żyd ubogi,
Siana nie ma, owies drogi.
Jedzie, jedzie, wóz popycha,
A po drodze koń mu zdycha.*

*Aj waj bum, silaj bum.
Aj waj bum, silaj bum.*

*Szła Żydówka koło kramu
Nakupiła marcypanu.
Marcypanu drobnutkiemu,
Miała Żydka maleńkiego.*

*Aj waj bum, silaj bum.
Aj waj bum, silaj bum.*

Nusia wtórowała babci cienkim głosikiem:

Aj waj bum, silaj bum.

Wróciły tą samą drogą wzdłuż kolejowej skarpy, powiesiły pranie na sznurach przywiązanych do drzew w ogrodzie. Do wieczora wszystko wyschło na pieprz, płótno pachniało słońcem i powietrzem.

Nusia myślała o macewach i o zamordowanym żydowskim małżeństwie z miasteczka, rozstrzelanym przez hitlerowców i zakopanym tuż przy ścieżce ogrodu babci. Jeszcze jest w tym miejscu zagłębienie w zarosniętym trawą kawałku kolejowej skarpy.

Rozmyślała i o tym, dlaczego nikt tych Żydów nie chce zabrać z tej skarpy na cmentarz, nawet swoi, choć babcia to zgłaszała w różnych urzędach.

Krawczyni

Od rana padał deszcz. Nusia wpatrywała się przez okno w wielką, szarą pajęczynę chmur, które nisko snuły się nad pastwiskiem, zapowiadając słotę, obserwowała krople deszczu odbijające się od drobnych liści orzecha i strumyk deszczówki spływający z rynny do wiaderka.

Z głową w firance kręciła się, udając pannę młodą w welonie. Okropnie się nudziła. W pokoju roznosił się eteryczny zapach mirtów rosnących na parapecie w glinianych donicach, niechcący przez nią potrącanych.

Mirtom towarzyszyła bladokremowa gromnica umieszczona w słoiku, przystrojona niebieską wstążeczką i kilkoma zasuszonymi kwiatkami macierzanki.

Była tam też żywa pijawka w butelce, jakby pogrążona we śnie, którą głupi Jasiek sprzedawał babci za złotówkę.

Nusia lubiła zapach mirtów i wiedziała, że są bardzo ważne. Babcia przypinała ich gałązki o drobnych, ciemnozielonych listkach do jej białej sukieneczki, w której sypała kwiatki na procesji w Boże Ciało. Przysstrajała koszyczek na kwiatki a także wianuszek na głowę upleciony ze stokrotek. Podobnie Wielkanoc nie mogła się obejść bez mirtu. Widziała też na fotografii, że matka miała nim ustrojony dół sukni ślubnej, podobno to na szczęście.

Babcia mówiła Nusi, że gromnica musi tam stać, bo jest poświęcona i chroni dom od piorunów podczas burzy, żeby dom się nie spalił. A pijawka czekała w butelce, aż ktoś zachoruje i wtedy wypije jego zepsutą krew, żeby człowiek wyzdrowiał. Głupi Jasiek wchodził po kolana do wody przy młynie i czekał aż pijawki przyczepią się do jego tydek. Potem wychodził na brzeg, odczepiał umiejętnie pijawki i wkładał je do butelki z wodą. Krążył boso po całej wsi, nawołując do ich kupna:

– Pijawek, pijawek, pijawek... tanio!

Kiedys przyszedł pod dom babci i jak zobaczył Nusię, powiedział, że się w niej zakochał. Zerwał liść z orzecha, przyłożył do grzebienia i grał na nim skoczne melodyjki, śmiesznie podrygując. Nusia śmiała się i bardzo się wstydziła, rumieniąc się, i nawet dała Jaśkowi jeden grosik.

W ten deszczowy dzień próbowała wymyślić jakieś zajęcie dla zabicia nudy. Chętnie zagrałaby w kamyki, choć miejscowe dzieciaki grały tu śrubami od końskich kopyt – hacelami. Nusia była świetna w podrzucaniu haceli i potrafiła zgarnąć wszystkie jednocześnie, w czasie gdy jeden z nich niewysoko podrzucała. Najczęściej ogrywała wszystkich, przez co budziła zazdrość. Dziś dzieci siedziały w domach, a po deszczu lubiły biegać po mokrej trawie i ciepłym błocie.

Matka nie zabrała dla niej z domu żadnych zabawek. Od czego była jednak jedynaczką, jak nie od wymyślania zabaw. No i wymyśliła, że zrobi sobie lalkę z makówki. Wczoraj dostała od krawcowej trochę ścinaków materiałów, makówkę też miała, jeszcze tylko naskubie nitek z kukurydzy na włosy. A jak już zrobi lalkę, weźmie wyszywaną poduszkę i będzie ją na niej nosiła, jak małe dziecko, przykryje ją jeszcze chusteczką do nosa, taką w kwiatki.

Szmatki na sukienkę lalki bardzo podobały się Nusi, jednak krzywiła się na samo wspomnienie krawcowej.

Babcia Wiesia niedawno biadoliła:

– No i w co ja cię ubiorę w niedzielę na mszę do kościoła, dziecinko? Matka nie przywiozła ci nic porządnego, nie pójdziesz przecież w tej kretonowej sukieneczynie i podartych majczętach, jak sierota. Inne dzieci będą powystrajane, a ty co? Gorsza jakaś?

Pojechała do miasta i kupiła tam ładny, jasnozielony materiał.

– Uszyjemy umarszczoną w pasie spódniczkę i bolerko z długim rękawkiem, i z okrągłym kołnierzykiem.

Przyłożyła materiał do buzi Nuśki, uśmiechnęła się zadowolona.

– Będzie bardzo ładnie.

Kupiła też białe podkolanówki, białe majtki i białe lakierowane sandały. Nusia wyrosła z sandałków, w których przyjechała, babcia odcięła paski z zapinkami i zrobiła z nich klapki.

– Koło domu możesz w nich jeszcze latać – stwierdziła.

Dla siebie też kupiła nową chustkę na głowę, w pastelowe kwiaty.

Nusi wszystko bardzo się podobało.

Babcia, nie zwlekając, złapała ją za rękę i zawyrokowała:

– Idziemy do krawczyni, niech zdejmie miarę i do niedzieli niech dziecko obszyje.

Nusia stała na stołku, na środku pokoju, a krawcowa zdejmowała drewnianym metrem miarę do uszycia ubranka. Kiedy skończyła, sucho rzuciła:

– Jutro przyjdźcie do przymiarki, skroję i sfastryguję, na niedzielę będzie gotowe.

Kiedy Nusia w drodze powrotnej biegła za babcią, nie nadążając, usłyszała przestrogi:

– Tylko masz być grzeczna na przymiarce, bo krawczyni robi to dla mnie bez kolejki, a ma dużo takich jak my i trochę mnie to kosztowało. I nie kręć się, żeby cię szpilkami nie pokłuła.

Nusia potakiwała, nie bardzo wiedząc, na czym polega przymiarka.

Za dwa dni znowu stała na stołku u krawcowej, lecz teraz ubrana w spódniczkę i bolerko, ale bez przyszytych jeszcze rękawów i kołnierzyka. Krawcowa nasunęła rękawki na jej rozłożone na bok rączki i przypięła każdy z osobna szpilkami wokół pach, potem nałożyła kołnierzyk i znowu przypięła szpilkami wokół szyi. Jeszcze ujęła zbyt obszerny materiał po bokach, zaznaczając kawałkiem suchego mydła ślad nowego ściegu, zaznaczyła też długość spódniczki – starannie dopasowywała ubranko. Nusia stała bez ruchu, pamiętając o

ostrzeżeniach babci, choć nie było to łatwe. Do tej pory czuje ukłucia szpilek i poszturchiwanie to tu, to tam, niby niechcący, wysuniętą kostką zgiętego palca krawcowej, a nawet szczypanie. Najwyraźniej kobieta jej nie lubiła, a może w ogóle nie lubiła dzieci, ale Nusia dla babci ścierpiała te niegodziwości i z całej siły postarała się nie rozpłakać. Ucieszyła się tylko, gdy krawcowa pozwoliła jej zabrać trochę kolorowych szmatek na ubranko dla lalek.

Co prawda babcia opowiadała Nusi, że krawcowa miała małą córeczkę, która umarła na koklusz. Podobno nawet przez jakiś czas nosiła ona na grób córeczki słodycze i zabawki, które ku jej radości znikwały. Dopiero kiedy ktoś jej powiedział, że to pijany grabarz wszystko zabierał i handlował za wódkę, przestała to robić i stała się bardzo nieprzyjemna dla ludzi. Mimo tego Nusi było jednak przykro, że ją tak złowrogo potraktowała, a przecież ona nic jej złego nie zrobiła.

Krawcowa dotrzymała słowa i ubranko do niedzieli było gotowe.

Nusia postanowiła w duchu, że nigdy nie zostanie krawcową.

Babcia Wiesia była zadowolona, że mała znalazła sobie zajęcie w ten deszczowy, ponury dzień, a ona będzie mogła spokojnie zająć się obiadem.

Dała Nusi nożyczki i kilka kolorowych wstążeczek. Z sieni przyniosła dorodną kukurydzę, mówiąc:

– Masz, zrób lalce włosy.

Nusia posłusznie wyskubała kłosa z czubka kukurydzy i przyłożyła do makowej główki, wyrównała je nożyczkami i przywiązała nitką do rozetki na czubku.

Zgrabnie wycięła z kolorowej szmatki kwadracik, złożyła na pół i nacięła pośrodku, i proszę – sukienka była gotowa. Wsunęła ją na makową łodyżkę i związała wstążeczką jak szarfą w pasie sukni prawdziwej księżniczki. Lalka była gotowa. Nusia poruszała nią, jak kukielką w teatryku i zmieniając głos mówiła za lalkę – Jestem piękna księżniczka.

Spokojnie i cicho mijał powoli ten deszczowy dzień.

Z kuchni dobiegał śpiew babci, której udzielił się smutny nastrój deszczowej, pochmurnej pogody.

Nusia wsłuchiwała się w słowa:

*Raz wieczorem
Ciemnym borem
Leciał czarny kruk.
Tam z tej chatki
Biednej matki
Puk w okienko, puk.*

*Matko droga, matko miła,
Będiesz miała żal.
Syn twój drogi
Pobił wrogi,
Sam poległ za kraj.
Matka płacze,
Łzy z ocz leje,
Pada jako trup.
A nad synem
Słowik śpiewa,
A nad matką kruk.*

Nusia zastanawiała się, dlaczego nad biedną matką śpiewa kruk, przecież to takie wielkie, brzydkie, czarne ptaszysko i przecież on wcale nie śpiewa, tylko kracze, i szkoda jej było, że to nad tą biedną matką nie śpiewa słowik.

Gdy piosenka umilkła, usłyszała już trochę radośniejszy głos babci:

– Nuśka, chodźże tu, coś mam dla ciebie.

Wiedziała co to będzie, bo niespodziankę zdradzał zapach, który uwielbiała.

Na gorącej, kuchennej blasze pieca, pod którą radośnie buzował ogień, leżało sporo plasterków surowego ziemniaka, niektóre miały już zarumienione brzegi i przypieczone rude poduszeczki.

Babcia zsuwała te, już upieczone, delikatnie nożem na mały talerzyk i oprószała solą, której szczyptę trzymała pomiędzy opuszkami palców.

– Hura, prążuszki! – cieszyła się Nusia, a plasterki ziemniaków szybko znikwały w jej buzi.

Na blasze stały różnej wielkości emaliowane garnki, w jednym z nich gotował się czerwony barszcz, a w innym fasola jasek, którą babcia podawała z barszczem, choć Nusia bardziej lubiła barszcz z gotowanymi ziemniakami.

– Oj, ale dzisiaj będą pyszności – westchnęła.

Usadowiła się wygodnie w ciepłej kuchni przy stole i prosiła:

– Opowiedz babciu o Żydach, jak to dawniej było.

– Nie teraz, – ofuknęła ją babcia – kiedy indziej ci opowiem. Nie mam teraz czasu. Powiem ci tylko tyle, że Żydóweczki to mądre i pracowite dziewczynki były, nigdy nie leniuchowały, szarady rozwiązywały. Ładne czarne warkocze nosiły i piękne, czarne, trochę smutne oczy miały. Do szkoły z nimi chodziłam, przyjaźniłyśmy się.

Nusia pomyślała, że chciałyby mieć takie koleżanki.

Po czym zapatrzyła się na makatkę z białego płótna, zawieszoną na ścianie kuchni, na której niebieską nicią,

jak narysowana, była wyszyta dziewczynka w krótkiej sukience z kokardką we włosach, pomagająca w kuchni, a nad dziewczynką, też niebieską nitką, wyszyty był napis – MAŁA KUCHARCZKA ŚLICZNA JAK LALECZKA. Babcia mówiła, że makatkę wyszywała jeszcze jej mama, czyli Nusi prababcia. Nusia wyobrażała sobie, że to ona jest na tej makatce. Podobne makatki widziała u babcinyh sąsiadek, tylko z innymi napisami i rysunkami.

– A pomóż mi, dziecko, i poszukaj w szafce siwy baniaczek, bo muszę jeszcze kompotu z jabłek i wiśni ugotować – wyrwała Nusię z zadumy babcia Wiesia, wołając śpiewnie i zaciągając ze lwowska, przy tym ocierając kuchennym fartuszkem pot z czoła.

Nusia zanurkowała w szafce pod kredensem, przesuwając garnki, zaglądała jak najdalej, ale nigdzie nie zauważyła takiego garnka.

– Babciu, nie ma!

– Ta jak, nie ma? Ta musi być. Kazał pan, musiał sam – i energicznym ruchem wyjęła garnek, który Nusia kilka razy przesuwiała przy poszukiwaniach.

– Ale babciu, przecież ten garnek jest niebieski, a nie siwy!

– A co? Siwy, to niby jaki jest, jak nie niebieski? – ofuknęła ją ze zdziwieniem.

Deszcz padał przez całą noc. Rankiem zaczęło się przecierać, ale nadal widok za oknem zasnuwały pajęczce, szare chmury.

Nusia nie miała ochoty wstawać z łóżka ani się ubierać.

Babcia Wiesia krzątała się po domu, roznosił się zapach kawy zbożowej.

– Wstawaj, śpiochu! – krzyknęła, słysząc, jak mała głośno ziewa.

Nusia jednak nie miała zamiaru wstawać. Bolała ją głowa i chciało jej się płakać.

Babcia zauważyła, że coś z Nusią nie jest tak, jak powinno, i przyłożyła swoją dłoń do jej czoła.

Z niepokojem powiedziała:

– No, tylko mi tego brakowało, gorączka, co ja teraz pocznę! Trzeba lekarza zawołać.

Nusia, gdy usłyszała słowo: lekarz, rozpląkała się jak na zawołanie, skuliła się pod pierzyną i coraz głośniej chlipała:

– Ja chcę do mamy, do domu!

– Skaranie boskie z tym dzieckiem, – złościła się bezradna babcia – skąd ja ci mamę wezmę, też bym

chciała, żeby tu była, nie na moją starą głowę takie zmartwienia.

Założyła sweter i chustkę na głowę, i od drzwi zawołała:

– Idę do pani Hanki Mickiewiczowej, niech mi pomoże, nie płacz, zaraz przyjdę, mleka od krowy przyniesę i może masło będzie świeżo zrobione, i ciepłe jajko od kury pewnie się znajdzie.

Nusia, cała spuchnięta od gorączki i płaczu, cierpliwie czekała na babcię. Wiedziała, że pani Mickiewiczowa jest dobrą sąsiadką i zawsze pomoże. Nawet w czasie wojny cała rodzina babci mieszkała u Mickiewiczów, gdy Niemcy wyrzucili ich z rodzinnego domu, który dziedek dopiero co wybudował, przed samą wojną.

Nagle drzwi się otworzyły i usłyszała znajomy głos Hanki Mickiewiczowej i babciny. Ludzie we wsi mówili o Hance, że to Ukrainka, a przecież ona po polsku mówiła. Babcia takie straszne rzeczy o ukraińskich ban-

derowcach opowiadała, a przecież Hania taka dobra była.

Hanka załamywała nad Nusią swoje powykręcane reumatyzmem palce i stukając w podłogę drewnianym kosturem, który służył jej za laskę, zawyrokowała:

– Jakieś Złe dziecko urzekło. Pewnie ktoś na dziecko urok rzucił. Trza ten urok odczynić. Daj, Wiesia, popiołu spod kuchni.

Babcia ofuknęła Hankę:

– Co ty za głupstwa wygadujesz, tylko pana Boga trzeba tu wzywać, modlić się trzeba o zdrowie – zaakcentowała.

Posłusznie jednak przyniosła na szufelce trochę popiołu. Hanka brała po szczypcie, jak babcia sól, i posypywała nim próg domu, żegnając się za każdym razem trzykrotnie. Potem głośno plując – tfu, tfu – w każdy kąt domu, co miało oznaczać cztery strony świata, też za każdym splunięciem żegnała się trzy razy.



Żegnała się jakoś inaczej, niż to robiła babcia i Nusia. Babcia mówiła, że to prawosławni tak się żegnają, ale w Polsce już ich nie ma.

Jednak niczego tym odczynianiem Hanka nie wskówała, gorączka jeszcze wzrosła, a Nusia już nie poznawała babci, w nocy majaczyła, widząc gwoździe na suficie, albo płakała, że boi się księżycy.

Na drugi dzień koło południa przyszedł lekarz. Ośluchał Nusię i powiedział krótko:

– Niedobrze, pani Karowa, mała ma zapalenie płuc. Matka jej jest chora na gruźlicę, trzeba uważać. Zapiszę zastrzyki penicyliny, musi pani zamówić pielęgniarkę. Trzeba teraz dziewczynkę dobrze odżywiać. Zajrzę za dwa dni.

Wieczorem przyszła pielęgniarka. Z metalowego pudełeczka odwinęła z waty grubą, szklaną, u góry utłuczoną strzykawkę. Założyła dość sporą igłę, tłumacząc przestraszonej babci, że tak musi być, bo zastrzyki są gęste. Rozrobiła lekarstwa z malutkich buteleczek i obiecała Nusi, że jak będzie grzeczna, to jej zostawi buteleczki do zabawy w lekarza.

Nusia wiedziała już, co to zastrzyki, ale była zbyt słaba, by protestować. Kiedy jednak kolekcja buteleczek znacznie wzrosła, coraz bardziej stawiała się zniecierpliwiona i płakała, chowając posiniaczone pośladki.

Lecz im bardziej pośladki były pokłute zastrzykami, tym Nusia lepiej się czuła.

Jej ból i cierpienie osłodził krótki przyjazd matki, która dostała przepustkę z przeciwgruźliczego sanatorium.

Na przyjazd matki babcia nalepiła ruskich pierogów, upiekła pieróg drożdżowy z kaszą gryczaną i ziemniakami, utarła ćwikłę z chrzanem, narobiła makaronu i ugotowała tłustego rosółu, którym pachniał cały dom.

Kiedy wszyscy zasiedli do stołu, brat matki, wujek Adam, zapytał wesoło:

– A ty wiesz, Nusia, z czego my dzisiaj rosółek jemy?

Nusia nie bardzo wiedziała, co ma na myśli, zadając takie pytanie – rosół gotuje się przecież z kury.

I wtedy usłyszała:

– No z twojej Czubatki dzisiaj rosół jemy, ha, ha!

Nusia poczerwieniała. Ze złością, zamasyżując rzucała łyżką o stół. Wybiegła z domu z głośnym płaczem, wołając:

– Nienawidzę was, oszuści!

W jej głowie kotłowała się jedna, przeraźliwa myśl:

– Zabili moją ukochaną Czubatkę, mojego przyjaciela!

Głośno łkała, wykrzywiając buzię, aż z tej rozpaczki brakowało jej powietrza. Uwielbiała tę kurę. Jako jedyna na podwórku miała na głowie czubek z piórek, dlatego nazwała ją Czubatka. Kura wdzięcznie przekrzywiała tę puchatą głowę na Nusię i sprytnie porywała kromki chleba z jej rączki, szybko biegnąc ze zdobyczą w pokrzywy. Nusia zanosila się śmiechem, a babcia ze złością rzucała za kurą miotłą drapaką z wiklinowych witek, wołając:

– A poszła ty, zarazo, dziecku będziesz chleb odbierać!

Po godzinie krążenia nad rzeką Nusia wróciła do domu. Matki już nie było.

Po obiedzie, jak zwykle w tajemnicy przed nią, spakowała się i wróciła pociągiem do sanatorium. Przecież mogła się z nią pożegnać... Czy nikt nie zauważył, że już nie jest malutkim dzieckiem? Wszyscy ją oszukali.

A od tamtej pory trudno było namówić Nusię do zjedzenia rosółu.

Wygódka

– Babciu, babciu... kupę mi się chce! – wołała spanikowana Nusia.

– Ta na co czekasz, leć szybko do wygódki... duża już jesteś, nie będę przecież latać za tobą z nocnikiem, i wstyd to.

– Ale babciu... tam muchy i śmierdzi.

– Od smrodu jeszcze nikt nie umarł, ta leć szybko.

Nusia przyparta bólem brzucha, niechętnie pobiegła do wygódki.

Wygódka była zbita z desek i przypominała budkę strażnika. W drzwiczkach, w górnej ich części, wycięty był otwór w kształcie serca, przez które do środka wpadało trochę dziennego światła; smużki światła przenikały też przez szpary pomiędzy deskami, a od środka można się było zamknąć na metalowy haczyk.

W domu, w mieście, Nusia miała czyściutką łazienkę – z wanną i ze ścianami z kolorową lamperią, a muszla klozetowa była z białego fajansu, wodę spuszczało się, pociągając za uchwyt zwisający na linie z żeliwnej spłuczki. Na spłuczce widniał napis „Sikława”. Długo zastanawiała się, co to oznacza, dopiero na wybieżce szkolnej do Zakopanego dowiedziała się, że tak nazywa się jeden z górskich wodospadów.

U babci Wiesi nie było łazienki, podobnie jak w innych domach we wsi. Wszyscy tam udawali się do wygódki za swoją potrzebą. W zimie w sieni stało wiadro, do którego można się było załatwić. Rano babcia wlewała zawartość wiadra do wygódki.

Nusia popatrzyła w duży otwór w desce pełniące rolę sedesu i z odrazą błyskawicznie odwróciła wzrok od widoku zlewającej się w dole masy kału i roju brzęczących much, tych, których najbardziej nie lubiła, z grzbietami szklącymi się na zielono. Zsunęła majtki, wypięła pośladki i starała się jak najszybciej opróżnić brzusek. Na dużym, ostrym gwoździu wbitym od strony zewnętrznej wychodka sterczały prostokątne kawałki pociętych gazet, służące do podcierania pupy.

Nusia zauważyła wyrzuconą na podłogę, co prawda już naddartą, ale niemal jeszcze całą gazetę, którą jeszcze rano czytał wujek Adam. „Trybuna Ludu” – przeczytała nagłówek. Na pierwszej stronie spostrzegła duże czarno-białe zdjęcie z Władysławem Gomułką. Wiedziała, że to przywódca PZPR, bo jego portret wisiał w szkolnej klasie na ścianie, nad tablicą.

Widziała też na pochodzie pierwszomajowym, jak starsi uczniowie jej szkoły nieśli portret towarzysza Wiesława, a tego, że miał taki pseudonim, też dowiedziała się na lekcjach w szkole.

Gomułka ze zdjęcia patrzył na nią przez okulary w ciemnych, grubych oprawkach – z uniesioną ręką w czasie przemowy – miała wrażenie, że grozi jej palcem. Pomyślała sobie, że nie chciałaby być takim przywódcą,



którego zdjęciem podcierano by sobie pupę. Speszona odwróciła szybko gazetę i oderwała kawałek ostatniej strony. Potargała go mocno, pocierając, jakby go miała podrzeć na małe kawałki, aby go nieco zmiękczyć, i wytarła pupę w miarę dokładnie.

Zaraz potem pociągnęła majtki i lekkim krokiem wyskoczyła z wygodki, uważając na wysokie pokrzywy wokół, zadowolona z ulgi w brzuchu i z opuszczenia tego śmierdzącego przybytku.

A z pokrzywami miała już tu do czynienia jako małe dziecko, kiedy któregoś letniego dnia babcia posadziła ją na nocniku obok wygodki. Babcia, wycierając jej pupę okrągłym liściem podbiału, nieopatrznie ją potrąciła i Nusia wylądowała z gołą pupą w pokrzywach z okrutnym wrzaskiem: – Paaarzyyy... pieee-zeeee... babciu, ratuj!

Jeszcze potem przez kilka dni drapała poparzone pokrzywą miejsca, które babcia kurowała starannie, smarując świeżym białkiem jajka.

Nusia nie lubiła też wygodki, bo przypominała jej opowieść babci o dniu jej chrztu. Podobno wszyscy wtedy czekali na jej ojca, a on się spóźniał. Już furmanka stała zaprzężona w dwa koniki, gotowa wieźć rodzinę z dzieckiem do kościoła, a jego nie było; babcia aż się popłakała i biadoliliła: – Jaki wstyd... a może akurat się mu co złego stało. Kiedy jednak w końcu przyjechał pociągiem, okazało się, że jest podpity, świętował w mieście Dzień Hutnika. W dodatku zaczął się awanturować, a na koniec zamknął się w wygodce i nastraszył wszystkich, że się powiesi. Wszyscy próbowali przemówić mu do rozumu, dopiero kiedy babcia Wiesia, niemal błagając, uprosiła go, aby nie zostawiał sierotę dopiero co narodzonego dziecka i karciła go, co z niego za ojciec, wyszedł z wygodki i wreszcie wszyscy pojechali do kościoła.

Kuzyni

Nareszcie Nusia przestała się nudzić. Przyjechała siostra mamy, ciocia Lila wraz z dziećmi, czyli z kuzynostwem – jej rówieśniczką Zosią, dwa lata młodszą Asią i kilka lat starszym od nich Grzesiem.

Babcia, jak zwykle w takich sytuacjach, kiedy miała wiele osób do nakarmienia, wyjmowała ze schowka drewnianą stolnicę i wałek, i zagniatła ciasto na pierogi. W garnku na kuchence podskakiwały gotujące się kartofle, a na patelni podsmażała się na smalcu drobno posiekana cebula, w blaszanej misce czekał na swoją kolej twaróg od pani Mickiewiczowej, bo i też ziemniaków, mąki i sera w domu nigdy nie brakowało.

Kiedy babcia lepiła pierogi, co rusz ocierając spocone czoło różkiem kuchennego fartuszka, cała ich czwórka dzieciaków stawiała w kolejce do babci po gulawkę – ulepioną z farszu na pierogi kulkę, którą ze smakiem zajadali, a babcia miała na jakiś czas spokój, bo nie stali nad nią z jękiem:

– No, babciu, kiedy będą te pierogi, chce nam się jeść!

Grześ miał jeszcze swój cel, prosił babcię o kawałek ciasta, z którego lepił małe kulki. Chłopiec, kiedy tylko przyjeżdżał do Skoszowa, zaraz biegł nad rzekę, wycinał swoją harcerską finkę prosty, gibki i mocny patyk w chaszczach nad rzeką. Do patyka przywiązywał kawałek dratwy z haczykiem, który przywiózł z domu i który dostał od swojego taty – w ten sposób konstruował wędkę. Z tą wędką co rano biegał na ryby nad rzekę koło młyna albo, jak to babcia mówiła – popod łąd koło Kątków. Kulki ciasta zaczepiał na haczyku jako przynętę. Nieraz udawało mu się złapać małe płotki, okonka, a nawet kiedyś spod kamienia wydostał raka, który Nusi wydawał się okropnie brzydki. Babcia powiedziała, że raki można jeść, tylko trzeba je ugotować, ale najpierw należy je sparzyć. Kiedy włożyła go do szklanki z wrzątkiem, rak zrobił się czerwony. Nusia zastanawiała się, czy od tego pochodzi powiedzenie „czerwony jak rak”. Ale kiedy babcia usmażyła na smalcu małe rybki i zrobiły się rumiane i chrupiące, posypane solą bardzo Nusi smakowały. Nawet pomimo tego, że musiała uważać na drobne ości.

Najlepiej Nusi bawiło się z młodszą kuzynką Asią, miały takie same szalone pomysły i lubiły się razem wygłupiać. Nieraz babcia załamywała ręce, patrząc na ich poparzone pokrzywami łydki i porozbijane kolana, a kiedy, podobnie jak chłopaki, włożyły na drzewa, wołała:

– Do domu mi zaraz, ostanie majczęta podrą, skaranie boskie!

Jej rówieśnica Zosia była o wiele poważniejsza, bardziej interesowała ją domowe zajęcia, lubiła pomagać babci. Ale też często brała udział w ich zabawach, do których dołączała również i Grześ. A najlepsze zabawy wymyślali, kiedy babcia musiała wyjść do miasteczka po zakupy, a oni zostawali sami.

Kiedyś znaleźli martwego kreta na skarpie przy domu i urządzili mu pogrzeb na babcinej grządce w ogródku. Zawinęli kreta w liść kapusty, wykopali dołek, potem udawali wielki płacz, modlili się nad nim, w końcu go zasypali ziemią, usypując kopczyk, nawet z patyczków ustawili krzyżyk na grobku, na koniec ozdobili go wokół kamyczkami i główkami kwiat-

ków z ogródka. Byli z siebie bardzo dumni. Babci to jednak się nie spodobało; nie dość, że zniszczyli jej pół grządki z marchewką, to jeszcze oburzyła się na zabawę padliną i ich religijne potraktowanie kreta.

Podniesionym głosem tłumaczyła im:

– Toż przecież to zwierzę, ono nie ma duszy, nie wolno tak, obrażacie Pana Boga!

Innym razem udało im się jednak z zabawą w księdza i chrzczinami lalek przed powrotem babci. Grześ ubrany w kapę z babcinego łóżka, udając ornat, stał na środku pokoju, a Zosia i Asia klęczały przed nim, trzymały na poduszkach lalki, które zrobiły z makówek – to były ich dzieci przyniesione do chrztu. Grześ śpiewał zmyślane modlitwy, udając księdza, błogosławił makówkowe dzieci, a potem podał dziewczynkom po miętowym cukierku w kształcie białej tabletki jako Komunię Świętą. Nie przyznali się babci, w co się bawili, ale i tak dostali burę za straszny bałagan, który zastała po przyściu, za kapę i poduszki zdjęte z babcinego łóżka.

Pewnego jednak dnia, dobrze że babcia wróciła w samą porę.

Postanowili zabawić się lekarza. Zosia była pacjentką, którą położyli na dwóch zsuniętych do siebie krzesłach, Nusia zaś pielęgniarką asystującą, a Grześ chirurgiem. Wzięli z szuflady kuchennego kredensu nóż do krojenia chleba, jako nóż chirurgiczny, i mieli zamiar zrobić Zosi operację na wyrostek robaczkowy.

Kiedy babcia wróciła do domu, Zosia udając pogrążoną w narkozie pacjentkę, z odsłoniętym brzuchem leżała na krzesłach, Nusia udawała odkażanie brzucha, a Grześ stał gotowy z nożem do operacji.

Babcia przerażona wyrwała Grzesiowi nóż z okrzykiem:

– Skaranie boskie te dzieciśka, ta jeszcze by jej krzywdę zrobili, powariowali! Natychmiast mi tu posprzątać! Na chwilę nie można ich z oka spuścić! Zaraz pożyteczną robotą się zajmiecie – fasola jasek jest do wyłuskania, całe wiaderko.

Asia z Nusią po kryjomu przedrzeźniały babcię, ale razem z Grzesiem wszystko pokornie posprząтали, potem usiedli na schodach domu i wyłuskowali ze strączków białe nasiona fasoli, śmiejąc się przy tym i wymyślając różne zmyślane historie.

Pierwsza Klasa

Pierwszy września, rozpoczęcie roku szkolnego.

Nusia już nie mogła dospać, jak tylko się rozwidniło chodziła niespokojnie w koszuli nocnej po mieszkaniu. Przecież idzie do pierwszej klasy. Dziś jest pierwszy wrześ-

nia. Idzie do nowo wybudowanej szkoły nr 2 w swoim miasteczku Targowie. Słyszała, jak mówili w radio, że trzeba wybudować tysiąc szkół na tysiąclecie Polski.

– Żeby tylko nie zapomnieć zabrać ze sobą kwiatka w doniczce – martwiła się.

Mama obudziła się wcześniej niż ojciec. Założyła szlafrok i poszła do kuchni zrobić śniadanie. Po chwili w całym domu pachniało owsianką.

Ubranko Nusi leżało na łóżku przygotowane już poprzedniego wieczoru: granatowa, krótka, plisowana spódniczka, do kompletu bluza z długimi rękawami i marynarskim kołnierzem z białą lamówką. Do tego białe podkolanówki i białe lakierki.

– Nuśka, do łazienki. I zęby mi umyć porządnie szczoteczką, a nie jednym palcem. Śpiochy z oczu też – dyrygowała matka.

– Ty też wstawaj, bo już siódma, a na dziewiątą musimy być już w szkole z Nuśką – krzyknęła do ojca, który, o dziwo, miał zamiar pójść z nimi na rozpoczęcie roku szkolnego.

Nusia wystrojona, z dumą spoglądała po ludziach mijanych na ulicy; była pewna, że wszyscy zauważyli, że idzie do szkoły, do pierwszej klasy. Matka też błyszczała na tle przechodzących kobiet, w nowej sukience i przeciwśłonecznych, modnych okularach, które dostała w prezencie od ojca. Ojciec nawet założył garnitur.

Nusia szła szczęśliwa, ale i pełna niepokoju, jak to będzie w tej szkole.

Na placu przed szkołą ustawiono drewniane ławki, na których posadzono wszystkie pierwszaki z rodzicami. Uczniowie starszych klas przygotowali występ artystyczny na powitanie nowych uczniów, wręczyli też

pierwszacom po jednym jesiennym kwiatku cynii z purpurowo sterczącymi płatkami na długiej łądźce.

Dyrektor szkoły i wychowawcy również powitali pierwszaków.

Z bijącym sercem Nusia słuchała wyczytywanych nazwisk, ona trafiła do klasy pierwszej „b”.

– A teraz, kochane dzieci, dar dla szkoły, na jej otwarcie, na pewno nie zapomnieliście o naszej prośbie, zbierzemy kwiaty doniczkowe, które przyniosliście, aby upiększyć naszą szkołę, i którymi będziecie się opiekować.

Rozległy się brawa.

Nusia poczerwieniała i w jednej chwili łzy pociekły się z jej pełnych paniki oczu – zapomniała!

– Mamo, mamusiu, zapomniałam kwiatka – chlipała – co teraz będzie?

– Uspokój się, córeczko, zaraz ojciec pobiegnie do domu i go przyniesie, przecież stoi zapakowany w przedpokoju.

Nusia uspokoiła się, zamilkła, ale była niespokojna, czy ojciec zdąży, ale on sprawnie przydzwigał sporego i też modnego, ulubionego papirusa mamy, którego Nusia wybrała na prezent dla szkoły.

Pierwszy dzień szkoły Nusia przywitała w granatowym fartuszk z białym kołnierzykiem. Dostała też małą tarczę szkolną, którą matka mocno przyszyła do lewego rękawa.

Drewniana ławka, wspólna dla dwóch uczniów, miała otwór z filcowym kołnierzykiem, a w nim tkwił szklany kałamarz, cały granatowy od atramentu, zamknięty korkiem przyczepionym do sznureczka związanego wokół szyjki kałamarza.

Nusia w każdym zeszyte miała kartonik białej bibuły na wypadek atramentowych kleksów, a zabrudzoną stalówkę pióra można było wycierać o filcowy kołnierzyk kałamarza.

Pani Bobrowska, wychowawczyni Nusi, zapowiedziała, że na początku nauki literki i cyferki będą pisać ołówkiem.

Najbardziej Nusia lubiła kolorowe szlaczki rysowane kredkami, które kończyły każdą zapisaną lekcję i zadanie domowe.

Rysowała równo w linijkach czerwone jabłuszka z zielonym ogonkiem, małe wiadereczka, kwiatuszki, wiatraczki.

Już w pierwszym tygodniu odbyły się badania w gabinecie szkolnej higienistki, wszystkie dzieci zostały zmierzone i zważone, co zostało zanotowane w spe-



cialnych formularzach. Zapowiedziano szczepienie przeciw gruźlicy.

Podczas jednej z lekcji higienistka przykleiła każdemu dziecku na przedramieniu mały plasterek, tłumacząc, że to z powodu gruźlicy, trzeba sprawdzić czy wszystko jest dobrze. Muszą go nosić przez trzy dni, powinni uważać, aby nie zmoczyć go wodą.

Nusia w nocy obudziła się z mocno opuchniętą, rozognioną ręką. Matka przyglądała się z niepokojem. Kiedy rano spod plasterka, z dużego bąbla jak po oparzeniu wyciekała przezroczysta ciecz, matka, nawet nie zastanawiając się, zabrała Nusię do poradni przeciwgruźliczej.

Sama leczyła się na gruźlicę od kilku lat i nadal była z jej powodu na rencie.

Nusia biegła niemal w podskokach ciągnięta za rękę przez mocno zdenerwowaną matkę, która nawet nie zważała, że droga do przychodni na skróty pełna była błotnistych kałuż – byle jak najszybciej znaleźć się u doktora Rutowskiego, u którego od lat się leczyła.

Niewielka przychodnia wydawała się Nusi bardzo tajemnicza, miała dziwny zapach, podobny jak w szpitalu, wiele białych drzwi i białych, płóciennych zasłonek na oknach. W małej, ciemnej poczekalni pod gabinetem doktora czekało już kilka osób. Cicho usiadły na drewnianej ławce, Nusia tuliła się do matki przestraszona i niepewna, co dalej będzie.

Nareszcie przyszła ich kolej, drzwi się otworzyły, światło uderzyło w oczy. Pielęgniarka, w białym czepku z czarnym paskiem, ciepłym głosem powiedziała:

– Zapraszam.

Za biurkiem siedział doktor Rutowski, Nusi wydawał się wielki jak olbrzym. Z czarnymi, okrągłymi okularami na gumce przypominał Nusi wielką żabę.

Nawet nazwała go w myślach Doktorem Żabą.

– Olka, mówiłem ci przecież, że nie wolno tu przychodzić z dziećmi, wiesz, że na korytarzu są prątkujący chorzy.

– Ale panie doktorze, niech pan popatrzy – złapała Nusię delikatnie za rękę, podwinęła rękawek sweterka. – No proszę, niech doktor zobaczy! – jęknęła przejęta.

Lekarz z uwagą obejrzał rączkę Nusi, pokiwał głową, uśmiechnął się do małej i zadysponował

– Trzeba zrobić prześwietlenie płuc i badanie krwi.

– Nic nie jadła, jest na czczo – poinformowała matka.

– To bardzo dobrze, idźcie do siostry Stasi na pobranie krwi, i to bez kolejki. I powiedzcie, że to pilne. Potem wróćcie do mnie, muszę zrobić małej rentgen.

Nusia była głodna, ale cierpliwie czekała na wyniki z badania krwi i diagnozę lekarza. Już wiedziała, do czego służyły mu czarne okulary, zauważyła to w czasie prześwietlenia, doktor cały czas miał je na nosie, szczelnie przysłaniając nimi oczy. Kiedy doktor Rutowski wezwał je obie do gabinetu, na jego biurku leżało już gotowe skierowanie do prewentorium przeciwgruźliczego dla dzieci w Nowym Dębniku.

Doktor powiedział do matki;

– Jedź z małą jak najszybciej, to nie żarty.

Wracały do domu tą samą drogą, matka ocierała łzy batystową chusteczką do nosa i bardzo czule zagadywała do Nusi:

– Nie bój się, zobaczysz, szybko wyzdrowiejesz. Pójdziemy do sklepu, kupię ci jakąś zabawkę – chcesz?

Nusia była zdziwiona taką czułością matki, przecież wiedziała, że będzie brakowało pieniędzy do kolejnej renty, jeśli kupi jej zabawkę, i pewnie matka będzie musiała pożyczyć od kogoś parę złotych, aby przetrwać. Pokiwała jednak twierdząco, nie chciała robić jej przykrości, no i dawno nie dostała żadnej nowej zabawki.

W sklepie z zabawkami wybrała plastikowy serwis do kawy z maleńkimi talerzykami i filiżankami, z radością biegła do domu, na chwilę zapominając, co ją czeka, teraz myślała jedynie o tym, że będzie się bawić w przyjęcie, a jej gośćmi będą Czaju i Tod, i gumowa lalka, którą nazwała Barbórka.

Zrobi z plasteliny ciasteczka i będzie udawała, że się goszczą i piją prawdziwą kawę, którą gdy mama parzyła, jak przychodziły mamy koleżanki, pachniało w całym domu, a w sklepie, gdzie ją kupowały, można było ją zmielić na miejscu w wielkim elektrycznym młynku.

Prewentorium

Nusia jechała z mamą autobusem, trzymając głowę na jej kolanach. Nawet w najkrótszej podróży męczyła ją choroba lokomocyjna.

Prewentorium znajdowało się zaledwie dwadzieścia kilometrów od ich miasteczka, ale to i tak była wystarczająca odległość, aby Nusia zakończyła podróż ledwo żywa.

– Nowy Dąb, jesteśmy na miejscu, wstań, wysiadamy – ponaglała mama w obawie, że Nusia zymioutuje.

A ona patrzyła na mamę nieprzytomnym wzrokiem, zasłaniając ręką usta.

– No... szybciotko, szybciotko... wytrzymaj jeszcze, już wysiadamy, łykniesz powietrza, to zaraz ci przejdzie.

Nusia ze spuszczoną głową szła obok mamy, trzymając ją mocno za rękę.

– Mamo... ja nie chcę. Ja się boję!

– Nie marudź... nie będziesz tu długo... będę często cię odwiedzała, będę przyjeżdżała tym autobusem, sama widziałas, jak szybko przyjechał. No i popatrz, ile tu zieleni, las dookoła. U nas nad Wisłą to tylko marne łąki i wierzby – pocieszała ją.

– A zapakowałeś mojego pieska?

– Co? Tego brudasa! Chyba wstydziłabyś się spać z tym filcakiem przy koleżankach, jesteś już duża, przecież posłaś już do szkoły. Prawie wycalowałaś mu dziury na głowie, jak on wygląda... pożałuj Boże.

– Ale to mój przyjaciel, tylko obiecaj, że go nie wyrzucisz... że jak wrócę, to będzie na mnie czekał...

– No dobrze, obiecuję, że nie wyleci na śmietnik, choć mam ogromną ochotę to zrobić... Jak ty go tam nazywasz, Czaju?

– Ależ mamo... – jęknęła Nusia.

– No, dobrze już. Jak będziesz grzeczna i nie będziesz mi tu wyla, to kupię ci nowego misia.

– Ale ja nie chcę żadnego nowego miśka, ja chcę mojego pieska – wykrzywiła usta, łkając.

– O Jezu, trzymajcie mnie, no już wystarczy, zaraz będziemy na miejscu.

– Zobacz, Nusia, to chyba tu... zobacz, jak ładnie, jak dużo kolorowych liści z tych wielkich drzew – wesółym głosem zawołała mama, podrzucając kilka już opadłych kolorowych liści, nawet jeden zaczął się na jej rudym kapeluszu.

– No popatrz, jaki ładny i duży budynek!

Nusi nie chciało się podnieść głowy i tylko potakiwała mamie. Nie chciała niczego widzieć. Wołałaby teraz siedzieć z koleżanką w ławce na lekcji polskiego pani Bobrowskiej i uczyć się pisać literki w zeszycie w wąskie linie, piórem ze stalówką maczaną w atramencie z kałamarza. Nawet by jej nie było przykro, gdyby koleżanka z ławki jak zwykle skrytykowała jej szlaczki w zeszycie, z zazdrośnym: – Ale szkaradne!

Przed budynek prewentorium wyszedł tęgi mężczyzna z przyprószonymi siwizną włosami, ubrany w

biały kitel zapinany na plecach. Uśmiechnął się szeroko i zapytał:

– To zapewne ty jesteś nową pacjentką, jak masz na imię?

– Ania, ale wszyscy wołają na mnie Nusia.

– A ja jestem Andrzej Pietrzyk i jestem tu pielęgniarzem. A do której chodzisz klasy?

– Do pierwszej.

– No to świetnie, widzę, że jesteś rezydentną dziewczynką, tu też będziesz chodziła do szkoły, co prawda nie ma tu pierwszej klasy, ale wszystkie młodsze dzieci uczą się w jednej grupie, każde uczy się czego innego, a panie nauczycielki są bardzo miłe i jest wesoło.

Nusia popatrzyła na mamę wrogo i wyrzuciła jednym tchem:

– Jak to będę chodziła tu do szkoły, przecież miałam być tu krótko!

Kiedy mama wracała do domu autobusem, Nusia siedziała w szpitalnej łazience na drewnianym krześle owinięta ręcznikiem, z gumową sondą w nosie. Nawet nie zdążyła pożegnać się z mamą. Rurka drażniła jej gardło i powodowała odruch wymiotny, który nie zdążył się jeszcze uspokoić po podróży. Pan Pietrzyk stał nad nią i krzyczał:

– No, połykaj tę sondę, bo jak nie, to kogoś zawołam, żeby cię przytrzymał, a ja wtedy wepchnę ci ją na siłę i przestań mnie kopać, dziecko, zrozum, to ważne badanie, będziemy dotąd siedzieć w tej łazience, aż to zrobimy.

Nusia spocona, spłakana i zmęczona w końcu przestała stawiać opór, a pan Pietrzyk dokończył badanie.

– Tu nie musisz chodzić w piżamie, umyj buzię i idź do jadalni, zaraz ci pokażę, gdzie to jest, usiądź na ławeczce i poczekaj na mnie.

Nusia już nie protestowała, siedziała na drewnianej ławce wzdłuż długiego stołu przykrytego ceratą w drobną kratkę i czekała na pielęgniarza, nawet nie podejrzewała, że będzie tu jadała jeszcze przez kilka miesięcy.

Pan Pietrzyk wrócił szybko, trzymając w swoich pulchnych dłoniach talerz i przekrojoną na pół bułkę posmarowaną masłem. Talerz był pełen mleczonej owsianki, a bułka wydawała się Nusi ogromna. Pan Pietrzyk zachęcał ją:

– Jedz, musisz teraz dużo jeść, inaczej nie wyzdrowiejesz. To wszystko musisz zjeść, już ja tego dopilnuję.

Nusia zaczęła łykać zupę aluminiową łyżką, jadła powoli, połykając też łzy, które nadal płynęły obficie po



jej małej buzi. Bułka, choć smaczna, nie mieściła się w jej małym żołądku, ale pielęgniarz zmusił ją do zjedzenia całej, strasząc, że jeśli nie zje wszystkiego, to nakarmi ją przez tę rurkę, co podczas badania, prosto do żołądka.

– A teraz siostra Stasia zaprowadzi cię do twojej sali, do koleżanek, ja już nie będę cię męczył.

W drzwiach jadalni stała pielęgniarka, siostra Stasia, młoda, drobna blondynka w białym fartuchu i w białym czepku z czarnym paskiem na blond włosach. Uśmiechnęła się do Nusi. Wydała się Nusi bardzo ładna i miła, więc dziewczynka ufnie podała jej rękę.

– Nie płacz, zobaczysz, jakie masz w swojej sali wesołe koleżanki.

W drugiej ręce Nusia dźwigała tornister wypełniony książkami, zeszytami i przyborami – wszystkim, czego potrzebowała do nauki. Jej ubrania mama przekazała już wcześniej panu Pietrzykowi.

Sala, w której zamieszkała Nusia na całe dziewięć miesięcy, była przestronna, z wysokimi oknami i szerokimi parapetami. Mieściło się w niej sześć metalowych szpitalnych łóżek i sześć szafeczek – nakastlików, wszystkie łóżka były zajęte, oprócz tego jednego przy oknie, które czekało na nią – z białą płócienną pościelą

i burym kocem, na którym widniała czerwona szpitalna pieczęć.

– Ubrania masz w nakastliku, a tornister schowaj pod łóżko – poleciła siostra Stasia – zostawiam cię teraz samą, musisz odpocząć, a najlepiej prześpij się. Koleżanki poznasz, jak wrócę z lekcji, jeszcze to trochę potrwa.

Nusia położyła się na łóżku, owinęła się kocem i szybko zasnęła. Obudziły ją dziewczęce śmiechy i poszturchiwania.

– Ej, królowno, nie śpij, te, miastowa, obudź się – usłyszała.

Momentalnie usiadła na łóżku i wszystkie przyglądały się sobie.

– Te, mała, jak masz na imię?

– Nusia, to znaczy Ania.

– Aaaaa, Ania-srania, to już lepiej Anka. Dobra, dziecinko, jak się nas będziesz słuchała, to będzie ci tu z nami całkiem dobrze. Masz coś słodkiego albo może krem Nivea? Masz do mnie mówić Jasia, ta największa to Marysia, jeszcze jest Zośka, Elka i Ewa.

Nusia wytrzeszczyła oczy i nie bardzo rozumiała, co one od niej chcą, a zresztą i tak niczego takiego nie miała, co potwierdziło przeszukanie Nusi nakastlika z rzeczami.

– To nic, napiszesz do matki list, niech ci przyśle, albo najlepiej niech przywiezie i jeszcze jakąś perfumę, bo Marysia musi podobać się Zbyszkowi. Widziałyśmy przez okno twoją mamę, jaka elegantka – kapelusz, płaszczyk, butki na obcasach, ho ho!

Marysia miała niecałe osiemnaście lat, była wyższa i tęższa od Nusinej mamy, wszystkie dziewczęta były starsze od Nusi i pochodziły z okolicznych wiosek.

Nusia myślała, że będą tu tylko dzieci, takie jak ona, a tu proszę, takie duże dziewczyny; zdziwiła się też, że w prewenterium byli chłopcy.

– Dziewczęta, pobudka! – siostra Czesia pokrzykiwała wesoło – wstawać, śpiochy! O... nowa koleżanka, jaka ładna dziewczynka i też chora, biedulka! No, różnie! Umyjcie buzie i zęby, ubierzcie się i zaraz do mnie do dyżurki, wiecie po co, weźcie nową ze sobą.

Nusia nie wiedziała, po co, ale miała przeczucie, że to niedopowiedziane przez siostrę, to coś niezbyt przyjemnego.

Dziewczyny, widząc strach na jej buzi, podśmiewały się.

– Nie bój nic, dostaniesz tabletki, zastrzyka w tyłek i po krzyku, da się wytrzymać i przyzwyczaić.

Chwilę potem Nusia stała w kolejce w dyżurce pielęgniarek. Wszystkie nadstawiały dłonie, a siostra wydawała różnego koloru tabletki. Nusia też nadstawiała garstkę, nigdy nie widziała tylu tabletek naraz, wszystkie, jakie dostała, miały zielonkawy kolor, chyba było ich z dziesięć. Siostra Czesia wzięła blaszany garnuszek z zimną herbatą i zachęcała Nusię.

– No, po jednej łykaj, jak się przyzwyczaisz, to i po dwie się nauczysz. A teraz, kochaniutka, idź za parawanik, zsuń z pupy rajtuzki i majteczki, muszę zrobić ci zastrzyk.

Nuska ledwo powstrzymała łzy, ale widząc, że koleżanki znoszą zastrzyki najwyżej z jednym – aj!, też postanowiła znieść dzielnie ukłucie. Jednak zastrzyk był duży i bolesny, a myśl, że musi tu zostać jeszcze długo, sprawiła, że rozpłakała się i niemal histerycznie pochlipywała. Siostrze Czesi żal się zrobiło małej, przytuliła ją mocno, pogłaskała po czarnej, krótkiej i jak zawsze krzywo obciętej przez mamę grzywce nad czołem, i powiedziała:

– Wiesz, to jest streptomycyna, ona boli, ale za to cię wyleczy, tak jak i te tabletki PAS-u. Dawniej nie było takich lekarstw i dzieci na gruźlicę umierały, a ty

wyzdrowiejesz i będziesz jeszcze śmiała się wesoło; teraz bądź dzielna, obiecaj.

Po tych słowach Nusia wytarła oczy fartuchem siostry Czesi i wydusiła z siebie:

– Obieecuuuuuję.

Uspokojona powędrowała na śniadanie, znowu męczyć się nad zupą mleczną z wielką bułą, tym razem z dżemem.

Po kilku tygodniach codziennych zastrzyków Nusia wygrywała konkurencję – która z dziewcząt ma najbardziej sine pośladki po zastrzykach, a jej buzia bardzo się zaokrągliła, bo mocno przytyła.

Dziś Nusia miała dużo w szkole zadane, siedziała na swoim łóżku i odrabiała lekcje na okiennym parapecie, pióro nie chciało jej słuchać, często ze stalówki skapywały atramentowe kleksy, wysuszała je białą bibułą, ale niebieskie plamki pozostawały na kartkach zeszytu. Literki i cyferki, które ćwiczyła, nie trzymały się w linijkach i chwiały się, nie mogła też zapamiętać krótkiego wierszyka. Mama ją pocieszała, aby się nie martwiła słabymi ocenami, bo to przez lekarstwa, jak wyzdrowieje, wszystko wróci do normy, a stąd to wiedziała, bo sama leczyła się na gruźlicę i też tak miała.

Mama nie przyjeżdżała do Nusi w odwiedziny co niedzielę, a przecież ona czekała na nią jak na przyjazd królowej. Kiedyś mama przywiozła dziewczynom ciastka, perfumę i wymarzony krem Nivea, po niezdarnym liście, który Nusia napisała, za co od tamtej pory dziewczyny ją polubiły, choć czasami jej dokucały, tak jak wtedy, gdy podłożyły jej pod tornister zdechłą mysz i wszystkie zanosły się śmiechem, gdy Nuska narobiła krzyku, wyciągając tornister spod łóżka. Ojciec tylko raz ją odwiedził, wypytywał tylko o naukę, oglądał zeszyty i widział w nich marne stopnie, skrytykował Nusię, że brzydko pisze i nie umie rachunków, więc się ucieszyła, gdy sobie pojechał. Kiedy odjeżdżała mama, Nusia zawsze płakała.

Bardzo też tęskniła za babcią Wiesią, za Skoszowem. Kiedyś w nocy przyśniło jej się, że siedzi na kolanach babci przy otwartym oknie, jest majowy wieczór, babcia głaszcze ją po głowie, słuchają pieśni maryjnych, śpiewanych przez skoszowskie panny. Ave, ave Maryja... pachniał bez i jakiś ptaszek głośno śpiewał, choć było już ciemno, a złoty księżyc zaglądał do ich domu.

Zbliżały się święta Bożego Narodzenia. Nusia liczyła dni, bo miała obiecane, że pojedzie w tym czasie

na przepustkę do domu na cały tydzień. A tu pech – tuż przed świętami wszystkie dziewczyny i Nusia też, zachorowały na ospę wietrzną i Nusia bała się, że nie wyzdrowieje do świąt, na szczęście choroba minęła szybko, zostawiając jedynie gdzieś tam małe strupki posmarowane niebieską gencjaną.

Przyjechała mama zabrać córeczkę do domu. Nusie już od rana roznosiła radość, nawet nie była jej przykra choroba lokomocyjna w autobusie, a nawet to, że nie wie, czemu, mama w czasie podróży nie pozwalała jej podnosić głowy z kolan i nakrywała jej włosy chustką.

Kiedy radośnie wbiegła do domu, mama krzyknęła:

– Nusia, idź prosto do łazienki! Nusia, ty masz wszy, już w autobusie zauważyłam, jak trzymałaś głowę na moich kolanach.

– Wszy, o matko, ja się boję! – lamentowała Nusia.

– Nie bój się, zaraz zrobimy z nimi porządek, włącz do wanny.

Nusia rozebrała się. Mama umyła jej głowę szamponem i całą ją dokładnie namydliła gąbką, omijając jedynie skłute zastrzykami, sine pośladki. Mama szlochała przy tym:

– Bidna dupinka, moje biedactwo, to wszystko przeze mnie.

Wylała swoją córeczkę ręcznikiem, ubrała w czyste ubrania i nakarmiła. Potem poszła do apteki kupić płyn zwalczający wszy.

Nusia prawie cały dzień chodziła z głową zawiniętą chustką i posmarowaną śmierdzącym płynem na wszy. Nie przeszkadzało jej to jednak, bo była w domu i tylko to się liczyło, przytulała swojego Czaja i całowała jak największy na świecie skarb.

Martwe wszy i gnidy przyklejone do włosów Nusi mama dokładnie wycesała specjalnym gęstym grzebykiem nad gazetą, aby nie przeoczyć jakiegos niedobitego insekta. Z Nusi krótkimi włosami mama poradziła sobie bez trudu. Nusia odświeżona, czyściutka i szczęśliwa spała w domu co dzień prawie do południa, przytulona do swojego Czaja. Oglądała kolorowe książeczki z bajkami, bawiła się zabawkami, których w domu jej nie brakowało, słuchała radiowych słuchowisk dla dzieci, rysowała i gryzmoliła kredkami wierszyki dla mamy w grubym, stukartkowym zeszycie z czarnymi okładkami.

W święta ubrały choinkę, śpiewały kolędy, Nusia nawet dostała prezenty po choinkę – nową gumową lalkę, skakankę i bajki ze ślicznymi ilustracjami.

Niestety, czas w domu szybko minął i znowu wracała do prewentorium, z głową na mamy kolanach, teraz jednak z nadzieją, że to już coraz bliżej końca leczenia.

Wiedziała też, że wszyscy ją tam lubią, dla całego personelu jako najmłodsza była pupilką, a i koleżanki polubiły ją jak młodszą siostrę, nawet wojownicza Jasia kiedyś ją wzięła na podkradanie cebuli do kuchni, gdy już kucharki skończyły dyżur i poszły do swoich domów, a one były głodne, ale tylko tyle tam znalazły. Nawet głównego lekarza ordynatora, najważniejszego w całym prewentorium, doktora Oktawca Nusia polubiła i przestała się go bać, wręcz wydawał jej się bardzo przystojny.

W prewentorium Nusia spędziła jeszcze wiosnę i dopiero w czerwcu, po uroczystym zakończeniu roku szkolnego, podczas którego recytowała wierszyk, śpiewała piosenkę, a nawet tańczyła, choć z jej tuszą sprawiało jej to więcej trudności, wróciła do domu na dobre.

Opuszczając prewentorium, cieszyła się ogromnie i miała nadzieję, że nigdy do niego nie wróci, żałowała jednak zaprzyjaźnionych koleżanek i personelu.

Na pożegnanie dostała w prezencie mały pamiętnik, do którego wszyscy się wpisali, aby Nusia do końca życia o nich pamiętała. A ona, w drodze powrotnej do domu, ścisłała go i tuliła jak cenny skarb, a w domu zawsze pilnowała, aby się nie zawieruszył.

Kiedy zjawiała się z mamą u doktora Rutkowskiego, czyli doktora Żaby, ten aż podskoczył na krześle:

– Nusia! Jak ty urosłaś, jaka jesteś duża, jesteś nie do poznania!

– Ale panie doktorze, dzieci śmieją się ze mnie, że jestem gruba, nazywają mnie gruba fuła albo gruba beczka – skarżyła się.

– Nie martw się, wyrośniesz z tego, dziecko, najważniejsze, że jesteś już zdrowa, a tym którzy się z ciebie śmieją, powiedz: wolę być gruba niż gligotami gilgotać – oboje roześmiali się w głos.

– Pamiętaj, Nusia, raz w miesiącu meldujesz się u mnie z mamą do kontroli – rzucił na odchodne doktor Rutkowski.

Nusia tylko skinęła wesoło głową, bo bała się, że wyrwie jej się: – Ależ tak, panie doktorze Żabo.

Opowiadania pochodzą z książki pt. „Nusia”

Ryszard Mścisz

„ŻYCIE (U)DAJE SZKOŁĘ”

Sen

Lekki wiatr rozwiewał upał, liście na drzewach kłaniały się rytmicznie w prawo, gałązki krzewów zdawały się potakiwać tajemniczo, jakby o czymś wiedziały. Był początek lata, czas wakacyjnej swobody, a ziemia jeszcze przetrzymywała nieco wilgoci po ostatnich deszczach. I tylko okrucy ciszy, którymi syciła się natura, wzbudzały pewien niepokój, dojrzywały jakąś upiorną tajemnicą.

Sporo śladów, kilka zagadkowych słów na kartce, no i przede wszystkim ona – piękna dziewczyna z nożem w plecach, zamordowana wiele godzin temu. Tu, na Górze Jeżowskiej, ludzie nie pojawiają się za często, jeśli dziewczyny nie widać było z drogi krajowej, mogła w tym miejscu leżeć bardzo długo. Właściwie jedynie przypadek sprawił, że dwóch licealistów z miejscowej szkoły wybrało się na przechadzkę w tę stronę.

Chcieli poznać z bliska ciekawe miejsce w Jeżowie, zakątek bliski a nieuczęszczany, ale zobaczyli coś, co ich zupełnie zaskoczyło i przeraziło. Właściwie na pierwszy rzut oka nie zauważyli niczego złego, żadnych znamion tragedii. Leżała bezwładna, może zasłabła, może tylko zasnęła. Ale kiedy nie reagowała na wezwania i przewrócili ją na drugi bok, stanęli jak wryci, przeszły ich dreszcze. Przez chwilę zaniemówili. Michał i Adrian nigdy nie spodziewaliby się tu takiego zdarzenia. Ba, nie tylko tu. Dziewczyna miała długi nóż w plecach, na trawie widniała plama zaschniętej krwi. Spojrzeli na siebie, wiedzieli, że sprawa jest oczywista – trzeba zadzwonić na policję. Oczywiście mieli komórki, nie było więc z tym problemu. Jak tylko otrząsnęli się nieco po tak zaskakującym widoku, spełnili swoją powinność.



Po dwudziestu minutach przyjechała karetka i policyjny samochód. Dziewczyna nie żyła od wielu godzin, nie było co do tego wątpliwości. Michał i Adrian opowiedzieli o znalezieniu ofiary morderstwa i szybko zostali zwolnieni. Nie mieli przecież jakiejś specjalnej wiedzy, która pozwalałaby wpaść na trop sprawcy. Tym bardziej, że nie natknęli się na ofiarę tuż po dokonaniu zbrodni. Mogli wracać, ale trudno im się było pozbierać po tym, co zobaczyli. Kiedy Adrian nadepnął na jakąś gałązkę, obaj się wzdrygnęli, przeszły ich jakieś dreszcze. Irracjonalne, rzecz jasna, bo co im mogło zagrażać. Oddalili się już od miejsca zbrodni, minęło sporo czasu od jej popełnienia. Chociaż, kto wie...

– To straszne, że tu, u nas coś takiego mogło się zdarzyć. Naogląda się człowiek różnych takich historii w filmach, zobojętnieje na to, patrzy z dystansem. Ale jak coś takiego sam przeżyje...

– W dodatku w swoim środowisku, tak blisko... Chociaż nie znałem jej, Michał, ale czuję jakby zginął ktoś bliski, może jak ktoś z naszej szkoły.

– A przyjrzałeś się jej dokładnie, Adrian?

– Właściwie nie, jakoś nie byłem w stanie się w nią wpatrywać. Ale właściwie dlaczego pytasz?

– Bo, widzisz, ja mam wrażenie jakbym ją skądś znał. Wiem, powiesz, że mi się zawsze tak wydaje, kiedy zobaczę taką ładną dziewczynę. Ale to nie to... Ja ją niedawno gdzieś widziałem.

– Coś ty...?! Jakby tak było, to byś chyba pamiętał co i jak.

– Masz rację, też tak sobie pomyślałem. A jednak nie mogę się tego wrażenia pozbyć.

– Zwykle bywaliśmy razem w różnych miejscach, choćby na Dniach Rudnika czy na imprezie w Krzeszowie. A ja nie mam żadnych takich skojarzeń.

– To prawda, rzadko bywałem gdzieś bez ciebie. Ale to jakby inna znajomość, nie taka imprezowa, chyba nie minęliśmy jej też gdzieś w drodze. No chyba że... Tak, to jest to, już kojarzę skąd... Choć to nieprawdopodobne...

– O czym ty mówisz? Bo jak cię słucham, to zaczynam się bać.

– Wiesz, ty nie możesz jej znać. Ja ją poznałem... we śnie.

– No nie, chyba nie chcesz mi wmówić, że ona ci się kiedyś przyśniła, a teraz ją zobaczyliśmy z nożem w plecach. Może ci się jakaś filmowa historia przypominała?

– Nie, to prawda. Ona mi się naprawdę przyśniła i to dwa razy. Była uśmiechnięta, radosna, zwracała się

do mnie jak dobra znajoma, jakbyśmy chodzili do tej samej klasy.

– I ty chcesz, żebym w to uwierzył? Takie rzeczy się nie zdarzają, chyba że w filmie.

– A jednak to prawda. Zresztą dziś jest trochę jak w filmie, nie uważasz? Mam wrażenie, jakbyśmy nagle stali się częścią jakiejś wyjątkowej historii.

– Michał, robi się jakoś mrocznie. Jesteśmy już nie daleko domu, a ja wciąż jakbym tam był. Kto mógł to zrobić, to taka piękna młoda dziewczyna. Dlaczego zginęła, dlaczego właśnie w tym miejscu? Skąd się tam znalazła? Przecież tam mało kto chodzi, nawet my byliśmy na Górze Jeżowskiej pierwszy raz.

– Tego ci, Adrian, nie powiem. Nie mam pojęcia, te same pytania sobie zadaję. Poza tym wciąż dręczy mnie tajemnica tego snu. Dlaczego ona się w nim pojawiła?

– Ale słuchaj, Michał... Nie, to głupie, niedorzeczne, wybacz... Tak, ten sen musi cię nękać, trudno się dziwić.

– Nie wycofuj się, Adrian, z tego, co chciałeś powiedzieć. O co ci chodzi? No... Ja też musiałem się przełamać, żeby ci powiedzieć o tym śnie, choć wiem jak to można odbierać. Sam pewnie bym tak to przyjął, jakbyś ty mi taki sen opowiedział.

– Eeee, to bez sensu, naprawdę.

– Nie, nie daruję ci, musisz o tym powiedzieć.

– No dobra... Chciałem spytać, czy coś jeszcze z tego snu pamiętasz. Co tam się jeszcze wydarzyło? No widzisz... Wiem, postępuję tak jakbym przeprowadzał śledztwo w oparciu o senną wizję. Ale skoro już zapamiętałem tę dziewczynę, jej senną osobowość, to może...

– No cóż, wiesz jak jest ze snami. Ulatują, niewiele z nich pozostaje. Jakieś wrażenie, ulotna postać, parę odrealnionych migawek... Wiem, że była urocza, wszyscy się nią zachwycali, szeptali jakieś miłe słowa. To były różne osoby, znajome i nieznajome. Była na przykład Patrycja, Natalia, Andżelika... Z chłopaków Marcin, Grzesiek. Musiała być wtedy jakaś fajna, sympatyczna okazja, impreza szkolna, choć poza szkołą.. I chyba tyle, żadnych jakichś dramatycznych wydarzeń, fantastycznych przygód.

– Na pewno nic więcej? Przypomnij sobie.

– Nie, nic poza tym. Tylko...

– Co..?

– To jedno spojrzenie, jakieś straszne, niepokojące... Mignęła mi jedna twarz, zupełnie inna niż te wszystkie uśmiechnięte. On też patrzył na nią, ale całkiem inaczej niż wszyscy.

- Kto to był? Ktoś znajomy? Ktoś... z naszej klasy?
- Nie, on nie był z drugiej liceum, ale...
- Ale co?
- Był z naszej szkoły.

Byli właśnie przed domem Michała. W tym momencie nie potrafili nic więcej powiedzieć. To ich przerażało. Jakaś złowroga tajemnica, coś, co wymyka się, pozostaje poza wszelkimi słowami. Podali sobie tylko ręce i pożegnali się. W tym dniu już nic więcej nie byli w stanie zrobić. Zerwał się wiatr, niebo zaczynało pokrywać się skłębionymi ciemnymi chmurami. Jak nic, nadejdzie burza. Była popołudniowa pora, ale nadciągał przyspieszony wieczór, ciemność ogarniała całą okolicę. Wokół ucichł wszelki gwar, nagle wszystko zamilkło. Zbliżała się pora gromów. I snów. Właśnie, snów, które czasami budzą się do życia.

Z szkolnej pamięci

Pamięć potrafi stroić fochy i wybierać sobie to, co jej do utrwalenia pasuje. Wbrew jej użytkownikowi zresztą. Nieraz w towarzystwie znajomych z dawnych lat wspominam jakieś zdarzenie i okazuje się, że niektórzy pamiętają je jak przez mgłę, inni zaś w ogóle tego nie kojarzą. Potem ktoś inny opowiada zdarzenie – nawet takie, w którym uczestniczę – i ja jestem w podobnej roli. Często myślę sobie, że było coś takiego, ale chyba wyglądało to nieco inaczej. Ale nieraz bywa i tak, że dochodzę do wniosku, iż to musi być jakaś wyszana z palca fantazja.

Oczywiście parę warunków trzeba spełnić, by takie uskoki pamięci zaobserwować. Przede wszystkim musi minąć sporo lat od tamtych zdarzeń, nie może to być zbyt świeże. Poza tym konieczna jest grupka bliskich osób, które coś kiedyś łączyło, jest między nimi jakaś wspólnota doświadczeń. Bo jak wspominał będzie to ktoś, komu dzisiaj wydaje się, że nas zna, a wtedy ledwo zwracał na nas uwagę, to sam sobie wytwarza jakąś „nadpamięć”. No i musi być pewna atmosfera szczerości, chęć przypomnienia sobie jak było. A nie powszechna chęć ubarwienia przeszłości, wykazania jak to kiedyś świetnie było w konfrontacji z tym, jak jest dzisiaj.

Wojsko i szkoła. Pewnie gdyby zrobić ranking najważniejszych momentów w życiu, które w towarzyskich rozmowach, wspomnieniach się pojawiają, te dwa zajęłyby pierwsze miejsca. Zresztą nie tylko w rozmowach toczących się wśród osób znających się w przeszłości, z tamtych czasów. Równie dobrze każdy może przywoływać indywidualne i... niesprawdzone do-

świadczenia. Wtedy chyba pokusa i bezkarność ubarwiania dawnych czasów jest jeszcze większa. Gdyby rozstrzygnąć, któremu z tej dwójki przyznać pierwszeństwo, trzeba by wskazać szkołę. Powody zresztą są dość oczywiste. Po pierwsze, wojsko wyłącza ze wspomnień kobiety, ustawiając je jedynie w roli niezbyt dowierzających „popisom” słuchaczek. Po drugie, nie każdy był przecież w wojsku. Po trzecie, jednak szkoła to znacznie dłuższy okres niż służba wojskowa. No i wystarczy. Po co mnożyć argumenty.

Końcówka mojej licealnej nauki. Różne były fazy tej licealnej przygody (dzisiaj tak bym to chętnie określił). Początek całkiem dobry, niezłe świadectwo z paroma piątkami i jedną tylko trójką (matematyka – królowa, ale nie moja), parę osiągnięć sportowych, niezła pozycja w klasie. To także rok pobytu w internacie, wymuszonej przez tamtejszy nadzór systematyczności, ale też uczenia się tutejszych praw i poznawania różnych oryginałów, składających się na tę internatową społeczność. Potem już były trzy lata dojeżdżania do miasteczka Czerwińsk, w którym moje liceum się mieściło. I z nauką bywało różnie, chociaż wciąż byłem niezłym uczniem. Cała ta romantyka wstawania o piątej rano i wychodzenia do autobusu, czy śnieg, czy deszcz, czy wstający ostrożnie upał. Oczekiwanie na pojazd, czasem długie, czasem krótkie, a bywało, że zamiast niego wskakiwanie w bieg. Przyjazd do Czerwińska i dwie godziny oczekiwania na początek zajęć, a godzinę na otwarcie szkoły. Czasami udawało się wejść przez kuchnię, nieraz dość długie oczekiwanie pod szkołą, gierka na boisku, wejście do kościoła. W zależności od pogody, czasu, chęci, towarzystwa. Powrót do domu też urozmaicony. Jak się udało (było mało lekcji lub jakieś przepadły), powrót następował już około 13.00. O wiele jednak rzadziej trzeba było czekać do 16.20. No a wtedy po lekcjach było sporo czasu, który różnie się zagospodarowywało: od gry w karty czy w piłkę, po wałęsanie się po miasteczku i różne młodzieńcze wygłupy. Dość niewinne oczywiście, jeśli porównać to z chuligańskimi i trunkowymi pomysłami wielu dzisiejszych uczniów. Ponieważ miejscowość była oddalona jedynie o kilkanaście kilometrów od mojej wsi Kolcówka, a istniała jeszcze znacznie krótsza droga przez las, zdarzało się nam (nawet mnie samemu) iść piechotą do domu. Czasem zresztą trafiała się jakaś okazja, choć pojazdów wówczas było znacznie mniej niż dziś.

Miało być jednak o ostatnim roku nauki w liceum. Roku okraszonym maturą, a w epilogu – egzaminami

wstępny na studia. Chyba było jakoś tak, że miałem dobry start i finisz, a środek nieco przespany. Na początku tej klasy o studiach jeszcze specjalnie nie myślałem, o maturze jednak nie dało się nie myśleć. Trwały różne tortury przygotowawcze, rodzaj gry wstępnej przed nią. I chociaż to matura wewnętrzna, poprawiana przez swoich nauczycieli, była ona pewno bardziej uciążliwa niż te współczesne, w dobie propagandowo obiektywnych popraw zewnętrznych. Dla mnie chyba najbardziej doskwierająca była świadomość, że z obowiązku zdawania matematyki na maturze nikt nie może mnie zwolnić. A już co stanie się po maturze? W tym względzie za motto można by przyjąć wypowiedź mojej wychowawczynie, wuefistki (nauczycielka wychowania fizycznego – *przyp. red.*): „*Jak z tej głupiej klasy ktoś się dostanie na studia, to mi kaktus na dłoni wyrośnie*”.

Pani Cader od wuefu (wychowania fizycznego – *przyp. red.*) w pewnym sensie zaczynała „karierę” wraz z nami. To była jej pierwsza praca po studiach i pierwsze wychowawstwo. Ponieważ chłopcy mieli wuefy osobno, więc kontakt z wychowawczynią tej płci był raczej sporadyczny. Dziewczyny były przez nią dręczone fizycznym przymusem wyginania ciała, a my tylko raz w tygodniu musieliśmy przetrzymać godzinę wychowawczą, której ważnym składnikiem były rozmaite uwagi na temat istniejących w klasie nieprawidłowości. Pani Cader uważała, że ma tylko jedną

zdolną uczennicę – Bogusię. No i parę przyzwoitych. Wśród chłopaków przyzwoitych było tylko dwóch, a kilku pozostałych (zmieniających się w czasie nauki) do spisania na straty. Wprawdzie byłem w tej dwójce, ale to znaczyło tylko mniejszą dawkę uwag od pozostałych. No bo nie byłem przecież tym, dzięki któremu wychowawczynie może się wykazać. Chyba jednak dane mi było parę razy zaskoczyć wychowawczynię. Raz było to w czasie takiego niby wycieczkowego (bo połączonego z pracą społeczną) wyjazdu. Pani Cader zabrała się za rozwiązywanie krzyżówki, a ja parę razy dopowiedziałem jej hasła, których nie знаła (oczywiście bez zgłaszania się, ale grzecznie – to znaczy wtedy, jak zapytała ogół klasy). Raz nawet zdziwiona spytała: „*A skąd ty to wiesz?*” W dzisiejszych czasach może odpowiedziałbym: „*Z głowy, czyli z niczego*”. Wtedy byłaby to bezczelność miary apokaliptycznej, mierzona szkolnymi paragrafami. Drugi raz takie zaskoczenie przeżyła pod koniec klasy pierwszej, w czasie zawodów sportowych w Dniu Dziecka. Skoczyłem w dal ponad pięć i pół metra, co w zestawieniu z moim nikczemnym wzrostem (około 160 cm) jakoś nie chciało się skonfigurować. Potem jeszcze parę razy w grach zespołowych czy zawodach lekkoatletycznych zdołałem się pokazać.

Wróćmy jednak do ostatniej klasy liceum. Moje oceny na koniec wywindowały się do przyzwoitego poziomu 4,3, ale oczywiście dla pani Cader (ciekawe jaką miała średnią w liceum) nie była to wielkość imponu-



jąca. Toteż wcześniejszej opinii o szansach studiowania osób ze swojej klasy nie musiała zmieniać. Chociaż może zaczęła z czasem prezentować wersję nieco skorygowaną: „*Oprócz Bogusi...*” Cały maturalno-studencki kłopot polegał wówczas na tym, że podania na studia trzeba było składać na ręce wychowawczynie. No i narazić się na komentarz. W moim przypadku był on i tak lakoniczny i niewinny: „*Ty – na studia!?*” Zdziwieniu profesorki Cader towarzyszyło zdziwienie polonistki – profesorki Zawilskiej. Ale jego wyznaczniki były zupełnie inne. Z języka polskiego byłem piątkowy – to znaczy oczywiście w pierwszej i ostatniej klasie. Moją specjalnością niejako były prace pisemne – z tych właściwie zawsze dostawałem piątki. Z odpowiedziami ustnymi, terminowością odrabiania zadań i czytania niektórych lektur już było nieco gorzej. Z matury próbnej z polskiego dostałem piątkę, niemal same piątki trafiały mi w ostatniej klasie do dziennika z polskiego i fakultetu humanistycznego, a jednak profesorka nie przypuszczała, że mogę wybrać polonistykę. Zresztą nic dziwnego, bo i dla mnie nie to wybór zbyt wczesny i zdecydowany. W grę wchodził wuef (nie umiałem pływać, a więc egzamin był zagrożony), język rosyjski (mało perspektywiczny, biorąc pod uwagę ogólne do niego nastawienie), język francuski (za dużo zajęć przepadło i trzeba było braki nadrobić na własną rękę, najlepiej korepetycjami, prywatnymi lekcjami), historia (ale ostatecznie nie wybrałem tego przedmiotu do matury, więc zadanie było utrudnione), nawet droga kapłaństwa (chyba nie odnalazłem w sobie silnego powołania; tu przecież nie chodziło tylko o zdanie egzaminów i dostanie się). No i była polonistyka, traktowana w oderwaniu od pedagogicznego kierunku studiów póki co. Ważne było, że to dziedzina wiedzy, która mnie dość interesuje i z której jestem dobry. Była tu wszakże jedna trudność: gramatyka, której w liceum było mało, a z podstawówek też nie pamiętałem za wiele, bo za nią nie przepadałem.

Dla polonistki byłem kandydatem na księdza – jak większość lepszych w nauce chłopców z Kolcówki. Ponoć wiele osób tak typowało. Wieść o polonistyce w moim wydaniu zaskoczyła profesorkę Zawilską, ale jej reakcja była zupełnie inna niż wychowawczynie. Powiedziała tylko: „*Dlaczego mi o tym nie powiedziałaś? Pomógłbym ci w przygotowaniach do egzaminów*”. Dowiedziałem się, że śledziła potem te moje egzaminacyjne boje.

Nie tylko dostałem się na polonistykę, ale egzaminy wstępne przebrnąłem z pierwszą lokatą, jako jedyny,

który otrzymał łączną ocenę z języka polskiego 5,0. I o dziwo, z tej „głupiej klasy” na studia dzienne dostało się wcale nie mniej osób niż z tych dobrych – „mądrych”. Tak to wygląda w oszczędnej, skromnej szacie pamięci. Bez szpanu, barw rozlicznych, aczkolwiek i tak nieco odmienione, bo w skondensowanej, wybiórczej postaci. By wszystko odtworzyć dokładniej i obszerniej trzeba więcej czasu i zapisanych kartek oraz... „dokupienia pamięci”. Choćby przy wsparciu kolegów, koleżanek i nauczycieli z tamtych wspaniałych lat.

Namalować miłość

Cienka strużka potu spływała po jego twarzy, ale nie czuł się wcale zmęczony. Słońce skryło się za chmurami, a lekkie powiewy wiatru, nasycone chłodem, pobudzały go do działania, podtrzymywały w nim te pokłady rozbudzonych chęci. Ostatnie pociągnięcia pędzla, dopracowanie szczegółów, do których przykładął dużą wagę, i kolejne dzieło było gotowe.

Wypatrzył sobie ten urokliwy zakątek już dawno. Wysokie trawy, prawdziwy gąszcz, w pobliżu staw rozrechotany i wcinający się jakby w zatokę drzew. Wokół zaś piękna otoczka lasu, szwadrony drzew jakby ustawione, by bronić ostatniego szańca natury. Miejsce to miało dziwny urok, a padające słońce wydobywało dodatkowe atuty tego pejzażu, z kolorystyką na czele. No i przede wszystkim nie widywał tu ludzi, nie pojawiali się w tym miejscu kiedykolwiek tu przychodził. Jakże to istotna zaleta. I paradoksalna zarazem. Bo tworzył obrazy dla ludzi, a tematów do nich szukał przede wszystkim tam, gdzie ich nie ma. Ludzie chcąc czy nie chcąc potrafili przede wszystkim niszczyć. Niestety...

Jeszcze niedawno pewnie byłby tu z Wiktorem. Przyjaźnili się od dzieciństwa i prawie od początku – no, może raczej od szkolnych początków – odkryli w sobie malarską pasję. Wiktor i Marcin, któż ich nie znał, nie wiedział o przyjaźni na śmierć i życie. Tak było do niedawna. Chodzili ciągle razem, idealnie się rozumieli i malowali – teraz już niemal profesjonalnie jako studenci Akademii Sztuk Pięknych. Cóż więc się stało, co ich rozdzieliło? Można by powiedzieć żartobliwie i dość prostacko, że „piękna sztuka”...

Miała zaledwie osiemnaście lat, piękne rysy twarzy, niewinne oczy anioła i kształty modelki. Marcin poznał ją na jednej z wystaw malarskich, na których studenci prezentowali swoje obrazy. On jak zwykle wystawił odnalezione przez siebie zakątki natury, bardzo delikatnie, wręcz pastelowo utrwalone, a światło zdawało się czynić obraz innym z każdej strony. To samo



właściwie utrwały obrazy Wiktora, jakże jednak były inne. Tym jednym się różnili – techniką malarską. Bo Wiktor zespalał widok z jakimiś fantastycznymi wizjami, które rodziły się w jego umyśle, pejzaż był dla niego jedynie płaszczyzną zdarzeń, które rozgrywały się w jego wyobraźni. Początkowo przed tymi właśnie obrazami zatrzymała się Monika. A wszyscy, niby zachwycając się dziełami malarskimi, ukradkiem zaczęli

zerkać na śliczną dziewczynę. Ona zamieniła kilka słów z malarzem, zapytała o to, jakie jest źródło tych jego wizji i przeszła do kolejnych dzieł. Wreszcie na dłużej przystanęła przed płótnem Marcina. Przyglądała mu się długo, podchodziła do niego z różnych stron i widać było, że zrobiło na niej szczególne wrażenie. Zaczęła rozmawiać z Marcinem o obrazie, poszukiwaniach miejsc, które później utrwał, ich unikalności i ustron-

ności. A potem... zaczęli rozmawiać o innych sprawach, o sobie. I to był początek. Odtąd właściwie wszędzie chodzili w troje, a potem już we dwoje – Marcin i Monika.

Przez kilka miesięcy wszystkie te jego ustronne miejsca stały się ich miejscami, wydało się, że rozumieją się idealnie, a malarstwo jest czymś, co dodatkowo ich łączy. Marcin był szczęśliwy, a Monika tak pełna euforii, zjawiskowa, że niczego innego także nie można było u niej podejrzewać. Był tylko jeden cień tego szczęścia – coraz rzadziej spotykał się z Wiktorem. A kiedy nawet już się spotykali, to nie było tak jak dawniej. Zdawał sobie sprawę, że to przez Monikę, ale nie podejrzewał, że właśnie tak to może wyglądać. Pewnego razu bowiem dziewczyna powiedziała mu, że nie mogą się już więcej spotykać. Nie mogą być w tych wszystkich miejscach we dwoje, bo ona... kocha Wiktora i zamierzają się pobrać.

Teraz zawsze był sam w tych swoich miejscach. Było tak, chociaż Monika porzuciła już Wiktora. Widocznie była zdolna tylko do paromiesięcznych związków, takich jak w świecie medialnych gwiazd. Ale jakoś nie mogli na razie zdobyć się z przyjacielem na taką szczerą rozmowę jak dawniej, jak przed Moniką. Marcin wierzył, że kiedyś to się zmieni, że będzie tak jak dawniej. Nie wiedział tylko, kto pierwszy wyciągnie rękę na zgodę. Może Wiktor, może on... A może połączy ich Monika – u boku kolejnej sezonowej miłości.

Obłok Andrzeja

Jaki dziwny obłok – niczym serce! Andrzej lubił patrzeć w niebo, ale jakoś do tej pory obłoku o takim kształcie nie udało mu się wypatrzeć. Cemu akurat teraz się pojawił? A może to wcale nie przypadek, tylko jakieś zrzącenie losu, rodzaj przepowiedni na przyszłość? Przecież niedawno poznał ją. Nikogo podobnego wcześniej nie znał. Właściwie to trudno byłoby ją nazwać klasyczną piękną. A jednak promieniała jak rzadko kto. Ten rozbrajający uśmiech, który zaraża optymizmem. Te dołeczki na policzkach i jakaś jasność otwartego umysłu. Pomyślał, że życie z Iloną nie może być pełne smutków i trosk. A samo życie jako takie nikomu ich nie skąpi.

Z zadumy wyrwał go cichy trzask. Niewątpliwie ktoś się zbliżał do jego ulubionego miejsca. No cóż, szczęście nie trwa wiecznie. I jak zwykle zmaćcił mu je Konrad – specjalista od pojawiania się o najbardziej niepożądanych porach. Teraz znowu pojawił się z jakąś pilną – według niego – sprawą. Konrad bez ogródek

oznajmił, że potrzebne są umiejętności Andrzeja. Potrzebne grupie. Nikt nie potrafi poradzić sobie z esejem po angielsku. Prawdę mówiąc, z esejem po polsku też nikt sobie nie radzi. Więc Andrzej ma to zrobić dla grupy. W ostateczności, jeśli nie da rady na jutro, musi przynajmniej napisać tekst po polsku. Na angielski już jakoś – lepiej lub gorzej – ktoś to przełoży. Oczywiście nikt tak dobrze tego nie robi jak Andrzej i najlepiej, żeby to on zrobił. Przecież on to robi od razu po angielsku, bez mozolenia się nad przekładem.

Andrzej miał na ten wieczór zupełnie inne plany. Ale takie, z którymi nie mógł się przed kumplami zdradzić. Z drugiej strony wiedział, co znaczy podpaść grupie czy być przez nią odrzuconym. Nie, to nie wchodziło w grę. A więc trzeba odłożyć to, co z dawna planował, i zająć się esejem o dążeniu do szczęścia. Temat niby lotny i ciekawy, ale Andrzej czuł, jakby został pozabawiony marzeń. Jego plany zobaczenia koncertu Cocteau Twins i spotkania się z członkami zespołu w zamkniętym gronie, do którego zdołał się załapać, przepadły. Poza tym temat byłby ciekawy, gdyby mógł tworzyć esej całkiem na luzie. Tymczasem ma to napisać pod zapotrzebowanie grupy, a więc bardzo schematycznie i sztamowo. O wylatywaniu „nad poziomy” nie ma mowy. I to też nie nastrajało go najlepiej. Poza tym... Tak, to chyba najgorsze ze wszystkiego. Na koncercie miała być Ilona, która również Cocteau Twins uwielbia. Stracił taką okazję, by jej zaimponować. A chyba miał czym. Bo znalazł się w elitarnej grupie wybrańców, o zespole wie wszystko, a po angielsku może sobie rozmawiać zupełnie swobodnie i na luzie. Ale cóż... Koledzy nade wszystko! Mimo że pomoc koleżeńska przebiega w zasadzie jednobiegunowo. To inni zawsze czegoś chcą od Andrzeja, a on jest samowystarczalny.

Rozłożył przydatne materiały. Wytyczne nauczyciela, wykaz pomocnego (jego zdaniem; ale lepiej te sugestie wziąć pod uwagę) słownictwa i zwrotów, idiomów. Najważniejsze to zacząć, a potem już poleci. Tak jest zawsze. Wreszcie po dwudziestu minutach pojawiło się to pierwsze zdanie. Potem drugie, trzecie... Jest wprowadzenie do tematu. Wystarczająco standardowe, jak trzeba. I wedle nakreślonego schematu. Temat rozwijał się coraz lepiej i szybciej, aż Andrzej z nadzieją zerknął na zegarek. No nie, to było nie do zrealizowania... Z koncertem pogodzić się tego nie da. Zapewne już Elisabeth Fraser z zespołem jest na scenie... Nie ma się co odrywać, trzeba pisać dalej. Kolejnych kilka zdań. I znów przerwa... Cemu to musia-



ło być takie rozwinięte, aż na kilkanaście stron. Gdyby nie to, może rzeczywiście jakoś dałoby się pogodzić te dwie rzeczy? O czym teraz napiszemy...? Mam kolejny wątek, rozwinięcie go zajmie sporo miejsca. „*Szczęście w subiektywnym wymiarze ludzkiego życia, ideał szczęścia w epoce, dla danego narodu...*” No tak, jakby ktoś chciał tak napisać i potem dobrze to przełożyć na angielski, może i byłoby niełatwo. Dobrze, że ja mogę tak bezprzekładowo...

Nagle rozległo się pukanie do drzwi. Kto to może być, o tej porze nikt mnie już nie odwiedza – pomyślał Andrzej. Ale oczywiście poszedł otworzyć. Kiedy już to zrobił – zaniemówił. W drzwiach stała Ilona, z tym swoim cudownym uśmiechem.

– Cześć, nie za późno przychodzę?

– Nie, ale...

– Nie cieszysz się, że jestem?

– Nawet nie wiesz, jak bardzo. Ale jestem tak zaskoczony...

– Wysłałam niedługo po koncercie. Byłam zaskoczona, że nie zjawiłeś się na nim.

– Bardzo chciałem. Ale grupa obarczyła mnie pilnym zadaniem do zrobienia. A podpaść im przecież nie mogłem.

– No tak, wiem coś o tym. Mam dla ciebie mały prezencik... Oto album Cocteau Twins z autografem Elisabeth.

– Nie wiem co powiedzieć... Jestem ci strasznie wdzięczny. Marzyłem o tym.

– Wiem.

– Niesamowite... specjalny wpis dla mnie jako przyjaciela zespołu?

– Oni cię znają. Parę razy wpisałeś się na ich stronie internetowej...

– Jestem zaskoczony też dlatego, że to właśnie ty... że akurat dziś zjawiłaś się u mnie. Ja... myślałem o tobie.

– Bujaleś w obłokach?

– Skąd... czemu tak mówisz?

– Zgadnij! Ale teraz muszę już iść. Zobaczymy się jutro po lekcjach, dobrze?

– Wspaniale. Do jutra Ilona?

Wyszła tak nagle, jak nagle pojawiła się. Andrzej poczuł się szczęśliwy. Przestał nawet ubolewać nad zleceniem grupy. Zresztą prawie już skończył ten esej. Tylko jedno nie przestawało go zastanawiać. Skąd wiedziała? Czy tak jej się tylko powiedziało? A może rzeczywiście była tym obłokiem...

*Opowiadania pochodzą z książki
„Życie (u)daje szkołę”*

UCHWAŁA
SEJMU RZECZYPOSPOLITEJ POLSKIEJ
z dnia 13 czerwca 2019 r.
w sprawie ustanowienia roku 2020 Rokiem Świętego Jana Pawła II

18 maja 2020 roku będziemy obchodzić stulecie urodzin Karola Wojtyły, znanego światu jako Ojciec Święty Jan Paweł II, naszego wielkiego rodaka zasłużonego w walce o wyzwolenie Polski spod jarzma komunizmu.

Święty Jan Paweł II zajmuje szczególne miejsce w historii Polski i Europy. Jego zdecydowane upominanie się o prawo naszej ojczyzny do wolności wśród narodów Europy, Jego praktyczna obrona praw naszego narodu uczyniły Ojca Świętego najważniejszym z ojców niepodległości Polski. W czasie pierwszej pielgrzymki Jana Pawła II do Polski w 1979 roku rozpoczął się proces, który zaowocował powstaniem „Solidarności”, wyzwoleniem narodu spod panowania komunizmu i odbudową jedności Europy. Dla nas, Polaków, pontyfikat papieża Polaka ma więc znaczenie szczególne.

W nauczaniu Ojca Świętego Jana Pawła II znajdujemy to, co w naszych dziejach najważniejsze. Jego postawa, Jego nauczanie są głęboko wrośnięte w dzieje naszego narodu. Ojciec Święty nauczał, jak bardzo od uznania godności człowieka, od przestrzegania jego praw, od umiejętności dialogu i przebaczenia, od budowy ładu społecznego na prawdzie, wolności i sprawiedliwości, od szacunku dla każdego człowieka, od obrony każdego życia ludzkiego od poczęcia do naturalnej śmierci, od poszanowania rodziny i naturalnej więzi międzyludzkiej, od budowania cywilizacji miłości, jak bardzo od tego wszystkiego zależą szanse społeczeństw i rozwój oraz pokój, zarówno wewnętrzny, jak i międzynarodowy.

Święty Jan Paweł II był człowiekiem pokoju i nadziei. Z niespotykaną pogodą i miłością, ale i niezwykłą siłą i pewnością wskazywał całemu światu, każdej wspólnotie, wszystkim ludziom, każdemu człowiekowi, jak życie czynić bardziej ludzkim. Uczył nas, że żadna wspólnota nie może przetrwać bez prawdziwej solidarności, ale także solidarność nie może istnieć bez miłości. Pamiętamy Jego słowa: *„Solidarność – to znaczy: jeden i drugi, a skoro brzemie, to brzemie niesione razem, we wspólnocie. A więc nigdy: jeden przeciw drugiemu. Jedni przeciw drugim. I nigdy „brzemie” dźwigane przez człowieka samotnie. Bez pomocy drugich. Nie może być walka silniejsza od solidarności”*. Wspominamy wspaniałe chwile, jakie przeżywaliśmy w czasie niezapomnianych pielgrzymek Ojca Świętego Jana Pawła II do Polski, z którą, jak powtarzał papież: *nigdy nie mogło rozstać się moje serce*. Było to wyrazem ogromnej miłości, jaką Ojciec Święty obdarzał Polskę i każdego z nas.

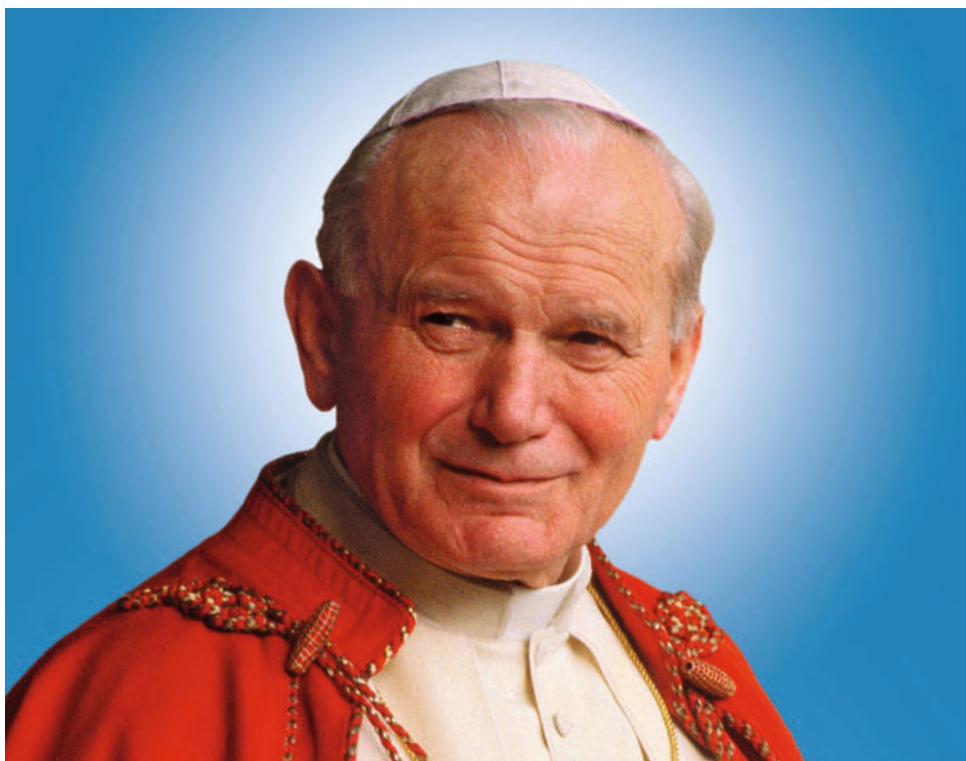
Święty Jan Paweł II, będąc jeszcze pośród nas, mówił, że chciałby zostać zapamiętany jako papież rodziny. Nieustannie podkreślał, że rodzina to największy skarb narodu, gdyż jest szkołą cnót społecznych stanowiących o życiu i postępie społecznym. Święty Jan Paweł II uczynił centrum swojego nauczania troskę o rodzinę i słowem oraz przykładem uczył, jak ważna jest tradycyjna rodzina w życiu społecznym i narodowym, rodzina, która jest prawdziwym środowiskiem życia i miłości. Jakże przejmujące są Jego słowa: *„O jakże bardzo pragnę, ja, który życie, wiarę i język zawdzięczam polskiej rodzinie, aby rodzina ta nie przedstawiała być Bogiem silna. Ażeby przezwy-ciężała wszystko, co ją osłabia i rozbija – wszystko, co nie pozwala jej być prawdziwym środowiskiem życia i miłości”*.

Był On i jest dla nas drogowskazem, zgodnie z którym możemy pewnie kroczyć. Jego postępowanie było wyrazem nadzwyczajnej odwagi. W 1981 roku przeżył zamach na swoje życie. Na placu św. Piotra został postrzelony przez tureckiego zamachowca, najpewniej na zlecenie sowieckich służb specjalnych.

W dniu 2 kwietnia 2005 roku z ogromnym bólem pożegnaliśmy naszego umiłowanego papieża, który odszedł do Domu Ojca i, jak wierzymy, wstawia się za nami i błogosławi nam z nieba.

Niniejszą uchwałą Sejm Rzeczypospolitej Polskiej wyraża wdzięczność i oddaje hołd Wielkiemu Papieżowi św. Janowi Pawłowi II, który, sięgając do źródeł chrześcijaństwa, uczył nas otwartości, wyrozumiałości, ale i odwagi w obronie wartości chrześcijańskich, na których oparta jest Polska i Europa. Niech nauczanie i wielkie dziedzictwo, które pozostawił św. Jan Paweł II, wciąż będą dla naszego narodu inspiracją do budowania Polski wolnej i sprawiedliwej.

Marszałek Sejmu Marek KUCHCIŃSKI



Miłość mi wszystko wyjaśniła,
Miłość wszystko rozwiązała –
dlatego uwielbiam tę Miłość,
gdziekolwiek by przebywała.

Św. Jan Paweł II, „Tryptyk rzymski”